Wybór radzieckich opowiadań fantastyczno—naukowych

Bion

Wyboru dokonał *Piotr Fast*
Z języka rosyjskiego przełożyli *Piotr Fast, Janusz Klimek, Jerzy Litwinów, Wacław Mucha, Anna Skotnicka–Maj, Barbara Stempczyńska, Michał Wołodźko, Teresa Zobek*

Margarita Bubnowa, Wiaczesław Kiełbasjew

BION

Wieczorny obchód laboratorium Nikołaj Nikołajewicz zakończył w gabinecie Biona.

Robot, z wyglądu całkowicie przypominający człowieka, siedział przed pulpitem sterowniczym i obserwował wydarzenia zachodzące na ekranie.

Gdy tylko Bion spojrzał na Nikołaja Nikołajewicza, przekręcił przełącznik. Podporządkowując się jego rozkazowi automaty w dalekim wiwarium od razu zaczęły dostarczać odpowiednie roztwory i substancje, tworząc nieodzowną atmosferę. Teraz działał opracowany przez niego kod rekonstrukcji — w zmieniających się i komplikujących na oczach Nikołaja Nikołajewicza formach wkrótce już można było dopatrzeć się konturów kończyn, długiego, przechodzącego w ogon tułowia, głowy z ogromnymi szczękami. Ocalała część szkieletu dawno już umarłego zwierzęcia z obcej planety przekształcała się w olbrzymią bryłę ciała. Zwierzę przypominało wymarłe ziemskie karnozaury. Podniosło się na tylnych kończynach, zrobiło kilka kroków, wlokąc za sobą gigantyczny ogon. Gdy się obejrzało, w jego oczach można było dostrzec przerażenie — nie znajdowało wokół tak dobrze znanego sobie świata: ani zbiorników wodnych, które go wypiastowały, ani dymiącej parą ziemi, ani Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze z otaczającego go środowiska na zaginionej gdzieś planecie. Zwierzę zaczęło się miotać w ogromnej sali.

— Nic ciekawego — Bion popatrzył na Nikałaja Nikołajewicza. — Intelekt w zarodku.

— Jestem zadowolony z pańskiej pracy — uchylając się od dyskusji powiedział Nikołaj Nikołajewicz. — Pozostali współpracownicy są jeszcze dalecy od rozpracowania kodów rekonstrukcji.

— Myślę, że i u nich znajdzie się coś w tym rodzaju. — Bion wyłączył ekran. — W kosmosie nie ma niczego nawet zbliżonego pod względem złożoności do człowieka. Powinniśmy wskrzeszać nie te stworzenia, a ludzi.

— Na razie tworzymy jedynie najprostsze ożywające organizmy — zauważył Nikołaj Nikołajewicz.

— Tak. Ale możemy o wiele więcej. — Bion wyczekująco popatrzył na Nikołaja Nikołajewicza swymi zielonymi oczyma. — I na tych samych zasadach. Każda żywa komórka zdolna jest odtworzyć całość — organizm, którego częścią kiedyś była. Pamięta tę całość w tysiącach najdrobniejszych i złożonych szczegółów. Rzecz polega jedynie na udoskonaleniu techniki pobudzenia pamięci komórki. Proponuję wydzielić samodzielną grupę badawczą, wolną od spraw bieżących, która opracowałaby ogólną teorię rekonstrukcji struktur organicznych i zajęła się „wskrzeszaczem".

— I włączyć do niej pana — uśmiechnął się Nikołaj Nikołajewicz. — Na razie nie możemy się zgodzić na utworzenie takiej grupy. Laboratorium jest przeciążone. Na Ziemię powracają setki ekspedycji z różnych planet. Dostarczają one niezliczoną ilość szczątków znalezionych tam form życia. Ledwo nadążamy z ich ożywianiem. O grupie zajmującej się tylko „wskrzeszaczem" dla ludzi lub czystą teorią obecnie nie może być nawet mowy. Mówię Panu o tym i sam ubolewam.

— I zabrania mi pan nawet myśleć o „wskrzeszaczu"‘?

— Dlaczego? — Nikołaj Nikołajewicz trzymał się jak lawniej prosto, unikając kłótni Nie mam zamiaru skorzystać ze swych praw administracyjnych. Ale to nic powinno przeszkadzać w pana codziennych obowiązkach.

Pożegnali się.

Bion poszedł do swojego pokoju położonego wewnątrz laboratorium, a Nikołaj Nikołajewicz postawszy kilka minut w korytarzu, skierował się na drugi koniec ogromnego budynku.

Minęło kilka dni. Bion przy każdej nadarzającej się okazji zaczynał z Nikołajem Nikołajewiczem rozmowę o „wskrzeszaczu". Ten, zmęczony sprawami bieżącymi, postanowił z nim szczerze porozmawiać. Pod koniec dnia, gdy zobaczył Biona wychodzącego z gabinetu do swego pokoju, Nikołaj Nikołajewicz poszedł za nim.

Zapukał i od razu przez matowe szkło „spojrzała na niego twarz Biona. Malowało się na niej przerażenie: widocznie Bion zupełnie nie oczekiwał spotkania z kierownikiem laboratorium — u siebie i w tym czasie. Wargi jego złożyły się w jakieś słowo, ale minęło kilka minut, zanim otworzył drzwi. W pokoju widoczne były ślady pospiesznie zamaskowanego nieporządku: do okna przysunięto kilka nowiutkich analizatorów biologicznych, zza szafy prowadziły ku nim —przewody, na stole leżały porozrzucane schematy logiczne, kodujące mechanizmy, walało się tam jeszcze mnóstwo innych przyrządów, dobrze znanych Nikołajowi Nikołajewiczowi z praktyki ożywiania.

— Ja do pana bez specjalnej potrzeby — wyczuwając niezręczność sytuacji zaczął Nikołaj Nikołajewicz.

— Proszę wejść — Bion zaprosił go do pokoju. Zaproponował miejsce na tapczanie, na którym pewnie spał, albowiem oprócz fotela w pokoju niczego więcej nie było. — Wiedziałem, że pan się zjawi.

— Ach tak! — brwi Nikołaja Nikołajewicza uniosły się do góry.

— Pana niepokoi „wskrzeszacz". Pan przyszedł tutaj z obawy, że mógłbym go stworzyć sam i zrobić z nim coś

takiego, za co Pan jako naczelnik laboratorium będzie odpowiadać.

— Jest pan przenikliwy — Czując, że rozmowa może się nie udać, odpowiedział Nikołaj Nikołajewicz. — Jestem tu właśnie z tego powodu. Dałem panu ogromną samodzielność. I dążąc ku jakimś tam swoim celom, usiłuje p8n skonstruować „wskrzeszacz". Naturalne; że mnie to niepokoi i interesuje.

— Bardziej niepokoi — zauważył Bion.

— Niech będzie i tak — sucho odpowiedział Nikołaj Nikołajewicz. — Ale proszę spojrzeć na wszystko z mojego punktu widzenia. Jeżeli rzeczywiście kierowałby się pan celami czysto naukowymi, to nie przejawiałby takiego uporu. Zadręczył mnie pan dosłownie swymi rozmowami o konieczności prac nad „wskrzeszaczem". Co panu szkodzi poczekać, wysłuchać moich dowodów — przecież są oczywiste same w sobie. A teraz jestem po prostu oszołomiony: to, co widzę u pana, to może gotowe części „wskrzeszacza", tylko nie zmontowane — ich funkcjonalna rola jest zbyt jasna. Nic przypuszczałem, że pan zaszedł już tak daleko. Dlaczego robi pan wszystko w tajemnicy przede mną?

— Proszę mi wierzyć, nigdy nie przekroczę dopuszczalnych granic. A mówić konkretnie o swoich celach na razie jeszcze nie mogę.

— I w ramach tego, co dopuszczalne jest wiele dziwnego — zauważył Nikołaj Nikołajewicz. — Ale cieszę się, że powiedział pan wreszcie przynajmniej część prawdy.

Po tej rozmowie przez kilka tygodni wszystko odbywało się na pozór normalnie. Nikołaj Nikołajewicz witał się przy spotkaniu z Bionem, długo rozmawiali o sprawach bieżących. Ale pewnego razu, uporawszy się ze swoim zadaniem szybciej niż zwykle, Bion podszedł do Nikołaja Nikołajwicza i poprosił o pozwolenie odejścia do siebie. Przeciążony nawałem spraw Nikołaj Nikołajewicz odruchowo wyraził zgodę, ale ledwie Bion się oddalił, coś go zaniepokoiło. Zostawił swoje sprawy i poszedł za robotem.

Widział, jak za Bionem zatrzasnęły się drzwi. Podporządkowując się nieoczekiwanemu uczuciu niepokoju Nikołaj Nikołajewicz kilka minut stał nieruchomo, potem przeszedł kilkadziesiąt metrów po olbrzymim korytarzu, zatrzymał się i wolno poszedł z powrotem.

Usłyszał jakiś dźwięk i szybko się odwrócił: z pokoju Biona ktoś wychodził. Nikołaj Nikołajewicz bez namysłu skierował się na jego spotkanie. Człowiek szedł bardzo szybko patrząc prosto przed siebie. Jego twarz była blada i skupiona.

..Mało to dziwaków bywa u tego robota" — pomyślał Nikołaj Nikołajewicz, ale gdy podszedł bliżej, poznał, że coś zdecydowanie wyróżnia tego człowieka, Ale co — nie mógł pojąć. Nikołaj Nikołajewicz zamierzał zatrzymać go, zapytać. Ale on wyraźnie unikał spotkania z Nikołajem Nikołajewiczem. Szybko skręcił na schody prowadzące do wyjścia z laboratorium i zniknął.

Minęło jeszcze kilka dni. Obraz tego człowieka nie wychodził Nikołajowi Nikołajewiczowi z głowy. Zaniedbując inne sprawy starannie obserwował teraz Biona. W ciągu dwóch następnych tygodni nic się nowego nic zdarzyło. Poczuł, jak niejasna nawet dla niego samego obawa zaczyna go opuszczać. Ale pewnego razu, stojąc na końcu korytarza, znowu zobaczył, jak z pokoju Biona wyszedł jakiś człowiek. Tak samo skoncentrowany, spieszący się do wyjścia z laboratorium. Nie wchodził do pokoju robota — Nikołaj Nikołajewicz był o tym przekonany — ale wychodził z niego, dziwny, jakby wyrwany z innego świata. Nikołaj Nikołajewicz omal nie krzyknął z powodu nieoczekiwanego domysłu, który zdumiał nawet jego samego.

Po kilku minutach był już u psychoanalityka laboratorium. Ten wysłuchał jego zawiłego potoku słów i sucho zauważył:

— Powinien mi pan powiedzieć o swoich podejrzeniach wcześniej.

Po kilku minutach byli już koło pokoju Biona. Psychoanalityk zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Nikołaj Nikołajewicz zapukał ponownie. Ale cisza trwała nadal.

— Proszę otworzyć — krzyknął Nikołaj Nikołajewicz. — Pan nie ma do tego prawa.

— Proszę nie brać na siebie zbyt wiele — zaczął psychoanalityk. Nie jest pan nawet człowiekiem.

Usłyszeli jedynie pośpieszne kroki za ścianą i miarowy warkot aparatu.

— Proszę otworzyć — krzyknął znowu Nikołaj Nikołajewicz i uderzył w drzwi. — Teraz wszystko rozumiemy.

Warkot pracującego aparatu ucichł, znowu dały się słyszeć kroki i dźwięk rozłączanych metalowych części.

Spojrzawszy na siebie Nikołaj Nikołajewicz i psychoanalityk zaczęli wyłamywać drzwi. Kiedy zatrzeszczały i już prawie się poddały, rozległ się głos Biona:

— Otworzę panom sam.

Blady, lecz uśmiechający się, stał na progu i nie śpieszył się ich przepuścić. Odepchnęli go i wtargnęli do pokoju.

„Wskrzeszacz" był jeszcze na podłodze — Bionowi w pośpiechu nie udało się go zdemontować. Ogromne, przypominające elipsę ciało pulsowało pod ciśnieniem mas biologicznych. Niezliczone mechanizmy obliczeniowe, regulatory kodów biologicznych. Nikołaj Nikołajewicz i psychoanalityk zatrzymali się przed maszyną.

— Pan ożywia ludzi — wyszeptał Nikołaj Nikołajewicz. — A ze mną pan rozmawia o wadze i konieczności badań.

Bion nic nie odpowiedział, widocznie zrozumiał, że zaprzeczać w tej sytuacji nie ma sensu.

— Ileż lat, pytam, pan się tym zajmuje, ile lat prowadzi pan z nami tę grę?

— Grę? — Bion popatrzył na Nikołaja Nikołajewicza. Tak. Dlatego, że z tej maszyny wychodzili nic ludzie z ludzką powłoką, ale nie ludzie. Prawa rekonstrukcji subtelnych ludzkich

struktur są jeszcze nieosiągalne ze względu na swą złożoność. I potrzeba wielu lat, aby je wyjaśnić…

— Ja już wszystko wyjaśniłem — przerwał mu Bion. — Zanim tacy jak pan rozważali o złożoności.

— Co pan brał do rekonstrukcji? — spytał Nikołaj Nikołajewicz.

— Części czaszki. Według moich obliczeń one się najbardziej nadają.

— Dlaczego wskrzeszeni unikali mnie?

— Dlatego, że im to wpoiłem. Unikają ludzi w ogóle, nie tylko pana. Powinni najpierw przyzwyczaić się do ludzi.

— Czy opracował pan również program przystosowania wskrzeszonych do życia? — zapytał psychoanalityk.

— Tak — odpowiedział Bion. — Zmuszony byłem to zrobić. Ich działania są na razie nieuświadomione, a zachowanie kierowane jest po prostu przez zespół założonych przeze mnie programów i nic więcej. Ale jest to faza przygotowawcza do skoku w życie. Niedługo będzie im się wydawać, że mieli dzieciństwo, przeszłość, że są zwykłymi ludźmi. Pracowałem nad tym nie mniej, niż nad samym „wskrzeszaczem”, i proszę mi wierzyć, czegoś tam się nauczyłem.

— Mechaniczny awanturnik — wycedził przez zęby Nikołaj Nikołajewicz. — Nie znamy jeszcze motywów pańskiego postępowania. Nawet jeśli nie brać tego pod uwagę, to gdzie jest gwarancja, że ci ludzie będą zdolni wejść w nasze życie, że nie zostaną zgnieceni, zniszczeni przez zmiany, które w nim zaszły! Dlaczego pan uważa, że prawo decydowania o losach tych ludzi należy do pana? Jakie pan miał prawo dawać im drugie życie — nasz świat nie jest do tego przystosowany! Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, ile problemów rozwiązał od razu za człowieka? Samodzielnie, bez żadnego prawa do tego.

— Postaram się wszystko wyjaśnić — wymamrotał Bion.

— To zrobi pan później — przerwał mu Nikołaj Nikołajewicz.. — A teraz proszę powiedzieć, kim są ci ludzie’?

— Nie mogę — Bion wyglądał żałośnie. — Nie mogę, proszę mi wierzyć. Nie mogę tego teraz zrobić.

— Nie panu o tym sądzić — powiedział psychoanalityk. — Pana obowiązkiem jest podporządkować się nam.

— Tak. Ale tylko wtedy, gdy to przynosi korzyść.

— Weźmiemy losy tych ludzi w swoje ręce — powiedział Nikołaj Nikołajewicz. I w związku z tym powinniśmy wiedzieć, jak weszli w nasze życie, kim są teraz. Jaka jest ich struktura biologiczna, na czym polega odchylenie ich psychiki od normy. Uwierzyć w to, że są biologicznie i psychicznie zdrowi nie mogę.

— Nie możecie teraz niczego żądać ode mnie — krzyknął Bion. — Zniszczycie tylko wszystko…

— Pan nie może nie posłuchać — psychoanalityk chłodno i władczo patrzył na Biona.

Ten kilka minut walczył ze spojrzeniem psychoanalityka, a potem powiedział:

— Zbyt wielu rzeczy nie rozumiecie w zaistniałej sytuacji — w swoim czasie byliście bezsilni wobec technicznych problemów „wskrzeszacza”, jesteście bezsilni również teraz wobec psychologicznych i moralnych. Proszę was, nie przeszkadzajcie mi.

— Pan po prostu wyszedł spod kontroli — rzekł Nikołaj Nikołajewicz. — Idea służby człowiekowi w laboratorium rekonstrukcji żywych form przybrała u pana postać idei „wskrzeszacza”. Pan się nią zaraził, w pańskim pojęciu żyć — znaczy wskrzeszać. Będzie pan wskrzeszać do końca swego istnienia. Pan na siłę wpycha człowieka w drugie życie i mówi: żyj. I nie wie pan, czy jest to dla niego dobre, czy złe. Pański wynalazek jest przedwczesny. A może

nawet niepotrzebny. Człowiek obliczony jest tylko na jedno życie i nie ma pan prawa decydować za niego, ile razy ma żyć. Nikt panu takiego celu nie stawiał. Pańskie istnienie jest teraz po prostu bez sensu.

— Czy pan zamierza pozbawić mnie tego prawa? — zapytał cicho Bion.

— Tak — odpowiedział zdecydowanie Nikolaj Nikołajewicz. — W zaistniałej sytuacji nie wyobrażam sobie innego wyjścia. Instrukcja na ten temat jest dostatecznie jasna. Czy pan rozumie, czego od pana chcę? — Nikołaj Nikołajewicz popatrzył na psychoanalityka;

Czym był dla nich Bion? Powinien był teraz rozliczyć się z tego, że pojmował dobro nie tak jak oni. Jutro powinien to zmienić inny robot, nigdy nie stawiający sobie żadnych celów. Był po prostu zepsuty. „zarażony", cóż z tego, że ideał zatracił swój funkcjonalny sens.

Psychoanalityk kilka minut zwleka), potem jednak podporządkował się woli naczelnika laboratorium.

I od razu w system nerwowy Biona uderzył pęczek niszczących impulsów. Żeby nie zadawać Bionowi bólu. Nikołaj Nikołajewicz podszedł do niego i odłączył świadomość. Reszta była kwestią godziny. Robili wszystko szybko, wyuczonymi ruchami, rozbierając na części niezliczone węzły i schematy.

I oto zamiast Biona leżą przed nimi proste elektroniczne bloki.

Nikoiaj Nikolajewicz i psychoanalityk przez kilka chwil patrzyli na nie. Możliwe, że w ich spojrzeniach prześlizgnęło się współczucie. Ale w następnej minucie szukali już tego, co musieli znaleźć — listy wskrzeszonych przez Biona ludzi. Powinny być w jego pokoju. Bion musiał przewidzieć to, co się stało i pomyśleć o tym, by listy dostały się w ręce ludzi.

— Nigdy wcześniej nie zdarzało mi się ponosić konsekwencji awanturnictwa maszyny — zauważył Nikołaj Nikolajewicz. — Jesteśmy teraz skazani męczyć się z tymi ludźmi do końca naszych dni. Znaleźć ich, następnie wprowadzić w nasze życie, adaptować psychikę i biologię — zadaniom nie ma końca.

Coś jeszcze mówił, ale psychoanalityk nie odpowiadał. We dwójkę przekopali wszystko w pokoju Biona, ale niczego nie znaleźli, aż wreszcie Nikołaj Nikołajewicz wziął do rąk jeden z zeszytów. Otworzył go i zobaczył notatki zapisane równym charakterem pisma Biona. W następnej chwili poczuł się jak maleńki punkt zagubiony w bezgranicznych przestrzeniach: na stronicy widniało jego imię i nazwisko, miejsce pracy — pierwszym wskrzeszonym człowiekiem był ON SAM.

— Ale jak? — wyszeptał, czując, że wszystko naraz się dla niego zatrzymało: i własne serce, i odległe gwiazdy, i żałosny uśmiech na twarzy psychoanalityka, który wyrwał mu z rąk zeszyt. — Jak można to wszystko wyjaśnić? I wrócić. Wynika z tego, że Bion chronił mnie przed prawdą, obawiając się wstrząsu psychicznego. Zrobił tak, że codziennie, co godzinę obserwowałem rekonstrukcję żywych form — w ten sposób przygotowywał mnie do tego, co się zdarzyło. Niczego nie podejrzewając, żyłem podarowanym mi przez niego życiem, a zabrałem mu jego jedyne.

Nikołaj Nikołajewicz nachylił się nad kupą bloków, złapał kilka z nich i gorączkowo próbował je złączyć. Wiedział, że to nie ma sensu, że żadna siła nie ożywi już Biona, ale robił to z uporem maniaka. I zdawało mu się, że jego starania mogą wykrzesać choćby iskierkę życia.

Przełożyła Teresa Zobek

Kir Bułyczow

CZICZAKO NA PUSTYNI

Jesienią nastaje na pustyni pora niespodziewanych piaskowych burz — gwałtownych i lodowatych. Jesienią żółtodzioby nie powinny się oddalać od bazy. Nawet jeżeli od tygodnia trwa cisza. Burza nadejdzie na pewno. I im cisza jest dłuższa, tym straszniej szaleje wichura. I oczywiście porosty Schodkowatego Kanionu, choć takie rzadkie i upragnione, nie są warte, żeby siódmego dnia ciszy wsiąść do lekkiego flyera i popędzić do kanionu. Licząc jeszcze na dodatek na to, że zdąży się wrócić przed obiadem tak, żeby nikt w bazie nie zauważył twojej nieobecności.

…Regina postukała złamanym paznokciem po cyferblacie. Jeżeli wierzyć przyrządom, to tlen w butli rezerwowej już się kończy i system regeneracyjny pracuje na ładunku awaryjnym.. Regina otworzyła wentyl na cały regulator. „Młodzi ludzie, nie oszczędzajcie własnego życia” — tak mówił profesor… jak to on się nazywał? Taki maleńki, siwy, z odstającymi uszami…

Według schematów wypracowanych w literaturze pięknej, powinnaś teraz wyjść z tej ciasnej, maleńkiej pieczary, nastawić twarz na zjadliwe podmuchy pyłu i schylając się, resztką sił podążać do celu na spotkanie wiatrowi. Upaść sto metrów przed końcem drogi i pięknie umrzeć. Ale taka możliwość nie wchodziła w grę, ponieważ Regina zupełnie nie wyobrażała sobie, gdzie jest ten cel, a już tym bardziej nie chciała pięknie umierać.

Poleciała do kanionu, żeby dowieść geologom, że nie na darmo ją tu przysłano. Do czego to podobne — już od roku proszą ich, żeby zdobyli te porosty i wysłali je na Pierwszą — góra dwie godziny pracy, a wciąż nie mogą się na to zdobyć. To robota, to śnieg, to znowu burza. A zakaz, który dotyczy jej samodzielnych działań —jak tłumaczy to sobie Regina — można wyjaśnić poczuciem winy. Niezręcznie by wyszło, gdyby przyjezdna dziewczyna zrobiła to, czego nie udało się wam zrobić przez rok.

Dalej wszystko działo się zgodnie z najlepszymi tradycjami. Nadeszła burza — jak należna kara za nieposłuszeństwo. Przepiękna nieznajoma wlokąca się z torbą pokostów nie wiadomo dokąd. Jakieś wzgórza i urwiska wyrastające na jej drodze. I w końcu jama, w której można zakończyć swój smutny żywot. Gdzie foyer, gdzie baza, dokąd wlec się ostatkiem sił — nie wiadomo.

Można by się rozpłakać. Ale to niepotrzebna strata wilgoci. Płyny należy oszczędzać. Regina pomyślała, że racjonalność ma już chyba na zawsze we krwi. Jakiś tam Czerwony Kapturek, błądząc w lesie i obawiając się spotkania z wilkiem, mógł bez lęku zalać się łzami, ani myśląc o stracie płynów. A zresztą, co jej do jakiejś wilgoci? I tak nikt nie zdąży jej znaleźć i uratować. Oddychać też już prawie nie ma czym…

W żółtej ścianie pyłu zasłaniającej otwór pieczary pojawiła się ciemna figura. W twarz uderzył zbyt ostry promień reflektora. Regina ucieszyła się, ale nie zdążyła się rozpłakać i spróbowała wstać, żeby godnie przywitać swojego wybawcę. Powietrza nie zostało już jednak ani na jeden oddech i chwytając ustami jego marne resztki upadła na ręce mężczyzny.

Jak spoza dźwięcznej mgły dotarł do niej jego głos:

— Samobójczyni.

Nie było w nim potępienia. Była to konstatacja taktu.

Regina próbowała powiedzieć, żeby oddał jej swoją rezerwowa butlę. Ale widać wybawca domyślił się sam.

Wyglądało to tak, jakby człowiek wypłynął z wielkiej dębiny — powietrza już brak, zdaje ci się, że już–już zachłyśniesz się wodą — a zamiast tego świeże ziemskie powietrze wypełnia twoje płuca. Zdążyła.

— Dziękuję — wyszeptała Regina.

— Nie ma za co — odpowiedział wybawca. — Pozwoliłem sobie podłączyć pani własną butlę. Miała pani tlenu jeszcze na jakieś dziesięć godzin.

— Ale przecież patrzyłam…

— Co za talent — urządzać tragedię w pustym miejscu — zauważył wybawca.

Regina nie mogła mu się przyjrzeć. Powiedziała:

— Proszę zabrać reflektor — w jej głosie zabrzmiało rozdrażnienie. Głupio być szczeniakiem, któremu wtykają nos w kałużę.

Promień latarki przesunął się w bok, zatrzymał się na ścianie pieczary.

— Możemy iść — powiedział wybawca. — Proszę się mnie trzymać. Mój łazik jest w parowie. Żeby był lepszy efekt, powinna była pani jeszcze wyłączyć nadajnik awaryjny. Wcześniej niż za sto lat nikt by do tej dziury nie zajrzał.

Regina odruchowo spojrzała na przycisk nadajnika. Westchnęła głęboko. Nie ma chyba sensu spowiadać się wybawcy z tego, że nie włączała nadajnika. Pracował tylko dlatego, że godzinę temu upadła w wąwozie i to tak nieszczęśliwie…

— Idziemy — powiedziała.

W łaziku od razu usiadł na przedzie i włączając silnik uprzedził:

Proszę nie zdejmować hełmofonu. Kabina nie jest hermetyczna. Nie mam kiedy wybrać się do bazy i sprawdzić, o co chodzi. Musi pani pocierpieć jeszcze z dziesięć minut.

Jego profil był ostry, wyrazisty — jak profil kruka. I brwi zbyt gęste, czarne.

— To pan mnie nie odwiezie do bazy?

— Nie da się tam dojechać — powiedział wybawca. — Przeczeka pani burzę na moim posterunku.

Włączył radiostację i połączył się z bazą.

— Znalazłem — powiedział. — Bez szczególnego trudu. Możecie odwołać alarm.

Radiostacja wymamrotała coś w odpowiedzi. Regina patrzyła przez iluminator na żółtą, nieprzeniknioną zasłonę pyłu.

Jego ton był kpiący, pobłażliwy. Ton bywałego tropiciela śladów. Cziczako — pomyślała Regina. Jestem Cziczako. W Klondike tacy nie wytrzymywali.

Wybawca przerwał łączność i po raz pierwszy odwrócił się do Reginy. Jego brwi były załamane, a oczy okazały się bardzo jasne. Z przodu nie był podobny do kruka. Raczej — do Mefistofelesa.

— Pytają czy nie jest potrzebny lekarz. Odpowiedziałem przecząco. Nie pomyliłem się?

— Nie pomylił się pan.

— To świetnie. Proszę się mocno trzymać. Będzie kołysało.

Był to uprzejmy eufemizm. Łazikiem nie kołysało. Podrzucało, nim, miotało, nieomal go przewracało. Regina większą część drogi spędziła w stanie wiszącym, czasami wzlatując aż do sufitu kabiny. Dobrze jeszcze, że przyciąganie jest tu tak niewielkie i człowiek porusza się stosunkowo wolno.

Wreszcie łazik zatrzymał się. Wybawca wyskoczył pierwszy i wyciągnął do Reginy rękę w błyszczącej sztywnej rękawiczce. Chwycił mocno, jak obcęgami.

Stawiając pierwszy krok Regina odwróciła się — łazik wydał się jej już przywidzeniem oddzielonym kilkoma warstwami padającego muślinu.

Kiedy się rozbierali w mikroskopijnym przedsionku posterunku, wybawca powiedział:

— Słusznie pani postąpiła gubiąc się na początku burzy. Teraz byłoby panią trudniej znaleźć.

Mikroskopijny pył wisiał w powietrzu.

— Proszę poczekać kilka minut — mówił dalej wybawca — bo naleci do środka pełno kurzu. Przyrządy go nie lubią. Aha, skoro będziemy już teraz mieszkać razem, może powie mi pani, jak się pani nazywa?

— Regina!

— To bardzo ładnie, Stanisław.

Kurz niechętnie osiadał na podłodze i na ścianach — łaskotał w nosie.

— Proszę cierpliwie poczekać — powiedział Stanisław bez uśmiechu widząc, że zmarszczyła nos. — Niech pani kicha do środka. Bo uniesie się cała chmura. Niech się pani podrapie u nasady nosa. Mówią, że pomaga.

I taka jest siła sugestii: Regina podrapała się posłusznie, chociaż oczywiście nic to nie pomogło. Trzeba było znowu czekać, aż kurz osiądzie. Wybawca milczał, choć Regina oczekiwała reprymendy za to, że drapała się niezgodnie z regułami sztuki.

Wewnątrz wszystko było tak, jak należy. Porządek, niby w klasztornej celi. Wyobraziła sobie, jak ten Stanisław przez cały wolny czas kręci się ze szmatką po dwóch ciasnych pokoikach i łazience wycierając kurze z aparatury i mebli. Chociaż mebli było tu mało. Dwa typowe, składające się w ścianę łóżka w pomieszczeniu mieszkalnym, dwa stoły. Jeden do pracy, drugi koło zlewu, kuchenny, służący też do spożywania posiłków.

— Wie pani, jak zrobić prysznic? — zapytał Stanisław.

— Mieszkamy w takich samych kurnikach — odpowiedziała Regina.

Mefistofelesowskie brwi uniosły się malowniczo.

— Takie typowe posterunki nazywamy kurnikami — powiedziała Regina rumieniąc się. Jak gdyby złapano ją na jakiejś dziecięcej psocie. Może powiedzieć mu, że „kurnik” to neologizm profesora Wegenera? W żadnym wypadku.

Stanisław wyjął z szafki w ścianie ręcznik.

— Mydło jest w tubce na półeczce — powiedział. — Tam też leży szczotka do włosów.

Ależ musi teraz cierpieć! Jego ulubiony czysty ręcznik! Jego uwielbiana szczotka do włosów! Jego drogocenna tubka z mydłem…

Regina zaciągnęła plastikową zasłonkę, podłączyła wąż do kranu.

Za zasłonką rozległ się znaczący kaszel.

— Co się stało? — w głosie Reginy dźwięczał metal.

— Może potrzebuje pani…

Ręka Stanisława pojawiła się spoza zasłonki. Trzymał w niej — nawet nie od, razu się zorientowała — męską bieliznę. Czystą — jak wszystko w tym kurniku.

— Dziękuję, nie trzeba — powiedziała Regina bezowocnie usiłując nadać głosowi surowe brzmienie. — Mam nadzieję, że burza skończy się do nocy i przyślą po mnie flyer.

— Bielizna leży w prawej górnej szufladzie — powiedział Stanisław. — Burza się dzisiaj nie skończy. Proszę się postarać zbytnio nie chlapać. Żyję w systemie zamkniętym. Mieli przywieźć bak, ale przez tę burzę…

Stanisław bardzo szybko przygotował obiad. Wyciągnął nie wiadomo skąd dwa wysokie kielichy, wytarł je do połysku, cienko pokroił ziemniaki. Regina wycierała włosy i patrzyła na promienie słońca, które przebijały się przez zasłonę pyłu i wpadając przez okno iskrzyły się na ściankach kielichów. Indywidualność tego pochodzącego z seryjnej produkcji mieszkania widoczna była tylko w drobiazgach. Pierwszym takim szczegółem były te kielichy. Obrazek na ścianie — surowy pustynny pejzaż — drugim. Zazwyczaj przebywający tu ludzie starali się powiesić na widocznym miejscu widoczki brzózek albo chłodnych jezior. Stanisław nie był sentymentalny.

— Jak się pani czuje? — zapytał stawiając na stole skwierczącą patelnię z jajecznicą,

— Jakbym w ogóle nie wychodziła na ulicę.

Na Boga, wytrzasnął skądś białą koszulę. Wyobrażacie sobie, przytaszczył tutaj przez połowę Galaktyki białą koszulę.

— Dawno jest pani tutaj? — zapytał Stanisław głosem uprzejmego gospodarza. Okazuje się, że nawet umie przyjmować gości.

— Na Pustyni? — Trzeci dzień. Pracuję w Pierwszej Bazie.

Więcej już nie ironizował. Regina pomyślała, że jego włosy kręcą się bardzo sympatycznie.

— Zamyśliła się pani? — zapytał Stanisław.

— Nie. To nic. Tam u nas jest ocean, skały, bryzgi wody dolatują aż do samej bazy. I widoczność na dziesięć kilometrów. Nie był pan na Pierwszej Bazie?

— Nie, nigdy. Prawie się stąd nie ruszam, już czwarty miesiąc. Za dwa tygodnie skończę serię doświadczeń, to może was odwiedzę. Chociaż wątpię. Czekają na mnie na Wajale.

— Ja też polecę na Wajałę. Tylko nie wiem, czy tak prędko. Pewnie samemu bardzo się tu panu nudzi?

— Nie mam kiedy się nudzić. Nuda to zajęcie dla nierobów.

— Źle się wyraziłam. Chciałam powiedzieć, że musi tu być smutno.

Stanisław uśmiechnął się. Wzruszył ramionami.

— Proszę jeść, bo wystygnie.

Miał ładne ręce. Szczupłe z długimi wąskimi palcami.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała Regina — że zmusiłam pana do wyprawy w taką burzę.

— Przecież specjalnie pani nie zabłądziła — odpowiedział. Najwyraźniej było to jedyne usprawiedliwienie, jakie potrafił dla niej znaleźć.

Spokojna atmosfera, herbatka — tego to już Regina nie mogła godzinę temu nawet podejrzewać. A wszystkiemu winna jest tylko ona. Bo niby czemu miałaby winić geologa, który musiał rzucić swoje sprawy i szukać w pustyni nieszczęsnego Cziczako?

— Jest pan geologiem? — zapytała.

— Tak. Pije pani mocną herbatę?

Herbata była aromatyczna. I do tego w prawdziwym porcelanowym czajniczku.

Sam gospodarz herbaty prawie nie tknął. Zresztą jajecznicy też nie jadł.

— Nie lubię pomarańczy — powiedziała Regina.

— Nie rozumiem.

— Czytałam kiedyś taką powieść historyczną. Była tam biedna rodzina i matka mówiła do dzieci: „Nie lubię pomarańczy". Żeby zostało więcej dla nich.

— A ja rzeczywiście nie lubię jajecznicy — powiedział Stanisław.

— Trzyma pan jajka dla gości?

— Dom zawsze powinien być przygotowany na przyjęcie gości.

Dla niego to jest dom. I wszystkie te kurniki, namioty, pieczary, gdzie przychodzi mu mieszkać — to wszystko jego dom. Ze też są na świecie ludzie, którzy umieją nadać każdemu kątowi normalny, ludzki wygląd.

— Powstaje nowy problem — powiedział Stanisław. — Będzie pani musiała tu nocować.

— Ale może jeszcze…

— Mam zaufanie do burzy. Nie wypuści pani.

Regina rozumiała, że ma rację. Burza tak się rozszalała, że od jej porywów drżały ściany wrośniętego w skały kurnika.

— Co to za problem? — zapytała sucho. — Ma pan przecież wolne posłanie.

— Wie pani — Stanisław patrzył jej w oczy poważnie, jakby zamierzał zaproponować jej rękę i serce. — Zazwyczaj śpię na dolnym łóżku i nawet przyzwyczaiłem się do tego. Ale jeżeli pani wolałaby na dole, to przeniosę swoją bieliznę na górę.

— I to jest ten pański problem?

— Oczywiście — odpowiedział. Sprzątnął ze stołu i zaczął myć naczynia.

— Pomogę panu — powiedziała Regina. — Zrobię to lepiej.

— Jest pani gościem — odburknął. —Poza tym nie rozumiem dlaczego miałaby pani umieć lepiej ode mnie myć naczynia? Uczyła się pani tego specjalnie?

Nie żartował. Po prostu był zaciekawiony.

— Nie — Regina roześmiała się. — Kultywuję tradycje.

— Nie odpowiedziała mi pani, co z tym łóżkiem — powiedział Stanisław.

— Bardzo lubię spać na górze — odpowiedziała.

— Zdjęła mi pani z serca wielki ciężar. Wyznam pani prawdę. Boję się spać na górze. Boję się, że spadnę.

I znowu nie było wiadomo czy żartuje, czy zawsze jest taki poważny. Gdzie jest u niego granica między żartem, a naiwnością?

— Ja nie spadnę — tym samym tonem odpowiedziała Regina.

— Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, to chętnie bym teraz popracował — powiedział Stanisław.

— Oczywiście. Nie znajdzie się u pana jakaś robota dla pań?

— Co pani rozumie przez robotę dla pań?

— Cerowanie, szycie, pranie…

— Tam na półce są ostatnie numery „Przeglądu Biologicznego Wajały”. Na pewno ich pani jeszcze nie widziała.

— Nie. Przywiózł je pan ze sobą?

— Niech pani przejrzy. To na pewno najlepszy rodzaj roboty dla pań.

Regina w roztargnieniu przerzucała czasopismo, w którym część artykułów była pokreślona, z wykrzyknikami na marginesach, z zagiętymi rogami stronic…

— Interesuje się pan biologią?

— Trochę — odpowiedział Stanisław. — To są owoce działalności mojego brata. Pracuje na Wajale, przyleciał tu do mnie i zostawił.

— Tak przypuszczałam — powiedziała Regina. — To nie w pana stylu, tak traktować czasopisma.

— To nie jest sprawa stylu — zaprotestował Stanisław. — Bratu jest tak po prostu wygodniej.

— Ale panu nie.

— Mnie nie.

Scenka rodzinna, pomyślała nagle Regina. On za biurkiem, ona w fotelu. Za oknem burza, która nie jest w stanie naruszyć nastroju przytulności i spokoju… Co też za głupstwa przychodzą jej do głowy?

— Chce pan, ostrzygę pana?

— Co?

Stanisław nie od razu zrozumiał, o co chodzi — widać propozycja padła zbyt nieoczekiwanie. Pokręcił głową.

— Jak będzie trzeba — powiedział — dam sobie radę sam. Nudzi się pani?

Regina chciała odpowiedzieć twierdząco, ale natychmiast przypomniała sobie, jak Stanisław odnosi się do nudy.

— Nie, co też pan. A gdzie jest moja torba z porostami? Na pewno nic już z nich nie zostało…

— Postawiłem ją w przedsionku. Podać pani?
— Nie trzeba. Postaram się więcej panu nie przeszkadzać.
— Niech pani przeszkadza — powiedział Stanisław. — Nie mam nic przeciwko temu. Jestem zadowolony, że pani trafiła do mnie.
Pod wieczór burza znienacka ustała. Stanisław powiedział, że trzeba wyjść sprawdzić, czy łazik nie ucierpiał.
— Odwiezie mnie pan? — zapytała Regina.
— Nie. Za godzinę, a może wcześniej burza rozszaleje się jeszcze bardziej. Trafiliśmy teraz w oko cyklonu. Słyszała pani kiedyś o czymś takim?.
— To samo centrum burzy? Oko cyklonu — nie wiem dlaczego, ale kojarzy mi się to z Conradem, Edgarem Poe…
— Wiatr w olinowaniu, grotmaszt złamany, w drugiej ładowni pompy nie nadążają z likwidowaniem przecieku…
— Słusznie. Mogę wyjść z panem na zewnątrz?
— Będę szczęśliwy. Tylko proszę mi pozwolić sprawdzić osobiście pani butle.
— Pan jest złośliwy.
— Tylko ostrożny.
Siedzieli na dużym płaskim kamieniu przy wejściu do posterunku. Było bardzo cicho, tylko nad niziną wisiał i w żaden sposób nie chciał opaść granatowy w świetle wieczoru pył. Błyski zachodzącego słońca pełgały po okrągłej przyłbicy hełmu i trafiając w szare oczy Stanisława przekształcały jego źrenice w maleńkie przeźroczyste jeziorka.
Powiedział:
— Kiedy dostałem z bazy wiadomość, że pani się zgubiła w moim rejonie, to najpierw się rozzłościłem. Proszę wybaczyć, ale właśnie tak: rozzłościłem się. No bo przecież, jak tak można: wziąć lekki flyer i ruszyć na Pustynię, kiedy w każdej chwili może się zacząć burza? A burze tu są takie, że z własnej nieprzymuszonej woli nie odszedłbym na sto metrów od posterunku… Nie, opowiadam tak nie po to, żeby wywołać pani skruchę. Na odwrót, czuję się winny, że byłem taki gburowaty. A potem przyszła pani do mnie i ucieszyłem się, że jest pani tutaj.
Słońce zniknęło za ścianą pyłu, zrobiło się ciemno. Poryw wiatru uniósł garść piasku i rzucił ją w twarz Reginie. Ziarenka piasku zapiszczały szorując po przyłbicy hełmu.
— Czas się schować — powiedział Stanisław i wyciągnął do niej rękę.
Regina zrozumiała, że czekała na to, żeby wyciągnął do niej rękę. Nie mogła poczuć ciepła jego dłoni, ale to nie jest przecież takie ważne…
W przedsionku stawiając hełm na półce zapytała:
— Lubi pan swoją pracę?
— To chyba nie jest sprawa lubienia, albo nielubienia — odpowiedział. — Ale najprawdopodobniej proces realizowania badań sprawia mi przyjemność.
— A rezultaty?
Jego twarz była całkiem blisko. W półmroku przedsionka oczy były jaśniejsze od skóry. Regina odruchowo uniosła rękę i koniuszkami palców dotknęła policzka Stanisława.
Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.
— Proszę wybaczyć — powiedziała Regina. — Ja niechcący.
— Niechcący?
Uśmiechnął się. I dodał:
— Myślałem, że pobrudziłem sobie policzek. Albo zdjęła pani jakiś pyłek…
— Proszę uważać, że pyłek…
Regina rzuciła rękawiczki na półkę.

— Kolacją zajmę się ja — powiedziała. — Mogę się panem trochę poopiekować?

— Lepiej nie — powiedział Stanisław otwierając wewnętrzne drzwi. — To nierozsądne. Dużo łatwiej jest mi samemu zrobić kolację, niż opowiadać pani, gdzie co leży.

I oczywiście postawił na swoim.

Nocą Regina długo nie mogła zasnąć.

Maleńka kajutka — przedział sypialny — jak gdyby płynęła po burzliwym morzu. Przykładając rękę do ścianki czuło się, jak biją o nią fale piasku i wiatru. Z górnej półki widać oświetlony prostokąt drzwi, róg stołu, przy którym pracuje Stanisław. Właśnie odchylił głowę, odwraca stronicę, uniósł rękę, poprawił lampę. Spojrzał w stronę Reginy — nie widzi jej, nie wie, że ich spojrzenia spotkały się. Przysłuchuje się, czy zasnęła. Zawołać go? Po co? A może domyśli się, przyjdzie, powie jej „dobranoc". Można będzie opuścić rękę i znaleźć w ciemności jego dłoń… Znowu odwrócił się, przysunął spektrograf. Nie przyjdzie życzyć jej dobrej nocy. Czyżby to było przyjęte, kiedy odwiedzi cię przypadkowy gość, zbłąkany Cziczako, który i tak przepadnie wraz z burzą? Ostatnia myśl nagle zdenerwowała Reginę uświadamiając jej odmienność ich uczuć. Zostaw te głupstwa, nakazała sobie i odwróciła się do ściany. Ale dopóki nie zasnęła, próbowała wyobrazić sobie, co robi teraz Stanisław.

Wstała późno. Stanisław jej nie obudził.

— Wyspała się pani? — zapytał słysząc, że zeskoczyła z łóżka.

Za iluminatorami wisi żółta mgła. Okrągły zegar nad biurkiem pokazuje 11.34. Regina zatrzymała się w sypialence usiłując przypomnieć sobie, gdzie jest szczotka do włosów. Najmniej na świecie miała ochotę pojawić się przed Sta—nisławem rozkudłana jak szczeniak po awanturze. Ale szczotka leży koło umywalki, w łazience…

Szeroka dłoń Stanisława pojawiła się zza futryny. Leżała na niej szczotka.

Powiedział zza drzwi:

— Idę sprzątnąć w przedsionku. Wrócę za dziesięć minut. Żeby do tego czasu była pani przygotowana do śniadania. Jada pani kaszę mannę?

— Jem! Uwielbiam! — powiedziała Regina biorąc szczotkę i z uczuciem słodkiej beznadziejności uświadamiając sobie, że jest bezsensownie zakochana w tym uprzejmym, oschłym człowieku…

— A co potem? — Stach zapalił i Stanisław, który nie lubił dymu papierosowego, zakaszlał, rozpędzając dym przed swoją twarzą.

— Mieszkała w moim kurniku jeszcze dwa dni. Dokładniej — dwa i pół dnia.

— Burza się skończyła?

— Nie. Obok przelatywał wielki flyer. Zawinęli i zabrali Reginę.

— I co powiedziała na pożegnanie?

— Nic. Pożegnała się uprzejmie. Jak należy. Podziękowała mi za gościnę.

— I tyle?

— Była na mnie zła.

— Dlaczego?

— Chyba w głębi duszy przypuszczała, że specjalnie wezwałem statek, żeby się jej pozbyć.

— A wezwałeś?

— Nie, nie mam z tym nic wspólnego. Ale gdybym go mógł wezwać, to bym to zrobił. Więc jej domysły były bliskie prawdy.

— Wystraszyłeś się?

— Żal mi było dziewczyny.

— Nie jest dziewczyną. To dorosły człowiek. Była gotowa kogoś pokochać. I wtedy trafiłeś się ty. Niezbyt piękny, ale całkowicie samodzielny mężczyzna, na dodatek wybawca. Przecież nie przejawiałeś żadnej inicjatywy a to niezawodna pułapka.
— Nie udawaj cynika.
— Nie staram się. To nie cynizm, bracie. To konstatacja taktu. Bardzo możliwe, że gdyby zobaczyła cię tutaj — na Wasale, przeszłaby obok nie zwracając najmniejszej uwagi. Takich mężczyzn, jak my, są tysiące.
— Przecież bywała na Wajale, wychowała się na Ziemi. A jednak pokochała mnie.
— Już o tobie zapomniała.
— Nie.
Stanisław wyciągnął list i podał go bratu.
Stach rozwinął kartkę i zauważył:
— Charakter pisma banalny.
— To nic jest sprawa charakteru pisma — cierpliwie odrzekł Stanisław.
Stach niedbale przeleciał wzrokiem równe linijki, odwrócił kartkę na drugą stronę sprawdzając, czy tam też coś nic zostało napisane.
— No cóż — powiedział wreszcie. — Bardzo wzruszające.
— I tyle?
— Co ci mogę jeszcze powiedzieć? Nie ja wywołałem w niej te uczucia.
— Żartujesz.
— Nie, jestem poważny.
— Czasami nie wiem, kiedy żartujesz, a kiedy mówisz serio. Widziałem jej oczy, kiedy się żegnaliśmy. Napisała to szczerze.
— Ani przez chwilę w to nie wątpię. Zresztą ciebie martwią wcale nie moje wątpliwości.
— Nie, nie one. Ale przysięgam ci, że nie podjąłem żadnych kroków, żeby…
— Ją uwieść?
— Tym razem żartujesz.
— Żartuję.
Stanisław wstał z fotela i podszedł do okna. Wieżowce Wajały wznosiły się za szybą jak włócznie. Na tle wielkiego czerwonego słońca, podobne do roju meszek, kłębiły się flyery. Stanisław zbliżył twarz do szyby spoglądając w dół, w przepaść ulicy.
— Posłuchaj, bracie — powiedział Stach. —Jesteś bezsilny, nie możesz jej pomóc. Przysięgam ci, minie tydzień, miesiąc i ona się uspokoi. Jest młoda, zapomni o wszystkim. Wyrzuty sumienia mogą cię nie męczyć. Powtarzam: przyszedł jej czas, żeby pokochać i po prostu w odpowiednim momencie znalazłeś się na jej drodze.
— Nie widziałeś jej — powiedział Stanisław. — Jest bardzo sympatyczna i mądra. Jest szczera. Bardzo mi jej żal.
— Komu innemu na twoim miejscu zaproponowałbym, żeby się z nią ożenił.
— Znowu żartujesz?
Stanisław odwrócił się gwałtownie. Jego gęste czarne brwi zeszły się u nasady nosa tworząc złamaną czarną linię.
— Złościsz się, Cezarze — powiedział Stach. — To znaczy,, że nie masz racji.
— Powinieneś ją zobaczyć — powiedział Stanisław.
— Czekałem na tę prośbę.
Brwi Stacha utworzyły taką samą złamaną czarną linię. Te same szare oczy przez sekundę wytrzymały spojrzenie antropoida, potem pierzchnęły w bok i ręka z długimi wąskimi palcami odnalazła na stole paczkę papierosów.

— Nie pal — powiedział Stanisław. — Nie lubię tego. Szkodzi mi.
— Odziedziczyłeś moje zalety, ale wiesz, czego ci brakuje, żeby być człowiekiem?
— Wiem. Słyszałem. Wad.
— Powtarzam się.
— Tak. Czasami zastanawiam się nad okrucieństwem ludzi. Nie, nie poszczególnych jednostek, a ludzi w ogóle. Rozumiem, że tworząc antropoida, idziecie po linii najmniejszego oporu — maksymalnie dublujecie oryginał. Wspaniały, wybitny oryginał. I zapominacie o wadach. Zapominacie o tym, że jestem nie tylko niepełnowartościowy, ale także na tyle doskonały, że mam świadomość niepełnowartościowości. Przeszkadza mi próżność biokonstruktorów. Powinienem być bardziej prymitywny. Biorobot i tyle. Robot od słowa „robić".
— Stanisławie, nie staraj się być niesprawiedliwym w stosunku do ludzi.
— Dlaczego jestem niesprawiedliwy?
— Dlatego, że jesteś człowiekiem.
— Antropoidem. Prawie człowiekiem, na dodatek bez wad.
— Dobrze, antropoidem. Weź ten list z powrotem. Jest adresowany do ciebie.
— Czyżbyś jeszcze nie zrozumiał, że to nie do mnie, a do ciebie. Ja przecież nie potrafię kochać…
— A zastanawiałeś się, jak bliska miłości jest litość?
— Litość to produkt rozumu. To jest dostępne nawet dla mojego, na poły elektronowego, mózgu.
Stach zgasił papierosa.
— Pisze, że czeka na ciebie…
— Tak.
— Chociaż na minutę..
— Tak.
— Przy wejściu do zoo…
— Tak.
— A na ile twoja filipika przeciwko okrucieństwu ludzkości była przedstawieniem?
— Nie więcej niż na dziesięć procent — uśmiechnął się Stanisław. — Nie więcej. I nie chmurz się, bracie. Nie kłamię. To nie dla mnie.
— No, co jak co…
Stanisław powiedział:
— Będzie tam za dziesięć minut. Ledwo zdążysz dojść.
— Jak to wszystko starannie zaplanowałeś — powiedział Stach. — Ja bym tak nie potrafił.
— Nie musisz zachowywać się tak, aby twój prototyp działał po ludzku.
— Jak ją poznam?
— Ona cię pozna sama.
— Ale mimo wszystko?
— Serce ci podpowie.
— Twoje przecież nie podpowiedziało…
— Nie mogło podpowiedzieć. Jest syntetyczne. Za to ja funkcjonuję dużo pewniej niż ty. Jak nerka? Pobolewa?
— Troszeczkę.
— Transplantacja zajmie trzy dni.
— Nie mam tych trzech dni.
— Zastąpię cię. Przez najbliższy tydzień jestem wolny.
Stach narzucił kurtkę.

— Nie — Stanisław podszedł do niego. — Weź moją.

— Boisz się, że mnie nie pozna?

— Przyjemnie będzie jej zobaczyć mnie… to znaczy ciebie w starej kurtce.

— Znawca kobiecego serca!

Stach otworzył drzwi na korytarz. I zatrzymał się.

— Słuchaj, a co mam jej powiedzieć?

— Przeproś, że byłeś zajęty… no, powiedz cokolwiek. Możesz ją nawet do nas rozczarować. Tylko nie rób jej krzywdy.

— Żal ci jej?

— Idź, idź. Ma jasne włosy. Proste, jasne…

Stach poszedł w stronę windy.

Stanisław usiadł w fotelu, w roztargnieniu wyciągnął z paczki papierosa. Popatrzył na niego, jakby nie wiedział, co się z czymś takim robi, potem włożył do ust, pstryknął zapalniczką. Zaniósł się kaszlem i zgniótł papierosa w popielniczce.

— Proszę dbać o części — burknął jakimś obcym głosem. — Dano ci je nie do zabawy.

Popatrzył na zegarek.

— Stach jest już koło wejścia do zoo.

Znowu wstał, podszedł do okna i opierając się czołem o szybę popatrzył w dół na prawo, w ciemną zieleń pasa drzew. Jak gdyby mógł wypatrzyć kogokolwiek w odległości trzech kilometrów. Oczywiście nic nie zobaczył. Wrócił do stołu, zapalił jeszcze jednego papierosa i zaciągnął się. A kiedy kaszel minął — zaciągnął się jeszcze raz.

Przełożył Piotr Fast

Kir Bułyczow

JA PIERWSZY WAS ODNALAZŁEM!

Nad ranem Jerassy już nie śpi. O szóstej, gdy jest jeszcze zimno, włącza głośnik i pyta Marię:

— Jesteś gotowa?

Słychać jego przeraźliwy głos, przed którym nie sposób schować się pod kołdrą albo zakryć poduszką. Głos natrętny, niby przeznaczenie.

— Marto — kontynuuje — wierzę, że dziś znajdziemy coś bardzo ciekawego. — Co ty na to?

Marta chciałaby jeszcze pospać. Dziewczyna, jak pozostali, również nie znosi Jerassy’ego. Jest z nim szczera. Facet chichocze wprost w głośnik, który jeszcze bardziej potęguje jego śmiech. Z radia dochodzi pełen pretensji głos kapitana:

— Jerassy, do pobudki zostało co— najmniej pół godziny. Dopiero co zszedłem z warty.

— Przepraszam, kapitanie — odpowiada Jerassy — w tej sekundzie pędzimy na obiekt i będzie pan mógł spokojnie pospać. Rankami pracuje się trzykrotnie wydajniej niż w ciągu dnia. Nie sądzi pan?

Kapitan nie odpowiada. Zrzucam kołdrę i siadam. Stopy dotykają podłogi. Dywan przetarł się trochę w tym miejscu. Ile to już razy chodziłem po nim rano. Trzeba wstawać. Ma rację ten Jerassy — ranne godziny są bardziej efektywne.

Po śniadaniu opuszczamy statek przez właz załadunkowy, przechodzimy pochylnią, porysowaną przez transportery. W nocy nawiało tu brunatnego piachu i suchych gałęzi. Jesteśmy bez skafandrów. Do południa, dopóki nie ma upału wystarczą maski i aparaty tlenowe na plecach.

Ponura, brunatna, gdzieniegdzie pagórkowata dolina ciągnie się po niedaleki horyzont. Unoszą się nad nią tumany piachu. Pył włazi dosłownie wszędzie: w skafandry, buty nawet pod maski. Ale, mimo wszystko, pył nie jest tak niebezpieczny jak błoto. Kiedy nadciągnie szara chmura i chluśnie w dolinę krótką ulewą, trzeba natychmiast rzucać pracę, pełznąć do statku po śliskim błocie i czekać, aż podeschnie. Po ulewie stają się bezsilne nawet łaziki.

Jeden z nich czeka na nas przed pochylnią. Do wykopalisk można dojść pieszo w ciągu dziesięciu minut, choć lepiej czas ten wykorzystać na pracę. Wkrótce stąd odjedziemy — żywności i pozostałych zapasów zostało jedynie na powrót. Już i tak przeciągnęliśmy pobyt. Sześć lat jak szukamy. A droga do domu zajmie prawie pięć lat.

Zachir kręci się przy drugim łaziku. Geolodzy ruszają na zwiad. Żegnamy Zachira i wsiadamy do maszyny. Miejsca w niej wydają się nam tak dobrze znane jak przy stole, w sali wypoczynku lub te, w przypadku awarii. Wieszam aparaturę na haczyku, po prawej stronie. Miesiąc temu, o ten właśnie haczyk rozwaliłem sobie ramię, gdy nagle wpadliśmy w wyrwę. Owinąłem je wówczas miękką szmatką. Nie patrząc, wieszam na nim torbę z przyrządem: ręka bezbłędnie wyczuwa to miejsce z dokładnością do milimetra.

Jerassy wciąga przez wejście swoje długie nogi i zamyka oczy. Zadziwiające, że człowiek, który tak lubi spać, może budzić się najwcześniej i wyrywać nas ze snu swym okropnym głosem.

— Jerassy — mówię — masz okropny głos.

— Wiem — odpowiada nic otwierając oczu. — Mam taki głos od dzieciństwa. Choć Weronice się podobał.

Weronika, żona Jerassy, umarła w zeszłym roku. Pracowała nad kulturą wirusa, który znaleźliśmy na jednym z zabłąkanych asteroidów.

Łazik wjeżdża w wąwóz ogrodzony plastikowym płotem chroniącym przed pyłem. Wysiadam na ziemię trzeci. Zaraz za Martą i Dolińskim. Na niewiele zdał się ów pancerny zasiek — w ciągu

nocy naniosło pyłu aż po kolana. Jerassy jest już z ssawą odkurzacza, zrzuca ją do rozkopu, a ta, niby żywa pełznie po ziemi pochłaniając kurz.

Prace archeologiczne tutaj, to czyste szaleństwo. Burze piaskowe potrafią w ciągu trzech dni zasypać drapacz chmur, nawet ślad po nim nie zostanie. A w ciągu następnych trzech dni te same burze mogą wyryć wokół niego stumetrową jamę. Burze nanoszą również sadze i cząsteczki węgla drzewnego z nie kończących się leśnych pożarów, które szaleją za błotami. Nie byliśmy więc w stanie ustalić pochodzenia żadnego ze znalezionych kamieni.

Zresztą, nie wiemy dotychczas kto i kiedy zbudował tę osadę, kto w niej mieszkał. Nie mamy pojęcia, co stało się z mieszkańcami tej planety, dokąd odeszli, dlaczego wymarli. Zrobimy jednak wszystko, co w naszej mocy. No i czekamy, aż odkurzacz zakończy swe bojowe zadanie w wykopie i będzie można tam zejść ze skrobakami, pędzelkami i wypatrywać oczy w poszukiwaniu kości, skorup naczyń,, wełenki albo w najgorszym wypadku, jakiegoś związku organicznego.

— Budowali solidnie — twierdzi Jerassy. — Widać jednak, że i wtedy burze przeszkadzały im żyć.

Wczoraj odkryliśmy w wykopie mur — fundament gmachu lub gmachów, odsłaniany przez nas wpijał się w masyw.

— Oni już dawno stąd odeszli — powiedziała Marta. — Gdyby nawet przetrząsnąć całą tę pustynię, znajdziemy również tylko inne budowle, lub ślady po nich.

— Należałoby dokładniej przeszukać góry za błotami — mówię.

— Tutaj i tak niczego nie znajdziemy.

— A maszt? — dodaje Jerassy.

— I piramidka — uzupełnia Marta.

Maszt zobaczyliśmy jeszcze podczas pierwszego lotu Tyle że uniosła go kolejna burza, zanim tu dobrnęliśmy I ukryła w piachu. Piramidkę odkopaliśmy. Gdyby jej nie było nie babralibyśmy się trzeci tydzień w wykopie. I oto stała przed nami, gładka, podobna do skały, jak gdyby wyciosana z niej. Weźmiemy ją ze sobą. Pozostałe trofea: jakiś odprysk skalny i rysy na skale. Żadnych napisów ani metalu…

— W górach, za błotem nie sposób było żyć. Nawet w najlepszych czasach brakowało wody. I w ogóle jest to jedno z tych nielicznych miejsc…

Jerassy znów ma rację. Bezkresne błota, po których pływają, splótłszy się korzeniami namioty drzew, góry, jakby umyślnie tak wydumane, że nie sposób się do nich dobrać. Ocean bez końca. A w nim jedynie burza i najprymitywniejsze organizmy. Życie musiało stąd gdzieś odejść, może wręcz wymarło i dopiero teraz zaczyna się odradzać, pomału, od pierwotniaków.

— Schodzimy w dół.

— Jest przy mnie Doliński.

— Czas wracać do domu — mówi czyszcząc bok kwadratowego wgłębienia w skale. — Co o tym myślisz?

— Pewnie — odpowiada.

— A ja się waham. Komu jesteśmy tam potrzebni? Kto na nas czeka?

— Przecież wiedziałeś, po co tu lecimy — odpowiadam. W szczelinie coś błysnęło.

— Wiedziałem i nie. Kiedy startowaliśmy, uchodziliśmy za bohaterów. A cóż może być bardziej żałosnego, niż widok zapomnianego bohatera. Chodzi taki po ulicy, struga wariata: nie pamiętacie mnie państwo przypadkiem? Nie pamiętamy, absolutnie, zupełnie, nawet przypadkiem!

— No i co z tego — mówię. — Nigdy nie byłem bohaterem.

— Nie wyobrażasz sobie, jak zmienił się świat, do którego wracamy po dwustu latach. Jeśli świat jeszcze istnieje…

— Patrz, moim zdaniem to metal — mówię.

Miałem dość rozmów z Dolińskim. Widać było, że tchórzy. Stchórzyliśmy zresztą wszyscy poświęcając włóczędze swe najlepsze lata. Oddając się badaniom systemu planetarnego, którego nikt przed nami nie oglądał, gwiezdnym strumieniom, potokom meteorytów, tajemnicy wielkiego odkrycia. A to materializowało się jedynie w postaci milionów symboli, suchych cyfr i przepadało we wnętrzu. Mózgu statku. Cały ostatni rok miotaliśmy się po Galaktyce lądując na martwych planetach i asteroidach, to hamując, to znów nabierając prędkości, świadomi, że zbliża się czas powrotu, że choinka już pełna ozdóbek, że święto w pełni i niedługo się skończy. Tyle, że święto, jak zwykle, było znacznie skromniejsze, nie to, jakiego się spodziewaliśmy. Cel osiągnęliśmy, zrealizowaliśmy to, cośmy zrealizować zamierzali, niestety, nic więcej. Mózg statku pęczniał od informacji, lecz marzenia nasze, pielęgnowane, hołubione podczas wielu lat podróży, pozostawały nie spełnione.

Do ostatniej planety zbliżyliśmy się akurat wtedy, gdy w rezerwie pozostał miesiąc. Zaraz potem powinniśmy wziąć kurs na Ziemię. W przeciwnym razie nigdy nie uda się nam tam wrócić. Kiedy startowaliśmy z Ziemi było nas osiemnaścioro. Zostało dwanaścioro. I jedynie na ostatniej planecie, nieprzyjaznej człowiekowi (pozostałe były w ogóle wrogie), odnaleźliśmy ślady działalności istot rozumnych. W przerwach między burzami wpijaliśmy się w skały, grzebaliśmy w piachu, chcąc pojąć wszystko, czego można się było dowiedzieć o owym rozumnym życiu. Za dwa dni — start. I prawie pięć lat powrotu, pięć lat w drodze…

W dłoni trzymałem ciężką kulkę wielkości orzecha laskowego. Nie skorodowała, była wyraźna jak piach, skały, jak wisząca nad nami chmura.

— Jerassy! — krzyknąłem. — Kulka.

— Co? — Zrywający się wiatr unosił słowa. — Jaka kulka? Tuman kurzu zwalił się na nas z góry.

— Przeczekamy? — spytała Marta i podchwyciła kulkę—

Ciężka…

— Do łazika — powiedział przez radio kapitan. — Nadchodzi burza.

— Nie lepiej tu ją przeczekać? — spytał Doliński. — Właśnie znaleźliśmy kulkę. Metalową.

— Nie, do łazika. Zbliża się potężna burza!

— Jedną chwilkę — wtrącił Jerassy. — Jeżeli to faktycznie ogromna burza, to zabierzmy stąd chociaż piramidkę. Bo ją tak zasypie, że przez cały jutrzejszy dzień jej nie odkopiemy. I przyjdzie wracać prawie z pustymi rękami.

— Nie ma potrzeby — zostawimy ją tu — zaznaczył kapitan. — Mamy jej fotografię, wymiary… W przeciwnym fazie was zasypie. A wtedy możecie sobie odkopywać…

Doliński roześmiał się.

— Uchwycimy się murów. Nie zniesie nas.

Nowa porcja kurzu zwaliła się z góry. Pył osiadał wolno, krążył dokoła, niby rój natrętnych komarów. Jerassy powiedział:

— Bierzemy się za piramidkę?

— Doliński, szybko, łazik. Mamy tam wszystko, co trzeba.

Łazik rzeczywiście był przygotowany. Wyposażyliśmy go w podnośnik.

— Rozkazuję natychmiast wracać na statek! — krzyczał kapitan.

— A geolodzy wrócili? — spytał Jerassy.

— Już wracają!

— Ale nie możemy przecież zostawić tutaj piramidki.

— Jutro po nią wrócicie.

— Burza trwa zwykle dwa, trzy dni! — Mówiąc to Jerassy zarzucił na piramidkę pętlę stalowej linki, ja zaś chwyciłem palnik, aby oddzielić promieniami podstawę piramidy. Palnik zasyczał, kamień poczerwieniał, zatrzeszczał walczył z promieniami stawiając im opór.

Ciemna chmura, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie widziałem, zawisła nad nami, zrobiło się ciemno, kurz przysłonił obłoki, wiatr pchał próbując unieść nas w górę, wkręcić w sam środek trąby. Odepchnąłem Martę, która próbowała mi pomóc, krzyknąłem, żeby schowała się w łaziku. Obserwowałem ją kątem oka, sprawdzałem, czy posłuchała rozkazu. Wiatr walił w plecy, omal mnie nie przewrócił, palnik drgnął w ręku kreśląc na boku piramidki jasnoczerwoną rysę.

— Dobra! — krzyknął Jerassy. — Jeszcze trochę!

Piramidka nie myślała się poddać. Czy Marta zdążyła do łazika? Tam w górze wiatr zupełnie oszalał, pętla naciągnęła się, wyprężyła. Kapitan wściekły wrzeszczał przez radio.

— A może, rzeczywiście, zostawmy to.

Jerassy stał obok wsparty plecami o ścianę wykopu. Oczy miał jak u obłąkańca.

— Dawaj piłę!

— Zostaw, ja sam!

Nagle piramidka wydała krzyk, coś, niby jęk walącego się drzewa i poleciała w górę. Potem przeleciała na drugą stronę wykopu, rozwaliła plastikową osłonę i ruszyła w naszym kierunku, by nas rozgnieść na proszek. Ledwo zdążyliśmy odskoczyć. Piramidka wpiła się w ścianę, w górę wzbił się tuman pyłu i straciłem z oczu Jerassy’ego.

Kierował mną prymitywny instynkt samozachowawczy.. Musiałem za wszelką cenę wydostać się z pułapki, z jamy, w której harcowała i miotała się piramidka miażdżąc wszystko, próbując wyrwać się z objęć stalowej pętli.

Wiatr pochwycił mnie i niby suchy listek, uniósł po piachu, którego starałem się przytrzymać, choć ten wymykał się spod palców; pomyślałem, że muszę przypominać statek pędzący wprost na skały, statek, którego kotwica zaledwie pociera o dno w żaden sposób nie mogąc uczepić się gruntu. Bałem się stracić przytomność od uderzeń i razów wydawało mi się, że będę wówczas bardziej bezbronny, że zawlecze mnie na bagna, a wtedy nikt mnie nigdy nie znajdzie.

Zawdzięczałem życie skale wystającej z piachu. Wiatr podniósł mnie, oderwał od ziemi jak gdyby chciał mnie zapędzić w chmury, i właśnie tu, ta skała stanęła mi na drodze wysunęła swój ostry koniec i niestety straciłem przytomność.

Nie na długo. Po chwili przyszedłem do siebie. Było cicho i ciemno. Piach, który mnie przysypał, dusił klatkę piersiową, nogi i zrobiło mi się straszno. Byłem żywcem pogrzebany. „Spokojnie, stary, pomyślałem, tylko spokojnie”.

— Spartak — powiedziałem głośno. — Spartak.

Radio milczało. Było roztrzaskane.

— Mimo wszystko, miałem szczęście, pomyślałem. Mogłem przecież rozwalić maskę, mogłem się udusić. Próbuję ruszyć palcami. Udało się. Przeszła minuta, dwie, wieczność cała i przekonałem się, że mogę ruszać prawą ręką. Minęła znów wieczność i mogłem wymacać nią koniec skały.

Kiedy zrozumiałem, że wydostanę się na powierzchnię, gdy ustąpił strach pierwszych chwil, wróciło wszystko pozostałe. Po pierwsze: ból. Dostałem się w sam środek burzy, na dobitkę walnęło mną tak mocno o skałę, że nie mogłem dotknąć boku i oddychałem z trudem. Z pewnością złamałem żebro, może dwa. Po drugie: powietrze. Spojrzałem na aerometr. Starczy na godzinę. To znaczy, że od początku burzy minęły trzy godziny. Czemu nie wziąłem z bazy zapasowej butli? Mają ich tam około pięćdziesiąt. A każda na sześć godzin. Zgodnie z przepisami powinno się mieć przy sobie dwie. Tyle tylko, że dodatkowa butla przeszkadza przy robocie w rozkopie i zwykle zostawialiśmy ją w łaziku. Po trzecie: jak daleko stąd do statku. Po czwarte: czy burza ucichła. Po

piąte: czy pozostali dotarli do statku, a jeśli tak, to czy domyślają się, w którą stronę mnie rzuciło, jak należy szukać.

Ręka trafiła w próżnię. Wychodziłem niby kret z nory, a wiatr (odpowiedź na czwarte pytanie — negatywna) próbował zepchnąć mnie z powrotem w jamę. Przykucnąłem pod skałą wstrzymując oddech. Skała była jedynym pewnym miejscem w tym piekle. Statku nie było widać. Nawet, jeśli był gdzieś zupełnie blisko. W tumanach kurzu nie mogłem dojrzeć niczego, nawet na pięć metrów. Wiatr nie był już tak wściekły, jak na początku burzy. Choć, być może, oszukiwałem sam siebie. Czekałem, kiedy kolejny podmuch żywiołu rozpędzi kurz, przyprze go do ziemi. Wtedy rozejrzę się dokładniej. Wierzyłem, że kiedy wiatr przygwoździ pył — ujrzę statek.

Jak patrzeć? Dokąd iść? Najlepiej tak, aby ciągle mieć za sobą skałę. Przecież to ona właśnie przerwała mój lot na oślep. Nie czekałem, aż wiatr zdusi pył. Poszedłem wprost na burzę. Powietrza miałem jeszcze na około czterdzieści cztery minuty.

Potem było go już na trzydzieści minut. Potem upadłem, wiatr rzucił mną do tyłu, przez co straciłem kolejne pięć minut. Potem powietrza miałem już tylko na piętnaście minut. A potem przestałem spoglądać na wskaźnik.

Moment wytchnienia wypadł właśnie wtedy, gdy według mych obliczeń, powietrza nie powinno być wcale. Brnąłem przez powoli opadający pył, nie zwracając uwagi na ból w boku, nie miało to bowiem najmniejszego znaczenia. Starałem się oddychać równo, choć oddech miałem urywany, odnosiłem wrażenie, że nie mam powietrza w ogóle!

Zabrakło go, gdy daleko, prawie na końcu świata, w opadającym kurzu, ujrzałem statek. Zacząłem biec w jego kierunku. Nie miałem czym oddychać. Dusząc się zerwałem maskę, choć to nie mogło mnie uratować: płuca palił gorzki pył i pary amoniaku.

Przez lokator zauważono mnie nieco wcześniej. Wracałem do siebie w szpitalu, małym białym szpitaliku z dwoma łóżkami, w którym każdy z nas przebywał w ciągu tych lat lecząc rany, przeziębienia lub bycząc się podczas kwarantanny. Przyszedłem do siebie w szpitalu i natychmiast zrozumiałem, że statek przygotowuje się do startu.

— Zuch z ciebie — oznajmił mi doktor Grot, — Dobry jesteś! Świetnie sobie poradziłeś!

— Startujemy? — spytałem.

— Tak — odpowiedział Grot. — Będziesz musiał położyć się w amortyzatorze. Twe kości nie zniosą przeciążeń. Złamałeś trzy żebra, masz przerwaną przeponę.

— Co z pozostałymi? — zapytałem. — Jak Marta, Jerassy? Co z Dolińskim?

— Z Martą wszystko okay. Zdążyła. Usłuchała cię.

— Chcesz powiedzieć…

— Jerassy nie żyje. Znaleźliśmy go po burzy. Wyobraź sobie trzydzieści metrów od wykopu. Kropnęło nim o łazik, rozwalił maskę. Sądziliśmy, że również nie żyjesz.

Nie chciałem pytać o nic więcej. Doktor odszedł przygotować amortyzator. Ja tymczasem leżałem i w miarę, jak upływały minuty przeżywałem na nowo swoje zachowanie, tam, w wykopie. Myślałem: wtedy jeszcze mogłem uratować Jerassy'ego. I w tym — również… A wcześnie jednak mogłem po prostu stwierdzić: do cholery z piramidką, kapitan rozkazał wracać, to trzeba wracać…

Trzeciego dnia po starcie statek nabrał szybkości i wziął kurs na Ziemię. Przeciążeń było teraz mniej, mogłem więc po wyjściu z amortyzatora pokuśtykać do kabin kolegów.

— Zamieniłem się z tobą kolejką po sen — powiedział Doliński.

— Doktor stwierdził, że lepiej byłoby, gdyby jeszcze z miesiąc odpoczął.

— Wiem — odpowiedziałem.

— Zgadzasz się?

— Czemu nie? Ujrzymy się za rok.

— Krzyczałem — kontynuował Doliński — abyście zostawili tę piramidkę i pędzili do łazika.

— Nie było słychać. Zresztą, to nie miało znaczenia.

Byliśmy pewni, że zdążymy.

— Oddałem do ekspertyzy kulkę.

— Jaką kulkę?

— Tyś ją znalazł. Oddałeś mi ją, kiedy pędziłem do łazika. — A… Zupełnie zapomniałem. A co z piramidką?

— W sekcji towarowej. Pękła. Badają ją Marta i Rano.

— A więc mam wachtę z kapitanem?

— Z kapitanem, Martą i Grotem. Niewielu nas zostało.

— Niepotrzebna tu wachta.

— Chyba tak, podobnie jak rok bezpowrotnie stracony. Wszedł Grot. Trzymał w ręce jakąś karteczkę.

— To śmieszne, kulka wygląda na zupełnie nową. Dzień dobry, panie Doliński. A więc mówię, że kulka nie jest stara, ma jakieś dwadzieścia lat.

— Nie — zaprzeczył Doliński — przecież tyle dni przesiedzieliśmy w tym cholernym wykopie, starym jak świat. Zatem kulka musi być stara.

W drzwiach „bawialni” stał kapitan i przysłuchiwał się naszej rozmowie.

— Czy pan się nie myli, kolego Grot? — zapytał.

— Powinienem się natychmiast obrazić — odparł doktor. — I ja, i Mózg powtarzaliśmy analizę cztery razy. Na początku sam nie wierzyłem.

— A może zgubił ją Doliński? — spytał kapitan zwracając się do mnie.

— Doliński może potwierdzić, że sam ją wydłubałem ze skały.

W takim razie pozostaje jeszcze jeden wariant.

— Nonsens.

— Dlaczego?

— Bo jak w ciągu dwudziestu lat mogło to wszystko ulec tak potwornym zniszczeniom.

— Na tej planecie mogło. Przypomnij sobie, jak cię pogoniła burza i trujące pary w powietrzu.

— Więc sądzi pan, że ktoś był tu przed nami?

— Tak, właśnie tak sądzę.

Kapitan miał rację. Następnego dnia po rozpiłowaniu piramidki, Marta wyciągnęła z niej kapsułkę. Kiedy położyła ją na stole w laboratorium, a my stłoczyliśmy się za jej plecami. Grot oznajmił:

— Spóźniliśmy się, niestety, o całe dwadzieścia lat. Ileż pokoleń marzyło o Kontakcie! Zaprzepaściliśmy szansę.

— Niezupełnie, kolego Grot — powiedział kapitan. — Kontakt jest. Tu, przed nami. Spotkaliśmy ich, mimo wszystko.

— Dużo zależy od tego, co znajdziemy w tej kapsułce.

— Mam nadzieję, że nie wirusy — powiedział Doliński.

— Otwórzmy ją manipulatorem.

— Może jednak poczekamy z tym aż do powrotu na Ziemię.

— Czekać cierpliwie pięć lat? O nie! — oznajmiła Rano. — Ciekawość zawsze brała nad nami górę. Nie będziemy czekać tak długo. Otworzymy kapsułę natychmiast!

— Nie na próżno zginął Jerassy — stwierdziła cicho Marta.

Powiedziała to tak, że tylko ja mogłem słyszeć jej słowa. Kiwnąłem głową, chwyciłem ją za rękę. Miała chłodne palce. Chwytaki manipulatora położyły na stole połówki kapsuły i wyciągnęły papierowy zwitek. Ten poruszył się i rozwinął nagle. Przez szybę dostrzegliśmy napis.

— „Statek galaktyczny »Saturn«. Sygnały rozpoznawcze 36/14 Start z Ziemi — 12 marca 2167 r.

Lądowanie na planecie — 6 maja 2167 r.”

Po czym następował tekst, lecz nikt z nas go nie czytał. Nie mogliśmy. Kilka razy przebiegaliśmy wzrokiem pierwsze słowa:

— „Start z Ziemi — 12 marca 2167 r. — dwadzieścia temu… Lądowanie na planecie — 6 maja 2167 r. — również dwadzieścia lat temu.

— Start z Ziemi… Lądowanie… W tym samym roku.

I każdy z nas, niezależnie od stanu nerwów, przeżywał w tym momencie własną tragedię. Tragedię bezsensu idei, której poświęcił życie, nikomu niepotrzebnych ofiar.

Sto lat temu, według naszych ziemskich obliczeń, opuściliśmy Ziemię pewni, że nigdy nie ujrzymy przyjaciół i najbliższych. Szliśmy na dobrowolne zesłanie, najdłuższe, jakie można było sobie wyobrazić. Wiedzieliśmy, że Ziemi nic po nas, a jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza ofiara jest jej potrzebna choćby dlatego, że ktoś musi wykorzystać wiedzę i umiejętność wniknięcia w głęboki kosmos, w światy, których oglądanie bez ofiar było niemożliwe. Wicher kosmiczny zniósł nas z kursu, dążyliśmy do celu rok po roku, życie przemijało, a myśmy odliczali dziesiątki lat, jakie upływały w tym czasie na Ziemi.

— A więc nauczyli się pokonywać przestrzeń — powiedział w końcu kapitan.

Zauważyłem, że powiedział „oni”, a nie ,,my”. choć zawsze, mówiąc o Ziemi używał słowa ,,my”.

— To dobrze — zaznaczył — znakomicie. Zatem byli tu przed nami.

Nie powiedział niczego więcej. Resztę dopowiedzieliśmy sobie sami. A więc byli tu wcześniej. I doskonale sobie poradzili bez nas. To znaczy, że za cztery i pół roku naszego czasu, a za sto lat ziemskiego wylądujemy na kosmodromie (o ile nie zginiemy w drodze) i zdziwiony dyspozytor zwróci się do swego kolegi zza pulpitu: „Popatrz no, a cóż to za brontozaur? Nawet lądować nie potrafi. Poniszczy wszystkie oranżerie, jeszcze trochę, a rozwali zwierciadło obserwatorium. Niechże go ktoś przechwyci i jazda z mm na śmietnik!”

Rozeszliśmy się do kajut i nikt nie wyszedł na kolację.

Wieczorem zajrzał do mnie doktor. Wyglądał na ogromnie zmęczonego.

— Nie bardzo wiem — powiedział — w jaki sposób trafimy do domu. Nie mam sygnału.

— Trafimy — odpowiedziałem. — W końcu jakoś trafimy.

— Uwaga wszyscy członkowie załogi! — rozległo się w głośniku. — Uwaga załoga! — Mówił kapitan. Głos miał ochrypły, jakby niepewny.

— Co mogło się jeszcze zdarzyć? — Doktor oczekiwał kolejnego nieszczęścia.

— Uwaga! Włączam radiostację dalekiego zasięgu. Mamy komunikat w kanale galaktycznym.

Kanał milczał wiele lat. I musiał milczeć, bo od zamieszkałych planet dzieliła nas odległość, przy której utrzymywanie łączności wydawało się czystą głupotą.

Spojrzałem na doktora. Oczy miał zamknięte, głowę odchylił do tyłu, jak gdyby wierzył, że wszystko, co się działo w tej chwili, to tylko sen, nic więcej, tylko sen, lecz budzić się nie wolno, aby nie spłoszyć marzenia.

Było słychać kroki, brzęczenie niewidzialnych strun i jakiś młody, diabelnie młody i podniecony głos krzyczał, donosił przez miliony kilometrów:

— Spartak, Spartak, czy mnie słyszycie? Spartak, ja pierwszy was odnalazłem! Spartak, rozpoczynajcie hamowanie. Lecimy po tym samym torze. Spartak — tu statek patrolowy Olimpia, tu statek patrolowy Olimpia. Mam dyżur w waszym sektorze. Szukamy was już dwadzieścia lat! Nazywam się Artur Szeno. Zapamiętajcie, Artur Szeno. Ja pierwszy was odnalazłem!… Miałem fantastyczne szczęście. Pierwszy was… Nagle przerwał, zakaszlał i w tym momencie wyraźnie

zauważyłem, jak pochylony, w ciasnej kabinie swego statku nad mikrofonem, nie potrafi oderwać oczu od białej plamki na ekranie radaru. — Przepraszam — kontynuował — słyszycie mnie? Nie macie pojęcia, ile prezentów wam wiozę! Pełen bagażnik. Świeże ogórki dla Dolińskiego. Czy pan mnie słyszy, Doliński? Jerassy, Weroniko, rodacy przesyłają wam tort owocowy. Zawsze go lubiliście…

Potem nastąpiła długa cisza.

— Włączam hamowanie — przerwał ją kapitan.

Przełożył Janusz Klimek

Władimir Grigorjew

AKSJOMATY RÓŻDŻKI CZARNOKSIĘSKIEJ

Co by nie mówić, jazda koleją ma jednak swoje zalety. Samolot jest zbyt racjonalny. Wpuszcza do swojego aluminiowego brzucha pasażera, żeby się go możliwie jak najszybciej pozbyć. „900 kilometrów na godzinę" — beznamiętnie oznajmia wymuskana, wymalowana stewardessa. W jej rękach lśni bogato zdobiona taca, w kielichach perli się lodowaty wrzątek — narzan. Na skutek wibracji zawartość kielicha pokrywa się drobnymi zmarszczkami, a z kryształowych głębin dobywa się dźwięk jakby dzwonu. Wasze myśli dalekie są jednak jeszcze od narzanu, od Baku czy Aszchabadu, dokąd zmierza stalowy ptak. Jeszcze są w domu, te myśli godzinnej długości. Nagle wstrząs, prosimy o opuszczenie samolotu i przestawienie chronometrów na czas aszchabadzki. Przylecieliśmy!

W pociągach dalekobieżnych nie poją modnymi musującymi napojami. Odwieczna herbata. Nie ma w niej minerałów. Minerały pozostały na dnach kotłów. Mundur rozpięty, daszek na bakier — bywały konduktor niesie dźwięczne szklaneczki. Nos jak ziemniak, brwi dawno już mole zjadły, ale swój chłopak, jakbyście z nim beczkę soli zjedli.

W przedziale fioletowy półmrok. Herbata już wypita, pasażerowie przyjaźnie rozmawiają. Tu się nasłuchasz! Opowiem wam, na przykład, jak mnie się w tym względzie kiedyś udało!

Pasażer na górnej prawej półce okazał się entuzjastą tunguskiej katastrofy. Bywał w samym epicentrum wybuchu. Schodził to miejsce wzdłuż i wszerz i wrócił stamtąd jako ugruntowany zwolennik hipotezy marsjańskiej. Z wewnętrznej kieszeni, stamtąd, gdzie inni przechowują portrety żon, wyciągał fotografie spiętrzonych tunguskich karczów, przygnębiających pejzaży nieprzebytych błot, potężnych przestrzeni pełnych smutnych pniaków.

Posiadacz dolnej półki, tej od wejścia na lewo, był wybitnym specjalistą w zakresie cybernetyki. Opowiedział przewspaniałą historię o tym, jak za pomocą maszyny elektronowej zawstydzono uwielbianego przez cały Wschód staruszka–wieszczbiarza. Ze zmartwienia starzec zapomniał czuwiaków i poszedł boso do domu. A owa muzealna para obuwia przechowywana jest obecnie ,,na stołecznym zameldowaniu" w betonowym mieszkaniu elektronika. To była bardzo wesoła historia i śmialiśmy się z całego serca.

— Uwierzcie — ocierając łzy śmiechu, mówił cybernetyk — teraz wszystkie cuda rodzą się na ostrzu pióra. Potrafimy przewidzieć każdy rezultat!

Przy tych słowach trzeci podróżny, milczący pasażer z lewej górnej, obrzucił elektronika taksującym spojrzeniem. Ten budowniczy wielkich mostów, człowiek ziemskich, fundamentalnych zdarzeń, który mknął w fioletowym półmroku przedziału ku nowej budowie, ku potężnym dźwigarom i przecinkom, słuchał wagonowych opowieści z powagą, ale jakby z utajoną niechęcią, może wyważając wszystkie „za" i „przeciw", z rzadka tylko zaszczycając współrozmówców skąpymi spojrzeniami.

Wyglądało na to, że tak już ze swą tajemniczością dotrwa do stacji docelowej. Kiedy jednak cybernetyk zamilkł, a wszyscy jak na komendę trzasnęli papierośnicami, odepchnął się od ściany i jego silny tułów w białej jak prześcieradło pidżamie zajaśniał w przestrzeni między półkami.

— Ja też tak właśnie myślałem — powiedział cicho — na ostrzu i na ostrzu. Nie ma drogi dla innej fantastyki. No, tak…

— No, no, dalej — dodał mu otuchy miłośnik katastrof w tajdze, lecz inżynier nawet go nie zauważył. Już całkowicie pogrążył się we wspomnieniach o tamtym przepięknym i zagadkowym dniu, o którym też później opowiedział. W ów dzień, jeśli wierzyć inżynierowi, a nie wierzyć mu

nie mamy żadnych podstaw, decydował się los jego pracy doktorskiej. W ów dzień z nieznanych i tajemniczych przyczyn stracił kontrolę nad sobą i jakby obrócił kulę ziemską wokół osi, co też zdecydowało o losie jego dysertacji.

…Inżynierowi Pietrowowi wiosna stanęła już ością w gardle. Budziła wszystko, co solidnie spało zimą. Takie wszystkie najróżniejsze różności. Niczym dobrym nie mogło się to skończyć. Przeszkadzała w pracy. Przeszkadzała temu, co najważniejsze.

Wieczorem inżynier zrobił pierwszy niebezpieczny krok. Wyszedł na ulicę. Rozglądnął się z zainteresowaniem. Tak, zima się skończyła. Bezwiednie wciągnął w płuca dużą porcję świeżego powietrza — wiadro silnego ekstraktu ziemi i liści — i od razu po całym ciele przeszły mrówki, ujawniły się jakieś nie brane dotąd pod uwagę bioprądy, inżynier zaś natychmiast stracił nad sobą kontrolę. Przedmiot jego dumy, żelazna samokontrola, która przez całą zimę nie pozwoliła mu stracić nawet godziny na to, na co pozostali, jak wiadomo, lekką ręką tracą połowę swego czasu.

Pietrow zrozumiał, nie, poczuł — wegetatywnie, skórą, cebulkami włosów: jeszcze jeden taki haust, a harmonijna budowla formuł i obliczeń, konstruowana przez całą zimę, pozostanie bez mieszkańca. I, mało tego, nie dobudowana do końca może rozsypać się, jak rozsypuje się domek z kart, kiedy na moment odwracasz się od niego. A przecież pozostało już tylko rozprawić się z ostatnim punktem…

Ostatni punkt! Nijak się nie poddawał. Inżynier wiedział — droga do rozwiązania problemu jest poprawna, jeszcze tylko ostatnie miesiące najwyższego natężenia — i wtedy odpoczynek! Dźwigary, przecinki, hucząca stal mostów — to one wzywały, one domagały się rozwiązania swego dalszego losu. Nie, w żaden sposób nie wolno było tracić samokontroli. I gdyby nie to, że już była utracona, inżynier udałby się do domu i do rozpoczęcia sezonu jesiennego kreśliłby ostatnie równanie w swych obliczeniach. Tego wymagał obowiązek, tego oczekiwali koledzy, na to wreszcie nalegali profesorowie.

Lecz jego płuca napełniły się świeżością, w skroniach pulsowało, nie było też zwykłej twardości w kolanach. Stał na tym samym, co przed chwilą rogu, całkiem blisko swojej bramy. Strumień przechodniów rozbijał się o niego, jak fale rozbijają się o dziób okrętu, i zwierał się z tyłu niczym niewielkie wiry. Popychano go — nie zauważał. Ktoś nadepnął mu na nogę — inżynier machinalnie przeprosił. Nadchodziły minuty ostatniej koncentracji myśli.

Zebrał wolę w garść, oddalił od siebie wrażenia zewnętrzne i zażądał od mózgu precyzyjnej oceny sytuacji. Czekał — sekundę, dziesięć sekund, przestępował z nogi na nogę, a tam, w kłączach neuronów, w kwiatostanach zwojów kory mózgowej potrzaskiwały sygnały, iskrzyły kropki i przecinki, kłębiły się czasowniki, podmioty i przymiotniki. Pietrow czekał.

„Ani dzisiaj, ani jutro nie usiądziesz przy biurku — wysylabizował wreszcie jego głos wewnętrzny — to daremne. Pozwól sobie na jakieś małe głupstwo. Tak trzeba. Zaczynaj bezzwłocznie: wtedy prędzej wszystko się skończy…”

Teraz, kiedy wrażeniom i odczuciom został nadany logiczny kierunek, inżynier poczuł się pewniej: wierzył swemu mózgowi. Ostatni wybuch myślenia usprawiedliwiał także bezsensowne i zupełnie nie na czasie wyjście na ulicę — pierwsze z małych głupstw, dozwolonych przez głos wewnętrzny — a także te, które jeszcze trzeba będzie popełnić.

Nie miał po co wracać do domu, jednak przelotne przeliczenie już pierwszej setki przechodniów wykazało, że w płaszczach chodzi zaledwie dwa procent. Ramiona inżyniera też były otulone płaszczem — jesionką z rudym kołnierzem i dopinaną watowaną podpinką. („Świetny model, chłopaki — mówił przyjaciołom — latem płaszcz, zimą pelisa!) A kiedy namówiony na powieszenie płaszcz pozostał w domu, inżynier zdecydowanym koszykarskim krokiem włączył swe ciało do ogólnego strumienia współobywateli.

Prosta, łącząca jego bramę z najbliższym zakładem fryzjerskim zakończyła się fotelem, przy którym stał dawno nie golony i nie strzyżony człowiek z brzytwą w rękach.

— Szewc bez butów — przyjaźnie powiedział Pietrow, a człowiek czarodziejsko machnął ostrzem.

Gdy tylko fryzjer opatrzył ostatnie zacięcie na podbródku klienta, inżynier rzucił spojrzenie w lustro. Z satysfakcją stwierdził, że opadła szczecina skrywała przyjemnie różową skórę policzków i lity podbródek boksera. Już niemal zapomniał, jak to wygląda w naturalnej postaci.

Teraz mleczny blask policzków harmonizował z miękkim promieniowaniem koszuli, świeżej jak odwrotna strona projektu, z żywiołowymi kantami spodni włożonych, zdaje się, po raz pierwszy i z czarnym połyskiem trzewików, odbijającym pozbawione nadziei spojrzenia ulicznych pucybutów.

A jednocześnie nie czuł się jak manekin, który zszedł z wystawy sklepowej, żeby trochę pospacerować. Odprasowany rynsztunek mieszczucha nie krępował jego ruchów. Wargi od czasu do czasu rozchylały się w lekkim uśmiechu, krok był w sam raz, niezbyt twardy, a spojrzenie dobre, jak u konduktora w pustym wagonie tramwaju.

Inżynierowi wyostrzył się zmysł postrzegania. Słyszał, jak kręcące się listki chodnikowych topoli wydają pisk podobny do pisku ostryg, a w ulicznym turkocie motorów potrafił wyraźnie odróżnić subtelny szelest światła księżyca, nogi zaś, tak mu się przynajmniej wydawało, łowiły niewyczuwalną krzywiznę kuli ziemskiej. Stan inżyniera nabrał pewnej globalności, jego pierś prężnie rozsuwała podatną sieć południków, zaś prądy równoleżników miękko owiewały ramiona. I stamtąd, z tych prądów, z wnętrz polarnego magnetyzmu chlusnęła w mięśnie tytaniczna siła; wypadałoby się teraz jakoś nią rozporządzić, zużyć na coś. Jak, na co? Tego inżynier jeszcze nie wiedział.

Bulwar, jeden z tych bulwarów, gdzie nawet w jaskrawe słoneczne południe pod gęstym listowiem zachowuje się półmrok laboratorium fotograficznego, zaś płonące nocami neonowe słońca pozwoliłyby robić migawkowe fotografie, bulwar ów jeszcze roił się od bawiących się dzieci. Jedno z nich nie brało udziału w finale kolektywnej dziecięcej awantury. Zupełnie milczący szkrab, skoncentrowany, poważny, podrzucał wysoko w górę niewielki brukowiec i obserwował jego spadanie. Możliwe, że coś uogólniał, formułował, dochodził do jakichś praw fizyki, a może po prostu zachwycał się widokiem swobodnego spadania. Lecz tylko nieliczni decydowali się przejść w bezpośredniej odległości od malca. Oczywiście zaliczył się do nich także nasz bohater. Dzisiaj miał luźny stosunek do niebezpieczeństw, dzisiaj ziewałby nawet w spadającym, kopcącym się samolocie.

I nagle spojrzenie inżyniera padło na dziewczynę; szła z naprzeciwka, wprost na niego. Wyłoniła się z alei, jak nagły wytwór zarówno tego bulwaru, jak i całego wiosennego kompleksu miejskiego zmierzchu, połączonego z nastrojem globalnego ignorowania przeszkód przez samego Piętrowa. Dziewczyna była najwspanialsza z tych, które widział dzisiaj, wczoraj i n + 1 dni wstecz. Inżynier zamarł.

A brukowiec, posłany dziecięcą ręką wzbił się już w niebo, już gotów był runąć w swobodnym spadaniu w dół dokładnie po prostopadłej, ale na razie zamarł w apogeum — wprost nad dziewczyną, która nagle wyłoniła się z alei.

Inżynier zrozumiał: na sygnalizowanie o niebezpieczeństwie jest już za późno. Konieczne było coś innego, natychmiastowego, kardynalnego. Przypomnijmy: mięśnie inżyniera uginały się od nagromadzonej w atmosferze energii. Momentalnie pochylił się, mocno zaparł się dłońmi w ziemię i potężnie nacisnął… Fakt pozostaje faktem. Kula ziemska zakołysała się lekko, brukowiec świsnął obok nieznajomej i tylko podmuch powietrza lekko przemknął po jej fryzurze i policzkach.

Śmiejąc się inżynier strzepnął pył z marynarki, podszedł do dziewczyny i z miejsca wyjawił jej wszystko. I to, jak posunął Ziemię, i to, jak golił się u fryzjera, i o n + 1. Czym można było potwierdzić tę nieprawdopodobną, historię? Niczym. Zaprowadzić ją do zakładu fryzjerskiego i pokazać ogoloną brodę? Na szczęście, stosunki międzyludzkie, podobnie jak konstrukcje matematyczne, oparte są na aksjomatach przyjętych na wiarę. A ona, zdaje się, umiała wierzyć. A może już wcześniej uważała, że niezwykłe rzeczy, które zdarzyły się inżynierowi, są w pełni możliwe…

Zaś inżynier Pietrow nawet nie próbował niczego udowadniać. Zachowywał się jak uliczny głośnik. Mówił, podśpiewywał i wyciszenie go było niemożliwe.

A ona? Nic, w porządku. Podobało jej się iść obok człowieka, który może posunąć kulę ziemską w tę, czy inną stronę.

— Niech pan powie — powiedziała nagle, zatrzymując się i poważnie patrząc Pietrowowi w oczy — a mógłby pan jeszcze raz zakołysać? No, jak tam, na bulwarze.

— Mogę — zdecydowanie odpowiedział inżynier Pietrow.

…Nieco po północy inżynier znalazł się u siebie w domu.

Włączył światło, usiadł przy stole. Ileż głupstw w ciągu jednego wieczoru! Nierozsądnie się zachowywał, oj nierozsądnie. Szczególnie w tym momencie, kiedy za jednym przysiadem poruszył kontynenty i oceany tak, że spoza nocnego niewidocznego horyzontu już prawie zaczął wypełzać Krzyż Południa. Ach, jaką miał wtedy ochotę, żeby nad naszymi średnimi szerokościami na zawsze utrwalił się ten egzotyczny Krzyż!

Góry czujnie śpią.
Krzyż Południa wlazł na niebo —

Jeszcze w dzieciństwie wykrzykiwał tę piosenkę z przyjaciółmi i obraz obcego gwiazdozbioru niezmiennie przynosił mu przypływ niespokojnego entuzjazmu. A co z nią? No nic, ona tylko kącikiem oka chciała spojrzeć na krzaczaste, potężne gwiazdozbiory innego nieba. Przez jeden moment. A potem inżynier musiał zapędzić niebo na poprzednie osie współrzędnych.

Stalówka wiecznego pióra pobiegła po papierze, podliczając dość nieprawdopobieństw dzisiejszego wieczoru. Na ostrzu pióra gromadzą się nieprawdopodobieństwa! Czego tylko nie ma na ostrzu! Mieszkaniec książkowego zamku poczuł się u siebie w domu. Z wiecznego pióra wyciekło jakieś równanie, potem drugie, a za nimi już popłynęły dalsze.

…Zaświtało i pierwsze promienie słońca wpadły do otwartych okien śpiących domów. Pietrow drgnął, wyłączył światło, podszedł do okna. Przewody linii trolejbusowej rozjaśniły się już błyszczącym miedzianym jarzeniem i podrygiwały pod swym lekkim ciężarem. Zapewne jakiś trolejbus już złapał pierwsze porcje prądu, wypełzł na przedmieścia. Z pustynnych wymytych asfaltów wiało sinością, jak z policzków nie ogolonego bruneta. Pogładził podbródek, meszek młodej przebijającej się szczecinki zadrapał dłoń. Inżynier Pietrow podszedł do stołu, jego spojrzenie zastygło na ostatnim równaniu.

Na tym, którego Pietrow szukał cały rok…

…Przedział wyglądał jak zasnuty włóknem bawełnianego obłoku czadu papierosowego. W mroku kątów rozżarzały się i gasły rozpalone ogniki papierosów.

— No i co, obronił pan dysertację? — zaciągając się, naruszył ciszę cybernetyk, doktor habilitowany.

— Obroniłem — skromnie potwierdził budowlaniec.

— Tak — jednosylabowo skonstatował doktor habilitowany.

— Mimo wszystko jednak wielkiej nauce pańska przygoda za dużo nie dała — zaczął z wysiłkiem miłośnik katastrof. — Nauka jest silna dzięki powtarzającym się efektom, w nie wierzy, w nich się realizuje. Weźmy, na przykład, cud tunguski…

— A co, czyżby katastrofa tunguska się powtarzała? — z nieoczekiwaną porywczością zaprotestował budowlaniec.

— Nie — przyznał zmieszany człowiek z prawej górnej — nie było powtórzenia. Dlatego też wciąż mamy do rozwiązania zagadkę.

Ostatnie słowa wypowiedział tak, jakby nagle zwiotczał, a zaraz potem zupełnie zamilkł.

— No a dziewczyna? — ostrożnie zapytałem. — Co z nią?

Na półkach zrobił się ruch.

— O, proszę, dostałem list — po efektownej pauzie—odpowiedział inżynier. Czy mi się wydawało, czy też głos naprawdę, mu zadrżał? — I przysłała fotografię. Taka wesoła, śmieje się. Rano, jak wstaniemy, to pokażę…

Odsunął zasłonkę, w kącie okna pojawiła się wielka północna gwiazda. Błądziła w okiennym kącie, szukała miejsca. A to tylko huśtało wagonem, huśtało i niosło go, niosło naprzód od betonowych mieszkań, od napiętej struny południka Greenwich, w bok od epicentrów w tajgach, ku wodonośnym przecinkom, ku nowym ostrzom pióra, ku skinieniom różdżki czarnoksięskiej.

Przełożył Wacław Mucha

Wiktor Kołupajew

MILCZENIE

Musiałem spotkać się z nimi. Ale gdzie? Tego jeszcze nie wiedziałem. Chodziłem po mieście i czekałem — może teraz zjawią się przede mną na gwarnym i olbrzymim placu albo w Alei Kosmonautów. Ale nie zjawiali się. Siadałem w końcu na wolnej ławce w cieniu drzew, paliłem papierosy i znowu czekałem. Czasami udawało mi się, jak gdyby dostrzec ich przez moment. Wówczas plac uroczyście, subtelnie i radośnie zamierał, jak podczas długo oczekiwanego spotkania, i było też trochę smutno, jak w chwili rozstania.

Stali na jakimś podium — widoczni z daleka. Dwoje lotników — kosmonautów — młodzieniec i dziewczyna. Byli ubrani w błyszczące, lekkie i wytworne pancerze–skafandry. Młodzi, silni, szczęśliwi. Lecieli w Daleki Kosmos na dwóch pięknych statkach kosmicznych. On prowadził „Myśl", ona — „Czułość". Stali położywszy ręce na ramionach przede mną i tysiącami ludzi, i szerokim gestem witali tych, co zebrali się wokoło. Byli bohaterami. Czuli to, podobnie jak i ci, którzy ich otaczali, ja także to czułem —i strasznie im zazdrościłem. Jeszcze nie weszli na pokład swoich statków, ale sława już unosiła ich na swoich lotnych skrzydłach.

Przyłbice ich hełmów były podniesione i nawet z tego miejsca, gdzie siedziałem, można było dostrzec ich szczęśliwe uśmiechy. Takich właśnie, jak sądzę, zapamiętali wszyscy.

Tak, na pewno byli u szczytu szczęścia. Otaczała ich powszechna miłość i szacunek.

Obraz znikł. Ludzie znowu szli zaaferowani swoimi sprawami; plac tętnił gwarem, bezlitośnie prażyło lipcowe słońce; musiałem przyznać, że czegoś jeszcze nie rozumiałem, nie wyczułem i zaczynałem szukać pomyłki, ale nic mi nie wychodziło. Tak mijały dni, a mnie nic się nie udawało: żadne rady nie pomagały. Na pewno zbzikowałem i wszystkie bodźce zewnętrzne, które mogłyby stać się pierwszym impulsem, odbijały się ode mnie, jak groch od ściany.

— Czy chociaż poznałeś ich życiorysy? — pytał mnie w lipcu Ostrowoj, kierownik naszej pracowni. Stanowisko to wypruwało z niego wszystkie żyły; bardzo schudł — nie wiem, czy z powodu zmartwień, czy też upałów.

— Badam — odpowiadałem. — Chociaż ich biografie znają wszyscy.

— Tak. Każda chwila w ich życiu była przewidziana wcześniej, a mimo to…

— Będę jeszcze badał…

— Zgłębiaj, zgłębiaj, ale lepiej byłoby, gdybyś wczuł się chociażby w jedną ich chwilę.

— Już próbowałem. Na przykład dzisiaj.

— I co?

— Stali na placu i powitalnym gestem machali wszystkim rękami.

— Powitalnym gestem — burknął Ostrowoj. — Tak to odebrałeś? Odgadłeś, co czuli w tym momencie?

— Szczęście, zachwyt, radość — odpowiedziałem. Ostrowoj ze smutkiem pokiwał swoją łysą głową osadzoną na cienkiej szyi. Nic więcej nie powiedział. Na pewno rozmowa ze mną nie miała żadnego sensu. Wcale się nie obraziłem. Jak mi się wydawało, nie potrzebowałem wówczas żadnych rad, pouczeń czy zachęt.

Znowu więc spacerowałem po parkach, placach i skwerach, i cały czas myślałem, dlaczego tylko na chwilę udało mi się zatrzymać ten obraz na placu? Przecież wszystko było tak piękne, odświętne i radosne. No tak, zapewne pomyłka tkwiła gdzieś we mnie. Po prostu nie jestem w stanie wysiłkiem woli wydobyć jej z poświadomości.

Oto aleja, po której jechali na kosmodrom, a wokół nich tłoczyły się stutysięczne tłumy i miliony róż padały na asfalt przed nimi. Wszyscy wokoło wznosili okrzyki przywitania, wykrzykiwali jakieś radosne, ciepłe i wzniosłe słowa. Wszyscy byli odświętnie ubrani, w podniosłym nastroju.

Zatrzymałem się za rogiem i próbowałem sobie to wszystko wyobrazić. Udało mi się! Naprawdę udało! Wprawdzie na chwilę, jak wówczas tam, na placu.

Do diabła, jaki ze mnie myślotwórca? Przecież nic, zupełnie nic mi się nie udaje.

Na najbliższym postoju wsiadłem do taksówki i pojechałem na kosmodrom. W kieszeni na piersi miałem kroplopodobną przepustkę ultradźwiękową i dlatego wszystkie drzwi stały przede mną otworem. Mogłem dotrzeć do najbardziej strzeżonych zakamarków kosmodromu. Początkowo po prostu spacerowałem w poczekalni, w której rosły drzewa, były przytulne bary, pełna słońca przestrzeń i już jakiś nieziemski czas. Ludzie witali i żegnali krewnych i znajomych. Uporządkowane stadka dzieci zabawnie kroczyły pod okiem poważnych i dorosłych opiekunów ku polom startowym, bez wątpienia przeżywając już w myślach przygody w kraterach Księżyca. Wszyscy ci delegowani, artyści, turyści i niedoświadczeni urlopowicze snuli się wokół mnie tak, jak gdyby wiedzieli, co mają robić. Ubrania modniś raz po raz zadziwiająco zmieniały barwy w czasie chodzenia, szokując napotkanych ludzi wszelkimi odcieniami kolorów tęczy.

Był to oczywiście kosmodrom najwyższej kategorii.

Wyszedłem na platformę widokową, z której ludzie przypominali już jak gdyby śmieszne kreseczki. Tutaj także gdzieniegdzie siedzieli odprowadzający. Ci, którzy chcieli, mogli widzie przed sobą twarz lub całą postać odjeżdżającego człowieka i mogli z nim rozmawiać dopóty, dopóki luki statku nie zatrzasnęły się głucho. Same statki jak smukłe strzały rozcinały złocistobłękitną dal i lekko drżały w strumieniach rozgrzanego powietrza. Raz po raz któraś z tych strzał zrywała się z miejsca i z lekkim gwizdem znikała w oddali jak gdyby rozpuszczając się w promieniach słońca. I wtedy ktoś z odprowadzających wstawał i kierował się do wyjścia.

Pociągnęło mnie znowu na Marsa. Mogłem to uczynić od razu… Ale co z pracą? Moją pracą? Nie. Na Marsa za wcześnie.

Zwróciłem uwagę na twarze ludzi. Tuż przed odlotem były radosne i żywe, a teraz — smutne i napięte. Spostrzegłem także, że ten smutek i napięcie pojawia się na nich także w trakcie rozmowy, tylko że było ono wówczas skrzętnie, chociaż na pewno nieświadomie, ukryte.

Zaciekawiło mnie to, jak gdyby uchylił się rąbek jakiejś tajemniczej zasłony. Pomyślałem też: co w tym specjalnego — ludzie żegnają swoich bliskich i jest im smutno. Tak, wszystko w porządku.

Wszedłem jeszcze wyżej — tam, gdzie było pusto i znowu wyobraziłem sobie moment odlotu. Oto stoją na podnośnikach swoich statków. Tysiące ludzi znajduje się na tarasie widokowym i jeszcze dziesiątki, i setki tysięcy, na najbliższych wzgórzach, i jeszcze miliony przy telewizorach radośnie pozdrawiają ich gestami… Tfu, do diabła! Wszystko jawi mi się nazbyt radośnie. Ta właśnie radość nie pozwalała mi zatrzymać obrazu chociażby na chwilę. W gruncie rzeczy obraz ten nie jest mi potrzebny. A mimo wszystko było w nim coś, co tak nieubłaganie znikało przede mną, i bez czego nie mógłbym zrobić tego, co najważniejsze.

Wówczas ludzie żegnali swoich bliskich. Skoncentrowałem się. Obraz pojawił się — zatrzymałem go. Ale to nie były tysiące żegnających. Początkowo dostrzegłem przystojną dziewczynę w sukni mieniącej się niebieskimi odcieniami. Była bardzo piękna. Płakała. Sama nie dostrzegała tego. Ale dlaczego? Kogo żałowała? Czy tych dwojga? Czy siebie? Ciągle myślałem tylko o tym. Twarz dziewczyny przysunęła się do mnie bardzo blisko — tak, że pozostało tylko dwoje wielkich, czarnych, szeroko rozwartych oczu. W ich kącikach były łzy. Wpatrywałem się w te oczy. Zdaje mi się, że zrozumiałem ją. Patrzyła na tych dwoje, którzy byli zakochani. Ona także

kochała. Teraz, w tej chwili była tą dziewczyną, która miała odlecieć na „Czułości". I miłość, i czułość, i nieszczęście tkwiły w jej oczach, w jej spojrzeniu, w jej łzach. To ją żegnano. Niechby nawet na chwilę, na zawsze, na długo. Rozstawała się z tym światem, na którym przeżyła pierwsze dwadzieścia lat — z tymi ludźmi, uczuciami, uśmiechami, błahymi rozmowami, czułymi spojrzeniami, gestami. A co będzie tam, w przyszłości? Cały czas był poryw, namiętne dążenie wciąż naprzód, w niewiadomą, i oto teraz na chwilę pojawia się ból i nieszczęście, dlatego że cała przeszłość pozostaje tu, i za kilka minut z przerażającą szybkością pozostanie poza nią.

Mimo wszystko zbliżyłem się do czegoś.

Lekko poruszyłem obraz. Teraz przede mną stał młodzieniec. Trzymał rękę dziewczyny o wielkich oczach, w których były łzy. Ich ręce zastygły w jakimś nienaturalnym geście — zacząłem się obawiać, że on złamie jej delikatne palce… Ale ani on, ani ona tego nie odczuwali. Odwróciłem twarz młodzieńca tak, żeby patrzył prosto na mnie. Tak… Oczywiście… Zegnał się ze sobą. Twarz jego była śmiała, nieco surowa, wyrażała zdecydowanie. Nie dostrzegłem wahania, tylko to ledwie dostrzegalne: „Żegnajcie!…" Jeszcze raz poruszyłem obraz — wciąż w wielkim zbliżeniu. Oto kobieta… Odprowadza swoje dziecko, już dorosłe, ale dla niej wciąż dziecko. Z twarzy bije duma, ale i jest nieprzeparta chęć cofnięcia tego wszystkiego — nie, nie żegnać, lecz przytulić do piersi i nigdy więcej nie wypuścić, nigdy.

Obraz przesuwa się na prawo, na lewo, w górę, w dół… Starzec, jakaś kobieta, dziewczynka… i jeszcze, jeszcze jacyś ludzie. Twarze, postacie i dusze, dusze ludzkie otwarte ku tym dwojgu, którzy stoją na podnośnikach „Myśli" i „Czułości".

No cóż, zdaje mi się, że choć trochę zrozumiałem tych, co żegnali, chociaż było to niewiele. W myśli zbudowałem teraz ogólny obraz. Udało mi się to z trudem, ale się udało. Zawstydziłem się z powodu tych wymachujących rąk w „powitalnym" geście. No cóż! Ludzie oczywiście na swój sposób wymachiwali im rękami — z radością, z bólem, z czułością… Jedni mieli w oczach łzy, jak ta dziewczyna o wielkich, czarnych oczach, inni coś krzyczeli, uśmiechali się, patrzyli surowo, w skupieniu i ze spokojem.

Nie można było dłużej zatrzymać w myślach tego obrazu — nie starczyło mi na to siły i woli. Rozerwałbym się na tysiące kawałków, gdybym nawet spróbował zatrzymać go w swojej świadomości. Zresztą teraz nie było mi to już potrzebne.

Zrozumiałem, że każdy był tu sam ze sobą i po części jednym z wielu. Zdekoncentrowałem się i obraz znikł. No i dobrze! Wiele mnie nauczyli. Przybliżyłem się do momentu rozwiązania swojego zadania i zmęczyłem się. Siedziałem z odrzuconą na oparcie fotela głową i o niczym już nie myślałem… Strzały statków wzbijały się w górę, ktoś odlatywał, pozostawiając cząstkę swojej duszy na Ziemi — w tych, co żegnali. Ktoś pozostawał oddając siebie kosmosowi, którego być może nigdy nie zobaczy.

Minęła godzina. Cóż z tego. Trzeba kontynuować rozpoczętą pracę. Wywołałem obraz ich statków, potem zbliżyłem je i zrobiłem tak, żeby twarze kosmonautów były tuż obok siebie. Uśmiechali się. Później ona ukradkiem spojrzała na niego. Na moim obrazie niezbyt to się udało. Przecież wówczas stali w odległości stu metrów od siebie. Jej spojrzenie było skierowane tam, ku „Myśli" i dlatego przeszło ponad nim. Trwało to niecałą sekundę, a potem obraz zamazał się i rozpłynął.

Nie, jeszcze ich nie zrozumiałem. I w tym momencie przestraszyłem się. A co, jeśli nigdy ich nie zrozumiem?! Wstałem i poszedłem na dół. Potem długo chodziłem po wszystkich oddziałach obsługujących kosmodrom. Drzwi pokojów i sal stały przede mną otworem, ale dusza tych dwojga pozostawała zamknięta.

Czy dobrze ich poznałem? No cóż, spenetrowałem biblioteki, spotykałem się z ludźmi, którzy ich dobrze znali, przeglądałem kroniki… Poświęciłem im dużo czasu. Poznałem prawie każdy

dzień z ich życia, przecież zawsze byli na widoku. W każdym bądź razie od chwili wstąpienia do szkoły kosmonautów do momentu startu z Ziemi.

Jednak nie pamiętam tej chwili, gdy startowali. Byłem wtedy w zupełnie innym miejscu. Może właśnie dlatego zabrałem się do rzeźby, że wierzyłem w możliwość odtworzenia tego wszystkiego.

O, jak to było ważne dla mnie!

I mimo wszystko stropiłem się. Te wymachujące ręce w „powitalnym” geście, ta duma, radość, szczęście i nawet zawiść — wszystko to stanowiło tylko zewnętrzną, pozłacaną powłokę, i dlatego też nie było ani najważniejsze, ani głębokie.

Uczyli się w jednej klasie. Potem wstąpili do szkoły kosmonautów. Tam na trzecim roku zaproponowano im lot w Daleki Kosmos. Byli absolutnie dobrani pod względem psychologicznym. Zaszokowało to uczonych i wywołało uczucie pewności, że lot zakończy się sukcesem.

Potem nastąpiły przygotowania. Miesiące i lata zostały zaprogramowane co do minuty. Nawet odpoczynek został dokładnie zaplanowany przez uczonych. Każdy ich krok był odnotowany w protokołach i aktach. Robiono to oczywiście w sposób dyskretny, niezauważalny i taktowny. Sami zapewne o tym nie wiedzieli, może tylko intuicyjnie wyczuwali.

Już dawno zrozumiałem, że byli zakochani. Ale czy z tego mogło cokolwiek wynikać, zwłaszcza uczucie radości z powodu lotu? Przecież musieli lecieć na różnych statkach i nigdy nie mogli ich opuścić i spotkać się, aż do chwili lądowania na planecie Pomarańczowa Gwiazda. Mieli wprawdzie stałą wideo– i fonołączność… A może chcieli być sami po tylu latach rozłąki, będąc niemal tuż obok siebie.

Stop… Coś przyszło mi do głowy. Nigdy nie byli sami. Tak, to jest coś… W notatkach o nich istniała pewna luka. Trwała zaledwie kilka godzin, gdy udało im się niepostrzeżenie ujść, zmylić czujność opiekunów.

Wsiadłem do pociągu i pojechałem do pewnej niewielkiej stacji syberyjskiej. Potem odnalazłem brzeg leśnej rzeczułki zarośniętej wierzbami. Długo stałem tam nad wodą, mocno trzymając się za giętki pień drzewka…

Nie powrócili na Ziemię. Było to absurdalne, nieprawdopodobne i nieuczciwe. Nie mogłem nawet znaleźć odpowiednich słów na określenie tego, co się stało. Ich statki zostały odnalezione daleko od zaprogramowanej trasy lotu. Nie dolecieli do celu.

Byli pierwsi, i koniecznie należało postawić im pomnik, nad którym się trudziłem.

Stałem nad rzeką i rozmyślałem. Dlaczego właśnie chciałem utrwalić ich u szczytu sławy, uwielbienia i wielkości? Czyż nie z tego właśnie powodu nie mogę zatrzymać obrazów w myślach nawet na chwilę? A więc nie był najważniejszy ani bohaterski czyn, ani sława. To tylko powierzchowny wyraz działań i dążeń człowieka.

Skończyłem więc raz na zawsze z placami i alejami kosmonautów. Stać tam nigdy się nie zgodzą.

Tutaj gdzieś, może tuż obok, byli razem. Czy powiedział wówczas, że ją kocha? A może ona to powiedziała?

Było cicho, bardzo cicho, prawie tak, że ledwo dosłyszalny plusk fal i szelest liści na wierzbach tylko pogłębiał tę ciszę, to milczenie.

Stałem i patrzyłem jak szli po trawie i ze zdziwieniem wsłuchiwali się w ten przepiękny, milczący świat. To pojawiło się w nich po raz pierwszy — z dala od wszystkich ludzi. Milczeli.

Nic nie mówili. Milczenie było piękniejsze od wszelkich słów. Tym milczeniem teraz, teraz mówili nawzajem sobie wszystko. Wówczas nic oprócz nich nie istniało na świecie, ani wszechświat, ani statki kosmiczne, ani Pomarańczowa Gwiazda. Po raz pierwszy znaleźli się sami i wiedzieli, że nie na długo, być może tylko jeden jedyny i ostatni raz.

Obraz utrzymywał się lekko, prawie bez wysiłku. A więc nie było w nim fałszu, więc takimi byli naprawdę w tym momencie nawet, jeśli nie w szczegółach, to na pewno w swej istocie. Teraz rozpoczęła się już lekka praca. Mogłem zatrzymać ten nieosiągalny jeszcze obraz w każdej chwili, by potem dorzucić detale i zwiększyć rozmiary. Mogłem zrobić go wielkości wieży Eiffela, jeśli rzeźba będzie postawiona na olbrzymim placu. Potem zrobiłbym cokół i umieściłbym na jego niezwykłej formie napis: „Myśl" i „Czułość". Pozostaliby w ten sposób utrwaleni na wieki w kamieniu i metalu, znani wszystkim, no może trochę niezrozumiali, bo dla wszystkich byli bohaterami — a ja chciałem natomiast uczynić ich ludźmi, zwykłymi, prostymi ludźmi, jak wszyscy, jak ty i ja, jak całująca się na przeciwległym brzegu rzeczułki dziewczyna z chłopcem.

Nie wiem, czy zostałbym zrozumiany. Była to jednak prawda. Ta chwila, to zadziwiające milczenie stało się całym sensem ich życia. Zrobię model, pokażę go specjalistom, niech dyskutują, udowadniają — posiadam teraz nad nimi przewagę. Zrozumiałem nieco dusze tych dwojga młodych i nikt oprócz mnie nie jest władny zatrzymać obrazu w myśli jeśli on odpowiada mojej. Nikt teraz nie jest w stanie zrobić z nich tylko bohaterów, ponieważ najistotniejsze w nich było to milczenie, ta nieśmiała, wzajemna miłość, a poprzez nią i miłość do wszystkich ludzi, do całej Ziemi. I nawet, gdyby sami odlatywali w Daleki Kosmos, to i tak dzięki swojej miłości zabraliby ze sobą całą Ziemię.

Milczenie…

Zeszli ku rzece.

On usiadł na powykręcanym, przegniłym drzewie wyrzuconym na brzeg. Ona — przycupnęła obok — położyła głowę na jego kolanach i wyciągnęła w górę ku jego twarzy rękę. Nachylił się nad nią.

Tak, była to ta sama chwila! Zrozumiałem. Niczego więcej nie chciałem zmieniać. Niech wszystko będzie tak, jak jest!

Bez tego milczenia nie mogliby znieść nawet jednorocznego lotu. Bez tego milczenia zginęliby. Bez tego milczenia nie mogliby, wytrzymać jeszcze wcześniej, przed startem, i nawet gdyby wystartowali, to i tak byliby już złamani i pokonani.

Tak! Tak! Tak jest w istocie! Teraz w milczeniu rodzi się ich sława. Nie, nie trzeba sławy. Niech pozostaną ludźmi. Niech się kochają.

Zatrzymałem obraz…

Długo milczałem. Wcześniej też tworzyłem rzeźby. Teraz mógłbym przekształcić ten obraz w coś realnego, w rzeźbę. Tak też zrobiłem.

Zamarli.

Zmęczyłem się. Mimo wszystko rzeźbiarze–myślotwórcy mają nadzwyczaj ciężką pracę. Więcej nie patrzyłem na nich. Tak. Zrobiłem swoje arcydzieło. Zrozumiałem to od razu. Nigdy nie stworzyłem czegoś takiego i już nie stworzę. Jak gdyby jakiś ciężar spadł mi z serca. Czułem lekkość, ale nie tak jak niegdyś — coś mi jeszcze doskwierało.

W tym momencie popełniłem błąd. Tutaj było coś innego. Rzuciłem papierosa i podszedłem do nich. Wszystko było tak, jak chciałem. Delikatnie dotknąłem skóry na jej twarzy. Dostrzegłem szczęście i cierpienie w jej oczach. Szczęście i niepewność zobaczyłem na jego twarzy.

Tak. Świetnie złapałem tę chwilę. Ludzie będą na nich patrzeć i płakać. Dostrzegą coś znacznie bardziej ważnego, aniżeli odwagę i czyn bohaterski. Zauważą ból, z którego dopiero co rodzi się ich przyszłość, ich śmierć, ich sława… I milczenie. Słusznie, przecież mówili ze sobą tylko w tych chwilach milczenia.

Będą milczeć zawsze. Pojawią się tysiące pokoleń, które przejdą obok nich, a oni wciąż będą milczeć, jak wówczas.

Usiadłem na kamieniu obok nich. Mógłbym teraz zniszczyć tę rzeźbę, a w domu, w swojej pracowni ponownie ją odtworzyć. Ale z jakiegoś powodu nie mogę. Wiedziałem, że wszystko zrobiłem należycie, ale nie mogłem już pokazać jej ludziom. Byli teraz dla mnie nazbyt żywi. A potem… te tysiące lat milczenia. Wówczas ich milczenie było cudowne, dlatego że nieoczekiwane, dlatego że trwało chwilę. A teraz? Tysiące lat milczenia!

Nie! Lepiej to zniszczę. Ale nie mogłem tego zrobić.

Trzeba było pokazać ją ludziom. Ale i tego również nie byłem w stanie zrobić.

Trzeciego wyjścia nie było. Chociaż prawdę mówiąc, było ale zostało ono zakazane: po tym, co zrobiłbym, nie istniałbym już jako rzeźbiarz–myślotwórca. Nie mam więc prawa tego uczynić. Musiałbym poradzić się kogoś, chociażby Ostrowoja. Ale to i tak oznaczałoby odmowę.

Siedziałem obok nich, obok tych, którzy kiedyś odlecieli na „Myśli” i „Czułości” i nie powrócili, i paliłem dopóty, dopóki nie skończyły się papierosy. I słońce już zaczęło muskać wierzchołki drzew, a ja nie mogłem zdobyć się na żaden krok. I nagle słońce oświetliło jej twarz pod jakimś dziwnym kątem, i w oczach dziewczyny zobaczyłem łzy. Z tymi łzami rzeźba stawała się jeszcze bardziej naturalna, jeszcze piękniejsza. Oniemiałem, zjeżyłem się wewnętrznie w oczekiwaniu, że słońce zaraz zakończy swój efekt świetlny… Ale łza nagle potoczyła się po twarzy. Poruszyłem ręką twarz dziewczyny — łza była prawdziwa, słońce nie grało tu żadnej roli.

I wtedy wstałem, obejrzałem wszystko raz jeszcze i powiedziałem: „No cóż, żyjcie…”

Szedłem prosto, gdzie oczy poniosą, wmawiając sobie, że nie ma po co się oglądać. Ale nie wytrzymałem i obejrzałem się. Stali na brzegu tuż nad wodą, ale stąd, gdzie stałem, nie mogłem słyszeć czy rozmawiają, czy też milczą. Zresztą wcale nie musiałem o tym wiedzieć.

Zmrok zapadł w lesie, a ja wciąż szedłem przed siebie i szedłem, i szło mi się lekko, i chciało mi się iść. I cisza panowała wokół.

Na drugi dzień zjawiłem się u Ostrowoja.

— Co u ciebie? — spytał. — Czy coś się udało?

— Udało mi się — powiedziałem. — Otóż zdarzyło mi się… Nie jestem już rzeźbiarzem, nie jestem myślotwórcą. Pozwoliłem im… żyć.

— Zwariowałeś! Złamałeś przysięgę! Co z tobą będzie?

— To, co z innymi rzeźbiarzami–myślotwórcami, którzy złamali przysięgę — odpowiedziałem spokojnie. — Do widzenia!…

Przełożył Jerzy Litwinow

Wiktor Kołupajew

SIÓDMY MODEL

1

Otworzyły się drzwi prawie pustego autobusu. Przystanek końcowy. Za szosą zaczynał się park ciągnący się aż do rzeki. Spoza wierzchołków sosen widniały dwa górne piętra naszego instytutu. Sosny błyskawicznie tłumiły dźwięki miasta. Skrzypienie piasku na jeszcze mokrych od rosy dróżkach, szum gałęzi i zapach… Cóż za zapach!

Z hallu szerokie schody prowadziły na pierwsze piętro do dużej, jasnej sali z tarasem widokowym na Manę i jej lewy brzeg. W sali stały fotele, a na stolikach bukiety polnych i leśnych kwiatów. Piloci doświadczalni zbierali się już powoli. Wszyscy byli jeszcze w zwykłych ubraniach mieszkańców miasta. Przywitałem się. Odpowiedzieli mi jednocześnie. Niektórzy spędzili już chwilę na tarasie widokowym i szli teraz w kierunku drzwi prowadzących do ,,ekwipażowni”.

Rzut oka na zielony, z niebieskimi żyłkami jezior, lewy brzeg Many stał się już rytuałem. Projektanci naszego instytutu znali już trochę psychikę człowieka. Widok z tarasu był piękny o każdej porze roku. Rozpościerająca się prawie na dwadzieścia kilometrów równina działała kojąco na ludzi. Bardziej na lewo Mana— skręcała nagle pod kątem dziewięćdziesięciu stopni na północ, rozlegle błyszcząc w słońcu swoją spokojną, równomierną gładzizną, a nieco wcześniej, gdzieś za Sinym Urwiskiem zlewała się z mgiełką horyzontu.

Westchnąłem i obejrzałem się. Dwa kroki ode mnie stał eksperymentator Strokin.

— Co słychać, Walery, z naszą „podopieczną”? — spytałem.

— Na zmianie wieczornej wszystko było’ w porządku — odpowiedział.

— To znaczy, nic? Strokin wzruszył ramionami:

— A cóż u nas może być interesującego? Ostatecznie u Markiełowa, no i możliwe, że w trzecim modelu jest coś ciekawszego. Ale u nas…

Walery machnął ręką i zamilkł. Staliśmy jeszcze chwilę w milczeniu.

— Jak pięknie… — powiedział Walery.

Skinąłem głową i odszedłem na bok. Nie miałem ochoty dłużej rozmawiać. A miejsce rzeczywiście jest świetne. Bajeczne, kojące. Właśnie tutaj, w obliczu owego ziemskiego piękna — skończonego, spokojnego, prostego — eksperymentatorzy wyrzekali się wszystkiego, co ziemskie, wszystkiego, co było w domu, rodzinie, u znajomych, w mieście, w kraju, w ogóle na Ziemi.

Dziwne i pociągające wrażenie, jakby lotu.

I świadomość już automatycznie skierowana ku czemuś innemu podpowiadała mi, że należy iść do „ekwipażowni”. Machinalnie nawet o tym nie myśląc, otworzyłem drzwi, wszedłem do sali, w której nie było już okien tylko rząd kabin; wszedłem do jednej z nich — mojej.

Po dziesięciu minutach wyszedłem ubrany w kombinezon ściśle przylegający do ciała, wygodny i wcale nie krępujący ruchów; ruchomymi schodami w końcu sali wjechałem na następne piętro. Tutaj znajdowały się sale projekcyjne albo, jak je nazywaliśmy, „przedsionki”. Zgodnie z liczbą pilotów na jednej zmianie, było ich czternaście. Wszedłem do swojego. Dwumetrowy ekran stereoskopowego telewizora. Pulpit sterowniczy i cztery fotele. W trzech siedzieli już inżynierowie personelu obsługi. Przyjemne, przyciemnione światło, szum aparatury, znajomy i pożądany. Przywitałem się. Wszyscy trzej odwrócili głowy, odpowiedzieli na powitanie. Jeden zakręcił się w fotelu, zapytał:

— Przegląd?

— Tak — odpowiedziałem. — Ile minut informacji? — O godziny eksperymentatorzy już nawet nie pytali.
— Zero — odpowiedział inżynier.
— Dobrze. Ile dostarcza komputer?
— Kwadrans.
Oznaczało to, że mózg elektronowy instytutu z ośmiu godzin pracy eksperymentatora wybrał zaledwie piętnaście minut, które w ogóle miały jakiekolwiek znaczenie dla doświadczeń. Ale i te… Piętnaście minut — to tak tylko, dopuszczalne minimum czasu. Chciał nie chciał, obejrzeć trzeba. Mimo wszystko nic pożytecznego i interesującego, się nie zdarzy.
— Zmiana wieczorna — powiedział inżynier. — Model siódmy.
Wiedziałem i tak, że będzie przegląd zmiany wieczornej. Nocna jeszcze nie wróciła. A po powrocie materiały jej badań będą przez kilka kolejnych godzin opracowywane. Ta ośmiogodzinna różnica czasu stanowiła pewną niedogodność, ponieważ w czasie zmiany nie było żadnej łączności z eksperymentatorem. Na osiem godzin był on pozostawiony samemu sobie. Wprawdzie było ich tam dwóch, ale nie miało to większego znaczenia. Przecież łaziki pracowały w różnych kwadratach. W instytucie prowadzono już prace nad przetwarzaniem nadchodzących od eksperymentatorów informacji w realnej skali czasowej. Ale system ten jeszcze nie prędko zostanie wprowadzony. Kilka minut można porozmawiać z eksperymentatorem zmiany nocnej — Wolnowem, po jego wyjściu z łazika. I to wszystko…
Usiadłem w fotelu przed ekranem, powiedziałem:
— Przegląd.
Ekran ożył.
Napłynęły piaszczyste wydmy, odeszły na boki, bardzo żółte, martwe, zwyczajne. Maszyna poruszała się prawdopodobnie z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czułem to.
— Trzecia godzina czterdziesta piąta minuta — powiedział automat.
Znaczyło to, że kadry, które pojawiły się na ekranie odpowiadały trzeciej godzinie czterdziestej piątej minucie od rozpoczęcia wieczornej zmiany.
— Dlaczego centrum obliczeniowe wybrało właśnie ten moment? — spytałem.
— Nastąpiło przyśpieszenie pulsu eksperymentatora — odpowiedział inżynier.
Przyśpieszenie pulsu! Uśmiechnąłem się. Też mi kryterium! Może Kriestianczykowowi zachciało się pić?
— Operator Kriestianczykow wypił butelkę wody mineralnej — inżynier jak gdyby czytał w moich myślach.
Tak przypuszczałem. On jeszcze w jednym przypadku obowiązkowo ma podwyższone tętno.
— A Wasiliewowi w tym momencie nie chciało się pić? — spytałem. Pytanie było zbędne. Sam wiedziałem.
— Nie — krótko odpowiedział inżynier. Równocześnie dwaj pozostali, manipulując klawiszami sterowania centrum obliczeniowego, jeszcze raz, kawałek po kawałku przeglądali na ekranie zwykłego telewizora cały ośmiogodzinny videozapis wieczornej zmiany. , Czwarta godzina piętnasta minuta — oznajmił jeden z nich. I znów wydmy otaczały łazik. Ach! Przecież one wszystkie są takie same! Ale mimo to zrozumiałem, że Kriestianczykow wraca. Na podstawie czasu nietrudno się było tego domyślić.
— Dlaczego? — spytałem.
— Opadło tętno — odpowiedział inżynier.
— Pragnienie?
— Nie.

— Współrzędne?
— Te same, co w trzeciej godzinie czterdziestej piątej minucie.
Dziwne, pomyślałem, dlaczego wraca po swoich śladach? Zwykle łaziki robiły okrąg lub elipsę, chociaż i to nie było zastrzeżone w instrukcji. Poszukiwania na „podopiecznych” były swobodne, oczywiście, w granicach wskazanego kwadratu.
— Dlaczego wracał po swoich śladach?
— Nie ma konkretnego wyjaśnienia. Po prostu Kriestianczykow tak chciał.
— Jasne. Wrażenia?
— Nic niezwykłego.
— Współrzędne tego punktu w pamięci maszyny?
— Zapisane. Ekran zgasł.
— Przegląd zakończony — powiedział inżynier.
— Jasne.
Pozostali dwaj inżynierowie także zakończyli przegląd videozapisu wieczornej zmiany.
— Co o tym myślicie? — spytałem.
— Informacji jest mało, a właściwie wcale nie ma — odpowiedział jeden. — Przypadek.
— Należy zbadać ten punkt?
— Centrum obliczeniowe nie nalega.
— Centrum obliczeniowe! — żachnąłem się. — A wy, co? Wasze doświadczenie, intuicja, przeczucia?
— Intuicja? A co ma intuicja do siódmego modelu? O, u Markiełowa…
— No, niech tam! Nasz model wcale nie jest gorszy od modelu Markiełowa… — powiedziałem i nagle uspokoiłem się. Sprawdzę, chociaż macie, oczywiście, rację. Siódma „podopieczna” jest pusta.
— Ano, właśnie — westchnął jeden i przeciągnął się, aż mu kości zatrzeszczały.
Oczywiście. Oni naszego siódmego modelu nie traktują poważnie
— Za dziesięć minut koniec nocnej zmiany — przypomniał inżynier.

2

Wszedłem do swego hangaru. Zaraz zjawi się tutaj łazik, z ulgą wyskoczy z niego Wolnow ze zmiany nocnej i ustąpi mi miejsca. Zacznie się zmiana dzienna i jeszcze osiem godzin będę przeorywać gąsienicami piaski „podopiecznej”.
W żaden sposób nie mogliśmy wymyślić nazwy dla badanej planety. Bodajże najlepszą było — „ziarnko piasku”. Ale rzecz w tym, że prawie wszystkie modele pokryte były piaskiem. Wszystkie można było nazwać „ziarnkami piasku”. A niektórzy eksperymentatorzy w swojej fantazji dochodzili nawet do „Nudziarza”.
Ogromna, trochę większa od Ziemi kula piasku. I tyle. Niczego tutaj nie było, ani życia, ani rozumu. Jej samej zresztą także nie było. To jest, owszem, była, ale nie w zwykłym znaczeniu, nie dosłownie.
Od dawna już były znane podstawowe parametry wielu gwiazd: ich masa, spektrum i energia promieniowania, niewielkie odchylenia ruchu, które wskazywały na obecność planet. Komputery czwartej generacji w zupełności dawały sobie radę z modelowaniem. A skoro człowiek na razie nie mógł jeszcze polecieć na inne planety, do innych systemów słonecznych, to dlaczego nie badać tych planet na Ziemi?

Tak zaczęły się pojawiać instytuty podobne do naszego.

Siła ludzkiej wyobraźni i intelektu plus nieprawdopodobne możliwości komputerów w zakresie przechowywania i opracowywania informacji zrodziły parę dziesiątków „podopiecznych” planet, z których jedną badałem właśnie ja i moi koledzy.

Nie było w tym żądnej iluzji, wszystko było prawdziwe, ale znowu niezupełnie w zwykłym znaczeniu. Przecież mogłem zginąć, jeśli łazik nagle by się rozhermetyzował. Mogłem ulec poparzeniom słonecznym, umrzeć z głodu lub pragnienia, gdyby na kilka dni łazik ugrzązł w piaskach. Oczywiście, instytut na wszelki wypadek zatrudnia specjalną grupę ratowników, zuchwałych chłopaków, tyle że pracy jak dotąd nie mieli. Nam, eksperymentatorom, w zasadzie wszystko mogło się przydarzyć. I chociaż nasze ciała w czasie pracy znajdowały się w czterech ścianach instytutu, wyobraźnia i świadomość pracowały na odległej, tak naprawdę przez nikogo i nigdy nie widzianej planecie.

Również eksperymentatorzy brali udział w tworzeniu modeli, ale podczas doświadczeń specjalne detektory centrum obliczeniowego nie przepuszczały do naszej wyobraźni tych fal, które mogłyby zaszkodzić samemu eksperymentatorowi lub „podopiecznej”. Na czas pracy nasza wyobraźnia jakby wyłączała się. Zostawało tylko to, co niezbędne do planowanych badań. A w czasie ośmiogodzinnych zmian byliśmy zobowiązani wytężać swą wyobraźnię, aby znaleźć na planecie coś godnego zainteresowania.

Atmosfera na naszej „podopiecznej” nie nadawała się do oddychania, była bardziej rozrzedzona. Przy wychodzeniu z łazika należało wkładać maskę tlenową, która zaopatrzona była w urządzenie radiowe do rozmów z kolegą ze zmiany. Badań z samolotów i helikopterów jeszcze nie prowadzono. Po pierwsze nie było odpowiednich typów, po drugie spaliny mogły naruszyć pierwotny skład atmosfery. Natomiast malutki łazik z napędem elektrycznym całkowicie się do tego nadawał.

Wszystkie wymodelowane na Ziemi „podopieczne” były puste. Jedynie u samego Markiełowa, no i jeszcze w trzecim modelu były, jak się wydaje, niewielkie punkty zaczepienia. W każdym razie w modelu Markiełowa była atmosfera nadająca się do oddychania i woda, a trzeci model płatał czasami jakieś figle, polegające na paradoksach czasu i przestrzeni. Eksperymentator przepracuje, na przykład, ośmiogodzinną zmianę, a w instytucie przepłynie albo siedem i pół godziny albo osiem i piętnaście minut. Zresztą w trzecim modelu figle mógł płatać po prostu komputer. Przypadek ten należało jeszcze dokładnie zbadać.

A nasza nieszczęsna, bezimienna planetka nie cieszyła się poważaniem i szacunkiem ani inżynierów, ani operatorów.

3

Zapaliła się tablica świetlna informująca, że czas maszyny i nasz, ziemski zgadzają się. Skrzydła hangaru rozsunęły się. Wolnow energicznie pchnął drzwiczki łazika, zeskoczył na betonową podłogę. Był jakiś spięty, podniecony.

— Co ciekawego? — ostrożnie spytałem.

— Mam już dosyć — odpowiedział Wolnow. — Dosyć! Żeby to chociaż miało jakiś sens… Z nudów zacząłem już robić spiralę. Do tego stopnia się wciągnąłem, że zasnąłem w punkcie zejścia. Nawet miałem kolorowe sny. Jakieś bzdury, a wszystko o żółtym piasku. Dobrze, że łazik sam znalazł punkt wyjścia do naszego czasu.

Inżynierowie obsługi dokładnie i sprawnie przeglądali maszynę. Wszystko było w porządku.

— Spirali nie robiliśmy nigdy — powiedziałem. — Zwykle okrąg lub elipsę.

— Sam nie wiem, co mnie napadło. Źle, że nie wierzę już w sens naszej pracy. Nic tu nie znajdziemy, prócz absurdu w snach.

— Jakiż to absurd ci się przyśnił?

— E… Jakaś okrągła bułka, ale metalowa, wysokości czteropiętrowego domu… No… mogę iść?

— Idź… A punkt zejścia spirali?

— A! Tam na mapie zobaczysz. Nie różni się niczym od innych. Wszystko na nic. I ja, i maszyna niewielką mamy fantazję. Niewielką…

Wolnow z roztargnieniem klepnął mnie po ramieniu i wyszedł z hangaru. Rozumiałem go. A przecież wszystko byłoby inaczej, gdybyśmy przylecieli choćby na taką sobie martwą planetkę, gdybyśmy spędzili najpierw pięć, dziesięć lat w czterech ścianach jakiegokolwiek pojazdu kosmicznego. Przecież z radości nie moglibyśmy się napatrzeć na te martwe piaski. Oj, obeszlibyśmy ją całą, zbadali, wyjaśnili, że w miejscu przeciwległym do punktu lądowania wysokość wydm jest o dwa milimetry większa, oczywiście, średnio. A tu, pijesz rano kawę, dajesz wskazówki, córce, żeby na lekcjach siedziała skupiona i wszystkiego dokładnie słuchała, umawiasz się z żoną, kto po pracy pójdzie do sklepu spożywczego, a kto do jarzynowego, potem jedziesz sześć przystanków autobusem, dobrze, że to chociaż przystanek końcowy, wsiadasz do łazika i zaczynasz badać model nieznanej planety, która, nawiasem mówiąc, nawet nie ma nazwy. Potem mówisz zmieniającemu cię eksperymentatorowi, że rzucasz taką pracę w diabły, stoisz w kolejce, wieczorem poczytasz cichaczem literaturę o technice obliczeniowej, bo lepiej już przekwalifikować się na operatora i tworzyć kolejny model „podopiecznej”, niż później go badać.

Naczelnik zmiany obsługi technicznej podpisał protokół kontroli łazika. Można było przystępować do pracy.

Wszedłem do maszyny, zatrzasnąłem drzwiczki, wewnętrzne i zewnętrzne, sprawdziłem hermetyczność kabiny, zapasy energii, żywności, wody, powietrza, przelotnie spojrzałem na mapę leżącą na pulpicie operatorskim. Wolnow rzeczywiście wykreślił spiralę. Ale… Ale wydaje się, że badał zupełnie nie ten kwadrat, który zgodnie z programem miał być badany. Dziwne… To już Wolnow sam wyjaśni w dziale przetwarzania danych, przychodzących z modelu.

Dałem sygnał, że jestem gotów do pracy. Ekranopis wyświetlił program badań i proponowany rejon poszukiwań. Ale ja i tak znałem program prac na cały miesiąc naprzód.

Zapaliła się tablica świetlna. „Można wyjść”… Nacisnąłem przycisk rozruchu. Łazik poderwał się z miejsca, zwolnił nieco, kiedy jego gąsienice zaryły się w piasku, szarpnął, przejechał jeszcze około stu metrów i zatrzymał się.

W kabinie było chłodno. A tam, za szkłem… Według ziemskich miar — dziesięciodniowa doba „podopiecznej”. Ale co ciekawe: kiedy tworzono program naszego siódmego modelu, komputer w żaden sposób nie chciał obniżyć temperatury na powierzchni „podopiecznej” poniżej +53 stopni Celsjusza.

Słońce wzeszło wysoko i rozżarzyło piasek. Dzisiejszy program nie przewidywał wyjścia na powierzchnię, chociaż w kombinezonie i masce tlenowej można to było zrobić.

Teraz powinienem podać program układowi samosterującemu. Ale najczęściej eksperymentatorzy sami prowadzili maszynę. Mimo wszystko było to jakieś zajęcie, jakaś praca, a układ samosterujący przekazywał korekty, jeśli maszyna schodziła trochę z kursu.

Jeszcze w hangarze wydało mi się, że dzisiejsza marszruta nie zgadza się z zaprogramowaną. Było to dopuszczalne. Eksperymentator miał prawo improwizować. Dzisiaj jednak działo się tutaj coś innego.

Przecież Kriestianczykow na wieczornej zmianie zamiast po okręgu szedł po prostej wracając tą samą drogą. Wolnow na zmianie nocnej wykonał spiralę zstępującą.

Ale to jeszcze nie wszystko… Wolnow od razu wyszedł ze swojego sektora. Gąsienicami łazika miesił piasek już zbadanego odcinka. Chwileczkę! Przecież punkt schodzenia spirali zbiegał się z tym miejscem, w którym u Kriestianczykowa najpierw wzrosło, a w drodze powrotnej zmalało tętno. Ale przecież ani jeden, ani drugi nie zauważyli nic niezwykłego… No więc tak, u Kriestianczykowa puls uległ przyśpieszeniu… I co z tego? Głupstwo… Ale po co popędził tam Wolnow? Przecież nawet nie wiedział, że w tym punkcie coś zaszło z Kriestianczykowem.

Tak… Ale przecież ja już coś wiem. Oczywiście komputer wszystko przetworzy i poda wyniki. Ale wszystko to stanie się dopiero za osiem godzin.

Zaplanowany sektor i tak może poczekać. Ale ten dziwny punkt…

Poradzić się mogłem tylko Strokina, eksperymentatora z drugiego łazika, znajdującego się jakieś dwieście kilometrów ode mnie. Włączyłem nadajnik.

— Kuriłow do Strokina. Zamierzam zbadać wczorajszy kwadrat Kriestianczykowa.

— Strokin do Kuriłowa. O co chodzi?

— Nie wiem. Ale Wolnowa ze zmiany nocnej nie wiadomo dlaczego tam poniosło, mimo że nie zauważył nic ciekawego. A co u ciebie?

— Jestem w kwadracie zgodnie z programem. Łączność stała.

— Dobra. Ale będziesz musiał cokolwiek opowiadać. Zbyt mało mamy informacji o „podopiecznej", aby o niej rozmawiać.

— Będę śpiewał. To znaczy nucił. Wiesz, Aleksy, kiedy jestem tutaj, cały czas przychodzą mi do głowy melodie jazzowe. Wykonuję, oczywiście w myśli, wszystkie partie: trąbki, banjo, saksofonu, nawet perkusji. Wzbogacam aranżację, tworzę wariacje. Samemu mi się nawet podoba. A tam, u siebie, w mieście, w instytucie, coś takiego do głowy mi nawet nie przyjdzie.

— To dlatego, że tu odczuwasz głód wrażeń. Brakuje odczuć. Piasek. Wciąż ten sam piasek bez końca. A więc, Walery, jestem w kwadracie Kriestianczykowa.

Strokin w odpowiedzi coś zanucił.

Uruchomiłem maszynę i z maksymalną prędkością skierowałem ją do punktu, w którym Kriestianczykow miał te wahania pulsu. Ja robiłem to świadomie, ale co pociągnęło tam Wolnowa?

Łazik jechał lekko, bez wysiłku, jak zwykle. Tak, ale teren był całkowicie równy. Piasek. Tylko piasek! W określonych przez program odstępach czasu kompleks badawczy łazika automatycznie przeprowadzał różnorodne pomiary. Ale wszystko to, byłem pewien, na próżno, tylko po to, by cokolwiek robić, żeby wykonywać program, słowem — dla uspokojenia sumienia.

Przecież siódmy model jest pusty. Tylko taką oto prościutką planetkę potrafił wymodelować mózg elektronowy naszego instytutu. Zabrakło komputerowi fantazji, czy co? Mocy mu nie starcza? Oczywiście, kiedyś można będzie modelować skomplikowane światy. Kiedyś będzie można… A na razie wypada ugniatać gąsienicami sypki piach. I tak będzie, dopóki dla wszystkich nie stanie się jasne, że nie ma czego szukać na „podopiecznej" i zamkną ją po prostu, jak to już bywało nieraz. Potem wymodelują inną, zapewne też pustą. Z początku będzie trochę ciekawości, wszyscy będą na coś czekać, mieć nadzieję.

Ale nagle złapałem się na takim oto uczuciu: zrobiło mi się żal siódmego modelu, który do tej pory nawet nie miał nazwy. Żal, że z powodu nieprzydatności, gdzieś tam w magazynie pechowych projektów naukowych, w postaci programu na szpuli z taśmą magnetyczną, będzie pokrywał się kurzem. Żal… No dobrze! Wkrótce „podopieczna" nikomu nie będzie potrzebna. Badaczom, to znaczy operatorom, eksperymentatorom. Czyżby nie można jednak było zastosować jej do jakichkolwiek innych celów? Oddać uczonym, fizykom, chemikom lub biologom. Niech

tworzą tutaj swoje centrum naukowe. Ależ oczywiście! Na przykład fizykom jądrowym. Zbudują tu jakiś oszałamiający synchrofazotron i będą spokojnie siedzieć i cieszyć się. A różne przedsiębiorstwa przemysłowe ze szkodliwymi odpadami? Przecież je również można umieścić na takich właśnie wymodelowanych planetkach. I w ogóle wszystko, czego ludzkość nie potrzebuje. Można nawet wycieczki urządzać. Czegóż zresztą nie można by zrobić…

Oczywiście na razie wszystko zależy od energii i możliwości mózgu elektronowego. Przecież z punktu widzenia zużycia energii wprowadzenie na wymodelowaną planetkę mojego łazika wcale nie jest takie łatwe. Tutaj właśnie zużywa on taką samą ilość energii, jak na Ziemi. Mnóstwo energii pożera przejście z Ziemi na model. Ale i ten problem ludzkość kiedyś rozwiąże. Gorzej z fantazją mózgu elektronowego.

Gorzej. A co to za czasowo–przestrzenne paradoksy w trzecim modelu? Przecież to chyba nie jest błąd w modelowaniu, tylko właśnie skomplikowany model z założonymi w—programie paradoksami! Będą tam pewnie badać nie samą „podopieczną", ale zbudują jakiś instytut do spraw Czasu i Przestrzeni.

Czwarty miesiąc pracuję jako eksperymentator, a dopiero teraz przyszła mi do głowy myśl, że możliwości „podopiecznych" są o wiele większe, niż mi się to wydawało wcześniej. Ale ktoś z pewnością wiedział o tym od samego początku.

Mało brakowało, a zaśpiewałbym, powstrzymałem się jednak. Lepiej niech już Strokin nuci.

A przecież w jednej chwili praca stała się ciekawa. Oj, ty, piękna! Piękna! Oczywiście, że ;,Piękna"! A tu — jakaś „podopieczna"! Można umrzeć z nudów! „Piękna"!

4

W piaskach nic się nie zmieniło. Bo i co mogło się tu zmienić! Ostre światło z nieba i żółte morze od krańca do krańca.

I oto byłem już mniej więcej w tym samym miejscu, w którym zeszła się spirala Wolnowa, i w którym raz przyśpieszał, raz zwalniał puls Kriestianczykowa. Współrzędne określić mogłem z dokładnością do stu metrów, nie większą. Nic interesującego tutaj nie zauważyłem. Ale wrażenie czegoś tajemniczego, znaczącego i budzącego trwogę narastało we mnie. Nie miałem już wątpliwości, że coś tu spotkam. Przecież nie bez powodu Kriestianczykow przeciął ów punkt dwa razy, a Wolnowa pchało tu po zstępującej sprali, ja zaś pędziłem wprost, chociaż powinienem teraz znajdować się w zupełnie innym kwadracie.

Piasek i słońce. Byłem jednak pewien. Co z tego, że na razie nie zobaczyłem, nie usłyszałem jeszcze niczego, ale to jest gdzieś tutaj. Łazik zaczął przemierzać kwadrat. W ciągu dwudziestu minut objechałem go wzdłuż i wszerz.

I nic…

Wobec tego zmieniłem taktykę. Jeśli ono mnie przyciąga, niech samo wskaże drogę. Zamknąłem oczy zdając się tylko na wyczucie. Koło sterowe w moich rękach kręciło się to w lewo, to w prawo. Łazik jechał powoli, jakby po omacku, na oślep.

I nagle, nawet sobie tego nie uświadamiając, gwałtownie nacisnąłem na hamulce. Otworzyłem oczy… Wprost przede mną, w odległości około dwudziestu metrów wznosiła się jakaś dziwna konstrukcja. A przecie jeszcze minutę temu nie było jej tutaj. Nie rozumiałem tej budowli, nie widziałem w niej ni celu, ni sensu. A jednocześnie był to oczywisty wytwór intelektu, nie przyrody.

Wewnętrznie byłem przygotowany na coś nieoczekiwanego. A mimo to… A mimo to dałem się zaskoczyć. Lecz mózg pracował spokojnie, tylko tętno wzrosło i krew napłynęła do twarzy. Czułem to.

Zgodnie z instrukcją należało sfilmować wszystko, co zasługuje na uwagę. W instytucie porównają później kadry taśmy filmowej z modelem komputera. W stu przypadkach na sto obrazy powinny się zgodzić. Ale to ich sprawa… Uruchomiłem ustawioną na dachu łazika kamerę. Teraz należało się upewnić, że to coś nie jest niebezpieczne dla człowieka. Byłem o tym przekonany, ale nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. Mało tego, że ono nie było dla mnie niebezpieczne, ono wzywało pomocy? Tak mi się wydało. Przypiąłem maskę tlenową, wśliznąłem się do śluzy i po minucie znalazłem się na piasku.

Co to? Czyżby komputer w naszym instytucie wymodelował jakąś konstrukcję? Specjalnie, żeby mnie — zadziwić? Albo wymyślono nowe badania? Albo w komputerze coś się zepsuło, zacięło i diabli wiedzą, co będzie teraz modelował? Zgasi słońce lub rozewrze przede mną odmęty oceanu. Ależ nie. Do takiego modelowania nie jest zdolny. A jeśli to przekłamanie… Jeśli nawet przekłamanie (choć coś takiego trudno podejrzewać), to przecież powinno pojawić się coś bezsensownego, cudacznego. I chociaż chwilę przedtem nie widziałem w dziwnej konstrukcji żadnego sensu, nagle wydało mi się, że mimo wszystko jest tworem logicznym.

Podobna była do bochna chleba. Do tej samej „bułki”, którą Wolnow ujrzał w koszmarnym śnie!… Ale nie we śnie ją widział! Nie we śnie! Wszystko to działo się na jawie.

Ruszyłem, z trudem wyciągając nogi z piasku. Natrafiłem na zasypany do połowy ślad gąsienicy. Nie ma co, porządnie przemieszałem tutaj piasek swoim łazikiem.

I wtedy dotarło do mojej świadomości, że od kilku już minut nie słyszę mruczenia Strokina. Co więcej, nawet mu nie przekazałem, że natrafiłem na coś dziwnego. Ale co tam, dwie minuty jeszcze .poczeka. Rzucę tylko okiem na wznoszącą się przede mną konstrukcję i wrócę do łazika.

A przede mną rzeczywiście wznosiła się prawie siedmio–, ośmiometrowa budowla. Wyglądała jak pewnego rodzaju półsfera z metalowych żeber, z występami i zagłębieniami. Podszedłem bliżej i dotknąłem konstrukcji ręką. Powierzchnia była bardziej chłodna, niż można się było spodziewać przy takiej spiekocie. Zacząłem chodzić po okolicy, starannie omijając występy. Nie chciałem na razie ryzykować i nie zaglądałem nawet do wnętrza zagadkowych zagłębień. Powróciłem do miejsca, z którego zacząłem swój obchód. Ślady moich stóp były jeszcze wyraźnie widoczne.

Nie rozumiem… Co to jest?

Wszedłem do maszyny, wezwałem Strokina. Kolega ze zmiany nie odpowiedział. Milczał także automatyczny radio–nadajnik jego łazika. W zasadzie Strokin mógł po prostu zasnąć, co oczywiście było bardzo mało prawdopodobne. Ale dopóki maszyna znajdowała się na „Pięknej” powinien cały czas czuwać. Było wystarczająco dużo powodów do niepokoju. Przynajmniej jednego byłem winien: zanim wyszedłem z łazika, nie poinformowałem Strokina o dziwnej konstrukcji, nie przekazałem swoich planów. A wszystko przez to, że praca na modelu była jakaś taka pospolita. Zakończy się zmiana i od razu do domu. Na prawdziwej planecie nigdy bym tak nie postąpił.

Na „Pięknej” łączność między łazikami nigdy dotąd nie została przerwana, nigdy też nie zdarzały się zakłócenia w odbiorze radiowym. Możliwe, że to właśnie uśpiło w pewien sposób moją czujność. Spokój i monotonia, piasek i słońce.

Czyżby Strokinowi coś się przydarzyło? Ale co tu może się zdarzyć? Na dodatek ta konstrukcja! A dziwne trasy Kriestianczykowa i Wolnowa? Znaczy, że może!

Jeszcze się wahałem, chociaż w takiej sytuacji algorytm mojego zachowania był jednoznaczny. Niech sobie „Piękna” nawet na głowie staje, ale życie człowieka jest najważniejsze.

Aby nie objeżdżać tajemniczej konstrukcji, wrzuciłem wsteczny bieg i przejechałem pięćdziesiąt metrów.

Wciąż tak samo mruczał Strokin, aż do horyzontu nie było widać nic dziwnego. Ślad łazika urywał się jakieś pięć, siedem metrów przede mną. To wszystko spostrzegłem w ułamku sekundy.

— Kuriłow do Strokina! Kuriłow do Strokina! Słyszysz mnie? Odbiór! Odbiór!

— Strokin do Kuriłowa! Słyszę cię bardzo dobrze. Co się stało? Dlaczego tak krzyczysz?

— Wzywałem cię, ale nie odpowiadałeś. Przed minutą.

— Nikt mnie nie wzywał.

— Nadajnik radiowy twojego łazika też nie odpowiadał.

— A teraz?

— Teraz wszystko w porządku. Odpowiada. Ale teraz ty także mnie słyszysz! Dziwna sprawa…

— Jakąś piękność ujrzałeś w piaskach?

— Piękność? Tak, tak, właśnie „Piękną”! Była tutaj jakaś dziwna konstrukcja…

— Co znaczy: była?

— Była. A teraz nie ma. Obszedłem ją nawet dokoła, dotknąłem rękami. Około ośmiu metrów wysokości i piętnastu a może dwudziestu średnicy, jeśli nie brać pod uwagę wystających części.

— A więc ona ma już nawet wystające części?

— Ma, ma wszystko, co potrzeba. Chodzi tylko o to, że zniknęła. Z początku chciałem, żebyś udał się do instytutu i wezwał tu jeszcze kogoś. Ale nie ma już nic do pokazania. Co robić?

— Jesteś pewien, że była naprawdę?

— Myślisz, że to halucynacja? Nawet jeśli tak jest, to na „Pięknej” jest coś zagadkowego. Nigdy przedtem nie miałem halucynacji. A co w twoim kwadracie?

— Mój kwadrat jest pusty, jak wszystkie pozostałe na naszej „podopiecznej”. A „Piękna” to taka nazwa, imię? Dawno wymyśliłeś?

— Zupełnie niedawno. Ale nie o to teraz chodzi. Przecież Kriestianczykow i Wolnow czuli w tym punkcie coś dziwnego, niezrozumiałego. Ślad! Ślad! Dopiero co przejechałem na wstecznym biegu pięćdziesiąt metrów, a ślad łazika urywa się tuż przede mną.

— Uważam, że powinniśmy się spotkać — powiedział Strokin.

— Chyba tak. Ale najpierw malutki eksperyment. Będę posuwał się do przodu i przez cały czas coś mówił, a ty słuchaj uważnie. Zrozumiałeś? Zaczynamy!… A „podopieczna” naprawdę jest piękna. Kiedy wrócimy do Instytutu oficjalnie zaproponuję, aby nazwać ją „Piękna”! Słuchaj! Znów ta sama konstrukcja! Strokin! Stro… Kuriłow do Strokina! Odbiór! Odbiór! Kuriłow do Strokina! Odbiór!

Nikt jednak nie odpowiadał.

Teraz już świadomie nie zawracałem łazika. W tym ruchu, to do przodu, to do tyłu coś było… A konstrukcja wciąż stała. I wszystko było tak samo, jak kilka minut temu. Albo… albo nie. Tak, z całą pewnością wszystko było tak samo. Tylko nie wszystko wtedy zauważyłem, bo byłem pewien, że to właśnie konstrukcja, która nagle przede mną wyrosła jest dziwaczna. Teraz już bardziej uważałem. Po pierwsze łączność ze Strokinem znów została przerwana, Po drugie… A może mi się tylko wydaje? Za oknami maszyny nie było już takiego skwaru jak zawsze… Po trzecie, ślad mojego łazika, który przeszedłem piechotą biegł prostopadle do ruchu maszyny. Po czwarte, to był ślad po jednej gąsienicy.

Najpierw trzeba jednak nawiązać łączność ze Strokinem.

— Wrzuciłem wsteczny bieg i prawie natychmiast usłyszałem:

— …riłowa! Odbiór! Odbiór!

— Kuriłow do Strokina! Słyszę dobrze. Kiedy zerwała się łączność?

— Na słowach: „I oficjalnie zaproponuję nazwę „Piękna”!

— Tak jest. Następna fraza brzmiała: „Słuchaj! Znów ta sama konstrukcja!” Co robimy? Wygląda na to, że nie chodzi tutaj o zły przepływ fal radiowych. Po prostu gdzieś giną. Wątpię tylko, czy nasze centrum obliczeniowe potrafiłoby to wymodelować. A jakakolwiek awaria maszyny zostałaby zauważona i usunięta już dawno.

— Są dwa wyjścia: albo obaj niezwłocznie wracamy do instytutu, żeby wszystko opowiedzieć i niech kierownictwo podejmuje decyzję, albo spróbujmy dowiedzieć się czegokolwiek o tej twojej konstrukcji — ale we dwójkę. Nawiasem mówiąc, już choćby to, że na „podopiecznej”, tj. „Pięknej’’ łączność radiowa ulega przerwaniu nie jest bez znaczenia. I jeśli nie są to wybryki centrum obliczeniowego, pracy starczy dla całego instytutu.

— Jestem pewien, że centrum obliczeniowe nie ma nic do tego. Czekam na ciebie w kwadracie Kriestianczykowa. Podałem współrzędne miejsca, w którym się obecnie znajduję. — Wymyślę dla ciebie jakiś znak. Albo… albo po prostu zostawię na tym samym miejscu łazik, a sam pójdę piechotą.

— Myślisz, że można się tam dostać piechotą?

— Dlaczego nie? Zaraz spróbuję. Kieruj się nadajnikiem radiowym. Mniej więcej po dwóch minutach wywołam cię.

Wyszedłem z łazika i podążyłem śladami maszyny. Moją twarz chroniła wyłącznie maska tlenowa, a przeguby rąk w ogóle były odkryte. Czułem panujący tutaj straszliwy upał. Koleina po moim łaziku urywała się nagle, dosłownie jakby ucięta nożem. Chwilę stałem, a potem zrobiłem krok naprzód. Przede mną wznosiła się konstrukcja. Powietrze niewątpliwie zrobiło się chłodniejsze. I jeszcze coś dziwnego — horyzont jak gdyby się zwęził. Mogło to być spowodowane również tym, że w łaziku znajdowałem się jakieś półtora metra wyżej. W równym miejscu, co też miało znaczenie.

Kilka minut zajął mi powrót do maszyny, wezwanie Strokina, poinformowanie go, co zamierzam robić dalej. Przekonałem się, że Strokin z maksymalną prędkością zbliża się do mojego kwadratu i wróciłem znowu do dziwnej budowli.

5

Na łączność ze Strokinem powinienem wejść za pół godziny.

Ze trzy razy obszedłem jeszcze tajemniczą konstrukcję, śmielej już zaglądając w nisze i opukując rękami wystające części, o ile wcześniej spostrzegłem jedynie, że t o zbudowane było z metalu,, to teraz zacząłem nawet rozróżniać jego kolory. Przeważał malinowy z mnóstwem odcieni, przechodzących w żółć i fiolet. Doskonałość formy konstrukcji podsunęła mi myśl, że jest to jakieś skończone, samodzielne, specjalne urządzenie, nie posiadające żadnych związków funkcjonalnych z otaczającym światem. To znaczy przyszło mi na myśl, że jest to jakiś aparat latający, najpewniej kosmiczny. Jedna z nisz okazała się na tyle głęboka, że nie przenikało już do niej światło. Przekonanie, że nic mi tutaj nie grozi, powstało we mnie już dawno. Teraz wzmogło się jeszcze, wydawało się nawet, że zostało zasugerowane, że pochodzi z zewnątrz; nie przytłaczało, ale jakby przywoływało. Jak gdyby ktoś zapraszał mnie i prosił o pomoc.

Dłużej nie mogłem i nie chciałem sprzeciwiać się temu wezwaniu.

Nisza kończyła się włazem, przez który mogłem przepełznąć. Ruszyłem naprzód i po jakichś pięciu metrach znalazłem się w pomieszczeniu jasnym, dostatecznie przestronnym, okrągłym, z jakimiś statywami wzdłuż obwodu, z dwoma fotelami, czy raczej czymś mgliście

przypominającym fotele, z pulpitem sterowniczym. W każdym razie coś mieniło się tutaj wszystkimi kolorami tęczy i było podobne do migotania lampek na schemacie mnemotechnicznym jakiegoś skomplikowanego urządzenia. W jednym z foteli spoczywała jakaś istota i patrzyła na mnie nieruchomymi oczyma. Wydało mi się, że nie żyje lub straciła przytomność. Wezwanie o pomoc, bez słów, ale żarliwe, pochodziło niewątpliwie od niej.

Coś poruszyło się w mojej głowie i wróciło na swoje miejsce. Spokojnie… Spokojnie… Spokojnie…

Czyjekolwiek byłyby to sztuczki, przede mną leżał człowiek. Zresztą nie zastanawiałem się — człowiek to, czy nie! Po prostu istota rozumna. Podszedłem i położyłem rękę na wysokim czole. Rysy twarzy także były wyraźnie ludzkie. Oczy, usta, uszy, nos. Ręce, nogi, tułów. Zdawało się, że była to wierna kopia człowieka, choć ludzkimi wydawały się tylko oczy. Co robić? Co mu jest? Jak mogę mu pomóc? Mało brakowało, a wziąłbym go na ręce i zaniósł do łazika, żeby natychmiast przetransportować do instytutu. Ale w porę się opamiętałem. Po pierwsze — atmosfera. Właz do tego pomieszczenia, kajuty czy kabiny sterowniczej był otwarty. Całkiem możliwe, że istota oddychała właśnie takim powietrzem, jakie było na planecie. Ale ono jest przecież bardzo mało podobne do naszego. Może się zdarzyć, że jeden haust ziemskiego powietrza — i nie będzie kogo ratować. Po drugie, jeszcze jeden fotel. Nie wiedziałem, czy jest tutaj drugi członek załogi. Jeśli zaś jest, to żyje czy nie? Ślad jednogąsienicowy łazika nasuwał myśl, że powinna być druga istota. Zrobiłbym teraz wszystko, co potrzeba, nie wiedziałem tylko właściwie co. Obejrzeć statek? Teraz byłem pewien, że jest to statek kosmiczny. Ale jak mu mimo wszystko pomóc? Rzuciłem się w jedną stronę, w drugą, omal nie strąciłem karafki z wodą, stojącej na statywie… i zatrzymałem się.

Dobrze. Statki kosmiczne, przedstawiciele innych cywilizacji, bardzo podobni do nas, komputer wciąż wygrywający barwne gamy — wszystko to możliwe. Przynajmniej dla mnie. Przecież nigdy nie spotkałem obcych przybyszów, jak zresztą inni ludzie na Ziemi… Ale… ale ta pospolita, zwyczajna, zbyt już ludzka karafka z wodą. Szklana karafka, podobna do tej, która stała w hallu naszego instytutu. Brakowało tylko numeru inwentarzowego!

— Pić — powiedziała istota.

Jasne. Jeśli jest karafka z wodą, dlaczego nie miałaby powiedzieć najczystszym językiem rosyjskim: „Daj no, mój drogi, napić się wody!”

Spokojnie wziąłem karafkę do rąk, woda nawet zabulgotała w niej tak jakoś swojsko i podniosłem ją do ust człowieka.

Teraz już na pewno: człowieka! Ten jednak nie otworzył ust. Musiałem włożyć dużo wysiłku, żeby rozsunąć ściśnięte żuchwy i wlać do ust trochę wody. Człowiek był nieprzytomny. Jak wobec tego mógł poprosić o wodę?

Postawiłem karafkę na miejsce i rozejrzałem się raz jeszcze. Żadnego innego wyjścia stąd nie było; Do tego pomieszczenia można było dostać się tylko w jeden jedyny sposób: przez ten sam właz, który nawet trudno nazwać wejściem.

— Dziękuję — powiedział człowiek. — Pomóż jeszcze…

— Jak? Jak ci pomóc?

Tak jak przedtem, oczy człowieka były otwarte. A mimo to leżał nieprzytomny. W każdym razie nie ruszał się. I mówił nie otwierając ust. W porządku. Przeżyjemy. Telepatia! Przekazywanie myśli bezpośrednio z mózgu do mózgu. Nawet w tym, co najbardziej tajemnicze jest pewien porządek, który uspokaja, a w każdym razie sprawia, że niepojęte staje się do przyjęcia. Zaraz powie, pomyślałem, że zepsuła się dysza lub reflektor fotonowy silnika i poprosi o pomoc. Oczekiwałem nawet odpowiedzi na swoje nie wypowiedziane głośno myśli. Ale odpowiedzi nie było. Człowiek nie powiedział nic więcej.

— Ilu was tu jest? — zapytałem. — Dwóch? Więcej? Co to za urządzenie? Statek kosmiczny? Wiecie chociaż, że znajdujecie się na Ziemi?

Mogłem zadawać te pytania w nieskończoność. Sam potrzebowałem pomocy. Nie wiedziałem, co robić.

Ale przecież gdzieś tu niedaleko jest już łazik Strokina. W tym przypadku pomóc mógł mi wyłącznie on.

6

Do swojego łazika wróciłem na czas. Maszyna Strokina właśnie się zbliżała. Zatrzymała się. Jeszcze chwila i Walery zjawił się przede mną. Miał na sobie taki sam kombinezon i maskę tlenową jak ja.

— No? — spytał niecierpliwie. — Co się dzieje?

— Przypuszczam, że jest to statek kosmiczny — odpowiedziałem. — Wewnątrz znajduje się człowiek. Nawet poprosił mnie o wodę, chociaż jest nieprzytomny.

— Czy ty wiesz, co mówisz? — zdumiał się Strokin. — Komputer naszego instytutu stworzył matematyczny model tej planety. I nagle najspokojniej na świecie na matematycznym modelu ląduje statek kosmiczny przybyszów z obcych planet!

— Nie wiem, czy lądował najspokojniej na świecie czy nie, ale istota znajdująca się wewnątrz niego potrzebuje pomocy. Tu kończy się ślad mojego łazika. Możesz zrobić krok naprzód i sam wszystko sprawdzić.

Strokin zrobił krok. Po pięciu minutach wrócił.

— Okazuje się, że masz rację. Tylko, że ich statek znajduje się nie na „podopiecznej”, to jest nie na „Pięknej”.

— Co to znaczy?

Zamiast odpowiedzi Strokin zaproponował:

— Wprowadźmy tam jeden łazik i niech on określi kilka parametrów planety, a my zajmiemy się tą człekokształtną istotą.

— Człowiekiem — poprawiłem.

Propozycja Strokina była dobra. Tak też zrobiliśmy. Moja maszyna zgodnie ze standardowym programem zajęła się badaniem planety, która, jak mi się teraz wydawało, rzeczywiście wyraźnie odróżniała się od „Pięknej”. Ale jak mogliśmy pomóc temu człowiekowi? Walery okazał się bardziej bystry ode mnie. Zabrał ze sobą awaryjną apteczkę.

— Czyżbyś zamierzał leczyć go ziemskimi lekarstwami? — zapytałem.

— Nie, nie zamierzam. Ale warto spróbować ustalić, co się z nim stało.

— Jak to zrobisz? Przecież nic o nim nie wiemy.

— To wymyśl coś innego.

— Trzeba natychmiast zawieźć go do naszego instytutu A tam niech juz oni się sami martwią.

Długo jeszcze rozwodziłem się na temat możliwości naukowych naszego instytutu i innych organizacji naukowych miasta, w tym również medycznych.

Strokin słuchał mnie jednym uchem, to przykładając dłoń do czoła człowieka, to osłuchując go. Oczywiście, próbował określić, czy bije serce tej istoty.

— Szkoda — powiedział w końcu.

— Nie ma żadnej nadziei?

— Szkoda, że nie możemy przetransportować go do naszego instytutu.

— Ale dlaczego? — krzyknąłem i nagle zrozumiałem wszystko.

Nie! Przecie? to wszystko Istnieje tylko w naszym mózgu. Przecież to tylko model, stworzony przez centrum obliczeniowe naszego instytutu badawczego Nic nie zdołamy stąd wywieźć, tak samo jak i przywieźć tutaj. I żadnych szkodliwych odpadów produkcji przemysłowej także się nie przerzuci. I nie zostaną stworzone niezwykłe synchrofazotrony.

— Wracaj natychmiast. Aleksieju — powiedział Strokin — Opowiedz tam wszystko szczegółowo Potrzebny jest tuta] doświadczony lekarz. Wierzę, że znajdą takiego, i ze zgodzi się odwiedzić nasz siódmy model.

Nie miałem ochoty zostawiać Strokina samego Ale innego wyjścia chyba rzeczywiście nie było.

— Pospiesz się, Aleksy — powiedział Stiokin.

— Wszystko zrozumiałem Zrobię. Weź tylko pod uwagę, że mimo wszystko powiedział do mnie kilka słów

— Dobrze, wezmę to pod uwagę. A ty nie zapomnij poinformować, że wszystko to dzieje się nie na naszym modelu Gdzie, nie wiem — ale na pewno nie na naszym modelu.

Pędziłem swoim łazikiem do punktu wyjścia z modelu matematycznego. Parametry planety, na której pozostał Strokin, rzeczywiście wyraźnie różniły się od naszej „podopiecznej" Miała mniejsze rozmiary i inny skład atmosfery, który prawie nadawał się do oddychania dla człowieka. Zawierała tylko trochę mniej tlenu, niż ziemska.

7

Okazało się, że czekano juz na mój powrót. Do hangaru zbiegł się prawie cały instytut, przynajmniej wszyscy potrzebni mi teraz ludzie.

Centrum obliczeniowe przeanalizowało dziwactwa w zachowaniu Kriestianczykowa i Wolnowa. I mimo, że nie została wydana żadna opinia, cały instytut juz czekał na coś niezwykłego.

Pierwsze, co postarali się zrobić programiści, to znaleźć błąd w modelu naszej „podopiecznej" Nie było ani błędu, ani awarii. Natychmiast zaczęto organizować ekspedycję ratunkową, w której skład włączono dwóch lekarzy. Zaproponowano mi odpoczynek, ale czułem się przewodnikiem, pionierem gwiezdnych szlaków i dlatego odmówiłem. Oczywiście, że oni, z kolei, nie mieli sumienia odsunąć mnie od dalszych prac.

Zostałem przerzucony na model jako pierwszy. Wyszedłem z łazika, który sam powrócił do instytutu. Po minucie przywiózł lekarza. Wkrótce potem pojawiły się jeszcze trzy maszyny. To po raz pierwszy zaczęli pracować ratownicy. Zdejmowano maszyny nawet z modelu samego Markiełowa.

Po godzinie ekspedycja przybyła na miejsce, w którym stała maszyna Strokina. Kilku ludzi zostało obok niej, reszta poszła wzdłuż koleiny, która zawiodła nas właśnie do tego innego świata.

Znaleźliśmy Strokina usadowionego w drugim fotelu. Siedział zupełnie bez ruchu Z początku myślałem, że i on także znajduje się w głębokim omdleniu. Ale eksperymentator poruszył się nagle i otworzył oczy. Twarz miał bardzo zmęczoną. Wstał z wielkim trudem.

— Możecie się nie spieszyć — powiedział. — Kontakt jest pewny. Ten człowiek modeluje nie tylko otaczający go świat, ale również samego siebie. Nie wiedział, że dla nas tak ważne jest wrażenie ruchu, życia. Wkrótce wstanie i uściśnie nam ręce. A ci, którzy pragną z nim porozmawiać powinni usiąść w tym oto fotelu. Rozmowa odbędzie się w najczystszym języku

rosyjskim, ponieważ przekazywanie informacji odbywa się bezpośrednio z mózgu do mózgu. Proszę, kto ma ochotę?

Chcieli wszyscy, ale pierwszeństwo dano mnie. Bądź co bądź właśnie ja znalazłem dziwną budowlę. Usiadłem w fotelu i rozluźniłem się.

— Powtarzam raz jeszcze — powiedział człowiek. — Dziękuję ci za pomoc!

— Ależ nie ratowałem cię — zdziwiłem się — Nawet nie wiedziałem, co należy robić, kiedy potrzebowałeś tej pomocy'

— Kontakt został ustanowiony i to najważniejsze. Mój statek rzeczywiście miał awarię. Jego współrzędne nie mają dla ciebie znaczenia. Według miar kosmicznych z pewnością odnoszą się do innej galaktyki. Na wypadek podobnych zdarzeń posiadamy urządzenia do modelowania planet, na których po dokonaniu lądowania można przeprowadzić naprawę, a jeśli planety są zamieszkałe, to również wejść w kontakt z ich mieszkańcami.

— Ale przecież to wszystko jest fikcją — krzyknąłem. — Naprawdę modele nie istnieją. Są tylko w naszej wyobraźni!

— Oczywiście — zgodził się Człowiek. — Nasz kontakt także istnieje wyłącznie w naszej wyobraźni, a raczej w naszej świadomości, choć bez wyobraźni obejść się tutaj oczywiście nie można. Mój statek miał awarię. Zacząłem modelować różne światy, ale wszystkie niezbyt się dla mnie nadawały. Chodzi jeszcze o to, że uszkodzony jest również komputer. Ale prawie wszystkie cywilizacje przechodzą przy modelowaniu taki właśnie etap piaskowych planet. To pewna prawidłowość. A może ludzie myślą, że na świecie nie ma nic prostszego od piasku? Ponieważ modele nie egzystują w zwykłym czasie i przestrzeni, prawdopodobieństwo spotkania istot rozumnych na jednym z nich jest bardzo duże. Tak oto spotkałem was.

— Ale jak możemy ci pomóc?

— Myślami, ideami, czynem.

— Czekaj, między naszymi modelami można nawiązać łączność tylko w jednym jedynym punkcie, który znalazłem przypadkowo.

— Przecież sam nie wierzysz, że to przypadek. W zasadzie, jeśli tak chcecie, można nasze modele nałożyć na siebie całkowicie.

— To byłoby ciekawe. Mówiłeś, że statek i komputer uległy częściowej awarii. A jeśli maszyna by się całkiem zepsuła?

— Pozostałaby moja świadomość i wyobraźnia. Mimo wszystko można zbudować model.

— A jeżeli zarówno świadomość, jak i wyobraźnia…

— No cóż, nie jesteśmy nieśmiertelni.

— Ilu was jest na statku?

— Jestem sam.

— Kto wobec tego pozostawił ślad jednogąsienicowego łazika?

— Nic o tym nie wiem.

Wstałem z fotela. Prawdopodobnie rozmawialiśmy na głos. Nic nie szkodzi. Każda taka rozmowa uzupełni nieco naszą wiedzę o n i m . I choć trochę będziemy mogli mu pomóc. Wierzę w to.

8

W ten sposób nasza „podopieczna” stała się sławna. I całkiem oficjalnie nazywa się „Piękna”.

Obydwa modele na zasadzie wzajemnej zgody zostały połączone w przestrzeni. Badacze i programiści mają pracy po uszy. Tym bardziej że nie została rozwiązana tajemnica koleiny łazika. Wygląda na to, że w siódmym modelu był ktoś trzeci.

Chociaż na nasz model rzucono główne siły instytutu, zdarza się, że nie mam czasu wrócić po zmianie do domu. A kiedy jednak mi się to udaje, staję najpierw na tarasie widokowym i patrzę na pola i lasy za rzeką, na siwą mgiełkę nad horyzontem. A potem przepełnionym autobusem jadę do domu i tam zajmuję się najzwyklejszymi sprawami, powszednimi i niezmiennymi. I żona mówi mi często, że brak mi wyobraźni.

Nie protestuję. Możliwe, że ma rację. Zgadzam się.

A następnego dnia znów czeka na mnie „Piękna” ze swymi tajemnicami…

Przełożyła Anna Skotnicka–Maj

Wiaczesław Nazarow

WINOWAJCA

W messie nie było nikogo. Andriej cisnął na stół plik notatek i rozejrzał się dokoła. Zegar ścienny przypomniał mu, że nie ma co się denerwować: do rozpoczęcia narady zostało jeszcze piętnaście minut. Znów przyszedł za wcześnie i może być zły wyłącznie na siebie samego.

Westchnął i usiadł na swoim miejscu. Fotel zaskrzypiał pod nim.

Tak to właśnie jest. Pół roku w kosmosie to nie żarty. Nawet dla metalowych wsporników fotela. A dla ludzkich nerwów tym bardziej. Szczególnie, kiedy te pół roku to ciągły łańcuch porażek.

Czyżby porażek?

W messie delikatnie pachniało bzem.

Z tradycyjnej gałązki bzu — ostatniego upominku Ziemi — w ciągu pół roku wyrósł cały krzak. I całkiem nieoczekiwanie zakwitł. Jak gdyby poczuł, że zbliża się koniec tułaczki, że już niedługo w wizjerach zamajaczy żółta kula Słońca i odsłoni się czarny komin Wielkiego Gwiezdnego Korytarza zapraszając do domu. A potem zielonkawobłękitna Ziemia zasłoni połowę nieba i pod magnetycznymi podeszwami rozlegnie się huk trapu księżycowego kosmodromu… Bez powróci do tych, którzy go podarowali, do chłopców i dziewczynek z czerwonymi chustami na szyjach. Taki jest obyczaj.

A na razie krzak bzu stoi w kącie i na wilgotnych niebiesko–fioletowych kiściach kwiatów gaśnie malachitowy odblask obcego zachodu. A najstraszniejsze jest to, że krzak pięknie wpisuje się w martwy pejzaż planety, który obojętnie rysuje się na zajmującym całą ścianę ekranie przeglądowym.

Po co komu taki wielki ekran? Człowiek czuje się tu tak, jakby siedział na werandzie i tylko kruche szkło oddzielało go od obcego świata. Świata, w którym jesteś nieproszonym gościem. Uczucie to nie należy do przyjemnych. Nie na darmo któryś z chłopaków umocował na wideościanie własnoręcznie zmajstrowane portiery: tak jest spokojniej. A na cuda już się dosyć napatrzyli. Wystarczy!

Andriej wstał, żeby zasłonić ekran. Złapał za kosmate frędzle sznura, ale nie pociągnął: zapatrzył się. Zapatrzył się chyba już tysięczny raz, zapatrzył się wbrew niezrozumiałemu rozdrażnieniu i zupełnie zrozumiałemu zmęczeniu. Znajomy obraz nieodparcie przyciągał wzrok.

Z prawej strony, gdzieś za horyzontem umierało zielone słońce. Jego korona płonęła jeszcze spoza ostrych szczytów dalekich gór, ale ciężkie półkole srebrzystych obłoków przelewając się zostawiało coraz węższą szparę. Właściwie nie były to nawet obłoki tylko zagęszczenia refleksów elektrycznych, coś w rodzaju ziemskich zórz polarnych. Toczyły się jak pienisty grzebień ogromnego czarnego wału i zwarta ciemność w oczach ogarniała całe niebo. Ostre igły gwiazd momentalnie przeszywały napływającą czerń, lecz nie na długo — z lewej strony spoza horyzontu wstawało coś czarniejszego od czerni, coś ogromnego i okrągłego, wznosiło się, nabrzmiewało i pochłaniało ledwie zrodzony gwiezdny plankton.

Na tej planecie nie było nocy. Po prostu po zielonym dniu następował czarny, ponieważ w ślad za zachodzącym widzialnym słońcem wstawało niewidzialne.

Powierzchnia… Patrząc na leżące w nieładzie nagromadzenie brył geometrycznych zapełniających okoliczną przestrzeń zaczynasz wątpić w samą możliwość istnienia równej płaszczyzny. Gigantyczne piramidy, stożki, prostopadłościany, sześciany, niewyobrażalne rytmy ostrych żebrowań, szczytów, pochyłych płaszczyzn, śrubowatych wypolerowanych krawędzi

jednakowo mrocznosinych w świetle zielonego zmierzchu — wszystko to budziło instynktowny smutek.

Czarny poranek zmieniał pejzaż.

Kiedy pojawiały się srebrzyste obłoki, gigantyczne kryształy stawały się przezroczyste. Wszystko, co było wokół, w błyskawicznym tempie ginęło. Góry w kształcie piramid i stożkowe przepaście, cylindryczne wieże i skłony w kształcie rombów — wszystko to przekształcało się w bezcielesne cienie i statek jak gdyby zawisał nad przydymioną pustką.

Czarne słońce podnosiło się wyżej i znów nie do poznania zmieniało wygląd okolicy.

Cała powierzchnia w silnym ultrafioletowym promieniowaniu zaczynała połyskiwać — najpierw lekkim bladozłotym odblaskiem, potem coraz jaśniej i jaśniej,— aż rozpalała się wszystkimi odcieniami — od cytrynowożółtego do pomarańczowoczerwonego.

Spoza na poły zasłoniętej story Andriej z roztargnieniem obserwował, jak nabrzmiewają ciekłym złotym ogniem kamienie i dalekie góry, jak drży i bezustannie pulsuje światło w półprzeźroczystych zwałach spiętrzonych skał.

Ulotne piękno świetlistego tańca wywoływało teraz rozgoryczenie.

Ten piękny, geometrycznie doskonały świat był martwy. Martwy od urodzenia.

I pozostanie martwy.

Andriejowi przypomniały się słowa jednego z „ojców” współczesnej kosmogonii, Steinkopfa: „Trzeba w końcu pogodzić się z istnieniem sił, których nigdy nie będziemy w stanie poznać. Planety klasy ,,K” są obce w naszym świecie gwiazd. Przedgwiezdna substancja i życie są ze sobą wewnętrznie sprzeczne i żywa istota nigdy nie przeniknie poza barierę postawioną przez samą przyrodę. Niech nawet zbyt gorące głowy przypiszą mi grzech konserwatyzmu — jestem przekonany o swoich racjach. Proszę mi udowodnić, że w światach klasy „K” jest możliwe życie, proszę pokazać choćby jedną bakterię z planety krystalicznej i ja sam pierwszy powiem wam — idźcie!”

Trzeba się w końcu pogodzić… Tak, chyba już czas. Po długich debatach uczeni wybrali trzynaście planet krystalicznych w trzynastu dwugwiezdnych systemach, w taki sposób, żeby uniknąć przypadkowego zbiegu okoliczności. Pół roku zmyślny gwiazdolot „Alfa” nurkował w głębinach przestrzeni i czasu i siedmiu zwiadowców skrupulatnie badało zagadkowo jednakowe krystaliczne światy. Przez pół roku Andriej penetrował geometryczne labirynty do bólu w oczach wpatrując się w skale witaskopów — pełen jakiejś niejasnej nadziei. Dwanaście razy nadzieja ta zmieniała się w rozczarowanie.

Ta planeta jest trzynasta.

Tak, chciał znaleźć tę nieszczęsną bakterię. I bynajmniej nie po to, by podważyć autorytet Steinkopfa.

Po prostu w ciągu tych kilku lat spędzonych w kosmosie zobaczył i zrozumiał wiele. Poczuł sercem i nerwami wszechpotężną siłę i zachłanność życia. Znajdował ślady organiki na zwęglonych przez płomień gwiazd asteroidach i na pokładach zamarzniętego gazu planet gigantów, w śmiercionośnych chmurach jąder komet i porowatych żelaznych kożuchach ostygłych gwiazd. Widział kilometrowe wrzeciona ostygłych glowell i mikronowe krzyżyki sanacji wpadających w śpiączkę przy trzech tysiącach stopni w skali Kelvina i radiozolie umierające od udaru cieplnego przy trzech tysięcznych stopnia — życie przenikało Wszechświat przystosowując się do najbardziej nieprawdopodobnych warunków.

I nie mógł uwierzyć, nie mógł się pogodzić z istnieniem świata na wieki martwego — wbrew logice dowodów Steinkopfa, wbrew oczywistości.

Trzynasta planeta też jest martwa. Jak poprzednie dwanaście — od samych narodzin. Czego należało dowieść.

Jak tu można mówić o, porażce? W podręcznikach kosmogonii zamiast „hipotezy Steinkopfa” pojawi się teoria Steinkopfa”, a z dołu dopisek drobnym drukiem: „Eksperymentalnie potwierdzona przez grupę radzieckich uczonych, wśród których znajdował się kosmobiolog A.I. Sawin”. Dla młodego uczonego taka notatka to błyskotliwe zwycięstwo, prawie światowa sława.

I od dziś w nocnym niebie będzie matowo płonąć trzynaście ogni, jak przydrożne znaki „Zakaz wjazdu” i na zapylonych zrębach labiru na wieki pozostaną jego ślady — ostatnie ślady ostatniego człowieka — nie zmyje ich deszcz, nie zetrze wiatr, nie zarośnie trawa, dlatego, że nie ma nic takiego w światach klasy ,,K”. I nie będzie.

Nie będzie.

Światło na kamieniach już nie pulsowało, lecz płonęło równym płomieniem pod aksamitnie czarnym bezgwiezdnym niebem i jakieś dziwne przytajenie, jakieś nieuchwytne napięcie przebijało przez nieruchomość okolicznych skał.

— Nie możesz się napatrzeć?

Obok pykając fajeczkę i krztusząc się dymem stał Aleksiej Kriwcow. Fajeczkę podarowała mu przed odlotem narzeczona, ale astrofizyk zdecydował się zapalić ją dopiero dzisiaj. No cóż, ma rację. Czas już zacząć myśleć o Ziemi, o tym, kto i jak nas tam powita.

Andriej milczał i Kriwcow kontynuował protekcjonalnie:

— Labir… Interesujący minerał… Cała ta młódka jest zbudowana prawie wyłącznie z labiru… Istnieje pogląd, że planety klasy „K” powstały w rezultacie bezpośredniej krystalizacji substancji przedgwiezdnej. Że tak powiem, na zimno. Bez wybuchu. Stąd właśnie unikalne właściwości samego labiru i całej planety…

— Alosza, kochany, wiem to wszystko. I o labirze, i o całej planecie! — nagłe rozdrażnienie znów opanowało Andrieja. — Słyszałem! Czytałem! Mam tych unikalnych właściwości potąd!

Astrofizyk cofnął się zdziwiony mrugając krótkowzrocznymi oczami.

— A ty co, oszalałeś? Ja przecież tylko tak, żeby pogadać…

— Wybacz — zmieszał się Andriej. — Te krystaliczne siostrzyczki już mi całkiem nerwy zszargały. Coś w nich jest, coś w nich pobrzmiewa, coś mi się zwiduje, ale nijak nie mogę zrozumieć co. Nie wierzę w ten wieczny spokój, nie wierzę…

— Dziwak… Kto inny na twoim miejscu już by zestawiał jadłospis na uroczysty obiad z okazji habilitacji, a ty chcesz przeskoczyć samego siebie. Dowiodłeś nieobecności życia na planetach klasy ,,K”? Dowiodłeś. Potwierdziłeś słuszność teorii? Potwierdziłeś. Czego jeszcze chcesz? Przegonić samego Steinkopfa?

— Nikogo nie chcę przeganiać, Alosza. Po prostu, gdzieś w tym ciągu dowodów jest błąd. Czuję to, ale dokopać się do niego nie mogę…

Kriwcow wzruszył ramionami i chciał już odejść, ale Andriej zatrzymał go:

— Zaczekaj, co ty tam mówiłeś o młódce?

— O jakiej młódce?

— No, o tej, całej z labiru…

— A… Tylko tyle, że ta planetka jest najmłodsza ze wszystkich trzynastu. Nie ma jeszcze nawet dziesięciu miliardów lat… Tryska młodością…

I znów coś zadrżało w mózgu, nie stając się nawet myślą — cień domysłu, drażniący przebłysk we mgle.

Messa się zapełniła. Była tu prawie cała załoga, brakowało tylko kapitana. Andriej wrócił do stołu zostawiając portierę nie zaciągniętą. W jego stronę schylił się Miedwiediew — kierownik naukowy wyprawy:

— Wszystko pan już zakończył, Andrieju Iljiczu?

— Prawie. Został tylko witaskop w kwadracie 288–B. Pozostałe zdemontowałem. Rezultaty jak dawniej: pełny brak organiki. Trzynasta sterylna planeta.

— No cóż… wygląda na to, że Steinkopf rzeczywiście ma rację. Wszystko się zgadza…

— Coś za dokładnie się zgadza. Piotrze Jegoryczu. Tak dokładnie, że to aż budzi wątpliwości.

Miedwiediew zmierzył biologa długim taksującym spojrzeniem:

— Ma pan wątpliwości?

— Właściwie nie… Wszystkie takty są bez zarzutu…

— Dlaczego zostawił pan witaskop w kwadracie 288–B? To chyba koło Jeziora Białego?

— Tak, to tam. Właściwie nie zdążyłem jeszcze tam dotrzeć… A potem… Może zostawimy go jeszcze na razie. Piotrze Jegoryczu?

— Nie widzę sensu. Wątpię, żeby w bliskiej przyszłości przybyła tu jeszcze jedna ekspedycja. Nasza praca jest, jak sądzę, dosyć przekonująca we wszystkich aspektach. W tym także z punktu widzenia biologii. A zostawiać witaskop tylko dlatego, że nie chce się po niego lecieć, to, proszę mi wybaczyć, dość dziwaczne. Z każdego punktu widzenia.

— Dobrze, Piotrze Jegoryczu. Sprzątnę witaskop. To jakieś dwie godziny lotu… Zaraz po zebraniu Rady.

— Bardzo proszę, Andrieju Iljiczu, bardzo pana proszę.

Andriej chciał zaprotestować, ale wstrzymało go spojrzenie, szarych oczu. Zawsze trochę się lękał Miedwiediewa. Po pierwsze, Miedwiediew był prawie dwa razy starszy od niego. Po drugie, Miedwiediew jest członkiem słynnej gwiezdnej ósemki Międzynarodowej Rady Kosmonautyki. A po trzecie… Po trzecie ten powściągliwy człowiek bynajmniej nie skłaniał do otwartości. Umiał zabijać milczeniem: nie ironią, nie dowodami, nie temperamentem, a właśnie milczeniem. Milcząc, nie przerywając, nie odwracając uważnych zimnych oczu słuchał tego, co do niego mówiono. Słuchał tak długo, aż mówiący zaczynał się plątać we własnych konstrukcjach logicznych. Kończyło się to zazwyczaj tym, że autor nowej romantycznej hipotezy wbrew własnej chęci logicznie i przekonująco obalał swoje własne twierdzenia. Tak samo teraz, ani słowa zarzutu: tylko spuszczone oczy i nienawistny pilniczek do paznokci, który zamigotał w zadbanych dłoniach stawiając krzyżyk na niedoszłym odkryciu…

Nawet nie o to chodzi. Sześć miesięcy są razem. Siedmiu ludzi w żelaznej skorupie statku kosmicznego. Tysiące lat świetlnych od domu, nie od Ziemi, a od tej niewyobrażalnie małej drobinki gwiezdnego światła, którą się nazywa Systemem Słonecznym. Ich związek to więcej niż przyjaźń: wszyscy są sprasowani, ściśnięci, stopieni ciemnym ciężarem Wszechświata… Wszyscy są czymś jednym w siedmiu różnych wcieleniach, w siedmiu wariantach życzeń, wspomnień, rozumu…

Wszyscy oprócz Miedwiediewa. W nim jest coś kosmicznego. Może właśnie to chłodne, bezlitosne, pozbawione życia milczenie?

Pozbawione życia milczenie… Trzynaście planet–bliźniaków, które nie chcą mówić… Dlaczego?

Kątem oka Andriej zobaczył w drzwiach uśmiechniętego kapitana — melancholijnego Łotysza, który zaczynał jeszcze na podświetlanych plazmowych landarach.

Fakt, że pogadać to sobie lubił. Ale rozmowy z nim nie wiadomo dlaczego prawie zawsze dotyczyły wyłącznie wykroczeń dyscyplinarnych. Przez przypadek czy z woli losu najczęściej rozmawiał z Andriejem. Dlatego Andriej przyzwyczaił się do wszystkiego oprócz…

— Towarzysze, proszę wybaczyć spóźnienie. Trochę nieoczekiwanie dobijała się do nas Ziemia. Kontakt poza grafikiem…

W messie zrobiło się cicho. Uśmiechał się tylko kapitan.

— Ziemia dała zezwolenie na nasz powrót. Start statku za dobę według czasu pokładowego…

Kapitan rzucił okiem na nie zaciągniętą portierę, ale nawet to jawne naruszenie porządku nie zepsuło mu nastroju. Aż jaśniał świadom swej siły delektując się wrażeniem, jakie wywoła.

— I jeszcze jeden komunikat. Było bardzo wiele zakłóceń typu niestacjonarnego, dlatego komunikat był przekazywany trzykrotnie z podwojoną mocą mengonadajników… Ale zapisałem wszystko dokładnie.

Zwrócił się w stronę Andrieja i w ślad za nim odwróciło się sześć napiętych twarzy.

— Rzecz w tym, że liczba ludności Ziemi zwiększyła się…

Andriej poczuł gdzieś w środku tykanie zegara: kapitan wyraźnie przesadzał.

— Zwiększyła się o jednego człowieka…

Dziwne wzruszenie ścisnęło go za gardło…

— Masz syna, Andriusza!

Andriej opamiętał się dopiero, kiedy dziesięć silnych rąk złapało go nad samą podłogą. To jak znalazł się pod sufitem do niego nie dotarło. Zobaczył, jak w głębokich bruzdach na wargach Morozowa mignął cień uśmiechu.

— Panowie, weźcie pod uwagę, że obecnie przyciąganie jest tu prawie równe ziemskiemu…

— Andriej usiadł na krześle poprawiając ubranie. Donośny baryton kapitana wybił się ponad szum panujący w messie:

— Spokojnie, towarzysze, chrzciny wyprawimy na księżycu. Posiedzenie Rady mimo wszystko musi się odbyć. Wymaga tego regulamin. Myślę, że szczegółowe meldunki nie są potrzebne. Pracujemy wszyscy razem. Zacznijmy od razu od pytań. Co jest dla kogo niejasne…

Pytania posypały się ze wszystkich stron. Tyle że z istotą sprawy nie miały one nic wspólnego.

*** * ***

O witaskopie Andriej przypomniał sobie dopiero po dwóch godzinach. Usłyszał, jak za plecami Miedwiediew powiedział do Bremzisa:

— Kapitanie. Sawin nie ma teraz głowy do problemu życia na planetach krystalicznych. Świetnie da sobie radę z tym zagadnieniem na Ziemi. Mówię o tym, bo trzeba kogoś posłać po przyrządy.

Andriej zaczerwienił się po korzonki włosów i wstał:

— Piotrze Jegoryczu, nie trzeba! Ja sam… Proszę wybaczyć, trochę jestem tym wszystkim oszołomiony, ale nie na tyle, żeby… Krótko mówiąc, mam wystarczająco jasny umysł i sprawną pamięć. Nawiasem mówiąc, wcale mi teraz nie zaszkodzi spacer na świeżym powietrzu:

Miedwiediew uniósł brwi, a kapitan się roześmiał:

— No cóż, towarzyszu ojcze, jeżeli uważasz sterylny dwutlenek węgla za świeże powietrze, to proszę bardzo! Tylko niech ci—nie przyjdzie do głowy rozpinać skafandra jak się zgrzejesz!

Znowu ze wszystkich stron dały się słyszeć żarty, ale Bremzis podniósł rękę:

— Towarzysze, do odlotu zostało bardzo mało czasu. Pora już przystąpić do przygotowań. Posiedzenie Rady uważam za zakończone… Aha! Byłbym zapomniał. Ostatnie pytanie. Będziemy nadawać tej planecie pełne imię czy ograniczymy się do indeksu liczbowego?

— Jaki to ma sens? Wszystkie planety krystaliczne podobne są do siebie jak dwie krople wody. Jedyna różnica — wiek…

Miedwiediew poparł astrofizyka:

— Kriwcow ma rację. Wystarczy indeks liczbowy. Planeta jest zupełnie pospolita.

— Dobrze. Dogadaliśmy się. — Kapitan odwrócił się do Andrieja, poklepał go po ramieniu. — No, a ty, towarzyszu ojcze, właź do ,.Jajka”, bierz dysk i w drogę…

— „Jajko”… — Andriej zmarszczył się odruchowo. — Przecież to dwa kroki… A z nimi jest tyle kłopotów…

— Bez żadnego ale. I tak nie powinienem cię puszczać samego. Ale czasu mamy mało, a ty jesteś człowiekiem doświadczonym. W przygotowaniu „Jajka” pomoże ci Kriwcow, a łączność…

— Łącznością zajmę się ja — rzucił wychodząc Miedwiediew. — I tak będę pracował w kabinie radiowej nad „Chronosem”. mogę przy okazji zwracać uwagę na „Primę”.

— Dobrze. Idź już, Sawin. Czas jest drogi.

Zanim Andriej pozbierał swoje papiery, messa opustoszała.

* * *

Kriwcow dogonił Andrieja już w „inkubatorze”.

— Weź to — kiwnął w stronę trzeciego boksu z prawej strony. — Wczoraj w nim chodziłem. Absolutnie świeże i świetnie reaguje na ręce.

Przytrzymując za złożone manipulatory dwumetrową wypolerowaną elipsoidę bez trudu wytaszczyli ją z boksu i umocowali między zakratowanymi dyskami wzbudzacza. Kriwcow odszedł ku pulpitowi sterowniczemu.

— Otwieraj! — rzucił przez ramię.

Andriej dopiero teraz zauważył, że SAZŻ–5 — skafander automatycznego zabezpieczania życia — prawie w ogóle nie przypomina jajka. Już prędzej martwego żuka z żałośnie podkurczonymi łapkami. Dokładniej — nie martwego, a uśpionego. Wystarczy tylko lekki ruch i…

— No, co tam u ciebie? Nie możesz się wciąż opamiętać?

— Nie, nie, Alosza. Po prostu się zapatrzyłem. Dziwne — sygnał gotowości błyszczy jak odłamek nocnego labiru…

— Nawet nie wiedziałem, że posiadanie dzieci rozwija ukryte artystyczne skłonności, a w szczególności twórczą fantazję. Trzeba będzie zapamiętać na przyszłość…

Andriej uśmiechając się nacisnął niechętnie ustępujący czarny guzik na tułowia żuka.

— Wydaje mi się, że nie będziesz musiał długo czekać na potwierdzenie.

Astrofizyk z zadowoleniem parsknął w czarną bródkę i zaczął szperać w kieszeniach w poszukiwaniu fajeczki, chociaż palenie w „inkubatorze” było zabronione.

Metalowe ciało żuka powoli rozdzieliło się jak futerał od skrzypiec na dwie części, odsłaniając wymyślną i starannie przemyślaną plątaninę wnętrzności.

— Nawiasem mówiąc — Kriwcow trzymał fajeczkę w zębach, nie zapalił jej jednak. — Zauważyłeś znak fabryczny? Krasnojarsk… Że tak powiem, pozdrowienia od krajanów — Sybiraków…

Dopiero teraz — wstyd! — Andriej zwrócił uwagę na litery KKB — „Krasnojarski Kompleks Biologiczny” — wybite na przegubach manipulatora. A przecież Nina przed ślubem pracowała w KKB! Możliwe, że jej palce dotykały tego metalu, dając życie miliardom mikroorganizmów i grzybków uwięzionych w probówkach i wężownicach, kolbach i retortach, tym puszystym poduszkom czyniącej cuda chlorelli; mciąe właśnie jej dłonie wykonały dla niego ten niewyobrażalnie skomplikowany i precyzyjnie działający model biosfery Ziemi, żeby właśnie on nie zginął w jakąś straszną godzinę w odmętach bezlitosnego kosmosu…

Pamięta ją stojącą nad samym skrajem urwiska na poły zwalonego z widocznymi warstwami gleby, nad zieloną płaszczyzną Morza Krasnojarskiego porysowanego przez motorówki, kiedy unosząc twarz recytuje wzbudzające niepokój stare wiersze:

Wszystko ma porę swą.
Tylko ty wciąż nas cieszysz, co dnia
Dni mijają
i lata mijają,
i tysiące, tysiące złych lat.
W bieli fal mknących wciąż,
kryjąc się
w białą ckliwość akacji.
może to właśnie ty —
morze,
je w niepamięć przepędzasz, w dal gnasz

Wiatr rozwiewa jej włosy, wiatr Ziemi — cały ocean tlenu przepuszczony przez smoliste filtry tajgi, jej nogi toną w splątanych dzikich trawach pełznących ku wilgoci i słońcu. Drugiego brzegu nie widać i wieżowce dalekiego miasta wyrastają wprost z wody, tęczowo nieważkie, bajkowo piękne jak gigantyczne kryształy labiru…

A żeby cię! Znowu ten przeklęty labir! Można zwariować.

— Słuchaj, Andriej, może rzeczywiście lepiej, żebyś nie leciał? — Kriwcow współczująco zagląda mu w twarz. — Przecież śpisz na stojąco i śnisz w środku dnia. Lepiej ja polecę, co?

— Nie wygłupiaj się. Włącz lepiej ultrafiolet.

— Twoja sprawa — astrofizyk położył rękę na pulpicie. — Dla mnie to drobiazg…

Pomiędzy dyskami stymulatora, otaczając korpus skafandra, pojawił się lekki obłoczek jonizacji. Strumień niewidzialnego światła przeszył wnętrzności metalowego „żuka”, dotarł do tysięcy mikroskopijnych urządzeń i pomieszczeń. W nylonowych żyłach zabulgotały różnokolorowe ciecze, zmętniały kolby i retorty.

Andriej prawie namacalnie odczuł, jak powoli organ za organem, ożywa sztuczny organizm.

— Daję CO_2!

Wokół „Jajka” zagwizdał wiatr, korpus skafandra zadrżał pod naporem wichru dwutlenku węgla. Poduszki chlorelli momentalnie wzdęły się, zielone nitki przelazły przez drobne sitko siatek ochronnych.

— Gotowe?

— Tak.

— Ruszaj!

Wiatr umilkł natychmiast, zgasł też obłoczek jonizacji. Andriej plecami do przodu wśliznął się do wnętrza otwartego futerału. Kriwcow był już obok i pomagał zapinać liczne mankiety na rękach i nogach, umocowywać czujniki i rurki odprowadzające.

Był to najtrudniejszy moment w całej procedurze. Wymagał szybkości i dokładności. Trzeba było połączyć się ze skafandrem, dopóki rozbudzone życie nie usnęło znowu.

W końcu trzasnął zamek i Andriej znalazł się w ,,Jajku” odcięty od całego świata grubą pancerną skorupą.

— No i jak? — rozległo się w słuchawkach.

— Normalnie. Trochę trudno oddychać. Chlorella zdążyła nieco opaść. Reszta w normie.

— Może powtórzymy?

— Nie, nie trzeba. Teraz już lepiej. Za parę minut będzie w normie.

Teraz Andriej i metalowy „żuk” tworzyli jedną całość, jeden organizm, jeden zamknięty życiowy krąg — tak samo jak zamknięty krąg tworzy człowiek i Ziemia. Żyli sobą nawzajem,

powiązani kołowrotem niezbędnych sobie nawzajem substancji, niczego nie oddając i niczego nie pobierając z zewnątrz — idealny i dobrze chroniony system wzajemnego zabezpieczenia.

— Jak „słoneczko”?

Andriej spojrzał ukosem na tarczę baterii atomowych. Niewidzialne słońce ich wspólnego z „żukiem” miniświata obiecywało siły życiowe na co najmniej trzysta lat.

— W porządku. Świeci i grzeje. Na całego.

Włączył lokatory, poprawił mankiety na rękach i nogach oraz sprawdził sterowanie — macki manipulatora posłusznie poddały się jego woli. Podniósł się na sześciu nogach, podparł się i rozpoczął rutynową gimnastykę — podskakiwał, przysiadał, podtańcowywał z prysiudami, biegał po ścianach, po suficie, podnosił ciężary, splatał i rozplatał nylonowy sznur. Wszystko to było konieczne, żeby mięśnie i nerwy ruchowe przywykły do nowych kończyn. Kriwcow stał nie opodal i obojętnie mu się przyglądał, ale kiedy Andriej skacząc ze ściany na ścianę źle obliczył skok i spadł na podłogę, zachichotał rozbawiony. Andriej obraził się:

— Co cię tak rozśmieszyło? Mam jeszcze po prostu nie rozgrzane mięśnie. Nawiasem mówiąc, tobie to wcale lepiej nie wychodzi.

— Pomyślałem… — uśmiechnął się Aleksiej. — Po… popatrzyłby… popatrzyłby teraz na swojego tatusia syn… Uraz na całe życie…

Andriej podszedł do wąskiej płaszczyzny lustra i sam się uśmiechnął: stało przed nim poruszając wąsami pozbawione oczu niesamowite straszydło. Straszydło przewalało się z boku na bok przy pomocy trzech nóg i ośmiu rąk i grało z fantazją Kriwcowowi na nosie.

Obaj się roześmiali.

A zegar nadal cykał swoje sekundy przybliżając czas odlotu, to znaczy — czas przylotu, to znaczy…

— Już czas, Aleksieju. Idę.

Kriwcow wytarł oczy.

— Wybacz… Och!… Powiadają, że przed drogą nie należy się śmiać, ale byłeś wyjątkowo elegancki. No dobra. Leć. Połamania!

— Nie dziękuję.

Andriej poczekał, aż za Kriwcowem zamknęły się hermetyczne drzwi i wszedł do kabiny sterylizatora. Na wklęsłej ścianie czerniały duże litery: „Pamiętaj!” Niżej widniał wypisany już drobniejszym drukiem tekst: „Powszechny regulamin kosmiczny. Punkt sto drugi. Paragraf piąty. Kategorycznie zabrania się wychodzenia na badaną planetę w niesterylnym skafandrze, a także wynoszenia przedmiotów mogących wywołać zarażenie biosfery obcej planety — tak jej atmosfery, jak hydrosfery i geosfery — aktywną organiczną substancją Ziemi. Naruszenie tego przepisu podlega karze…”

Biolog ironicznie skrzywił usta. Mimo wszystko kapitan w swoim pedantyzmie dochodzi aż do śmieszności. Po co ta nachalna propaganda? Automat i tak nie otworzy drzwi do hangaru, dopóki w kabinie znajduje się choćby jeden na poły zdechły ziemski wirus. Nie wyjdziesz, choćbyś nawet chciał. I nic nie wyniesiesz… Chyba żeby bombę bakteriologiczną. Ale takich bomb dawno już nikt nie produkuje.

Andriej pociągnął za dźwignię wyłącznika. Kabinę sterylizatora ogarnął błękitny płomień.

****

Lot dłużył mu się bez końca. Wydawało mu się, że pokarbowana z lekka pochylona płaszczyzna dyskoplanu bez ruchu wisi w powietrzu, a w dole, jak szeroka wstęga raz na zawsze włączonego transportera, powoli sunie wzorzysty dywan powierzchni planety. Przygnębiająca regularność

form, otępiająca różnorodność połączeń — ani jednego powtórzenia — model wieczności zrobiony ze szkiełek dziecięcego kalejdoskopu.

Andriej uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie, jak będąc pięcioletnim chłopcem wziął z rąk ojca czarodziejską rurkę, jak chciwie przywarł do czarnego okrągłego otworka oczekując czegoś nieprawdopodobnego. Cały tydzień nie istniało dla niego nic na świecie, prócz zabawki, którą gorliwie kręcił. Chciał zrozumieć sens tego wszystkiego, albo choćby osiągnąć powtórzenie rysunku, ale rurka kręciła się i wzory zmieniały się bez końca, następstwo obrazów nie miało żadnego sensu. Poczuł się oszukany i ze łzami rozbił podarunek taty, a potem długo i ze zdumieniem patrzył na kawałeczki lusterek i kolorowe szkiełka — gdzież się podziały te przepiękne i tajemnicze figury?

Patrzył w dół na czarowną grę kolorów i linii i miał ochotę powtórzyć ten gest, rozproszyć diabelską iluzję.

Andriej włączył autopilota i zamknął oczy.

Nie chciało mu się myśleć. Dawało o sobie znać wieloletnie napięcie nerwów, olbrzymie zmęczenie wywołane nużącą drobiazgową pracą. Spróbował wyobrazić sobie Ziemię, swój dom, mieszkanie, twarz Niny, syna („No patrzcie — syn!" — na jego ustach pojawił się zdziwiony szczęśliwy uśmiech), ale wszystko zlewało się w jakimś bezbrzeżnym uczuciu wielkiego dobrego ciepła, dalekiego i na poły zapomnianego, a w sennej świadomości, niezależnie od woli, wypływał cały ten rozgardiasz, urywki tego, co niedawno widział i słyszał: krzak bzu na tle martwych zwalisk labiru, Kriwcow z fajeczką koło portiery („Nie ma jeszcze nawet dziesięciu miliardów lat. Tryska młodością…"), wyniośle protekcjonalny Miedwiediew („Zgadzam się… Całkiem zwyczajna planeta"), chichoczący Bremzis („Jeżeli uważasz sterylny dwutlenek węgla za powietrze, to proszę bardzo!"), monotonny szereg SAZŻ, zakratowane dyski wzbudzacza…

Stop! Dwutlenek węgla i ultrafiolet… Ożywający żuk…

Jakby szarpnięcie wyrwało Andrieja z drzemki i w głowie zahuczała rozkręcając się sprężyście jakaś dźwięczna lodowata siła.

Spokojnie. Przede wszystkim spokojnie. Od początku.

Więc, labir. Kryształy substancji przedgwiezdnej, z której najprawdopodobniej zbudowane jest czarne serce naszej galaktyki. Planety klasy „K" są obce w naszym gwiezdnym świecie. Są stamtąd — z czarnego serca. Dziwne ciała niebieskie podobne do siebie aż do nieprawdopodobieństwa. Różnią się tylko wiekiem. Jak gdyby tam, w centrum galaktyki pracowała gigantyczna matryca wyrzucająca od czasu do czasu w przestrzeń bliźniacze produkty. Po co?

Krystaliczne planety są zawsze pod opieką niestrudzonych strażników — podwójnej gwiazdy. Jak gdyby na złość stworzono dookoła potężne pasy ultrafioletu, radiacji i pulsującej grawitacji. Przez te pierścienie nie przedrze się ani jeden żywy organizm. Oprócz statku kosmicznego…

A sama planeta jest jakby specjalnie stworzona do życia. W labirze jest wszystko. Gęsta atmosfera z dwutlenku węgla i pary wodnej przepuszcza tylko nieszkodliwe promieniowanie i to wyłącznie tyle, ile trzeba dla wzrostu i rozwoju. A te Białe Jeziora — po jednym na każdej planecie…

Jajko! Typowe niezapłodnione jajko w niewidzialnej pancernej skorupce, którą przebić może tylko gwiazdolot — posłaniec rozumnego życia!

Majaczenie! A mimo wszystko stanowczo za dużo, jak na przypadkowy zbieg okoliczności…

— „Prima", tu „Alfa", co z łącznością, dlaczego nie nawiązujecie łączności? „Prima", dlaczego milczycie?

Andriej drgnął i spojrzał na zegarek. Leci już ponad godzinę.

— „Alfa”, tu „Prima”, słyszę was dobrze, wszystko w porządku, aparatura celująco, sytuacja bez zmian, lecę nad kwadratem 144–A, kurs poprzedni…

Wypalił wszystko jednym tchem, oczekując kolejnego uprzejmego i lakonicznego „upomnienia” ale po sekundowej pauzie rozległo się nieoczekiwane: „Rozmarzyłeś się?”

Andriej ze zdziwieniem rzucił okiem na indykator barwy głosu: nie, nie pomylił się, w głosie Medwiediewa dźwięczał smutek. Co z nim? Smutny Miedwiediew? To ci dopiero… Coś się dzisiaj musi stać.

— Dlaczego pan milczy? Proszę sobie marzyć na zdrowie. Tylko w przerwach proszę nie zapominać na czas łączyć się z nami… A marzyć trzeba koniecznie. Inaczej…

Miedwiediew umilkł i Andrieja ogarnęła nieodparta ochota podzielenia się niespodziewanym domysłem. Jednak przed oczyma błysnął mu nieodmienny pilniczek do paznokci, wąskie skrzywione uśmiechem wargi i odpowiedział sucho:

— Nie, Piotrze Jegorowiczu, nie marzę. Nie ma o czym meldować…

W hełmofonie coś strzeliło i głos Miedwiediewa odparował:

— W takim razie proszę być punktualnym.

Widmowy dywan na dole zmętniał. Z przodu wstawał srebrzysty łuk wypierający czerń nieba i spoza horyzontu uderzyły pierwsze strumyki wilgotnego zielonego światła. Krótki czarny dzień zbliżał się do końca.

Andriej wyłączył autopilota i chwycił za drążki steru chociaż do celu było jeszcze daleko. Musiał się zebrać w sobie, uporządkować rozproszone myśli, skierować je ku określonemu celowi.

Koniec końców Miedwiediew miał częściowo rację. Najtrudniejszy jest przecież nie pomysł, a dowody.

O tajemnicach centrum galaktyki na razie myśleć jeszcze za wcześnie. O tym, skąd się biorą planety krystaliczne, też. I dlaczego istnieją one tylko w systemie gwiazd podwójnych, i dlaczego są tak podejrzanie jednakowe, i dlaczego zrodziły się, czy zostały stworzone właśnie takie, jakie są. Znaleźć odpowiedzi na to pytanie, to ponad siły jednego człowieka. Trzeba tu setek teoretyków i setek ekspedycji, dziesiątków, a może i setek lat niesłychanie wszechstronnych badań.

Przede wszystkim należy obalić twierdzenie Steinkopfa. Inaczej nigdy nie wystartują ku sercu galaktyki gwiezdne statki i nęcący domysł o planetach–posłańcach pozostanie piękną bajką, którą można jedynie opowiedzieć synkowi: „Substancja przedgwiezdna i życie są ze sobą wewnętrznie sprzeczne…”

Nie! Tysiąc razy nie! Jeżeli przed rozpoczęciem ekspedycji było to tylko nieuświadomione pragnienie, które w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wyrosło w mgliste, stopniowo narastające przeczucie, to teraz jest to już przekonanie — nie ma żadnej bariery i nie ma żadnych zakazanych drzwi. Są nęcące latarnie nieznanych brzegów, są niewyraźne sygnały tajemnicy, której ogrom trudno sobie wyobrazić.

Ale kto mu tam na Ziemi uwierzy? Jak dowieść swoich racji? I kto będzie słuchał go poważnie, jeżeli równocześnie on sam przedstawi Międzynarodowej Radzie Kosmonautyki gruby plik własnych obserwacji potwierdzających od pierwszej do ostatniej linijki „teorię bariery życiowej”? Skierują go po prostu do szpitala psychiatrycznego albo na dodatek przypiszą chorobę „wpływowi substancji gwiezdnej”.

A może rzeczywiście brak mu piątej klepki.

Wypłynął w pamięci krzak bzu z przygiętymi ciężkimi kiściami kwiatów. Kochany bzie, nie na darmo pochylałeś się w stronę ekranu, biorąc go za okno, pewnie wyżyłbyś tutaj, ale dokładny automat sterylizatora nie wypuściłby nas ze statku, bo przecież jego mechaniczna pamięć dokładnie przestrzega sto drugiego punktu regulaminu…

Na tablicy rozdzielczej ze wszystkich sił migały już liliowe światła lądowania.

Andriej gwałtownie przesunął drążek w lewo i w przód do oporu. Dyskoplan stanął prawie pionowo i ciasną spiralą popędził w dół.

— „Alfa", tu „Prima", kwadrat 288–B, podchodzę do lądowania, aparatura — wzorowo, warunki bez zmian, wszystko w porządku. „Alfa", tu „Prima", podchodzę do lądowania…

— „Prima", tu „Alfa", zrozumiałem, działajcie szybko, proszę wziąć pod uwagę zwiększenie grawitacji za dwadzieścia pięć minut…

— „Alfa", zrozumiałem…

Zielonkawobiały owal jeziora przybliżał się szybko i Andriej znowu odnotował tak bardzo szokującą go od pierwszego razu regularność jego kształtu. Wokół jeziora były szerokie tarasy trzema schodkami podchodzące ku samej wodzie. Na najniższym stopniu kołysała się trójkolorowa kula — znak rozpoznawczy witaskopu. Dyskoplan miękko sprężynując wylądował obok.

Niebo różowiało widmowo i kosmate zielone słońce płonęło już całą mocą unosząc się coraz wyżej. Błękit morza odbijał się w gładkich błyszczących tarasach, nawisy okolicznych skał świeciły fioletem, błękitem, granatem. I tylko najbliższy fragment jeziora miał czysty matowomleczny odcień, jak ekran wyłączonego wideofonu.

Andriej nie spieszył się do witaskopu. Specjalnie odwlekał ten moment — ostatnią minutę nadziei, ponieważ czuł, że strzałka tutaj też stoi na zerze. Tylko cud, nadnaturalny cud, którego tak oczekuje się w dzieciństwie, mógł poruszyć przeklętą strzałkę choćby o jednostkę skali. Nie miał ochoty przekonać się jeszcze raz, że cuda się nie zdarzają.

Zaczerpnął manipulatorem trochę lepkiej, białej cieczy. Oderwała się od pozostałej masy jak duży kęs wazeliny. A mimo wszystko była to woda. Chemicznie czysta woda.

Właściwie ta niezwykła ciecz nie była żadnym odkryciem. Otrzymano ją na Ziemi w jednym z laboratoriów skraplając parę zwykłej wody w kwarcowych rurkach włosowatych. Było to jeszcze w końcu sześćdziesiątych lat dwudziestego wieku. Zastosowania praktycznego ta nowa substancja nie znalazła i dopiero niedawno „gęstą wodę" udało się wydzielić z żywej komórki. Właśnie z żywej — w umarłej tkance ,,woda–G" natychmiast przekształcała się w zwyczajną. Do dziś dnia trwa spór: dlaczego?

Ale jak i dlaczego „gęsta woda" pojawiła się tutaj? Labirowa wanna — kilometr długości, pół kilometra szerokości, ćwierć kilometra głębokości — i dokładnie takie same jeziora—wanny na wszystkich pozostałych dwunastu planetach…

Bariera… Czy myśl ludzka może zatrzymać się przed barierą — przed jakąkolwiek barierą Zatrzymać się i zawrócić? To jest sprzeczne z istotą człowieka, z sensem życia w końcu. I nie ma co dłużej odwlekać.

Andriej rzucił rozpadający się placek wody do jeziora i szybko skierował się do witaskopu. Spod karbowanych stalowych podeszew sypały się białe iskry.

Witaskop pracował z lekkim świstem wdychając i wydychając powietrze. Ruchliwe czujniki glebowe jak jeże kręciły się wokół od czasu do czasu chowając się w białym ciele cylindra i po chwili znów wyskakując. Ledwo dostrzegalnie drżały cienkie powłoki sznurów głębinowych. Płatki odbiorników energii obracały się za zielonym słońcem.

Andriej zatrzymał się na chwilę, zanim otworzył drzwiczki szafki z przyrządami.

Przez sekundę wydawało mu się…

Nie.

Strzałka indykatora stała na zerze.

Choć to trochę dziwne, odczuł ulgę. Zaczął nawet pogwizdywać, wyłączając po kolei systemy biowyławiaczy.

Nie było na co czekać. Nie ma na co liczyć.

Ostatni czujnik powiedział ludzkości swoje ważkie „nie”.
Tak więc „teoria bariery życiowej” została potwierdzona.
Słońce stało już w zenicie, wszystko wokół błyszczało nie do wytrzymania i oczy odpoczywały na matowej powierzchni jeziora, które wydawało się teraz szare. Zdemontowany witaskop zmienił się w dwutonowy kloc i Andriejowi było trochę nieswojo, gdy prowadził go do dyskoplanu prawie nie czując ciężaru.
Przyrządy, przyrządy, przyrządy. Przyrządy i mechanizmy. To one mierzą, one bronią, radżą, one są oczami i uszami, rękami i nogami — wszystkowidzące, wszystko—słyszące, wszechmocne i niewyczerpane, mądre i bez wad. Jeżeli one mówią „nie”, to milknie wola i rozum i człowiek pokornie wlecze się z powrotem…
Co za bzdury, przerwał sam sobie Andriej wpychając witaskop do ładowni. Nie ma co zwalać na przyrządy.
Człowiek wlecze się z powrotem, kiedy nie starcza mu ani woli, ani rozumu, żeby przezwyciężyć to nieszczęsne „nie” i iść do przodu. Sam pan jest winien, szanowny towarzyszu biologu…
— „Alfa”, tu „Prima”, kwadrat 288–B, witaskop zdemontowałem, ładowanie zakończone, sytuacja bez zmian, wylatuję do bazy…
— „Prima”, tu „Alfa”, zrozumiałem…
I po chwili jakimś nazbyt chyba obojętnym tonem:
— Wyniki, oczywiście, jak przedtem?
Czyżby Miedwiediew też oczekiwał czegoś innego? Czyżby jemu — beznamiętnemu olimpijczykowi było nie wszystko jedno czy będzie „tak”, czy „nie”? Nawiasem mówiąc, oczywiście, nie wszystko jedno — „tak” wywołałoby skandal i burzę, a Miedwiediew lubi jasność i porządek. Dlatego Andriej odpowiedział stosunkowo ostro:
— Rozumie się. Strzałka na zerze.
— Zrozumiałem. Wylatujcie.
Już chciał dotknąć startera, „kiedy nieoczekiwany pomysł rozciągnął mu twarz w szerokim uśmiechu. Wyciągnął spod siedzenia laserową piłę, otworzył luk i znowu wyszedł na zewnątrz.
Nie musiał długo szukać. Nad samą wodą leżała płyta o dziwnym odcieniu ametystu, przezroczyście przydymiona, z połyskującymi wewnątrz czerwonawymi iskierkami. Nie przestając się uśmiechać, Andriej zaczął wycinać z niej sześciany. Mimo starań, klocki wychodziły nierówne — jedne większe, inne mniejsze.
Ciekawe, ile klocków powinno być w dziecięcym komplecie do budowania? Pewnie im więcej, tym lepiej…
Andriej aż się spocił pod wpływem nietypowego wysiłku. Dokładnie reagując na przyspieszony oddech, koło policzków wykwitły zielonkawe kłaczki chlorelli.
No, z pół setki, chyba starczy…
„Baw się synku! Kiedy podrośniesz, opowiem ci o krystalicznych planetach. Do tego czasu wszyscy już o nich zapomną, jak o czymś niepotrzebnym i zakazanym. Dla ciebie będzie to niezwykła bajka. A jeśli bajka ci się spodoba, to zrobisz sobie z klocków taką planetę. Na twojej planecie będzie życie, dlatego że ty sam…”
Klapnęła zastawka kieszeni próżniowej łykając kamyki.
Andriej odłożył piłę i patrzył na jamkę wyciętą w płycie.
Słodki, straszny, jeszcze nie sformułowany w słowach, ale już przyzywający, oszałamiający zamysł opanował go całego.
Tak, bariera…
Kłaczki chlorelli łaskotały chłodem policzki.

Potrójny zapas. Jeden działający, dwa awaryjne. Zapas awaryjny. Ale przecież po to…

W uszach cicho, ale natarczywie stukał metronom: tik–tak.

Andriej podniósł spojrzenie przysłuchując się.

Nie, to bije serce: tik–tak.

Rozdwojona skała zwisała nad jeziorem jak dwa proste skrzydła, które zastygły w oczekiwaniu na wzlot.

Andriej wyjął prawą rękę z rękawiczki biosterowania. Cztery manipulatory opadły bez życia. Wymacał pod płytą bezpiecznik bloku awaryjnego i ścisnął palcami obnażone zaciski. Coś trzasnęło i zapachniało spalenizną.

I natychmiast nad uchem rozległ się głos Miedwiediewa:

— „Prima”, tu „Alfa”, dlaczego został przerwany sygnał ze skafandra?

— „Alfa”, tu „Prima”, wszystko w porządku, przypadkowo zawadziłem o awaryjny bezpiecznik, wszystko w porządku…

— Jesteś w kabinie?

— Tak.

— Dlaczego nie lecisz?

— Wszystko w porządku, Piotrze Jegoryczu, proszę się nie denerwować.

— A dlaczego właściwie miałbym się denerwować?

— „Alfa”, tu „Prima”, wylatuję.

— „Prima”, tu „Alfa”, zrozumiałem. Czekamy. Masz półgodzinne opóźnienie.

Pół godziny. Co to jest pół godziny?

Słońce już minęło swój najwyższy punkt i u stóp Andrieja legła ciemna plama: spłaszczony, rozdeptany cień skafandra z opadniętymi manipulatorami.

Metronom stukał coraz głośniej.

Andriej położył rękę na twardym czerwonym guziku.

* * *

Nina obudziła się od razu. Serce waliło jej w piersiach i w pierwszym nieświadomym odruchu włączyła lampkę nad dziecięcym łóżeczkiem.

Zielone przyćmione światło wydobyło z ciemności posapujący nosek, rozchylone nabrzmiałe usteczka.

Syn błogo spał.

Wyłączyła światło i opuściła głowę na poduszkę.

W pokoju było ciemno, cicho i duszno. Ciekawe, która godzina? Nie miała ochoty jeszcze raz zapalać światła i spróbowała określić porę nocy na podstawie jakichś innych znaków. Z prawej strony po ścianie rozpełzły się wymyślne pierzaste cienie, rzuciły się na sufit i zniknęły. Za ścianą coś cieniutko zadźwięczało, zaszeleściło i też zamarło. Minęła minuta. Może trochę więcej. Nadal było spokojnie, ciemno i cicho, tylko równy oddech syna słychać było w pokoju.

Nina zamknęła oczy. Myśli płynęły powoli i bez związku, wypływały, krążyły w miejscu i znów tonęły.

Co ją tak wystraszyło? Chyba jakiś krzyk. Ale nikt nie mógł krzyczeć. To znaczy, że coś się jej przyśniło. Ale co?

Próbowała przypomnieć sobie sen, ale przed oczyma tańczyły fragmenty jakichś fantastycznych bzdurnych obrazów: granatowe skały, różowe niebo, mleczne jezioro, zielone słońce i jakiś dziwny owad, podobny do rozdeptanego chrabąszcza.

Nina odwróciła się na bok i zwinęła się w kłębek próbując zasnąć. Niezrozumiały lęk nie mijał.

Może jest zbyt duszno?

Zamiast włączyć klimatyzację, Nina wstała, narzuciła podomkę i na oślep, potykając się o meble podeszła do ledwie widocznego prostokąta okna. Okiennice rozwarły się wolno i w twarz uderzyło wilgotne nocne powietrze nasycone lodowatymi śnieżynkami zapachów tajgi.

Lekko zakręciło się jej w głowie. Na dole lśniły gwiazdy — światła wielkiego miasta. Ich różnokolorowy rój zapełniał przestrzeń aż po horyzont, przechodząc w wyraźne rysunki gwiazdozbiorów na niebie…

Gwiazdy… Wesołe świetliki migoczą, jakby czyjaś czarna łapka bawiła się ogniem: odsłoni, zasłoni. Kropka, kreska, kropka, kreska.

Niedokładny nocny sygnał alfabetem Morse'a.

Nina spróbowała wyobrazić sobie lodowatą otchłań niezmierzonych przestworzy, niebieskawe protuberancje obcych słońc i aż zadrżała z zimna. Nie, gwiazdy, mimo wszystko, będą dla niej — jak w dzieciństwie — dobrymi, zabawnymi świetlikami.

Czyżby właśnie one, te dalekie ogniki, mogły zabrać jej Andrieja?

I znów przerażająco jasno stanął jej przed oczami senny koszmar: granatowe skały, zielone słońce i dziwny chrabąszcz. Nie, nie jest rozdeptany, rozpołowił się wzdłuż ciała na dwie części, a w czarnej szczelinie…

Nie, nie! Nie! Gwiazdy, jesteście takie dobre, gdy się patrzy na was stąd, z Ziemi, przecież nie możecie, nie macie prawa!…

Andrieju, gdzie jesteś, co się z tobą dzieje? Dlaczego mi tak ciężko na sercu?

Z prawej strony bezgłośnie zorza rozświetliła połowę nieba i dokładnie po czterech sekundach dotarł do Niny podmuch powietrza — to wystartował zgodnie z rozkładem międzykontynentalnym realot. Czyli jest trzecia piętnaście.

Uwijały się, splątywały i rozplątywały w dole smugi światła z reflektorów samochodowych — w głębokiej ciszy nocy ktoś gdzieś się spieszył, ktoś na kogoś czekał, ktoś się z kimś spotykał i rozstawał.

Oczy przyzwyczaiły się już do ciemności i Nina przeszła do sąsiedniego pokoju.

Było jej bardzo wstyd, ale palec jakby wbrew woli wykręcił numer.

Ewa nie spała. Uśmiechnęła się do Niny z wygodnego fotela i odłożyła na stolik notes i ołówek.

I zanim Nina zdążyła wymyśleć, o co by ją zapytać, żeby choć trochę usprawiedliwić telefon w środku nocy, Ewa odezwała się pierwsza:

— Nie śpisz? Dręczysz się?

I nie doczekawszy się odpowiedzi mówiła dalej:

— Nie spuszczaj oczu. Ja też nie śpię po nocach. To już piętnaście lat od czasu, kiedy Artur pierwszy raz wyruszył w gwiazdy. I żadna z nas nie śpi. Ela dzwoniła już do mnie cztery razy.

Czując paskudny ucisk w gardle Nina próbowała przeprosić za kłopot, usiłowała coś tam jeszcze powiedzieć, ale Ewa — kto i kiedy nazwał ją „kosmiczną mamą"? — przerwała:

— Daj spokój! Nie ma się czego wstydzić. Popłacz sobie, jeśli masz ochotę. Oni, mężczyźni, mają gwiazdy, my — baby — łzy. Tak mówiło się w dawnych czasach.

Ewa wymawiała „i" po łotewsku miękko, a ,,b" z wybuchową twardością, dlatego to „mężczyźni" zadźwięczało czule, a „baby" szczęknęły jak zamek starej strzelby… O „dawnych czasach" pewnie prawda, bo artysta plastyk Ewa Bremzis historię znała doskonale.

Ewa odruchowo skierowała wzrok na gobeliny, którymi był zawieszony cały pokój. Ogniste barwy wzorów i rysunków świeciły w półmroku. Ożywały, poruszały się piękne figury — raz potężne, raz delikatne, a raz subtelne — rozkwitały przedziwne kwiaty, i pachniały trawy, i szumiało bursztynowe morze, i powolne runy „Kalewali" wypływały z głębin czasu na spotkanie atomowych słońc nowego wieku.

Ewa zauważyła jej spojrzenie.

— Podoba ci się? A ja przecież specjalnie siedzę po nocach w tym pokoju. Tu jest spokojniej.

Nina milczała i Ewa wzięła do ręki notes:

— Chcesz, pokażę ci coś nowego? To tylko szkic, ale chcę właśnie coś takiego zrobić. Na przylot naszych chłopaków… Żeby wiedzieli, że bez nich coś tu jednak robimy…

Ewa przysunęła notes do samego ekranu.

— Podoba ci się?

Był to szkic lumografem i na dodatek wykonany w umownym stylu ludowym, dlatego Nina nie od razu pojęła, co tam jest narysowane. Dopiero powoli powyginane kolorowe linie złożyły się w części rysunku.

Granatowe, geometrycznie równe skały…

Zielone słońce z dwiema koronami…

Biały owal nieruchomego jeziora…

Zielona istota… nie, to skafander… tak, oczywiście, skafander, na dodatek można dokładnie określić markę — SAZŻ–5, jak mogła od razu nie rozpoznać…

Cisza.

Jeszcze nie zdążyła się ani zdziwić, ani świadomie zareagować, kiedy poczuła tępe uderzenie w skroniach, rysunek rozsypał się, a za nim była noc i spoza niezmierzonych otchłani przestrzeni, tuż obok, przed samymi oczami matowo połyskując rozwarły się poły skafandra, wydając bezbronne ciało na pastwę strasznego obcego świata…

— Co się z tobą dzieje, dziecino? Czemu krzyczysz?

— Ewuniu, z nim się coś dzieje, Ewuniu!…

Na statku trwała radosna krzątanina.

W jednakowych szarych kombinezonach, z odrzuconymi hełmami, wybrudzeni i weseli uczeni podobni byli teraz do gromady chłopaków, którzy chcą rozgromić senne elektroniczne królestwo. Pstrykały wyłączniki, wystraszone automaty piszczały, szaleńczo migając lampami indykatorów, usiłowały w mig zrozumieć i uspokoić nieoczekiwaną nerwowość obwodów, ale coraz to nowe i nowe algorytmy zmuszały je do wysiłku, a głośniki łączności ogólnej grzmiały w kajutach i przejściach najprzeróżniejszymi głosami: „Kontrola urządzeń! Kontrola!”

Zły i rozdrażniony Kriwcow snuł się po statku starannie obmacując każdy metr matowego metalu. W oddziale chronopulsacji omal nie upadł potykając się o czyjeś nogi. Spoza otwartego pulpitu wyjrzał cybernetyk Stanisław Swirin.

— Proszę mi natychmiast oddać moje okulary! Przecież wiem, że to pan je wziął!

Swirin przygładził szeroką dłonią zadziorny siwy kosmyk i spróbował nadać swojej okrągłej twarzy wyraz oburzenia:

— Towarzyszu Kriwcow, jeżeli pan jeszcze raz spyta mnie o swoje okulary, to wyślę pana na dwa miesiące w przeszłość. Przecież powiedziałem, zapytaj Apienczenki.

— Pytałem.

— No i co?

— Mówi, że nie brał.

Głos cybernetyka nadal był poważny:

— To bardzo możliwe. Na takich planetach wszystko jest możliwe. Labir! Zagadkowy minerał! Materia przedgwiezdna. Czego można się spodziewać po przedgwiezdnej materii?

— Ale kochani, zrozumcie, ja bez okularów nie mogę podliczać grafików dział meteorowych. Przecież robota leży… Dość już…

— Okulary w naszych czasach to marne bikiniarstwo.

Trzeba nosić szkła kontaktowe. Trochę psują kolor oczu, ale za to można na nich polegać.

— Słuchaj, Staś, daj już spokój, jak Boga kocham…

— Boga nie ma…

Nieoczekiwanie spiął nerwy wilczy ryk syreny.

— Alarm ogólny!

Staś momentalnie poderwał się na nogi.

— Kontrola… — zachichotał głośnik.

Staś pogroził pięścią w przestrzeń i z westchnieniem oddał Aleksiejowi okulary, które, jak się okazało, znalazły się w jego kieszeni na piersi.

— Ty rudy diable! Całkiem mi zepsułeś nastrój. Też mi żarciki! — Odwrócił się do ściany z narzędziami, na której czerniał napis: „Ostrożnie! Minus czas!” i zamruczał już całkiem cicho: — Nie mogę słuchać tej syreny. Dawniej nie tak, ale teraz… Kiedy Ziemia jest już prawie o krok…

Do Ziemi było ponad tysiąc parseków i nawet promień światła potrzebowałby ponad trzy i pół tysiąclecia, żeby dotelepać się do tej nieskończenie małej i nieskończenie bliskiej kropelki gwiezdnego oceanu, ale Kriwcow popatrzył na nagle opuszczone ramiona cybernetyka i nic nie powiedział.

W pomieszczeniu dowództwa basem huczał GEMD — główny elektronowy mózg dowodzenia. Jego „głowa” górowała w centrum, za oparciami foteli pilotów, jak ogromna mina z czasów drugiej wojny światowej. W niezliczonych matowych okienkach skakały zielone i niebieskie błyskawice, a podobne do guzów wyrostki to rozświetlały się do pełnej przezroczystości, to nabrzmiewały ciemną purpurą, to zatrważająco czerniały. GEMD myślał w napięciu.

Oprócz GEMD w pomieszczeniu były dwie osoby — kapitan i drugi pilot Rewaz Rondeli. Bremzis przykucnął obok mózgu elektronowego i przyglądając się światełkom sygnałowym wrzucał do kłapiących szczęk kursografu porcję danych. Pilot półleżąc w fotelu smętnie przyglądał się jego pracy.

— No i jak, Rewaz? Co z subprzestrzenią?

— Sprawdziłem, kapitanie. Aparatura wejścia i wyjścia pracuje wzorowo. Troszeczkę bryka prawy ósmy subelejter, ale w granicach normy.

— Mimo wszystko zamontuj tam nowy blok z rezerwy. Nie bądź leniem. Nie ma co teraz oszczędzać. Jesteśmy prawie w domu.

Pilot ciężko westchnął i uniósł się z fotela. Podnosił się jakby częściami, wyciągając po kolei do normalnej długości nogi, ręce, tułów, które jakimś cudem mieściły się w niewielkim fotelu. I kiedy „proces wyciągania” wreszcie się skończył i Rewaz wyprostował się na całą długość, to musiał schylić głowę, żeby nie zaczepić o girlandę lamp przy suficie: dwóch i pół metra wysokości kabiny było dla niego jeszcze za mało.

Kapitan rzucił okiem na podkute buciory rozmiaru czterdzieści pięć, które uroczyście przedefilowały do wyjścia i uśmiechnął się chytrze.

Kiedy Rewaz wrócił, kapitan siedział już w fotelu odwrócony tyłem do ekranów celowniczych.

— No i co, Rewaz?

— Zamontowałem.

— To świetnie. Odpoczywaj.

Jednak pilot nie miał zamiaru usiąść. Stał przed kapitanem posępniejszy niż chmura gradowa opierając się głową o sufit i milczał. Bremzis spuścił oczy.

— No, czemu stoisz? Siadaj!

Rondeli zaczął cicho i bardzo delikatnie:

— Proszę mi powiedzieć, Arturze Arwidowiczu, kto będzie tym razem wyprowadzał statek w subprzestrzeń?

Artur z zakłopotaniem bębnił palcami o oparcia fotela.

— Rewaz, proszę cię, nie obrażaj się…

— Znaczy się, znowu pan sam? — w głosie pilota obudziły się pierwsze szelesty nadciągającej lawiny.

— Ale, Rewaz…

— A Rewazowi Rondeli, jak maleńkiemu chłopcu pozwoli pan tylko nacisnąć—przycisk automatycznego wyjścia z „komina Clarka”, tak?!

Z hukiem posypały się kamienie. Lawina runęła.

— Rewaz nie jest godny, tak? Rewaz się nie nadaje, tak? Rewaz nie potrafi, tak?

Bremzis uniósł ręce w geście protestu.

— Rewaz, kochany, jesteś znakomitym pilotem, ale zrozum, jestem synem rybaka, wnukiem rybaka i prawnukiem rybaka… Mamy taki zwyczaj — statek w powrotny rejs obowiązkowo wyprowadza sam kapitan. Inaczej czeka nieszczęście…

— Hańba! — ryknął Rewaz prawie płacząc z wściekłości. — Po stokroć hańba! Kapitan gwiazdolotu wierzący w bajki babuni? Przesądy! Mistyka!

— Ależ Rewaz, wyjście z „komina Clarka” jest o wiele bardziej odpowiedzialne!

— Bardziej odpowiedzialne! Odpo… — pilot aż stracił oddech. — To… sto lat temu było bardziej odpowiedzialne, a teraz… O!

Długi palec Rewaza jak bolid świsnął nad głową kapitana i utknął w niewielkim pulpicie z owalnym guzikiem w paski pośrodku.

— Teraz Rewaz naciśnie ten guzik i może iść napić się „Saperawi!”! Automaty same wyprowadzają statek jak można najdalej od wszelkich niebezpiecznych miejsc! Jesteś bardzo chytry, kapitanie!

Artur poczerwieniał, ale zdenerwować się nie zdążył — wszedł Miedwiediew. Rewaz umilkł i burcząc coś po gruzińsku poszedł układać swoje cielsko w fotelu pilota.

Miedwiediew nawet na niego nie spojrzał.

— Arturze Arwidowiczu, „Chronos” już przyjął wszystkie informacje, które zebraliśmy w czasie ekspedycji. Katapulta włączona. Więc jakby z „Alfą” coś się stało…

— Piotrze Jegorowiczu, niech pan splunie przez lewe ramię. Takich rzeczy nie mówi się przed samym odlotem… Co z „Prima”?

— „Prima” już jest w hangarze. Kriwcowi Swirin pomagają Sawinowi.

— Na ostatnim witaskopie rezultaty takie jak przedtem?

— Oczywiście…

Miedwiediew skierował się już do wyjścia, ale nieoczekiwanie zatrzymał się.

— Niech pan posłucha, Arturze Arwidowiczu, czy pan dobrze zna SAZŻ–5?

— Hm… Nawiasem mówiąc sam przeprowadzałem badania próbnej serii SAZŻ–1. Najpierw w barokamerze, potem w kosmosie… A SAZŻ–5 pojawiły się akurat po tych badaniach. Wariant końcowy, że tak powiem.

— Niech pan powie, czy można tam przypadkowo zawadzić o awaryjny bezpiecznik? Artur zamyślił się.

— Właściwie… Właściwie można… Ale musiałaby się najpierw sama otworzyć tablica kontrolna. A to już jest zupełnie nieprawdopodobne.

— Ale mimo wszystko możliwe?

— No, niby tak… A o co chodzi?

— A nic. Tak pytam. Z ciekawości.

Miedwiediew wysunął ze ściany rozkładany fotel i usiadł wyciągając nogi. Zamknął oczy i wyglądało, że się zdrzemnął. Tylko czasami jego splecione długie palce podrygiwały i kurczowo zaciskały się.

Andriej wszedł po dziesięciu minutach — przygarbiony, ciężkim, niepewnym krokiem jakby podłoga kołysała się lekko pod nim. Był blady i ponury.

— Towarzyszu kapitanie, kosmonauta Sawin melduje swoje przybycie z kwadratu 288–B. Witaskop dostarczony. Żadnych komplikacji nie było.

— Dobrze. Może pan odejść, Sawin.

Andriej odwrócił się, żeby wyjść.

— Źle się pan czuje, Sawin?

W głosie Miedwiediewa było coś takiego, że Andriej aż się skurczył w środku.

— Nie, czuję się znakomicie. Po prostu trochę się zmęczyłem.

W spojrzeniu Miedwiediewa nie było zwykłej dla niego żartobliwości. Patrzył surowo i ze smutkiem.

— Jeśli tak, to chciałem pana prosić, aby mi pan trochę pomógł.

Czując między łopatkami strumyczki zimnego potu, Andriej szedł za Miedwiediewem po jaskrawo oświetlonym korytarzu.

Szef coś podejrzewa. Jeżeli się domyśli… Andriej już kiedyś widział coś takiego: osiem dyskoplanów wiszących nad powierzchnią planety, skrzyżowane strumienie lodowatej plazmy niszczącej najdrobniejszy okruch życia… Według regulaminu to się nazywa „natychmiastowa zupełna sterylizacja zakażonego terenu”.

Kabina radiowa lśniła wypolerowanym metalem i szkłem pod ciemną kopułą trójwymiarowej mapy. Dziwaczna gwiezdna kopuła z zawieszonymi w przestrzeni nazwami, wzdłuż i wszerz poprzekreślana wytrasowanymi nitkami linii mengołączności nadawała kabinie wygląd planetarium. Podłoga lekko połyskiwała podświetlając od dołu punkty łączności. Nad jednym z nich opalizujące lśnił ekran bezpośredniej łączności z Ziemią. Ten właśnie ekran po ponad półrocznej przerwie miał już niedługo ożyć. Tam na granicy Systemu Słonecznego…

Andriej poszukał— oczami opancerzonej torpedy „Chronosa”. Kapsuły nie było. To znaczy, że „Chronos” już jest w awaryjnej katapulcie. Jakiej pomocy oczekuje od niego szef?

— Trzeba jeszcze sprawdzić cały system kontroli radiowej SAZŻ–5 i ,,Primy” — niespiesznie i bezbarwnie, nie patrząc na Andrieja, powiedział Miedwiediew. — Kiedy zniknął kontrolny sygnał ze skafandra…

— Przypadkowo zawadziłem o awaryjny bezpiecznik.

— Tak, tak, od razu powiedział mi pan o tym. Przecież był pan już wtedy w kabinie. — Widzi pan! Kiedy zniknął sygnał ze skafandra, od razu skontrolowałem „Primę” — tam też nie było sygnału… Przecież wystartował pan od razu, jak to wynika z radiogramu?

— Od razu…

— Tak… To znaczy, że w systemie kontroli radiowej coś jest nie w porządku. Innej przyczyny być nie może. Jeżeli tylko…

Miedwiediew w roztargnieniu poruszał to w lewo, to w prawo pokrętłem miksera mocy aparatu kontrolnego i długa strzałka głównego amperomierza pokornie kołysała się od zera do ostatniej kreski skali. Miarowe kołysanie hipnotyzowało.

— Jeżeli tylko pan nie zdejmował skafandra, żeby odetchnąć świeżym powietrzem tej gościnnej planety.

Ostatnie zdanie zabrzmiało głośno i ostro. Andriej oderwał w końcu wzrok od hipnotyzującej strzałki i spróbował się uśmiechnąć.

— Tak, właściwie… m—miałem zamiar pospacerować, jak pan pamięta… Ale jakoś nie wyszło. Może innym razem…

Miedwiediew nie uniósł głowy pochłonięty zabawą z mikserem i Andriej zaczął się pomału denerwować.

— Koniec końców nie wiem, o co chodzi. Możliwe, że to wina schematu. Zielone słońce było w zenicie, a wtedy, jak pan sam wie, zjonizowany w ciągu czarnego dnia dwutlenek węgla wyładowuje się w przestrzeń. Powstają rozmaitego rodzaju magnetyczne i elektryczne obłoki. Możliwe, że taka chmurka na moment zekranizowała kontrolny sygnał „Primy". Skąd mam wiedzieć? A schemat… Schemat, jak pan chce, możemy sprawdzić i tak…

Miedwiediew uniósł głowę i potarł czoło popatrując na Andrieja, jak gdyby zobaczył go po raz pierwszy. Andriej wytrzymał spojrzenie, tylko zbladł jeszcze bardziej.

— Tak… Tego nie wziąłem pod uwagę. Ma pan rację. Schemat jest w porządku. To pewnie jakieś zakłócenia doprowadziły do zaginięcia sygnału. Proszę wybaczyć, że pana niepokoiłem.

Mówił powoli, ze zmęczeniem, jak gdyby przeżył wielkie fizyczne i psychiczne napięcie, jak gdyby to on, a nie Andriej był w kwadracie 288–B. Złość minęła i Andriej poczuł nagle przypływ ufnej dziecięcej czułości do tego zbyt wcześnie posiwiałego, niedostępnego człowieka. Nabrał ochoty wziąć go za rękę, mocno uścisnąć i opowiedzieć o wszystkim. O wszystkim — do początku do końca. Powinien zrozumieć.

Stali naprzeciw siebie i milczeli. I obaj drgnęli, kiedy w głośnikach zabrzmiał ostry głos kapitana:

— Wszyscy do messy! Wszyscy do messy!

Kapitan czekał na nich uroczysty, ubrany w paradny mundur, ogolony i pachnący jakąś wodą kolońską:

— Proszę siadać.

Siadać nikt nie miał ochoty. Wszyscy skupili się koło stołu, poszeptywali, poprawiali swetry i kurtki, pospiesznie przyczesywali się, jakby przygotowywali się do zbiorowej fotografii. Andriej odruchowo, skrępowany stanął za plecami kolegów — nawet nie zdążył zdjąć kombinezonu.

Artur uniósł rękę.

— Towarzysze kosmonauci! Nasza praca została zakończona. Wykonaliśmy zadanie postawione przed nami przez Ziemię, przeprowadziliśmy rozpoznanie najbardziej tajemniczych tworów Galaktyki — planet krystalicznych. Zebraliśmy bogate materiały. Pragnę szczególnie podkreślić, że nasza ekspedycja minęła bez żadnych awarii, bez nadzwyczajnych wypadków i rażących naruszeń dyscypliny…

— Boże, ratuj marynarza — wyszeptał stojący obok Kriwcow unosząc oczy ku niebu. — Nawet tutaj nie obejdzie się bez regulaminu…

Andriej poczuł na sobie czyjeś spojrzenie i uniósł oczy. Miedwiediew odwrócił się.

— Krótko mówiąc, gwiazdolot–zwiadowca „Alfa" jest w zupełności gotów do startu. Start wyznaczam na dwudziestą czwartą zero zero czasu pokładowego. Pobudka na godzinę przed startem. Są pytania?

— Nie ma! — zaszumiało w kabinie.

— Wobec tego dobranoc!

Pierwszy wyszedł Miedwiediew, za nim Kriwcow, Apienczenko i Swirin. Przepuszczając kapitana zniknął w owalu drzwi Rewaz Rondeli.

Andriej został sam.

Podszedł do portiery, która cały czas była odsłonięta.

Znów była noc. Dokładniej — nie noc, a czarny dzień, niewidoczne słońce stało w zenicie i tylko nad samym horyzontem roiły się wielkie naburmuszone gwiazdy, a od dołu nieruchomymi językami złotego, różowego i pomarańczowego ognia biły w czarny zenit kryształy labiru.

Coś się jednak zmieniło w tym dziwnym połyskującym świecie. Przestał być obcy.

I Andriej nagle zrozumiał, że od dziś będzie go ciągnąć do tej planety, tak jak teraz ciągnie go do Ziemi. I że na zawsze będzie się już miotał między tymi dwoma ogniami, nie znajdując spokoju…

— Do widzenia! — szepnął czarnemu słońcu i labirowej zorzy. — Do widzenia. Ja tu wrócę.

W swojej kabinie Andriej nie rozbierając się upadł na posłanie. Ciężko huczało mu w skroniach. Namacał na stoliku środek nasenny i przełknął tabletkę bez popijania.

— Sprawa załatwiona, Piotrze Jegorowiczu — wyszeptał z zamkniętymi oczami. — Teraz już nic nie można zmienić! Kołowrót poszedł w ruch.

Pod zamkniętymi powiekami drżały zielone, niebieskie i czerwone plamy. Pomału ich ruch robił się coraz płynniejszy, dopóki nie przekształcił się w powolne krążenie. Kręciła się, kręciła tuba kalejdoskopu, kolorowe szkiełka składały się w niepowtarzalne wzorki, wzorki te nakładały się jeden na drugi, jak delikatne koronki, wzorzysty kłębek pęczniał, aż przekształcił się w planetę — i wtedy popękały granatowe skały i wystrzeliły z nich drżące nitki świeżych pędów…

Cała planeta zarosła nieokiełznanym, szalonym bzem, ogromne ciężkie kiście wisiały do samej ziemi, a bez wciąż rósł i rósł i stawał się lasem nie do przejścia, i Andriej przedzierał się przez ten las, po kolana zapadając się w opadniętych płatkach, tracąc oddech od dusznego zapachu bzu, dopóki wreszcie nie pojawiła się matowa biel… Oto stoi na dolnym tarasie nad jeziorem, nad nim zwiesza się bez, a na spotkanie podskakując biegnie jasnowłosy chłopczyk podobny do Niny:

Tatuś! Tatuś przyleciał!

*** * ***

Międzynarodowa Rada Kosmonautyki obradowała już drugi tydzień i już drugi tydzień z Ziemią działo się coś niedobrego. Zewnętrznie nic się nie zmieniło: dzień i noc niezliczone podziemne fabryki wyładowywały na powierzchnię swoją produkcję, międzykontynentalne realoty startowały dokładnie według rozkładu, centra obliczeniowe rozwiązywały najbardziej nieprawdopodobne łamigłówki — słowem, ani jedna śrubka skomplikowanej gospodarki planety nie została uszkodzona, ani jeden trybik się nie zatrzymał.

Jednak kolejno zostały odwołane wszystkie zawody sportowe — zabrakło kibiców. Wystraszeni niezwykłą ciszą leśnicy w rezerwatach wysyłali zatrwożone radiogramy,— zabrakło turystów. Bibliotekarze w pustych salach czytelni szeptali między sobą — zabrakło czytelników.

Drzemały w magazynach szpule z filmami przygodowymi, ale za to do planetarium nie można się było dopchać. Pokrywały się kurzem na półkach tomiki fantastyki, ale za to ziały czarnymi dziurami w ścianach półki ze specjalistyczną literaturą z astronomii i kosmonautyki.

W zestawieniu z tym, co przywiozła ekspedycja gwiazdolotu „Alfa”, zbladła nawet najbardziej nieprawdopodobna fantastyka.

Jedynie pomysłowa Selena Suoka osiągnęła w tych dniach zdecydowany sukces. Pojawiła się na scenie jakby materializując się z niczego przy tęsknym pluskaniu organów elektronowych, cała zakutana w opalizujący niebieskawy woal. Powoli, bardzo powoli plusk przekształcał się w melodię starej pieśni „Wieczne żagle” i tak samo powoli opadał woal odsłaniając pozbawioną życia białą twarz z ogromnymi nieruchomymi oczami. Jęczały, miotały się jak wypłoszone mewy wysokie skrzypce, powoli opadała zasłona, powoli obnażały się ramiona i pierś, na której iskrzył się naszyjnik z naturalnego labiru. Srebrne trąby podążały ku górze i w ślad za nimi wzlatywała blada ręka i niski kontralt zmrażał salę głębokim długim westchnieniem.

Tam w niezmierzonej dali,
za słońcem słońce odkrywając,

skraj ziemi ludzie rozpoznali
i zatrzymali się na skraju…

Pod koniec drugiego tygodnia namiętności zaczęły ucichać. Federacja sportu ogłosiła, że odwołane wcześniej mistrzostwa świata w „eleganthokeju” mimo wszystko się odbędą — liczba zgłoszeń zbliżyła się do normy. W Puszczy Białowieskiej ktoś zobaczył żubra. W czytelni Biblioteki Lenina ktoś zamówił kopię „Słowa o wyprawie Igora”. Dwudziestopięcioodcinkowy film przygodowy „Na każdym milimetrze” otrzymał srebrną nagrodę na festiwalu filmowym w Sofii. Chłopcy zapodziali gdzieś skafandry i znowu bawią się w murarzy.

Ostatnie posiedzenie Rady, tak jak i wszystkie poprzednie, było transmitowane na stu osiemnastu kanałach międzynarodowej łączności telewizyjnej Ziemi, docierało na wszystkie orbitalne sputniki i stacje kosmiczne, do miasteczek akademickich Księżyca, Marsa i Wenus, na stałe stanowiska poza granicami Systemu Słonecznego i na statki kursujące w granicach szybkości światła.

Ale tym razem przy domowych teleścianach i ekranach, w kajutach zebrali się przede wszystkim znudzeni emeryci, wolni od wacht kosmonauci albo po prostu miłośnicy naukowych skandali.

Zaczynał się „dzień żałobny”.

„Żałobne dni” dawno już stały się tradycją. Badacze Głębokiego Kosmosu przywozili ze sobą nie tylko próbki i fakty, ale także niejasne domysły, niewyraźne odczucia, nieoczekiwane analogie. To były psychiczne „odpadki produkcyjne” nie wchodzące do sprawozdań ekspedycji, ale przecież kiedyś w takich „odpadkach produkcyjnych” z fabryk uranowych państwo Curie odkryli polon i rad…

Dlatego Rada bardzo uważnie rozpatrywała wszystkie, choćby najbardziej fantastyczne domysły każdego kosmonauty. Przecież jego podświadomość mogła zanotować to, czego nie zrozumiał i nie przyjął mózg — w kupie piasku mogła błysnąć złota grudka odkrycia.

Trzeba jednak powiedzieć, że takie grudki błyskały niezbyt często. Dużo częściej nowej hipotezie całkiem słusznie organizowano wystawny „społeczny pogrzeb”. Najczęściej zwiadowcy bronili się z desperacją i mijało sporo czasu, zanim wszystko wracało na swoje miejsce.

Jednak na dzisiaj niczego ciekawego nie przewidywano.

Miedwiediew czytał sprawozdanie kosmobiologa Sawina w na poły pustej sali. Operatorzy kamer telewizyjnych ziewali bez skrępowania. Steinkopf schylając siwą lwią grzywę śledził tekst według niemieckiego przekładu i od czasu do czasu uśmiechał się.

W bufecie przy barze było tłoczno i głośno.

— A ja mimo wszystko rozumiem Sawina — planety krystaliczne potrafią każdego doprowadzić do szału…

— Ale posłuchaj, sztuczne pochodzenie, to już cholera wie, co za pomysł!

— A czego ty się tak przyczepiłeś tego sztucznego pochodzenia? Przecież on sam pisze: „Traktuję to jako hipotezę roboczą”. No popatrz tutaj: „Moje zdanie jest o wiele bardziej skromne…” tak… tak. O patrz. „Dowieść możliwości życia na planetach krystalicznych… zlikwidować w ten sposób barierę Steinkopfa stojącą na drodze ludzkości… resztę zrobią inni…”

— No i co udowodnił? Tylko tyle, że Steinkopf ma rację!…

— Ale przecież przeprowadza tu poważny dowód…

— Dowód! Nie ma życia na planetach krystalicznych? Nie ma!

— Całkowicie zgadzam się z Gorinem: szczyt absurdu. Prawą ręką Sawin potwierdza Steinkopfa, a lewą próbuje go obalić. Po prostu nie rozumiem, dlaczego Rada w ogóle przyjęła do

rozpatrzenia to sprawozdanie. Przecież to jasne, że to płód fantazji przemęczonego człowieka. Aż nawet trochę go szkoda…

— Towarzysze, a dlaczego sam Sawin nie był obecny na ani jednym posiedzeniu? Teraz też go nie ma…

— Wstydzi się pewnie swojego dzieła…

— Daj spokój, Panczuk, jak ci nie wstyd! Sawin jest chory…

— A co mu jest?

— Nie wiem.

— Mówią, że nieżyt górnych dróg oddechowych czy zapalenie oskrzeli… W każdym razie coś w tym rodzaju…

— Nigdy nie myślałem, że kosmonauci boją się przeziębienia…

— Ostrożnie, „wieloryby” na horyzoncie!

— Nie wytrzymali…

— Nigdy z niego nie wyrośnie poważny naukowiec — pospiesznie z zadyszką mówił dyrektor Instytutu Genetyki — Stołypin, ledwie nadążając za ciężkim, ale ruchliwym cielskiem jednego z ośmiu stałych przedstawicieli MRK, Manuka Georgijewicza Mikaeljana. — Już wcześniej skakał z instytutu do instytutu, od jednego tematu do drugiego. I niczego nie doprowadzał do końca. Jego silenie się na oryginalność i dążenie do reklamy nie zna granic. Planety–sondy! Planety—jajka! Jakieś brednie…

Mikaeljan niecierpliwie kiwał się na czubkach palców czekając, aż automat napełni szklankę. Zachęcony jego milczeniem Stołypin mówił dalej:

— I na dodatek ta teoria „przesyconego roztworu”. Sawin neguje przekształcenie nieżywotnych form materii w organikę na drodze ewolucji. Proszę tylko posłuchać: „Przesycony roztwór soli może nieskończenie długo pozostawać roztworem, ale wystarczy zanurzyć w nim choćby jeden kryształek, aby zaczęła się burzliwa krystalizacja, i po minucie prawie cały roztwór przekształci się w ciało stałe. Tak samo w kosmosie — akumulacja czynników sprzyjających powstaniu życia może trwać nieskończenie długo nie tworząc życia. Wystarczy jednak tylko lekki bodziec, aby doszło do biologicznego wybuchu…” Przecież to nic innego, jak tylko ta słynna praprzyczyna! Deizm najczyściejszej wody!

Zapocona szklanka parzyła palce. Posapując, chrząkając i marszcząc się Mikaeljan pił maleńkimi łyczkami lodowaty borżomi i starał się nie patrzeć na Stołypina.

— A ten galimatias o sterowanych biosferach? Albo o „życiowych iniekcjach”? Jakie perełki: „Świadome wprowadzenie do innych światów naturalnych albo sztucznych organizmów może obudzić śpiące od milionów stuleci pustynie planet krystalicznych, i kto wie, jakie horyzonty otworzą się wtedy przed nami!”. Pięknie, nie? A przecież młodym ludziom wystarczy tylko, żeby ktoś gwizdnął — polecą na pięści. Prowokacja!

Mikaeljan popatrzył na pustką szklankę pod światło i postawił ją na ladzie.

— Słuchaj, Stołypin, a ty byłeś na Księżycu?

— Byłem. A…

— W skafandrze?

— Pan się śmieje, Manuku Georgijewiczu? W moim wieku skafander!

— Halo! Ale przecież na Księżycu nie ma atmosfery! I życia też nie ma! Cóżeś ty narobił, Stołypin? Dawno jesteś już trupem!

— A, to pan o tym… Ale Księżyc — to zupełnie inna sprawa!

— A u nas w Armenii powiadają: „Jak skończyłeś z jedną sprawą — bierz się za drugą, inaczej nie zdążysz załatwić trzeciej”. Dobrze mówią, nie?

— Manuku Georgijewiczu, to pan…

— Nic nie ja! — zdenerwował się nagle Mikaeljan i poszedł w stronę drzwi torując sobie drogę przez tłum potężnym krótkim tułowiem.

W bufecie znowu podniósł się gwar.

— Towarzysze, a przecież Mikaeljan jest po stronie Sawina!

— Właśnie, wydało ci się! Po prostu Mikaeljan jest przeciwko Stołypinowi i tyle. Nie znosi go…

— Jak widzisz, znosi…

— Beztalencie…

— Nie beztalencie, a organizator nauki. Tak to się teraz nazywa.

Kiedy Andriej i Nina cicho weszli do sali posiedzeń i nie zauważeni przez nikogo przysiedli na ostatniej ławce, Stołypin już kończył swoje wystąpienie. Pełen natchnienia, pięknymi długimi zdaniami mówił o przeżytkach idealizmu u pojedynczych młodych uczonych, o sławetnym Najwyższym Rozumie, o woluntaryzmie w nauce.

— Niektórzy młodzi uczeni, w pogoni za reklamą i wątpliwą sławą w niekompetentnych kręgach szerokiej publiczności od czasu do czasu stawiali, stawiają i będą stawiać tak zwane „szalone hipotezy”, targać się na fundamentalne prawa przyrody, sprawdzone przez wieki i doświadczenia. Podkreślam — sprawdzone przez doświadczenie! Do takich fundamentalnych praw zalicza się teorię bariery życiowej naszego szanownego Oresta Henrykowicza Steinkopfa.

Steinkopf spode łba popatrzył na goły spocony kark Stołypina i cicho powiedział coś do sąsiada pogardliwie wydymając dolną wargę. Sąsiad kiwnął potakując.

— Hipoteza Sawina jest ponętna, kusząca i pozornie do dowiedzenia. Ale to oszustwo, towarzysze! Można wymyśleć, co się komu podoba, wydumać najbardziej oszałamiającą teorię i mniej lub bardziej logicznie jej dowieść. Ale świat się od tego nie zmieni. Mamy jedno pewne kryterium — praktykę, doświadczenie, eksperyment. Ekspedycja „Alfy” doświadczalnie, w praktyce dowiodła obecności bariery Steinkopfa i całkowitą sprzeczność życia i substancji przedgwiezdnej. Podkreślam — w praktyce! Na jakiej więc podstawie Sawin proponuje nam do rozpatrzenia swoje bezsensowne domysły? Jaki stawia sobie cel poza pragnieniem, by go podziwiano jako nowatora i oryginała.

Stołypin dokładnie wytarł łysinę chusteczką, poprawił krawat i pociągnął łyk ze szklanki starannie płucząc usta.

— Chciałbym zwrócić waszą uwagę, towarzysze, jeszcze na jedną sprawę… Sawin występuje z prowokacyjną propozycją, aby wprowadzić na planety krystaliczne „iniekcję życia” z ziemskich organizmów obiecując za to całą kupę barwnych perspektyw. Czy możemy pójść na coś takiego? Nie, po stokroć nie! I przede wszystkim dlatego, że to stoi w sprzeczności z dowiedzionym w praktyce, a co za tym idzie, fundamentalnym i nienaruszalnym prawem Oresta Henrykowicza Sjeinkopfa. Któż śmie się zdecydować na podobny szaleńczy krok? Kto weźmie na siebie odpowiedzialność za jego konsekwencje? Pytam — kto?

Pytanie zabrzmiało retorycznie. W sali i za stołem Rady rozmawiano oczekując końca przydługiego wystąpienia.

Stołypin wytrzymał efektowną pauzę i stuknął kościstą pięścią w trybunę:

— Jeszcze raz pytam, kto po tym, co tu powiedziano, zdecyduje się na podobny przestępczy eksperyment?

Mikaeljan zmarszczył się nieżyczliwie i zabębnił palcami po stole.

— Słuchaj, Iwanie Wasiljewiczu, to nie teatr ani nie sąd. Wszystko jest na tyle jasne, że nikt na razie nie ma zamiaru…

— Nie ma głupich! — wesoło krzyknął ktoś z balkonu.

— Są!

Operator jeszcze niczego nie rozumiejąc, wprawnym szarpnięciem obrócił kamerę o sto osiemdziesiąt stopni i miliony telewidzów ujrzało twarz Andrieja — nasępioną, z wystającymi kośćmi policzkowymi, z nabrzmiałymi pod skórą mięśniami i drgającymi wargami.

— Pan, Iwanie Wasiljewiczu, wiele i całkiem słusznie powiedział o konieczności sprawdzania teorii przez praktykę. Ale kiedy doszło do odpowiedzialności, nie znalazł się nikt, kto zechciałby przeprowadzić taką próbę. Smutne, ale teraz nie ma to już zupełnie żadnego znaczenia.

Andriej zakaszlał przykrywając usta dłonią i ruszył w stronę stołu Rady bezszelestnie i ostrożnie stąpając po puszystej podłodze.

Wydało mu się, że Miedwiediew ledwie zauważalnie kiwnął mu zza stołu.

— Chcę złożyć przed Radą dodatkowe oświadczenie. Znajdując się na planecie PKK–13SD38 z całą świadomością naruszyłem sto drugi punkt Powszechnego Regulaminu Kosmicznego…

Sala ucichła. Cisza zapadła także przy domowych teleścianach i przed ekranami w kajutach sputników i stacji orbitalnych, na Księżycu, na Marsie, na Wenus, na stanowiskach zewnętrznych i na gwiazdolotach, dla których obce gwiazdy błyszczą tysiące razy jaśniej niż Słońce dla Ziemi.

— Mogę opowiedzieć wszystko po kolei…

Słowa były jak ciężkie oślizłe kamienie, z trudem dopasowywał je do siebie, nagromadzał ciężko dysząc, ale niezdarna budowla nagle rozsypywała się z łoskotem i trzeba było zaczynać wszystko od początku.

Opowiadał powoli, plącząc się w nieważnych szczegółach, ale powoli świadomość tego, co przeżył, kazała mu zapomnieć o wycelowanych obiektywach i reflektorach i poczuł się swobodniej.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech i uniósł oczy. Nie zobaczył sali, nie ujrzał pobladłej, napiętej twarzy Niny.

Rozdwojona granatowa skała zawisła nad Białym Jeziorem, jak dwa proste skrzydła zastygłe w oczekiwaniu na wzlot.

W uszach cicho, ale nakazująco stukał metronom: tik–tak, tik–tak.

Kłębuszki chlorelli łaskotały chłodem policzki.

Słońce już minęło zenit i u stóp Andrieja legła ciemna plama — spłaszczony, zgnieciony cień skafandra ze złamanymi manipulatorami.

Stukot metronomu rozlegał się coraz głośniej.

Andriej dotknął palcem twardego czerwonego przycisku.

*** * ***

Poły skafandra powoli rozsunęły się i zielone widmowe światło uderzyło go w twarz, oślepiło.

Obce, gęste powietrze wypełniło mu nos i usta i nie mógł ani nabrać, ani wypuścić powietrza. Nie wiadomo, dlaczego zatkało mu uszy, jak w lądującym samolocie i czuł, jak chrzęszczą żebra bez skutku unosząc i opuszczając piersi.

Oślepiony i ogłuszony instynktownym zwierzęcym lękiem, pomyślał, że to już koniec. Wolna prawa ręka skrobiąc paznokciami po metalu popełzła bezwolnie w dół. Powieki ciężkie jak ołów same opadły.

I wtedy przez ucichający szum krwi usłyszał swoje imię.

Nie był to daleki tęskny krzyk, jak to bywa w wypadku halucynacji czy w sennym koszmarze. Głos dobiegł go od strony jeziora. Był wyraźny, surowy:

— Andriej!

Tak zawsze budziła go Nina. Podchodziła do posłania i mówiła prosto do ucha:

— Andriej!

Ale teraz powiedziała to bardzo głośno, aż załomotało tysiąckrotne echo:

— Andriej!

Poderwał ociężałą głowę. Nie otwierając oczu namacał w niszy rezerwy awaryjnej pakiet biologiczny i rozrywając zębami opakowanie wyrzucił go na zewnątrz. Potem jeszcze jeden. I jeszcze.

Dołek wypiłowany w labirze piłką laserową szybko zapełnił się strzępkami wzdymającej się chlorelli, jakimiś gałązkami, błonkami, siateczkami, w których żyły miliony kolonii niewidocznych organizmów.

Nie miał już sił dłużej wstrzymywać oddechu. Jakby ktoś od środka walił go młotkiem w obie skronie, grożąc pęknięciem czaszki, pod ciasno zamkniętymi powiekami płynęła krwawa mgła, spoza której migotały czarne płatki śniegu — coraz prędzej, prędzej, prędzej…

Ale zanim zupełnie opuściła go świadomość, mimo wszystko zdążył zatrzasnąć poły skafandra i nacisnąć czerwony guziczek.

Powrót z niebytu był męczący. Poparzone, zatrute płuca żądały tlenu i silnie przerzedzona chlorella ciągle jeszcze nie mogła odtworzyć naruszonego rytmu oddychania.

I wtedy Andriej się wystraszył.

Lepki strach pełzł skądś od dołu, dochodził do rąk kłując opuszki palców, z nudnościami podszedł do gardła. Andriej otworzył oczy. Dookoła nic się nie zmieniło, ale był przekonany, że sekundę wcześniej okoliczne skały poruszały się. Przesuwały się wprost na niego, żeby go okrążyć, zgnieść, stratować. Bał się zmrużyć powieki, bo skały mogły zrobić wtedy jeszcze jeden krok. Oglądając się jak zaszczuty pies, zaczął powoli cofać się do dyskoplanu.

Ogłosić alarm! Natychmiast ogłosić alarm!

Zimny pot ciekł mu z czoła szczypiąc w kącikach oczu, przeszkadzając obserwować skały. W płucach świszczało i chrypiało. Ciepły strumyczek pociekł z nosa i rozpłynął się na wargach. Wolną ręką wytarł usta i podniósł ją do oczu — na palcach była krew.

Ogłosić alarm! Natychmiast ogłosić alarm!

Z tyłu zadźwięczał metal. Andriej skulił się w „oczekiwaniu na cios. Cios nie nastąpił. Minęło ćwierć minuty, zanim się zorientował, że za plecami ma drabinkę dyskoplanu.

Ogłosić alarm!

Ślizgając się na stopniach cofał się do statku, tyłem wsunął się w owalny otwór i upadł na siedzenie. Zatrzasnął na głucho luk.

Ogłosić alarm…

Najprawdopodobniej mimo wszystko’ włączyłby sygnał alarmowy, gdyby nie atak długiego, straszliwego, męczącego kaszlu.

Oddychało mu się już lżej. Zaczął myśleć trochę jaśniej, ale głowa trzeszczała jak po głębokiej narkozie.

Ile minęło czasu? Andriej tępo patrzył na słońce. Jaskrawy zielony dysk wyraźnie opadał w stronę horyzontu i dookoła niego pojawił się trzeci świetlisty krąg.

Andriejowi wydało się nagle, że stracił przytomność na bardzo długo, może nawet na dobę. Doba… Jeżeli na dobę, to statek już odleciał. Zostawili go samego. Porzucili go. Porzucili go za karę… Sam w labirowym piekle… Sam!

— „Alfa”! „Alfa”! „Alfa”!

Wystartował nie nabierając wysokości i ryzykując nadzianie się na piramidalne lance — tam, do dalekiego i wymarzonego statku, na przełaj, konwulsyjnie wyciskając z silników maksymalną prędkość.

— „Alfa”!

Spokojny i z lekka zdziwiony głos Miedwiediewa zabrzmiał tuż obok:

— „Prima”, tu „Alfa”. O co chodzi?

Oczy zdradziecko zapiekły, ale tym razem nie od potu. Krzywiąc wargi Andriej przesunął dźwignię autopilota. Kilka sekund bezmyślnie patrzył na wolną prawą rękę, potem powoli zaczął naciągać rękawiczkę sterowania biologicznego.

— „Prima”, tu „Alfa”. Czy mnie słyszysz?

— „Alfa”, tu „Prima”. Słyszę dobrze. Była przerwa w łączności, idę do kwadratu O—A, aparatura w porządku, sytuacja bez zmian, wszystko w porządku.

Równy spokojny głos żył w nim swoim życiem, standardowe zdania meldunku radiowego rodziły się nie w gardle, a gdzieś między ustami i mikrofonem, ale o dziwo właśnie to uspokoiło Andrieja. Napięte do ostateczności nerwy rozluźniały się zrywami powodując konwulsyjne podrygiwanie rąk i nóg. I wszystkie czternaście „rękonóg” skafandra od czasu do czasu pokornie podskakiwało.

Wszystko minęło pomyślnie. Wszystko jest już za nim.

Ogarnęła go szalona nieopanowana radość. Rzucał maszynę w górę i dół, na prawo i na lewo, chichotał, śpiewał jakieś piosenki, krzyczał — i w końcu ucichł zmęczony.

Wszystko było takie samo jak sześć godzin temu — tak samo wisiał w powietrzu nieruchomy talerz dyskoplanu i tak samo leżał na dole podobny do nie kończącej się taśmy przenośnika wyrysowany w geometryczne łamigłówki chodnik. Słońce zachodziło za plecami, z pręgowanego oka pienistymi językami wyrywał się zielony płomień. Za to z przodu pojawił się srebrzysty łuk obłoków. Labirowe szczeliny topniały, robiły się przezroczyste, płynęły w dół jak bezcielesna mgiełka i tylko wysokie stożki, oświetlone jeszcze promieniami słońca, rzucały długie ostre cienie. Jak drogowskazy leżały wyciągnięte w dal — kilometrowe strzały wycelowane w ciemność.

A z tyłu…

Andriej obejrzał się.

Z tyłu zieleniał las. Cienkie wijące się łodygi kołysząc się wypełzały spoza horyzontu w pobrązowiałe niebo, mnożyły się, wyrzucały rozwichrzone rozbłyski liści…

Nie od razu dotarło do niego, że to pożegnalny żart zielonego słońca.

* * *

Andriej znowu zaniósł się kaszlem i łapiąc oddech uśmiechnął się przepraszająco:

— Jeszcze… nie całkiem… przeszło…

Poszukał oczami Niny, ale nie znalazł jej. Amfiteatralna sala, jeszcze godzinę temu na wpół pusta, była teraz wypełniona po brzegi. Wielu nie znalazło sobie miejsca i stali w przejściach pod wygiętymi metalowymi szyjami platform telewizyjnych. Niebieskie źrenice obiektywów mętnie pobłyskiwały ze wszystkich stron i Andriej znowu poczuł się źle.

— To właściwie wszystko. W momencie przybicia do statku przyszedłem już całkiem do siebie. Automat odstawił dyskoplan do hangaru a ja poszedłem do sterylizatora… W inkubatorze spotkałem się z Kriwcowem i Swirinem. Bałem się, że Kriwcow zauważy brak awaryjnej rezerwy i dlatego powiedziałem Aleksiejowi, że damy sobie radę z „rozbieraniem” we dwóch. Kriwcow miał jeszcze coś do zrobienia z działkami meteorytowymi i od razu odszedł. No a Swirin nic nie wiedział…

— Dlaczego ukrył pan przed kolegami swój czyn? Bał się pan konsekwencji? — to pytanie zadał Mikaeljan.

— Konsekwencji? W pewnym sensie tak. Gdyby dowiedziano się o tym przed startem, to — po pierwsze — teren dookoła Białego Jeziora zostałby natychmiast wysterylizowany i eksperyment…

— A po drugie?

— A po drugie… Gdyby udało mi się przekonać kolegów, to razem odpowiadalibyśmy za naruszenie regulaminu… A tego nie chciałem.

Andriej spode łba spojrzał na Miedwiediewa, ale ten beznamiętnie patrzył gdzieś ponad ludzkimi głowami. Mikaeljan siedział pąsowy i ponury z chrzęstem splatając i rozplatając na stole krótkie, grube palce. Steinkopf sprawiał wrażenie jakby niczego nie słyszał — odłożył na bok muszelkę słuchawki tranzystorowego synchrotranslatora i coś pisał, a właściwie liczył — jego wąskie wargi poruszały, się bezdźwięcznie. Joseph Clark — ten sam Clark, który udostępnił ludzkości ponadświetlne prędkości — nie ukrywając zachwytu i akceptacji zajmował się z pasją kołtunieniem swojej whitmanowskiej brody. Pozostali członkowie prezydium Rady starali się nie patrzeć na siebie nawzajem, bez sensu kartkując kopie doniesienia. Ktoś z sali krzyknął:

— Hańba! Anarchizm! Won z nauki! Zdaje się, że to był Stołypin.

I natychmiast amfiteatr przekształcił się we wrzący kocioł. Na stole zapłonęły całe girlandy lampek sygnalizacyjnych: wszyscy prosili o głos. Andriej stał w centrum tego bulgocącego leja i nie wiedział, co robić — zostać przy stole, czy odejść na swoje miejsce.

Minęło pięć minut, zanim przez hałas tysięcy głosów przebił się dźwięk dzwonka przewodniczącego.

— To, co usłyszeliśmy przed chwilą, radykalnie zmienia sens i kierunek dyskusji… — Mikaeljan powoli dobierał słowa. — Rada musi… powinniśmy wyjaśnić warunki i możliwe konsekwencje…

Mikaeljan zawahał się widząc Clarka, który groźnie jak byk najwyraźniej zamierzał natychmiast rzucić się w bój.

— Konsekwencje nieprzemyślanego czynu kosmobiologa Sawina.

— Zbrodnia!

To znów krzyknął Stołypin.

Mikaeljan zachmurzył się jeszcze bardziej i ostro zakończył:

— Decyzja Rady w tej sprawie zostanie ogłoszona. Posiedzenie uważam za zamknięte.

Amfiteatr znowu wybuchnął, zahuczał, załomotał — nie wiadomo czy z zadowolenia, czy z niechęci, ale kiedy z wszystkich pięciu przejść rzucili się do niego ludzie. Andriej w niezdecydowaniu zaczął się cofać. Ktoś schwycił go za rękaw i z całej siły pociągnął w kierunku bocznych drzwi.

— Aleksiej.

— We własnej osobie. Szybciej, bo zastaniesz inwalidą.

Kriwcow wepchnął go do jakiegoś wąskiego pokoiku, gdzie tworząc milczący szpaler stały roboty–sprzątacze.

— Posiedź tutaj. I nie wytykaj nosa. Znajdę Ninę.

Chwilkę zatrzymał się przy wyjściu, poprawił okulary.

— Aleś narozrabiał, mój drogi. Tak narozrabiałeś, że…

Kriwcow machnął ręką i starannie zamknął za sobą drzwi…

Wracali do domu we dwoje. Samochód prowadziła Nina. Andriej siedział obok z twarzą wtuloną w podniesiony kołnierz płaszcza od czasu do czasu wzruszając ramionami — nie mógł się przyzwyczaić do cywilnego ubrania.

Milczeli całą drogę, do samego domu. Dopiero, kiedy samochód zatrzymał się przy wejściu, Nina zapytała cicho:

— Ciężko ci, Andriusza, co?

Andriej wysiadł nic nie odpowiadając. Nina szybko zaprogramowała autokierowcę i podeszła z tyłu. Przytuliła się do męża obejmując go za ramiona. Elektromobil dał sygnał i odjechał do garażu.

Andriej uniósł głowę i patrzył na gwiazdy. Niedawno ciepły deszcz przemył niebo i tysiące świetlików błąkały się w aksamitnej czerni. Z rzadka wybuchały między nimi długie igły meteorytów. Jak smutny dymek blado świeciła Droga Mleczna.

— Ot i wszystko, Ninko. Koniec z lataniem.

— Ale może…

— Nie. Wykluczone. Ja na ich miejscu postąpiłbym tak samo… Koniec z lataniem.

Andriej nie oglądał się — i na szczęście. W oczach Niny pojawiło się coś podobnego do radości…

Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Nawet bardzo dobrze. Zbyt dobrze.

*** * ***

Nina mogła teraz spać spokojnie. Andriej był obok. Lubił zajmować się synem, gotował według własnych przepisów nie dowierzając automatom kuchennym. Zajęcia na uniwersytecie — Andriej wykładał tam kurs biologicznej ewolucji Systemu Słonecznego — zajmowały mu tylko kilka godzin dziennie, pozostały czas spędzał w domu.

Stało się to na tydzień po tym pamiętnym posiedzeniu Rady. Siedem dni minęło w szalonym szczęśliwym zamieszaniu. Andriej przewrócił do góry nogami cały dom. Wymyślał jakieś automatyczne wózki dla dziecka, uniwersalne kołysko–łóżko, grzechotki reagujące na głos, wyliczał optymalne kształty pieluszek i udoskonalał metody hartowania — jednym słowem energicznie wchodził w rolę młodego taty. Często i wiele, może zbyt często i zbyt wiele mówił o tym, jak się stęsknił do Ziemi, o swoich przyszłych „naziemnych” planach. Wyglądało na to, że rozumiejąc nieuchronność kary, podświadomie mimo wszystko liczył na cud.

W niedzielę rano przyleciał Artur z Ewą. Dzień minął wspaniale: zawędrowali na akwalocie daleko w dół Jeniseju, mężczyźni łowili ryby, kobiety zbierały wyblakłe dzikie kwiaty, syn albo słodko spał, albo odważnie walczył z dużymi niebieskimi ważkami. Wieczór spędzili przy stole. Obaj — i Andriej, i Artur— dużo pili, chwalili jagodowe wino domowej roboty.

Dopiero w przedpokoju wciągając płaszcz Artur zasępiony mruknął:

— Byłbym zapomniał… Ty… wiesz… nie denerwuj się… — rozumiesz…

— Rozumiem — jak echo odpowiedział Andriej i uśmiechnął się.

Cud się nie stał.

Został tylko ten dyżurny przyklejony uśmiech — jak kłódka wisząca na duszy. Co tam jest, za tą kłódką? Jaki smutek? Jakie burze? Tego można się tylko domyślać. I w niczym nie da się pomóc…

Na początku Nina starała się rozruszać Andrieja, rozerwać go — chodzili do teatrów, na koncerty, na długie spacery na nartach i na wycieczki. W ciągu trzymiesięcznego urlopu obłazili kratery wszystkich islandzkich wulkanów i australijskie rezerwaty, stąpali po posadzkach, starożytnych świątyń Azteków i zwiedzili podwodne japońskie miasteczko Dzo–ja. Andriej był czuły i uprzedzająco grzeczny. Z pokorą robił wszystko, co ona wymyśliła. Ale od tej zgodliwości chciało się płakać.

Ożywiał się tylko wtedy, gdy przychodzili koledzy z „Alfy”. Pokój natychmiast wypełniał się ciężkim dymem od papierosów, ciężkimi żartami i nużącymi sporami. Ale gwiazdo—lot „Alfa” dwa lata temu znów odleciał poza granice Galaktyki do jakiegoś kwazaru i do dziś nie ma od niego żadnych wiadomości…

Na „Alfie” jest nowy kierownik naukowy, dlatego że Miedwiediew…’

Dziwny człowiek z tego Miedwiediewa. W ostatnich czasach często przylatywał do Krasnojarska i spotykał się z Andriejem. Spotykali się gdzie popadło — na uniwersytecie, w oddziale Akademii Nauk, w hotelu, albo po prostu na ulicy — ale nigdy w domu. Jakieś tajne

pertraktacje? Wątpliwe. Przecież rozmów przez wideotelefon nie ukrywali. Nawet na odwrót. Kiedyś pod nieobecność Andrieja szef długo wypytywał o jego sprawy i zajęcia. Prosił, żeby pomóc mu w walce z tym spleenem.

— Musi pracować. Zacisnąć zęby i pracować. Trudno sobie nawet wyobrazić, co będzie, jeśli jego hipoteza się potwierdzi…

Ale do domu ani razu nie wstąpił.

A nie tak dawno wystartował „Korolew". Miedwiediew odleciał. Od tego czasu Andriej zamknął się w sobie. Prawie nie wychodzi z domu. Podrywa się na każde pukanie, na każdy dzwonek. I milczy. Milczy i czyta. Albo ogląda telewizję. Kiedy Nina wraca późno, szybko otwiera jej drzwi, jakby dawno czekał na kogoś… Ze wszystkich sił stara się nie okazać rozczarowania. Mocno, zbyt mocno, całuje. Głośno, zbyt głośno, wypytuje o pracę. Wesoło, zbyt wesoło, opowiada o kolejnych psotach syna. Ale ona przecież widzi jego pełne niezrozumiałego oczekiwania oczy.

Zresztą wszystko jest jasne. Chodzi o Miedwiediewa. Dokładniej mówiąc, o tę przeklętą krystaliczną planetę. Przecież z „Korolewa" też już czwarty miesiąc nie ma żadnych wieści…

Głupia sytuacja — jest zazdrosna o obcą planetę…

A poza tym życie płynie regularnie i równo. Bardzo równo. Zbyt równo.

Dzisiejszy wieczór też jest podobny do dziesiątków, setek długich milczących wieczorów.

Trzyletni Jurek, majestatycznie siedząc na podłodze, buduje z labirowych klocków jakąś niewyobrażalną budowlę: jakby hangar dla rakiet czy wieżę babilońską. Że też mu się nie znudzi grzebanie w tych wstrętnych kamykach. Gdyby to od niej zależało — wyrzuciłaby wszystkie te śmieci nie z tego świata najdalej jak tylko można. Te kamienie są jakieś, takie nieprzyjemne, jakieś nieprawdopodobne. Ciepłe i śliskie w dotyku, przyklejają się do rąk jak żelazo do magnesu. Do niczego innego się nie przyklejają, a do żywego ciała — proszę bardzo. I na dodatek to nietutejsze hipnotyczne świecenie…

Ale Jurek stracił głowę dla tych kamyczków. Spróbuj je tylko schować — ryk na cały dzień.

Za to Andriej jest zachwycony, kiedy syn bawi się labirem…

Andriej zamknął książkę, wygładził poważną granatową obwolutę: „Aleksiej Kriwcow. Z problemów quaziatomowej struktury substancji przedgwiezdnej w tworach labirowych". Zuch Aloszka. Może trochę za dużo faktów i za mało wniosków… Ale to nawet dobrze. Buntownicza myśl o sztucznym pochodzeniu labiru błyska między wierszami, narzuca się sama przez się. Zuch!

Aloszka… Dwa lata ani słychu, ani dychu… Pierwszy zwiad poza granicami Galaktyki…

Tam w niezmierzonej dali,
za słońcem słońce odkrywając…

— Andrieju wyłącz tę chałę albo chociaż przycisz! Aż się zbiera na wymioty!

Nina poprawiła pled na kolanach i z rozdrażnieniem odwróciła się od teleściany.

— Ciocia brzydka — skonstatował Jurek nie odrywając się od swoich spraw.

Andriej posłusznie ściszył. Niski smutny głos piosenkarki teraz prawie szeptał:

skraj ziemi ludzie rozpoznali
i zatrzymali się na skraju…

Całkiem możliwe, że ma zły gust, ale podoba mu się Selena Suona. Podoba mu się prosta stara piosenka, blada twarz i wąska dłoń w bezsilnym geście:

Przed ścianą wiecznej nocy
opadną fal radiowych moce…

— Nawet pan sobie nie wyobraża, co pan narobił — mówił Miedwiediew rozgarniając czubkiem buta warstwę opadłych liści. — Nie jest pan fizykiem… Gdyby nie pański buntowniczy eksperyment, żaden ziemski gwiazdolot nie zbliżyłby się już do żadnej planety krystalicznej… Co najmniej przez najbliższe sto lat…

— Dlaczego?

Spacerowali po dzikim sosnowym parku Miasteczka Akademickiego. Szef kręcił w palcach sosnową łapkę i uśmiechał się kąśliwie.

— Nie jest pan fizykiem i nie dotrze nawet do pana cały rozmach uczonej paniki. Okazało się, że w molekułach labiru nie ma atomów. Molekuła jest, a atomów nie ma. Śmieszne, co?

— Jak to nie ma atomów? To z czego składają się molekuły? Przecież we wszystkich reakcjach chemicznych:..

— Bardzo słusznie, we wszystkich reakcjach chemicznych labir zachowuje się jak normalna substancja…. Ale atomów w naszym rozumieniu w nim nie ma. Są… jak by to panu objaśnić… stabilne zgęszczenia energetyczne czy coś takiego… Jednym słowem, imitacja atomów, quaziatomy…

Teraz wyobraża pan sobie tę sytuację? Z jednej strony jakby jeszcze jedno potwierdzenie istnienia „bariery Steinkopfa” — struktura bezatomowa, a z drugiej — pana „posiew”. A co będzie, jeśli „wzejdzie”? Przecież wtedy trzeba będzie zweryfikować nie tylko wszystkie kanony biologiczne, nie tylko zrezygnować z „bariery Steinkopfa”, ale w ogóle wszystko zacząć od początku! Takie to są sprawy, mój winowajco, naruszył pan spokój…

Ostatni raz spotkali się w pokoju hotelowym. Miedwiediew uniósł się z fotela na spotkanie niezwykle pobudzony i promieniejący.

— Tańcz, uczniu czarodzieja! Rada zadecydowała, żeby w końcu wysłać ekspedycję na PKK–13SD38A… Nawiasem mówiąc planecie nadano imię Prometeusz… Nieźle, co? Tak więc „Korolew” startuje na Prometeusza za dwa tygodnie. Cel — sprawdzenie rezultatów eksperymentu kosmobiologa Sawina. Kierownik naukowy ekspedycji akademik Miedwiediew. No, czemu jeszcze nie tańczysz? Jesteś górą!

— Jesteśmy górą! — cicho poprawił Andriej. — Jesteśmy, Piotrze Jegoryczu…

Zatrzeszczą w ściśniętych dłoniach
chroniące wszystko szale…

— I wiesz, kto najbardziej stanowczo domagał się wysłania ekspedycji? Steinkopf! Tak… Dziadek jeszcze ho, ho. Z takim nawet walczyć przyjemnie…

I zabrzmi jak sygnał ataku
snów dawnych pęd niepowstrzymany,
i znowu skrzydła gwiezdnych statków
łopotać zaczną za plecami…

— Chodźmy do mnie — zaproponował Andriej. — Takie wydarzenie trzeba uczcić…

Miedwiediew od razu przygasł, stracił cały kontenans, odwrócił wzrok.

— Wiesz, po tym… Rozumiesz, nie mogę patrzeć na dzieci. Miałem syna… Cztery lata… Od razu — żona i syn. I do dziś… Nie mogę, Andrieju, wybacz. Posiedźmy lepiej w kawiarni. Jeżeli nie masz nic przeciw temu. Za szczęśliwy lot…

Piosenkarka kłaniała się przy akompaniamencie oklasków kokieteryjnie uśmiechając się i przysiadając. Było to nieprzyjemne i jakieś ubliżające. Andriej wyłączył program telewizyjny i ściemniały ekran przekształcił się w zwyczajną ścianę, niczym nie różniącą się od trzech pozostałych.

Miał wielką ochotę zapalić, ale palić można było tylko w kuchni, a nie chciał zostać sam.

— Posłuchaj, Ninko, może byśmy się przeszli?

Nina odłożyła książkę, spuściła nogi z tapczanu i namacała papucie.

— Nareszcie słyszę słowa męża, nie oseska…

Wieża rozpadła się ze szklanym brzękiem. Jurek ze zwycięskim okrzykiem pognał do swojego pokoju, żeby się ubrać. W jego osobistym spisie radości życia rodzinnego spacery znajdowały się na pierwszym miejscu.

Szli troje po wieczornej ulicy w bezszelestnej burzy świateł. Jurek pochłonięty własnymi myślami, Nina trochę z przodu, Andriej o pół kroku z tyłu z rzadka spoglądając na przechodniów zza postawionego kołnierza.

Zwyczaj stawiania kołnierza na ulicy wprowadził niedawno. Stał się podejrzliwy, nie wiadomo dlaczego panicznie się bał, że go rozpoznają, że będą zanudzać rozmowami, oskarżeniami czy współczuciem.

Kiedyś Nina, wyśmiewając ten bezsensowny strach, zaproponowała mu, żeby nosił maskę. Andriej odniósł się jednak do propozycji poważnie i zastanawiając się pokręcił głową:

— Człowiek w masce będzie się o wiele bardziej rzucał w oczy…

Nina od razu straciła ochotę do żartów…

Ulica o tej godzinie była pełna ludzi, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Zaczynały pracę teatry, kina, kluby i nocne lokale, hale sportowe i centra samokształcenia, publiczne laboratoria i uniwersyteckie sale wykładowe. Nieustannie obracające się drzwi pochłaniały grupy ludzi, ale tłum na ulicy nie zmniejszał się: domatorów w ostatnich czasach było coraz mniej.

Od Morza Krasnojarskiego wiał ciepły, wilgotny wiatr. Szumiał w gęstych, splecionych wierzchołkami koron topolach, dzwonił w pokrytych śniegiem niebieskawych jodłach, kołysał ciężkimi wachlarzami syberyjskich palm. Z góry, z wiszących sadów owocowych przenikliwie pachniały cytryny i pomarańcze — nie wiadomo dlaczego fantazja amatorów sadowników nie szła dalej niż subtropikalna egzotyka. Co prawda tu i ówdzie spoza kutych ogrodzeń sterczały pióra odpornych na mróz kokosów i daktyli porozdzielane tradycyjnymi jabłonkami. Już od wielu lat Krasnojarsk przekształca się w nieprzerwaną wielopiętrową cytrusową plantację.

Nad ulicą słychać było szept nie kończących się melodyjnych improwizacji. Gdy się zamknie oczy, wydaje się, że płyniesz wśród morza i spokojne fale zderzając się, usypiają zmęczony mózg. Niezbyt głośny szum ulicy — wiatr, głosy, szelest samochodów elektrycznych — wchłaniany jest przez muszle akustyczne umieszczone na ścianach domów i przepuszczany przez pokręcone kanały, wraca na ulicę jako cicha, naturalna, przez nikogo nie napisana muzyka…

Andriej szedł nie myśląc o niczym. Nawet palić mu się odechciało. Łapczywie wdychał pachnące sosną i cytrynami powietrze, słuchał śpiewających muszli, czuł ciepło łapki Jurka, którą ten od czasu do czasu próbował wyrwać z ręki ojca.

Po raz pierwszy od wielu dni było mu dobrze, spokojnie. Coś w nim pękło, złamało się przynosząc ulgę. Wrócił. Wrócił dopiero teraz, łagodnie i ze spokojem odbierając powszedni dzień Ziemi. Wrócił wprost w ten zwyczajny spokojny wieczór, do żony i syna, do tego pstrokatego

tłumu — z niespokojnych gwiezdnych ognisk, od nieludzkiego napięcia woli i myśli — w ciszę… Zapomnieć i nie myśleć.

Andriej opuścił kołnierz. Wymagało to pewnego duchowego wysiłku, ale zdjął niewidoczny hermetyczny hełm oddzielający go od ziemskiej codzienności.

Przyjął Ziemię.

Nina chyba zauważyła to wszystko, ale nic nie powiedziała.

Wyszli na brzeg Jeniseju. Po nabrzeżu zalanym równym białym blaskiem rtęciowych latarni spacerowały nieliczne pary. Monotonnie biły o beton fale. Z wyspy wypoczynku doleciało wielotysięczne westchnienie — na stadionie trwał mecz piłki nożnej.

— Nino… — zaczął Andriej.

Trzeba jej powiedzieć, że wrócił. Całkiem. Że nie będzie już więcej męczyć ani jej, ani siebie. Że gwiazdy zgasły. Na zawsze. Ze nie ma nic lepszego od Ziemi, rąk żony, uśmiechu syna. Że…

— Nino…

Odwróciła się powoli, jakby domyślając się, co jej powie, ale — o dziwo! — na jej twarzy pojawiła się nie radość, a zakłopotanie i oczekiwanie.

— Tato, tato! Patrz, balon!

Nad Wyspą Wypoczynku uniósł się w górę drugi Księżyc — sonda Służby Niezwłocznej Informacji. Sonda przekształciła się w obłok mgły, w którym pojawiła się twarz spikera.

— Przekazujemy komunikat specjalny! Przekazujemy komunikat specjalny…

— W baloniku jest wujek! W baloniku — wujek! Patrz mamo, tato!

— Ciszej, Jureczku…

Pary na nabrzeżu zamarły. Zatrzymano mecz. Piłkarze zapominając o grze patrzyli w niebo. Zastygł ruch na ulicach. Strumienie ludzi i samochodów zlały się, zmieszały, skamieniały.

Miasto patrzyło w niebo.

I w całym kraju, na całej Ziemi — i tam, gdzie była głucha północ, i tam, gdzie szumiało południe — ludzie patrzytrw niebo na księżycowobiałe kule.

— Przed chwilą otrzymaliśmy mentogram ze statku kosmicznego „Korolew”. Jak wiadomo subświetlny zwiadowczy gwiazdolot „Korolew” wystartował około rok temu w stronę systemu podwójnej gwiazdy 8A Łabędzia w celu sprawdzenia wyników eksperymentu radzieckiego kosmobiologa Andrieja Sawina…

— Tatku, to o tobie!

— Cicho, Jureczku…

— Jak komunikuje kierownik naukowy ekspedycji akademik Miedwiediew, eksperyment zakończył się sukcesem. Ziemskie mikroorganizmy nie tylko przyjęły się w nietypowych warunkach krystalicznej planety Prometeusz, ale dzięki całej serii eksplozywnych mutacji stworzyły w ciągu bardzo krótkiego czasu potężną biosferę…

Andriej stał z lekko schyloną głową, na szeroko rozstawionych nogach, jak na pokładzie statku. Spiker jeszcze coś mówił i Nina widziała, jak spoza bezwolnej, nabrzmiałej, z niezdrowymi workami pod oczyma twarzy pojawiała się inna twarz z ostro zarysowanym podbródkiem, mięśnie napinały się, głęboka zmarszczka przeorała czoło i oczy — jeszcze minutę temu smutna i pokorna — rozświetliła się jakimś wewnętrznym światłem —jak okna domu, do którego wrócił gospodarz…

— Deszyfrowanie komunikatu trwa. Mengocentrum uprzejmie udostępniło do dyspozycji SNI fragmenty zrekonstruowanej transmisji. Słuchajcie! Mówi do was planeta Prometeusz!

Po kuli przemknęły jakieś linie, wymyślne zygzaki, rozsypały się i zgasły iskry i nagle spoza tej plątaniny zniekształceń z niewyobrażalnych dla człowieka odległości, poprzez trzask płonących galaktyk i huk deszczy radioaktywnych, ledwie widoczny krzyczał Miedwiediew:

— …istnieje konieczność nieustannego i nieprzerwanego… konieczna jest stała biostacja… każcie Sawinowi… najśmiel… przekształ… się w rzeczy… nieprawdo… jezioro zaczęło funkcjonować… steś …trzebny.

Potężny lawinowy huk zagłuszył komunikat i na moment sonda zmieniła się w piorun kulisty. Potem wszystko zgasło, ucichło i znów pojawił się beznamiętny spiker:

— Przekazaliśmy mentogram ze statku kosmicznego ,,Korolew".

— „…steś …trzebny". Jakie to proste: potrzebny i koniec! A co, jeżeli on tutaj też jest potrzebny. Choćby tym dwojgu, którzy idą obok niego. Nawet Jurek zamilkł i posmutniał. A Nina aż pozieleniała na twarzy. Jakie to wszystko głupie… Dopiero co podjął ostateczną decyzję, miał zamiar powiedzieć… Masz ci los! I znowu!:..

„Potrzebny — myślał dalej siedząc w wygodnym domowym fotelu.— Teraz jestem potrzebny. Kiedy eksperyment się udał. A wtedy… Wtedy wierzyłem tylko ja. Zresztą Miedwiediew też głosował ze pozbawieniem mnie tytułu… A teraz — potrzebny!

Nieprawda — przerwał sam sobie Andriej. — To wszystko nieprawda. Wraz z nim wierzyli koledzy. I Miedwiediew wierzył. I inni — obcy. Inaczej nie byłoby ekspedycji. Nic by nie było. I on „genialny samotnik" rzeczywiście nie był nikomu potrzebny. Po prostu" teraz, po sukcesie odezwała się w nim spóźniona miłość własna. A no, powiedz mi Sawin, czy ty wierzyłeś na całe sto procent, że hipoteza się potwierdzi? Milczysz? No właśnie…

Koniec końców to wszystko, to nic innego, jak tylko nikomu niepotrzebne szarganie nerwów. Miedwiediew musi zrozumieć, że kosmos jest dla Andrieja zabroniony. Rada nie odwoła swojej decyzji, ponieważ została ona podjęta zgodnie z przepisami.

Zwycięzców też sądzą. I to surowo. Jeżeli są winni.. Inaczej być nie może.

„Ranek jest mądrzejszy od wieczora…"

Andriej wstał z fotela, przeciągnął się. Spojrzał na zegarek. Trzecia — już ranek…

Wyłączył światło. Prostokąt okna wyraźnie świecił w ciemności niebieskim światłem.

„Jezioro zaczęło funkcjonować…" Cóż to może znaczyć?

Nieoczekiwanie za plecami alarmująco zamigotała lampka wideofonu: Andriej jeszcze wieczorem wyłączył sygnał dźwiękowy, żeby przypadkowy dzwonek nie obudził Niny i Jurka.

Na ekranie przecierając rozognione, czerwone oczy pojawił się Mikaeljan.

— Proszę wybaczyć, że tak późno, Andrieju Iljiczu… Wiedziałem, że pan nie śpi… Widział pan transmisję z „Korolewa"?

— Tak, Manuku Georgijewiczu, widziałem.

— Gratuluję panu zwycięstwa. W imieniu własnym i Rady. A szczególnie w imieniu Steinkopfa, prosił mnie o to.

— Dziękuję! Proszę powiedzieć Steinkopfowi, że ja… nie wiem, co się mówi w takim wypadku…

Po wydatnych, grubych wargach Mikaeljana przemknął uśmiech.

— W takim wypadku lepiej, mój drogi, nic nie mówić… Ale dzwonię do pana, jak pan to sam rozumie, nie po to, by złożyć gratulacje. Chodzi o to… Dopiero co zakończyło się nadzwyczajne posiedzenie Rady. Zakłócenia w Mentogramie Miedwiediewa stworzyły wiele niejasności. Jasne jest tylko, że na Prometeuszu dzieje się coś najzupełniej niezwykłego. Miedwiediew nalega, aby natychmiast zorganizować stałą stację biologiczną. W zasadzie decyzje są już podjęte. Za jakiś tydzień, w każdym razie nie później, wyślemy na Prometeusza urządzenia, monterów i dodatkową grupę biologów. Pojutrze po południu… to znaczy — dla pana już jutro, odbędzie się kwalifikacja konkretnych kandydatów. Nawiasem mówiąc, co może znaczyć: „jezioro zaczęło funkcjonować"?

— Nie mam pojęcia. Sam się cały czas zastanawiam… Kiedyś rozmawialiśmy z Miedwiediewem… Ale to zbyt nieprawdopodobne.

— Tak, problemik… Więc przyleci pan jutro do Moskwy?

— Proszę wybaczyć, ale po co?

— Przecież powiedziałem: odbędzie się kwalifikacja konkretnych kandydatów. Czyżby już panu zobojętniał Prometeusz? A, przecież pan ma syna… Oczywiście, oczywiście…

— Ja nie o tym — bardzo cicho powiedział Andriej. — Przecież decyzja Rady…

— Ha! — Mikaeljan od razu ożywił— się. — Oczywiście decyzja Rady pozostaje nadal w mocy! Ale przecież oprócz kosmonautów na gwiazdolotach zdarzają się też pasażerowie!

Andriej patrzył na wygaszony ekran i myślał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Zegarek cichutko wystukiwał szybkie sekundy, powolne minuty…

W messie delikatnie pachniało bzem. Tradycyjna gałązka bzu —. ostatni podarunek Ziemi — w ciągu pół roku przekształciła się w duży krzak. I nieoczekiwanie zakwitła.

Andriej odwrócił się. Za nim stała Nina. Pachniało od niej bzem i Andriej nie od razu uzmysłowił sobie, że to perfumy. Podszedł do żony i wziął ją za ręce.

— Ninko, kochana…

— Nie trzeba. Wszystko słyszałam. Wszystko rozumiem. Jesteś tam potrzebny.

Przełożył Piotr Fast

Jurij Nikitin

BEZKRESNA DROGA

Nie nam dopraszać się czasu łask!
Każdy
z nas —
trzyma w swojej pięści wszechświata transmisyjny pas!

Majakowski, *Obłok w spodniach*
(tłum. M. Jastrun)

Gdy ścichł męczący huk silników, Roman podniósł głowę i rozejrzał się. Leżał w kącie kabiny nawigacyjnej wśród szczątków fotela przeciwprzeciążeniowego, wokół niego na podłodze skrzyły się wszędzie drobniutkie iskierki rozbitego szkła.

Z trudem wstał i mimowolnie zatoczył się ku ścianie. W oczach mu pociemniało, zrobiło się strasznie od tego, co zobaczył. Ogromna komora kompleksu obliczeniowego ziała pustką. Trajektometr rozbity w drzazgi. Radiostacja łączności kosmicznej — w drobny mak. Urządzenia regeneracyjne — w strzępy…

W dole zachrzęściło, jakby szedł po kryształkach gruboziarnistej soli. Spojrzał pod nogi i skrzywił się. Niewesoło. Oto gdzie jesteś, encyklopedio wiedzy nawigatorskiej… Jak biała mąka lepisz się do podeszew butów kosmicznych.

Wywalił zaklinowany zewnętrzny luk, wszedł na trap i natychmiast jego płuca napełniły się ostrym, świeżym powietrzem. Nozdrza chciwie wciągały zapach traw i dziwnych kwiatów, wyostrzony węch usłużnie wskazywał kierunek, gdzie znajdowały się jezioro z wodą pitną, z zieloniutkimi żabkami i drobniutkimi raczkami…

Statek stał na obszernej łące. Nie opodal, jakieś dwadzieścia metrów od niego, sterczały wiązki czarnych, podobnych do naftowych ciągów rur. Ściśle przylegające do siebie na dole, u góry rozstępowały się i, co zadziwiające, tam właśnie rozciągał się rozkoszny namiot wielkich, zielonych liści.

Zszedł w dół. Spod nóg wyskoczył, trzepocząc jaspisowymi skrzydełkami, tutejszy konik polny, z przerażeniem pisnęło małe zwierzątko i pędem pognało do najbliższej norki. Roman ledwo zdołał zauważyć wielkie wystraszone oczy i cienki mysi ogonek.

W buty uderzały wzorzyste liście, na delikatnych łodygach wzdymały się białe kuleczki, podobne do dmuchawców. Niektóre, zapewne te najbardziej pojętne, uczepiły się butów Ziemianina i wysłały dojrzałe ziarna na nowe ziemie… Ale czy daleko odjadą?

Uśmiechnął się gorzko. Na nim już się nie odjedzie. W tyle pozostał pęknięty korpus statku kosmicznego i rozbite w drobny mak nadzieje na powrót. Mimo niewielkich rozmiarów, jego gwiazdolot był znacznie bardziej skomplikowany niż potężne liniowce, przecinające okolice systemu słonecznego. Statku zwiadowczy klasy ekstra, dziecko wieloletniego trudu setek inżynierów i techników, cóż z ciebie pozostało?

Podszedł do dziwnych czarnych rur, odrzucił głowę do tyłu. Z bliska dopiero okazały się potężne. Na niebieskim niebie szeleściły liście, giętkie pnie kołysały się bezszumnie, jakby były z gumy. Ich wilgotne oleiste boki lśniły niczym napastowane buty.

Nagle z boku dały się słyszeć głosy. Odwrócił się gwałtownie. Spoza monstrualnej wiązki rur zjawiły się dziwne, podobne do zielonych dinozaurków istoty. Niepewnie człapały po trawie

krótkimi, tłustymi nóżkami, na podłużnej głowie absurdalnie sterczały wypukłe, czerwone oczy. W jasnych źrenicach błyszczał strach i zdziwienie przemieszane z silną ciekawością.

Kiedy podeszły bliżej, Roman poczuł, że ciśnienie podnosi się do niebezpiecznych granic. W łagodnych oczach maleńkich dinozaurków lśnił rozum! I choćby nawet nie byli to owi hipotetycznie Starsi Bracia, to przecież nawet zwyczajnego, rozumnego życia nie spotkał jeszcze dotychczas nikt ze zwiadowców grupy poszukiwań dalekiego zasięgu!

Okrążyły go popiskując. Najodważniejszy zaryzykował pomacanie klamerek na skórzanym pasie. Te małe dinozaurki o ludzkich oczach i krótkich rączkach sięgały mu ledwie do piersi.

„Oczy jak u Niki Stojanowa — pomyślał mimowolnie Roman. — Tragiczne oczy. A nogi niczym słupki. Ciążenie przyduże, czy co?"

Wkrótce wszystkie porozłaziły się, obok niego pozostał tylko jeden. Dinozaurek, którego Roman postanowił nazwać Nozaurem cicho popiskiwał i patrzył mu prosto w twarz. Potem odszedł na bok, oglądnął się, pisnął pytająco.

— Idę — powiedział Roman — cóż jeszcze mi pozostaje. Trzeba iść. A dokąd, nieważne. Byle nie stać w miejscu. Prowadź, Wergiliuszu!

Nozaur powoli człapał po trawie śmiesznymi łapami, żółte błony między palcami komicznie rozciągały się przy każdym kroku. Roman bez pośpiechu wlókł się z tyłu głośno rozmyślając, dziwiąc się i żałując. Zginąć — w porządku, już przywykł do myśli, że kiedyś skręci kark na dalekich drogach galaktycznych, lecz czy musiało akurat tak się zdarzyć, że rozumne życie odkryto właśnie wtedy, kiedy nie można zakomunikować o tym!

— Uczciwie mówiąc — ciągnął Roman — mało czym mogę was ucieszyć. Paciorków, spirytusu, tytoniu i innych atrybutów pierwszego odkrywcy nie zabrałem ze sobą. Nawet waszego świątecznego stołu nie będę w stanie upiększyć.

Wychudłem, sam widzisz. Lot w superprzestrzeni każdego może wykończyć…

Mówił i mówił, żeby usłyszeć ludzki głos — niechby i swój własny, byle tylko odgrodzić się od strasznej samotności. A to, że Nozaur nie rozumie, to nic. I tak trzeba będzie się uczyć języka abo. Na szczęście prymitywne ludy mają niewielki zasób słów, nie zajmie to wiele czasu.

— Z mojego statku zostało tyle, co kot napłakał — mówił do zielonych pleców poruszających się z przodu — a wszystko dlatego, że wleciałem w sferę wpływu gwiazdy—pułapki. Są takie żarty w kosmosie, ciążenie mają — nie daj Bóg, nawet kwanty światła nie mogą uciec. Gwiazda–niewidka! Całe paliwo zużyłem, zanim się wyrwałem, na resztkach dociągnąłem do tego systemu, a na czym lądowałem na waszej planecie — jeden Bóg wie… Tak oto wylądowałem. Wyprułem z siebie bebechy, ledwo głowa ocalała.

Nozaur poruszał się wolno i Roman zdążył opowiedzieć o Ziemi, o wspaniałych ludziach, o galaktycznej wspólnocie i trudnościach w kosmosie. Wysłuchał też Nozaur wykładu o konieczności kontaktów między Ziemią i Dyksytem, o przyjaźni i wzajemnym zrozumieniu, o pokoju i wielkiej jedności wszystkich rozumnych istot.

Łąka przeszła w pas żółtego gruboziarnistego piasku, a jeszcze dalej rozpościerała się spokojna gładź niewielkiego cichego jeziora. Na gorącym piasku wylegiwały się dwie potężne jaszczurki.

Nozaur głośno zaskrzeczał i gady, pośpiesznie szurając po piasku krzywymi łapami, umknęły w stronę zielonych zarośli. Nozaur spojrzał w ślad za nimi i spokojnie położył się na piasku zamknąwszy w błogiej beztrosce oczy.

— Ej, przyjacielu — powiedział Roman z konsternacją — ja, oczywiście, rozumiem: różnica w sposobie życia, w myśśleniu i tak dalej, no, ale po co przyprowadziłeś mnie tutaj?

Najmniej na świecie oczekiwał tego, że usłyszy odpowiedź, lecz spod nóg zabrzmiało:

— Ty możesz żyć tutaj. Żyj tutaj. Ty nie umrzesz tutaj. Aż go cofnęło, jakby zobaczył przed sobą czarną sylwetkę kobry. Telepatia? Bzdura, żadna telepatia na świecie nie istnieje. Albo

Nozaur zorientował się w chaosie obcych dźwięków i odszukał te wyłącznie potrzebne? Co prawda, i na Ziemi istniało plemię urodzonych lingwistów, którzy w dowolnych nieznanych językach łatwo znajdowali ekwiwalenty, a przecież on tu dość długo wychwalał Wielką Misję Człowieka. Lecz mimo wszystko to zadziwiające. A na dodatek miał zamiar uczyć się języka tubylców!

— Dobra — powiedział wziąwszy się w garść i zdecydowawszy nie pokazywać zdziwienia. — Istnieć mogę. Ale, żeby żyć, muszę przynajmniej naprawić nadajnik. Gdybym umiał liczyć szybko jak maszyna elektronowa, zrobiłbym to!

Nozaur podniósł swą kaczą głowę, uważnie spojrzał na niego, Roman odczuł nagle, że nie może oderwać oczarowanego wzroku od spokojnego płomienia w okrągłych oczach. Całe ciało ogarnęła ‘słabość, ręce i nogi zdrętwiały, lecz — co dziwne — nie upadł. Zupełnie nie mógł się ruszyć. Pod czaszką zrobiło się gorąco i boleśnie, jakby przez obnażony mózg przebiegły ogniste mrówki. Na moment zaczęły dokuczać zęby — i wszystko za jednym zamachem ustało…

Nozaur spał na gorącym piasku, wszystkie cztery łapy rozrzucił na boki. Roman tępo popatrzył na zielone plecy, wsłuchując się w ustające gdzieś w głębinach mózgu łaskotanie. Zachorował? Bardzo nie w porę. Nie chciałoby się zdechnąć przed czasem. Przy sprzyjających warunkach mógłby w ciągu jakichś dziesięciu lat wyliczyć kierunek promienia, żeby uzyskać detale dla nadajnika, rozebrałby choćby cały statek. Ale cóż zrobić, jeśli nawet dwadzieścia pięć nie uda się pomnożyć w pamięci, na przykład, przez trzydzieści siedem. Wszystko robiła maszyna elektronowa. Chociaż… dziewięćset dwadzieścia pięć. Hm… A gdyby tak dwieście trzydzieści dwa przez sto dwadzieścia pięć? Poczuł, że włosy stają mu dęba, kiedy przed oczyma zamigotał wynik: dwadzieścia dziewięć tysięcy!

Spojrzał z ukosa na śpiącego, potarł drżącą ręką czoło. A to dopiero! Minęło kilka minut, zanim zdecydował się na jeszcze jedną próbę. Wziął piętnastocyfrową liczbę i momentalnie wyciągnął pierwiastek kwadratowy, a potem długo czołgał się po plaży z patyczkiem w ręku, sprawdzając otrzymany wynik.

Gdy i tym razem wszystko się zgodziło, z wielkim szacunkiem i nawet trwogą spojrzał na Nozaura. A niech to!

I w tym momencie przybiegły z wysoko zadartymi mordami obie jaszczurki. W zaciśniętych szczękach dyndały wiązki żółtych pełnych słońca owoców.

Roman z roztargnieniem patrzył, jak pod jego nogi zwaliło się nieoczekiwane bogactwo. Jaszczurki rozważnie odpełzły nieco dalej i znów rozciągnęły się na piasku. A on jeszcze długo obracał w dłoniach dziwne owoce, oswajał się z ich drażniącym zapachem, aż wreszcie zdecydował się spróbować jednego.

Do gwiazdolotu biegł. W głowie krążyły wielopiętrowe liczby, dodawały się, mnożyły i sam z siebie wychodził wynik.

Reszta dnia minęła na szalonych obliczeniach. Nawet nie zauważył, kiedy nadeszła noc. Nad głową z opóźnieniem szczęknął ocalały przekaźnik, rozbłysło słabe światło małej lampki. Przez otwarty luk zaglądały obce, obojętne gwiazdy. Nad ranem połowa obliczeń była zrobiona. Praca, na której wykonanie wcześniej straciłby dobre dziesięć lat!

Rozpaczliwie ziewając wyszedł z rakiety. Od strony czarnych rurokształtnych roślin przez całą łąkę szedł ku niemu znajomy Nozaur. Obok niego pełzła ogromna jaszczurka z kolejnym naręczem owoców.

— Dziękuję! — powiedział Roman. — I za te pomarańcze, i za pomoc w obliczeniach. Gdyby można było nie spać, w ciągu paru godzin z pewnością zakończyłbym wszystko!’

Nozaur długo milczał, potem jego kacza paszcza wolno rozwarła się:

— Ty możesz nie spać, homo.

Roman słodko ziewnął, podrapał się za uchem.

— Jak? — zapytał.

— Nie śpij — nastąpiła odpowiedź.

I małomówny Nozaur, straciwszy całkowicie zainteresowanie nim, znów powlókł się w stronę gorącej plaży o żółtym piasku.

— Nie śpij — wymamrotał Roman. — Łatwo powiedzieć! A sami to śpicie dwadzieścia trzy godziny na dobę.

Wrócił do kabiny i znów usiadł do grafiku. Dziwne, ale spać już mu się nie chciało. Od pracy odrywał się tylko dwukrotnie, żeby do syta podelektować się niezwykle soczystymi i smacznymi owocami. Pozostało jeszcze zapisać jedną kartkę, gdy stwierdził, że nie jest w stanie rozróżnić cyfr. Noc podkradła się niepostrzeżenie, a lampka nie włączała się. Wyczerpały się ostatnie okruchy energii…

Nozaura odnalazł śpiącego koło jeziora. Przysiadł obok niego i długo czekał, nie decydując się go obudzić. W końcu szczelne rogowe płytki na oczach stwora popełzły do góry, na Ziemianina spoglądnęły czerwone źrenice.

— Ciemno — wyjaśnił Roman. — Już niewiele zostało, ale zakończyć nie mogę. Nie widzę w ciemności. Zrób coś.

— Wkrótce nadejdzie ranek — powiedział Nozaur cicho. — Ty wszystko zrobisz.

— Akurat, wkrótce! — zaoponował Roman. — Jeszcze dwie godziny muszę marnować czas!

Nozaur opuścił głowę, jakby bał się spotkania wzrokiem z oczami kosmonauty.

— Homo… — zaszeptał — homo… Idź.

Pierwsze metry Roman przeszedł w zupełnej ciemności. A potem odczuł znajome pieczenie w tyle głowy i mrok zaczął się rozpraszać. Kiedy szedł przez łąkę, widział czarne mechate motylki, ostrożnie przestępował przez szmaragdowe żabki, obchodził bokiem nocne kwiaty. Widział w ciemności!

Wkoło rakiety robaczki świętojańskie urządziły korowód. Roman leciutko strącił z trapu małego śmiałka o fioletowym grzbieciku i wspiął się do kabiny.

Do rana zakończył obliczenia i zbudował z zapasowych części jednorazowy nadajnik. W akumulatorach wystarczy energii na krótki impuls–sygnał. Ziemia otrzyma wiadomość! A czy pomoc zdąży, czy nie zdąży, to już dalszy problem…

Lecz dziwna sprawa: on, który znał tylko w ogólnych zarysach główne zespoły statku, teraz widział każdą śrubkę, czuł każdą niedokładnie dokręconą nakrętkę i z pełnym przekonaniem mógł powiedzieć, gdzie i co dzieje się w danym momencie w skomplikowanych zawiłościach mechanizmów silnika. I cały czas krzepła nie uświadomiona pewność, że będzie mógł wyremontować silnik grawitacyjny i wrócić na Ziemię.

Odszukał Nozaura na tym samym miejscu. Zielonoskóry tubylec siedział na piasku, podwinąwszy nogi i w zamyśleniu spoglądał na równą gładź jeziora.

— Słuchaj, mędrcze! — krzyknął Roman jeszcze z oddali. — Chcę wrócić na Ziemię! Pomóż mi wyremontować statek!

— Spróbuję — powiedział Nozaur.

Kiedy Roman po odejściu kilku kroków oglądnął się, ten już spał. Zielone łapy były rozrzucone na piasku.

Wrócił do rakiety i nie namyślając się wyrzucił resztki maszyny obliczeniowej. Po co mu ona, jeśli sam liczy szybciej i lepiej? Potem wytoczył z kabiny na korytarz i z rozkoszą cisnął z trapu ciężki lokator. Ten sam los spotkał trajektometr i astrograf. Drogę do domu? Znajdzie ją, jak ptak znajduje rodzinne gniazdo o tysiące kilometrów!

Czuł nieznane przeobrażenia w organizmie. Dotąd nawet nie mógł marzyć, by ruszyć z miejsca płytę ochronną reaktora, a teraz odrzucił ją jedną ręką! Z dziwną łatwością zginał stalowe pręty, rwał gołymi rękami grube kable, uderzeniem pięści wyłamał stalowe drzwiczki komory awaryjnej.

Następnie przystąpił do właściwego remontu silnika. W zasadzie trzeba było montować go od nowa. Niektóre elementy zrobił na miejscu: na łące zainstalował piec łukowy i wrzucił tam lokator — jest metal. Wiele trzeba było pracować z aparatem spawalniczym, czego nie lubił nawet na zajęciach szkoleniowych.

Po tygodniu zupełnie osłabiony zsunął się po trapie, przeszedł kilka metrów i runął w trawę.

— Gotowe!

Obok zaszeleściły kroki. Podchodził do niego Nozaur. Wcześniej nie zbliżał się do statku.

— Gotowe — oznajmił Romarr odczuwając zakłopotanie i nie bardzo rozumiejąc jego przyczynę.

Nozaur usiadł obok, podwinął pod siebie nogi. Obydwaj jednocześnie spojrzeli na rakietę.

Teraz wyglądała ona jeszcze straszniej, niż przed katastrofą. Przeraźliwa pustka wewnątrz, wszystkie trzy wskaźniki — napędu głównego i pomocniczego i tylko jeden — rakiety startowej. A chyba i one są tu zbyteczne. Nawet bez przyrządów jasne jest, co i gdzie dzieje się na statku. Spośród mnóstwa uchwytów układu sterowniczego pozostał tylko jeden, awaryjny, dwa zwykłego pilotażu i dwa silników planetarnych. Kadłub opasały bezkształtne szwy spawania, pokręcone dysze wygięły się jeszcze mocniej… Lecz właśnie ten kształt jest bardziej przydatny do lotów w przestrzeni!

Roman podniósł masywny kamień, podrzucił go określając wagę. Potem gwałtownie zacisnął go w pięści. Granitowy odłamek zachrzęścił i rozsypał się w czerwonawy pył. „W Bazie zajdę do siłomierzy” — pomyślał z roztargnieniem.

Przewrócił się na plecy, zapatrzył się na błękitne niebo. Twarz pozostawała zachmurzona.

— Nie jesteś zadowolony, Przybyszu? — zapytał Nozaur cicho.

— Zadowolony. Za osiem miesięcy będę na Ziemi. Ale gdyby nie męczyła mnie myśl, że tę samą drogę można zrobić w ciągu dwóch minut! Coś lata mi po głowie, przemykają urywki myśli o przestrzeni nieciągłej, o wichrach grawitacyjnych… Pomóż!

— Nie wiem, o czym ty mówisz… Zrobisz to ty sam lub twoi ziomkowie…

Nozaur patrzył nieruchomym wzrokiem wprost przed siebie, rogowe płytki do połowy przykryły czerwone oczy.

— Bardzo mi pomogłeś — rzekł twardo Roman. — Lecz wiedz: Ziemia też nie będzie niewdzięczna. Chcę wam pomóc. Mimo pozornej idylli podejrzewam, że nie wszystko jest u was w porządku. Ty oto obdarzyłeś mnie wieloma cudownymi właściwościami…

Nozaur z wolna zwrócił ku niemu zieloną twarz i Roman zamilkł, po raz pierwszy zobaczywszy ludzką tęsknotę w nieludzkich oczach.

— Niczym cię nie obdarzyłem, Przybyszu… I niczym nie mogę obdarzyć, bo niczego nie mam. My nie jesteśmy tak bogaci, jak wy… To wszystko było w tobie. Ja po prostu rozruszałem kilka nieczynnych ośrodków twojego mózgu… Ale z pewnością nie wszystkie… Prawdopodobnie ewolucja przeznaczyła was homo, do szczególnie ważnych celów…

— Tak — podjął Roman stanowczo — opanujemy przestrzeń, osiągniemy najdalsze galaktyki…

— Ja powiedziałem „do szczególnie ważnych celów” — mówił bardzo cicho Nozaur. — Przestrzeń wy i tak opanujecie… Lecz ja czekałem, kiedy ty zaczniesz mówić o pomocy… Po to też przyszedłem. My nie mamy takich rezerw, na dodatek gdzieś zboczyliśmy z drogi… Wy możecie pomóc nam z waszymi potężnymi maszynami, a my… ty wiesz…

— Dziękuję — powiedział Roman. — W imieniu Ziemi przyjmuję i dziękuję!

Już widział olbrzymie gwiazdoloty potężnej Ziemi, które z rykiem wylądują na zielonych równinach, żeby wlać świeżą krew w starą niedołężniejącą cywilizację.

— Dziękuję — powtórzył.

Zerwał się z miękkiej trawy, przepełniony dumą z ludzkości.

— Już czas.

Wrócił do rakiety, lecz kiedy przygotowywał się do startu lekki smutek rozstania ustąpił miejsca triumfującej radości. Ziemia! I wypiją w Bazie za jego powrót, i zbudują potężne gwiazdoloty do przestrzeni nieciągłej, i dowiedzą się na koniec, jakie to „szczególnie ważne cele" oni właśnie winni osiągnąć.

Przełożył Wacław Mucha

Michaił Puchow

CZARNA KULA

1

— Chciałem uściślić — powiedział dyspozytor nie patrząc na Wasina. — Jeśli leci pan na Ziemię, to gwiazdolot nie będzie potrzebny.

— Logiczne. Ale jest mi niezbędny. Znaczy więc, że lecę nie na Ziemię. Logiczne?

Wasin czuł na karku oddech Zamojskiego. Łatwo rozmawiać, trudniej — obcować z administracją.

— Tak. I ma pan dokument?

Wasin podsunął zaświadczenie. Twarz dyspozytora zmieniła się. Nieprzyzwyczajony do zawodowców: pewnie niedawno pracuje. Albo zna nazwisko. Przecież minęło najwyżej dziesięć lat.

— Przepraszam. Bardzo proszę…

Dyspozystor dał Wasinowi formularz. Wasin wypełniał rubryki. Komendant — Wasin W.S. Nawigator — Zamojski N.A. Cel…

Wasin podpisał się i oddał blankiet. Dyspozytor złożył kartkę na pół, rozerwał i podał Wasinowi kopię, oraz żeton z numerkiem.

— Powodzenia.

Wasin podziękował i poszedł do wyjścia. Zamojski próbował po drodze spojrzeć mu w oczy. Nie wierzył, że droga stoi otworem.

— Teraz dokąd?

— Na start. Przecież sam chciał pan lecieć dzisiaj.

— Czyżby to już wszystko? Tak szybko?

Stali na skraju betonowego pola. Furgonetka na powietrznej poduszce wzbijając kurz zatrzymała się obok.

— Dokąd?

Wasin pokazał żeton. Wleźli na skrzynię. Furgonetka podskoczyła i pomknęła na pozycję startową. Wiatr uderzał w twarz. Wkrótce dotarli do grupy zwiadowców.

— Pański jest ten z brzegu.

Zanim Wasin zajął swe miejsce w statku, obejrzał kabinę. Nie należy do przyjemności, kiedy przy włączeniu grawitatora wali się na człowieka załóżmy, maszynka do kawy. Zamojski siedział cicho przymknąwszy oczy i nie dając poznać po sobie, że się boi.

Wasin usiadł w fotelu. Ależ dziwny jest ten los. Teraz mają wspólne interesy, a wczoraj nie podejrzewał nawet istnienia Zamojskiego.

2

Poznali się rano. Jak to było przyjęte na Elionie, Wasin jadł śniadanie na łonie przyrody, daleko od cywilizacji. Automat do kawy okrążony był zewsząd nieprzebytymi dżunglami. Wydawało się nieprawdopodobne, że potężne drzewa mają zaledwie po kilka lat. Lasy ciągnęły się setkami kilometrów i dostać się tutaj można było tylko drogą powietrzną.

Tak właśnie zjawił się Zamojski.

Minutę po poznaniu się pili już razem kawę, plotkując o najrozmaitszych rzeczach. Coś jednak w rozmowie się nie kleiło i Wasin szybko zrozumiał przyczynę.

— Pan szukał mnie specjalnie — powiedział. — Nie ma sensu tego ukrywać. Jest pan dziennikarzem?

— Nie, jestem biologiem — po chwili milczenia powiedział Zamojski. — Tak prawdę mówiąc interesują mnie Czarne Kule.

Nastąpiła pauza. Zamojski widocznie uważał, że powiedział wystarczająco dużo. Wasin też milczał. Wyszło na to, że zaskoczono go znienacka. Chociaż o czym tu rozmawiać z byłym zwiadowcą? Jasne, że o Czarnych Kulach.

— Na pewno czytał pan książki na ten temat — powiedział wreszcie. — Według mnie, tam jest wszystko napisane.

— Tak, przestudiowałem ten problem. Rzeczywiście, wiem wiele — Zamojski uśmiechnął się. — Na przykład wiem, że Czarna Kula to rzadkość. Tym niemniej, są planety, gdzie znajduje się je w kolosalnych ilościach. Wkrótce po ich odkryciu następuje metamorfoza, Czarne Kule znikają, w zamian pojawia się atmosfera. To bardzo wygodne. Zwiadowcy szukają planet nadających się do zaludnienia, lecz okazuje się, że nie ma znaczenia, czy szuka się tlenu czy Czarnych Kul.

— Zgadza się — przytaknął Wasin.

— Ale to nie wszystko — powiedział Zamojski. — Czarne Kule silnie obniżają zdolność odbijania światła przez planetę. Tak też się nazywają — „czarne planety”. Jest ich bardzo mało. Żeby znaleźć czarną planetę, zwiadowca ucieka się do podstępu. Ma na statku, w specjalnym zagłębieniu na pulpicie sterowniczym Czarną Kulę i ta Kula w jakiś sposób doprowadza go do właściwej planety. Możliwe, że „czuje” ją poprzez hiperprzestrzeń i wpływa na hiperprzejście.

— Uważa pan, że to niedopuszczalne?

— Innych domysłów w raportach zwiadowców nie znalazłem. Nieliczne prace uczonych, którym przypadło w udziale badanie Kul w laboratorium, poświęcone są czemu innemu: próbom zniszczenia lub chociażby zdeformowania Kuli. Czego z nimi nie wyrabiano: rozkuwano je, zgniatano pod prasą, naświetlano… Na próżno. Wniosek: Czarna Kula przedstawia szczególny stan materii, nie poddający się znanym oddziaływaniom. Nieźle, prawda?

— A co?

— Nic — powiedział Zamojski. — Ale są ludzie, i takich jest większość, którzy uważają, że Czarna Kulą, jeśli nie jest mistyfikacją, to na pewno jest masową halucynacją. Rozumują jeszcze logiczniej. Ach, Czarna Kula jest niewrażliwa na ludzkie oddziaływanie? Dobrze. Naprowadza was na zbiorowiska innych. Znakomicie. Ale pokażcie je nam. Gdzie są teraz te wasze Czarne Kule? Aa, zamieniły się w powietrze? Cudownie. Tylko, czy nie jest to właściwa pora, żeby zwrócić się do dobrego psychiatry?

— Pan rzeczywiście wie wszystko — po chwili milczenia powiedział Wasin. — Wątpię, czy usłyszy pan ode mnie coś nowego.

— Ależ dlaczego? — skrzywił się Zamojski. — Przecież pan jest naocznym świadkiem. W opublikowanych raportach zbyt wiele pozostawia się w podtekście.

— Rzeczywiście — zgodził się Wasin. — Lecz po co ma pan wiedzieć to, co nie trafiło do raportów?

— Mam hipotezę — wyjaśnił Zamojski. — Wiele mi ona wyjaśnia, lecz brak jeszcze pewnych faktów. Nie wiem, jak się do nich dokopać. Weźmy metamorfozę. Zwiadowcy piszą skromnie: początkowo Kul było wiele, potem nie pozostała żadna. A przecież powinno ich być mnóstwo, skoro były w stanie zmieniać charakter planety!

— Tak — potwierdził Wasin. — W fazie zerowej Czarne Kule pokrywają planetę całkowicie. Łatwo daje się ocenić grubość warstwy. Przy metamorfozie Czarne Kule zamieniają się w powietrze. Słup powietrza o pojedynczym przekroju na planecie typu Ziemi czy Elionu waży około kilograma. Jeśli wziąć pod uwagę, że gęstość Czarnej Kuli wynosi przykładowo dwadzieścia, to grubość warstwy powinna osiągać granicę metra. I tak też jest faktycznie.

— A potem wszystkie znikają?

— Tak. Niekiedy trudno jest znaleźć nawet jedną jedyną Kulę.

— A co z tą ostatnią Kulą? — zapytał Zamojski. — W raportach mówi się o niej, jak o czymś zupełnie naturalnym. „Przebywałem na planecie jeszcze tydzień. Zatrzymały mnie poszukiwania Czarnej Kuli". Właściwie, do czego ona służy?

— Jak to do czego? — nie zrozumiał Wasin. — Żeby szukać następnej planety.

— Przepraszam, ale pan już ma jedną Kulę. Tę, z którą pan przyleciał.

— Nie — Wasin uśmiechnął się. — Kiedy znajduję czarną planetę, zostawiam tam Kulę.

— Dlaczego?

— Jest już niepotrzebna. Zrobiła swoje.

— Czyżby Kula mogła doprowadzić tylko do jednej planety?

— Tak. Później Kula traci moc.

— Dlaczego?

— Nikt tego nie wie. Ale tak już jest.

— Rozumiem — powiedział Zamojski. — Kula naprowadza pana na czarną planetę. Pan wysiada, wyrzuca swoją Kulę, która już straciła moc, i czeka na metamorfozę. Kiedy Kule znikają, pan zaczyna szukać, za tydzień znajduje pan nową Kulę i odlatuje z nią na poszukiwanie nowej planety. Czy tak? Zbyt logiczne to nie jest.

— Nikt nie oczekuje na planecie metamorfozy — wyjaśnił Wasin. — Nie wiadomo, ile to może potrwać. Po odkryciu czarnej planety zwiadowca odlatuje i wraca za jakieś sześć — osiem miesięcy, po powstaniu atmosfery.

— Ale zostawia Kulę na planecie?

— Tak.

— A co się stanie, jeśli jej nie zostawi?

— Nic — powiedział Wasin. — Atmosfera nie powstanie.

— Aż tak?

— Tak — potwierdził Wasin. — To już sprawdzano. Można czekać kilka lat z rzędu, ale, póki Kula jest na statku, metamorfoza nie zachodzi.

Milczeli chwilę.

— Tak — powiedział potem Zamojski. — Ale dlaczego zwiadowca, pozostawiwszy Kulę, nie zabiera od razu innej?

— Kuli nie da się oderwać od podłoża — wyjaśnił Wasin. — Czarne Kule bardzo silnie się przyciągają.

— Jak to wygląda w liczbach?

— Liczb nie ma. Nikomu nie udało się oderwać Kuli. Ani rękoma, ani manipulatorem.

— A w laboratorium?

— Znam tylko jeden przypadek, kiedy w ręce uczonych trafiły od razu dwie — powiedział Wasin. — Zwiadowca bardzo sobie ceni Kulę i niechętnie oddaje ją, choćby nawet na krótko. Przecież, jeśli Kula przepadnie, nie ma skąd wziąć nowej.

— Aha! — Żeby zdobyć Kulę, potrzebna jest czarna planeta. Żeby zaś ją znaleźć, konieczna jest Kula. A tak przy okazji, skąd pan wziął tę, z którą pan pracował?

— Dostałem od pewnego starego zwiadowcy. Przestał latać i oddał Kulę mnie. Tak robi się zawsze. Przekazuje się je jak pałeczkę sztafetową.

— Jasne. Wróćmy do tych dwóch, o których zaczął pan opowiadać.

— Właściwie nie ma o czym opowiadać. Dwóch zwiadowców namówiono do przekazania Kul pewnej organizacji. Planowano pomiary siły przyciągania. Zaczęto Kule odciągać, a one — trzask! — i zlały się w jedno. I jeden ze zwiadowców został z pustymi rękoma. Teraz nikt nie zgodzi się na takie doświadczenie.

— To zrozumiałe — powiedział Zamojski. — Zapewne zwiadowca po odkryciu czarnej planety i pozostawieniu tam swojej Kuli nawet nikogo o tym nie informuje?

— Oczywiście. Ryzykuje wtedy, że zostanie z niczym. Przecież Kul jest znacznie mniej niż zwiadowców.

— A nie zdarza się tak, żeby z planety udało się wywieźć nie jedną Kulę, a więcej? — zapytał Zamojski.

— Nie — odpowiedział Wasin. — Lecz niech pan nie myśli, że po metamorfozie na planecie od razu pozostaje tylko jedna Kula. Zwykle bywa ich dość dużo. Ale w ostatecznym wyniku zawsze pozostaje jedna.

— Dlaczego?

— Z różnych powodów. Ostatecznie Kule łączą się w jedną. Ludzie opowiadają niewiarygodne historie. Pewnego razu dwaj przyjaciele–zwiadowcy przylecieli we dwóch po Kule, na dwóch statkach. Każdy wziął po Kuli. Obydwóm bardzo długo się nie wiodło i to właśnie ich namówiono do przekazania Kul na badania. Czym się to skończyło, już pan wie.

— A w innych sytuacjach?

— Różnie opowiadają — Wasin milczał chwilę. — Przecież ja pewnego razu też zrobiłem taką próbę. Na mojej ostatniej planecie.

— Tu, na Elionie — powiedział Zamojski.

Wasin kiwnął głową.

— Tak. Kiedy wylądowałem, Czarne Kule szczelnie pokrywały Elion. Zostawiłem swoją Kulę i odleciałem, żeby wrócić. Za pół roku planeta stała się taka, jak teraz. Zauważyłem Kule jeszcze z orbity, całe złoża. Tam też wylądowałem. Wielu potrzebowało Kul, postanowiłem więc wywieźć ze sobą nie jedną, lecz tyle, ile tylko dam radę. Ale nic z tego nie wyszło.

— Dlaczego?

— Przyleciałem wieczorem i osadziłem maszynę w luce w grubej warstwie Czarnych Kul. Rano za burtą nie było Czarnych Kul.

— Ani jednej. Czy to możliwe?

— Oczywiście nie. Ale pozostały tylko pojedyncze sztuki. Cały dzień ich szukałem, jak się szuka grzybów. Po starcie zaczęły się niespodzianki.

— Kule zaczęły znikać — powiedział Zamojski. Wasin przytaknął.

— Tak. Wszystko działo się jak w doświadczeniu, o którym mówiłem. Domyśliłem się tego nie od razu. Kule — a było ich sto z czymś — spokojnie leżały w bagażniku. Nawet kiedy przyrząd odnotował podwyższenie ciśnienia, nie przywiązywałem do tego wagi. Lecz wkrótce wydało mi się, że Kul zrobiło się mniej. Policzyłem: było ich 78. Na następny dzień okazało się ich jeszcze mniej. Zrobiłem błąd: zwaliłem Kule do kupy i zlepiły się. Nie udało mi się ponownie ich rozerwać. Pozostało tylko obserwować, jak przekształcają się w powietrze. Sąsiadujące ze sobą Kule zlewały się, jakby wkładały się jedna w drugą. Rozlegał się trzask, a przyrząd notował wzrost ciśnienia.

— I wkrótce pozostała panu jedna jedyna Kula.

— Tak. Oczywiście, to było głupie, że umieściłem Kule razem. Ale nie jestem przekonany, czy byłoby lepiej, gdybym postąpił inaczej.

— Ja też tak myślę — powiedział Zamojski. — A teraz proszę się przyznać: co zrobił pan z Kulą, która panu została?

3

— Piętnasty! — skrzeczał głos. — Zasnął pan? Start!

— Słyszę, słyszę — burknął Wasin.

Rzuciło ich w niebo. Z orbity Elion wyglądał jak Ziemia. Wasin pochylił się nad celownikiem.

— Co pan robi?

— Podaję maszynie adres celu — Wasin położył rękę na dźwigni startowej. — Uwaga!

Jak zawsze przed przejściem, wykręciło mu stawy. Niemoc rozlewała się po ciele, rtęciowy ciężar, śmierć. Co to obchodzi Zamojskiego?…

Odczuł zawroty głowy i nudności. Potem wyrwało go z przestrzeni i czasu.

4

Rankiem Wasin nie wiedział, że wkrótce wyruszy w rejs. A i Zamojski jakby się nie spieszył. Ile czasu siedzieli we dwójkę? Godzinę, maksimum półtora. A jak się wszystko zmieniło! Ależ dziwny jest ten los.

Wasin powiedział:

— Przeniosłem Kulę do kabiny. Pozostało mi tylko wprowadzenie do celownika koordynat Słońca i naciśnięcie startera. W ten sposób daje się maszynie dwie komendy. Pierwsza — wyruszyć w hiperprzestrzeń. Druga — wrócić stamtąd. Jeśli koordynaty nie są podane, statek pojawia się tam, gdzie mu się zechce. Jest to tak zwane „wolne poszukiwanie”, i właśnie w momencie takiego przypadkowego przejścia Kula, jak niektórzy podejrzewają, reaguje na czarną planetę. Ale ja wcale nie zamierzałem niczego szukać. Chciałem odpocząć na Ziemi. Patrzyłem na swoją Kulę; trudno to opisać. Jeśli długo patrzeć, jej powierzchnia zaczyna jakby płynąć, wiją się po niej dziwaczne linie. Niektórzy wierzą, że Kula może rozkazywać. Nagle odechciało mi się lotu na Ziemię. Ręka sama wyciągnęła się do starteru. Znowu poleciałem na „wolne poszukiwanie”, chociaż nie miałem zamiaru tego robić.

Wasin zamilkł.

— Takie zdarzenia zmuszają do zastanowienia się, jak, mimo wszystko, człowiek działa. Nie wiem, czy my składamy z wydarzeń uświadomione ciągi, czy też wydarzenia zmuszają nas do tworzenia ich? Wydawałoby się, że przyczyna powinna wywoływać liczne skutki. W rzeczywistości jest odwrotnie: w każdym działaniu koncentruje się masa przyczyn. Gdyby tak z grubsza określić, ile przypadkowych zdarzeń stanowiło źródło tego czy innego momentu…

— Jest pan filozofem. Wierzy pan w przypadek?

— Nie, wierzę w los. A pan?

— Tak — powiedział Zamojski. — Ale proszę kontynuować.

— Kiedy się ocknąłem, kabinę zalewało światło jasnej gwiazdy. Przyrządy wskazywały, że statek spada. Popatrzyłem tam, gdzie znajdowało się zagrażające mi ciało niebieskie, a nie

zobaczyłem nawet gwiazd. Za burtą znajdowało się coś, co nie przepuszczało i nie odbijało światła.

— Czarna planeta?

— Tak. Wkrótce nieoczekiwanie dla samego siebie włączyłem automaty lądowania.

— Co znaczy „nieoczekiwanie”?

— Coś mnie do tego skłoniło. Długo wybierałem miejsce lądowania i skierowałem statek tam, gdzie mi się z jakiegoś powodu spodobało. Po wylądowaniu na warstwie Czarnych Kul nałożyłem skafander, zdjąłem Kulę z pulpitu, zszedłem do śluzy, otworzyłem luk. Kulę wyrwało mi z rąk — siłą przyciągania innych Kul, pokrywających ściśle wszystko. Potem wróciłem do kabiny i wystartowałem.

— Czy robił pan to nieświadomie?

— Nie. Raczej instynktownie. I nie opuszczała mnie pewność, że działam prawidłowo. Nawet teraz, wspominając, jestem o tym przekonany. Tak. Nie mam wątpliwości. Robiłem wszystko tak jak trzeba. Jest to w gruncie rzeczy koniec mojej historii. Więcej nie mam nic do powiedzenia.

— Czyżby nie wrócił pan tam?

— Nie. Nigdy nie wrócę.

— Dlaczego?

— Nie chcę wracać — odparł Wasin. — Będzie pan protestował. Ale my nie dostajemy tych planet za darmo. Płacimy za wszystko.

— Czym płacimy? — zapytał Zamojski.

Wasin patrzył na drzewa. Płacimy za te lasy. Płacimy za każdą gałązkę, za każdy liść. Jego wzrok przeniósł się na niebo. Za to też, myślał. Płacimy za powietrze, którym oddychamy.

Wasin zobaczył swą rękę na stole obok filiżanki po kawie. Palce drżały. I za to, pomyślał.

Powiedział:

— Płacimy za swą wolność. Nie wiem, co wewnątrz Czarnej Kuli zmusza mnie do robienia tego, czego nie chcę, i na dodatek daje mi poczucie, że postępuję właściwie. Właściwie wszystko mi jedno. Mam dość. Żadna siła mnie do niczego nie zmusi. Nikt, rozumie pan?

— Czemu się pan denerwuje? Na razie o nic nie proszę.

— A ja niczego nie proponuję — odpowiedział Wasin. — Nigdy nie wyląduję na tej planecie, niech będzie przeklęta. Oczywiście, kiedyś tam polecę. Po prostu, żeby z daleka popatrzeć, jak tam stoją sprawy. Ale zapewniam pana, nie nastąpi to szybko. Stanowczo nie w przyszłym roku i nawet nie za miesiąc. A już w żadnym wypadku nie jutro…

— Może… dzisiaj? — zaproponował Zamojski. — Jaka różnica, jeśli pan i tak się tam wybiera?

Dwie godziny później rozmawiali z dyspozytorem.

5

Stopniowo powracali do życia. Kabina wirowała. Kiedy się zatrzymała, Wasin odwrócił głowę.

— Czyżby… zawsze… tak?…

Podniósł zasłonki. Przez iluminator zobaczył osłabione przez filtr, wiszące ogromne słońce. Z analizatora wypełzała taśma.

— Widzi pan cyfry? Informacja ekspresowa: klasa gwiazdy, parametry planet… Nasza jest druga. Proszę popatrzeć tutaj.

Szklany prostokąt poczerniał, napełnił się gwiazdami.

— Proszę zwrócić uwagę: czarna planeta nie odbija światła — uprzedził Wasin. — W najlepszym przypadku zobaczy pan ciemną plamę na tle gwiazd.

Ekran ożył. Gwiazdy płynęły w czerni nieba. Potem na ekran wjechał biały półksiężyc i zatrzymał się.

— Czy to właśnie jest czarna planeta? Inaczej je sobie wyobrażałem.

Sierp zwiększył się, zapełnił ekran. Wasin patrzył na niego, nie wierząc oczom. Na ekranie pozostało szczelne szare pole.

— Chmury — stwierdził Wasin.

Zasłona spełzła z połowy ekranu, obnażając pajęczynę pęknięć. Widoczne były poszczególne kamienie, uwydatnione dzięki rzucanym przez nie cieniom.

— Czyżbym się pomylił? — zapytał Wasin. — Zresztą, łatwo się przekonać. Wylądujemy i zobaczymy.

Zamojski przytaknął z radością. Wasin uśmiechnął się do niego. Sam już uwierzył, że to inna planeta. Wylądować na tamtej nigdy by się nie zgodził. Nigdy w życiu.

6

— Proszę popatrzeć na analizator — powiedział Wasin przed wyjściem. — Sam tlen. I normalna temperatura.

Do śluzy wtargnęło słońce i wiatr. I panorama: kamienie, jamy, pęknięcia. Chmury i błękitne niebo.

— Co to jest? — głośno zapytał Zamojski. Zeskoczył na ziemię i pobiegł. Zatrzymał się, podniósł coś z ziemi. Odwrócił się do Wasina. Miał w rękach coś czarnego, okrągłego.

Czarna Kula.

Wasin popatrzył w inną stronę. Z niewysokiej skały zsuwało się osypisko kamieni. Na tle tłucznia uwydatniało swą wypukłość coś czarnego, okrągłego, podobnego do kuli lekkoatletycznej.

— Niech pan popatrzy, jest ich tu wiele! — krzyknął Zamojski.

Wasin powiódł oczami po falistej kamiennej równinie. Pola lawy ciągnęły się przez wiele kilometrów. Wiatr gnał po ziemi chmurki pyłu i obłoki po niebie. Pejzaż przypominałby ziemską pustynię, gdyby nie Czarne Kule. Było ich mniej, niż kiedyś na Elionie. O wiele mniej, ale mimo wszystko dużo.

Zamojski zniknął mu gdzieś z oczu. Wasin wyszedł ze śluzy i zaczął oddalać się od pojazdu. Niczego nie szukał, lecz Czarne Kule spotykał cały czas. Leżały wszędzie: na otwartej przestrzeni, w cieniu, na wzniesieniach. Ale w miarę oddalania się od statku trafiały się coraz rzadziej i rzadziej.

Wreszcie zatrzymał się. Przed nim nie było już Kul. Całe ich tysiące pozostały za jego plecami, w pobliżu statku.

Tak bywa zawsze, nagle pomyślał Wasin. Zawsze lądujesz w takim kręgu, jakby były naprawdę żywe, jakby one same, poczuwszy statek, wybrały się na ucztę.

Jak stado wampirów.

Zbierają się wokół statku, żeby wyssać nasze pragnienia, uczucia i myśli, żeby rozkoszować się zawartością naszych mózgów, żeby przekształcić to w powietrze i rzucić na wiatr.

Wasin obejrzał się. Statek jak stożek maluteńkiego wulkanu wznosił się daleko, daleko. Odwrócił się plecami do pustyni i poszedł z powrotem. Wkrótce zaczęły się trafiać Czarne Kule. Zaczarowany krąg zacieśniający się wokół statku.

Zza wielkiego kamienia wyszedł Zamojski z Czarną Kulą w rękach.

— Udało mi się — oświadczył. — Prawdopodobnie w takich miejscach przede mną raczej nie było ciekawskich, Proszę popatrzeć.

Podniósł Kulę obydwoma rękami i rzucił. Z ziemi, z tego miejsca, gdzie rzucił ją Zamojski, podniosła się inna Czarna Kula. Wzbiła się samodzielnie, jakby grunt sam rzucił ją ku pierwszej. Kule latały łukami, ich opadające linie spotkały się przy ziemi. Rozległ się trzask, jakby pękł balonik z powietrzem. Kule zlały się w jedno.

— Tak jest zawsze — wyjaśnił Zamojski. — Kiedy pana tu nie było, przeprowadziłem to doświadczenie dziesiątki razy.

Wasin z uznaniem patrzył na Zamojskiego. Wszystko, co robił, było takie, jakie powinno być. W jego wnętrzu coś drgnęło.

Zamojski postępuje logicznie i konsekwentnie, ale dokąd prowadzą jego działania? Do tego, że czarne stado wokół statku przerzedza się. Po eksperymentach Zamojskiego na planecie wkrótce pozostanie już tylko jedna Czarna Kula, Kula–dyktator. I Wasin (to też będzie konsekwentne) położy ją na pulpit, po Kuli zaczną się wić wzory i ona zacznie rozkazywać. Wasin ruszy na poszukiwanie i wolność znowu zniknie. Pozostanie konieczność i wszystko potoczy się po staremu.

— Nie wyobraża sobie pan, jaki jestem zadowolony — powiedział Zamojski. — Wszystko układa się zgodnie z moją hipotezą. Absolutnie wszystko.

Słońce zachodziło. Szli do statku, trafiające się po drodze Kule rzucały czarne cienie. W kabinie Wasin rozłożył fotele i położył się. Zamojski zasłonił iluminatory i też się położył.

Nad ranem Wasin miał sen. Opowiadał o pracy zwiadowcy. Zamiast głów zebrani mieli Czarne Kule. Po jego wystąpieniu w sali rozległy się oklaski podobne do dźwięku pękających baloników. Kiedy przeszły w owację, obudził się.

7

Stali na brzegu kesonu, wpatrując się w pejzaż. Zamojski, co dziwne, nie wyglądał na zakłopotanego, chyba był zadowolony.

— Jedna leżała wczoraj w osypisku — powiedział. — Tam, koło głazu. I na dnie szczeliny. A to ci historia! Było jeszcze kilka, zapamiętałem miejsca. Dzisiaj nie ma ich wcale. Ale to chyba niemożliwe!

— Nie ma ich — powiedział Wasin. — Umówmy się tak.

Start za dwie godziny. Niech pan robi, co pan chce. Ale proszę się nie spóźnić.

— A co pan będzie robił? Też szukał?

— Nie. Umówiliśmy się: za dwie godziny.

Wasin zeskoczył na kamienie. Przypomniał sobie wczorajszy dzień i uśmiechnął się. Niech Zamojski żałuje, że zniknęły.

Obszedł maszynę wokół, sprawdził podwozie. Wszystko w porządku, z odlotem nie będzie problemów.

Słońce wzeszło, ale powietrze jeszcze się nie nagrzało. Szedł szybko. Jego nastrój polepszał się. Kul nie ma. Wszystkie zniknęły.

Nogi niosły go coraz dalej. Od czasu do czasu doświadczał dziwnego wrażenia: jakby ktoś tędy przechodził. Uczucie to pojawiało się i znikało, jak słońce w przerwach między chmurami.

Wasin zatrzymał się, spojrzał w dół. Pod jego nogami leżała Czarna Kula. Jakby czekała na człowieka. Ocalała tylko jedna. Ostatnia Kula na tej planecie. Możliwe, że w całym wszechświecie.

Podniósł Czarną Kulę. Ciężka, zimna, bardziej martwa niż szorstka. Niestety, biedny Jorik!…

Przy statku na Wasina czekał Zamojski.

— O, udało się panu! Przetrząsnąłem całą okolicę, lecz znalazłem tylko jedną. A pan długo szukał?

Nie odpowiedział. W kesonie Zamojski zapytał:

— Gdzie mam się z nią podziać?

— Do bagażnika. Oto klucz. Swoją Kulę zabiorę ze sobą do kabiny.

W kabinie Wasin rozglądnął się, gdzie położyć Kulę i uśmiechnął się. Jedynym odpowiednim miejscem było zagłębienie na pulpicie.

Potem nastąpił start.

A jeszcze później przed nimi zamigotały szybkie orbitalne zorze, w dole wszystko zaciągały obłoki. Przyrządy przeszukiwały planetę. Wasin miał nadzieję, że odkryje choćby jedno jeszcze skupisko Czarnych Kul. Pod wieczór stało się oczywiste, że dalsze szukanie jest bez sensu.

— Już pora spać — stwierdził.

— Jakoś często śpimy — odparł Zamojski. — Oto klucz od bagażnika, proszę schować. Boję się o swego więźnia.

— Położę klucz pod poduszkę — powiedział Wasin.

3

Przebudził się nocą jakby od wstrząsu. Z głowy ulatywały resztki ostatniego snu. Poruszające się ręce, wiele poruszających się rąk.

W kabinie było ciemno. Ledwie dosłyszalnie posapywał Zamojski. Sen pierzchnął bez śladu.

Wasin usiadł na pościeli. Kabinę przeszywał pulsując czarny blask. Na pulpicie, pod szklaną przykrywką, leżała Czarna Kula. To ona wypuszczała napełniające całą kabinę fale czarnego światła.

Wasin przestał słyszeć oddech Zamojskiego. Zrobiło się zupełnie cicho. W ciszy taiła się muzyka. Wszystko było dobrze widać.

Opuścił nogi na podłogę, ubrał się. Muzyka cicho grała. Wiedział, że nie może postąpić inaczej.

Wsunął pantofle na nogi. Nagle podłoga uciekła w dół. Poderwał się, żeby nie stracić równowagi. Statkiem delikatnie szarpnęło. Zrobił krok ku drzwiom kabiny. Statek lekko drgał w takt niesłyszalnej muzyki, i przy każdym zrywie Wasin, żeby nie upaść, robił nowy krok ku drzwiom. Przypominało to taniec. Potem drzwi razem z kabiną zwaliły się na niego i otwarły. Jego oczom ukazał się korytarz, bardzo, bardzo długi. Na końcu korytarza czarnym blaskiem świeciło okienko w luku bagażnika.

Jarzenie miękko pulsowało. Krew waliła w skroniach. Wszystko łączył niesłyszalny rytm. I w takt tego rytmu korytarz równomiernymi zrywami napierał na Wasina.

Przebierał nogami, żeby pozostać na miejscu; przez to koniec korytarza przybliżał się. I Wasinowi z jakiegoś powodu wydawała się, że on sam się cofa, cofa i cofa…

Jarzenie w okienku pulsowało, jak w kabinie. W centrum jarzenia leżała Kula.

Czarna Kula.

Cicha muzyka stała się już zupełnie niesłyszalna. Luk bagażnika zerwał się w stronę Wasina, starannie trafiając dziurką w klucz, zaciśnięty w jego wyciągniętej ręce.

Klucz przekręcił się.

Potem Wasin znowu, jakby tańcząc, przebierał nogami na miejscu, żeby nie upaść, w jego rękach była Czarna Kula, a korytarz poruszał się w przeciwnym kierunku, przybliżając do niego kabinę.

Kabinę, i pulpit, i drugą Kulę w zagłębieniu na pulpicie.

Rozległ się suchy trzask. Przykrywka opadła. Pod nią mieniła się chłodnym deseniem Czarna Kula. Jedna. Gra wijących się na jej bokach linii gasła.

Runął na pościel i zagłębił się w czerń snu.

9

Rano długo leżał, przypominając sobie nocne przywidzenia. Sen?…

Zamojski spał. Wasin wyszedł na korytarz, do luku bagażnika. Przylgnął do wziernika.

Nie, nic mu się nie przywidziało. To znaczy, że wszystko tak właśnie było.

W kabinie Zamojski patrzył na niego z ciekawością. Nagle Wasina ogarnęło poczucie winy. Dziwne wrażenie, coś z dzieciństwa. Było mu przeraźliwie wstyd. Spojrzał w lustro. Twarz miał pąsową.

— Gdyby pan wiedział, jak panu zazdroszczę — usłyszał głos Zamojskiego.

— Co pan ma na myśli?

— Pana nocną działalność — powiedział Zamojski.

Wasinowi zrobiło się jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Uderzenie było poniżej pasa. Prawdopodobnie Zamojski wszystko widział. Ale gdzież tu jego wina? Skoro Zamojski wszystko widział, mógłby się sam wtrącić.

Poczucie winy zniknęło. Doprowadził fotel do porządku. W lustrze był Zamojski: znów patrzył z ciekawością.

— Długo będzie pan tak leżał? — zapytał Wasin.

— Niech się pan nie przejmuje — odrzekł Zamojski. — Niech pan się nie zamartwia. Wszystko odbywa się absolutnie normalnie

— Normalnie? A czy pan chociaż wie, co się stało?

— Mogę przypuszczać. Właściwie to wszystko widziałem. Szkoda, że to nie mnie się zdarzyło.

— Pan nie żartuje?

— Ja? Dlaczego? A może poleciałem tutaj specjalnie, żeby tego doświadczyć? Nie udało mi się. Ale chociaż pan mi opowie, jak się to wszystko odbywało.

— Jak pan chce — już zgodził się Wasin.

Po skończeniu opowieści Zamojski wypytywał jeszcze:

— Znaczy, że światło było czarne? I wydawało się, że pan się cofa? I drzwi same naparły na pańskie ramię! Cudownie. To już ostatnie pociągnięcie pędzla. Jaka szkoda, że to nie mnie się zdarzyło!…

— Dość! — przerwał mu Wasin. — Niech pan wykłada swoją teorię.

10

— Naprowadził mnie na to — zaczął Zamojski — pewien prąd filozoficzny, stosunkowo mało znany. Ma on związek z kosmologią, lecz mnie wciągnęła podstawowa idea: że materia rozwija się równolegle w przeciwnie przebiegających strumieniach czasu.

— Równolegle? Jak to? Częściowo w normalnym czasie, a częściowo w przeciwnym?

— Coś w tym rodzaju. Ale żeby było jeszcze dokładniej, to trzeba powiedzieć, że materia rozwija się w obydwu kierunkach naraz. W ten sposób wszechświat przypomina kolosalny palindrom, słowo–rak, versus recurrentes.

— Nie rozumiem.

— Jest taka przypowieść — powiedział Zamojski. — Wielki nadworny mędrzec zobaczył na bazarze dwóch bijących się starców. „Niegodziwcy! — zakrzyknął. — Dlaczego, zapomniawszy o swych dostojnych przodkach i sławnych potomkach, hańbicie swoją siwiznę i łysiny, ciągnąc się za brody i tłukąc pięściami?" — „Prowadzimy naukową dyskusję — odpowiedzieli. — Nasz spór jest nierozwiązywalny, poglądy nieprzejednane. Idź swoją drogą, mędrcze. Nawet ty nam nie pomożesz." — „Nie ma poglądów, których nie dałoby się uzgodnić — mówił. — Wyjawcie istotę sporu, o niegodni." — „Ja jestem wychowany na pismach starożytnych — odrzekł pierwszy starzec. — Uczą oni, że porządek powstał z chaosu. I tak jest naprawdę. Pył zagęszcza się w chmury, rodzą się planety i gwiazdy. Na planetach rozpala się życie i rozum. Takie są reguły, odkryte przez starożytnych i udowodnione przez naukę i one są prawdą." — „Kłamstwo! — przeciwstawił mu się drugi. — Mam wyższe wykształcenie, mam tytuł. Studiowałem termodynamikę. Entropia wzrasta. Nie odchodzimy od chaosu, lecz jesteśmy na drodze ku niemu. Oto prawda." — „Kto z nas ma rację? — zapytali wielkiego mędrca. — Gdzie zmierza świat: od chaosu ku porządkowi czy odwrotnie?" — „Ślepcy! — zakrzyknął mędrzec. — Co bywa wcześniej: dzień czy noc? Umiarkujcie gniew i idźcie w pokoju. Rację macie obaj: przyjdzie czas i porządek zastąpi chaos. Zwycięży on ostatecznie".

— Zmyślnie! — powiedział Wasin.

— Tak. Tak więc, teoria równoległego rozwoju przypomina formułę mędrca, zawierającą swe zaprzeczenie. Ma ona związek z kosmologią, lecz ja przecież jestem biologiem. Nie interesują mnie martwe schematy. Pomyślałem: jeśli wszystko jest symetryczne, to dlaczego w odwrotnie ukierunkowanym czasie nie ma niczego, przypominającego życie? Wkrótce potem natknąłem się na raport o Czarnych Kulach.

— Czy przedtem nie słyszał pan o nich?

— Dlaczego nie? Słyszeć słyszałem. Zwykle w takim zestawieniu: Wąż Morski, człowiek śniegu, Czarne Kule, latające talerze… Pan wie, jak odnosi się do Czarnych Kul oficjalna nauka. Jest dość podstaw, żeby nie wierzyć zwiadowcom.

— Tak. Bardzo rzadko im się wierzy! Oprócz pana, nie znam nikogo.

— Zrozumiałem od razu, że Czarna Kula jest tym, czego szukam. Kula odpowiada cechom istoty żyjącej w odwrotnie ukierunkowanym czasie.

— Dlaczego?

— Po pierwsze — niedosiężność Kuli. Obiekt, idący z przyszłości nie powinien poddawać się oddziaływaniom. Podobna właściwość — nieuniknioność zlewania się Kul. Jeśli założyć, że dwie zlewające się Kule powstały z trzeciej, która w odwrotnie ukierunkowanym czasie rozdzieliła się, to właściwość ta jest zrozumiała. Ponadto, symetryczne w czasie jest samo opanowanie czarnych planet. Odbieramy je tak: człowiek przybywa na planetę Kul, te znikają, ludzie zaludniają planetę.

W czasie odwrotnie ukierunkowanym obraz jest przeciwstawny. Planeta jest zajęta przez ludzi, potem pojawiają się Kule, ludzie odchodzą.

— Ale Czarna Kula to coś przeciwstawnego życiu!

— Tak też powinno być. Proszę popatrzeć na człowieka w odwrotnie ukierunkowanym czasie. Ewoluując w odwrotnie ukierunkowanym czasie, człowiek głupieje i degraduje się. Jego postępowanie jest przesądzone. W czasie ukierunkowanym odwrotnie Kula żywi się powietrzem i rozmnaża przez podział. Kule nie mogą zniknąć wszystkie. Musi pozostać przynajmniej jedna: ich prarodzic w czasie odwrotnie ukierunkowanym. Albo niech pan weźmie moment podziału. Kula dzieli się na dwie. Rozlatują się, przy czym jedna trafia w moje ręce.

— Pan mówi o swoich doświadczeniach? Lecz rzucał pan Kulę z własnej woli.

— Subiektywna ocena — zaoponował Zamojski. — Możliwe, że Kuli też się wydaje, iż ona świadomie skacze mi do rąk. Ale są to dwie strony jednego procesu: wzajemnego oddziaływania człowieka i Kuli.

— I w nocy było wzajemne oddziaływanie?

— Tak. Świat jest jednolity; człowiek to część tego świata. Na planecie, gdzie pan teraz poleci, zostawi pan jedną Kulę, gdyż tylko jedna Kula trafiła stamtąd na pokład pańskiego statku. Oto ona, już leży w zagłębieniu. Po drodze rozdzieliła się na dwie. Znaczy to, że w naszym czasie Kule się połączyły. Musiały się połączyć. Rozumie pan?

— Nie — odpowiedział Wasin. — Połączyły się, ale nie same. To ja przeniosłem jedną Kulę do drugiej. Dlaczego? Ja tego nie chciałem.

— A dlaczego wylądował pan statkiem w jedynym na planecie skupisku Kul? Bardzo proste. W czasie przeciwnie ukierunkowanym pan wylatuje, zostawiwszy po sobie to skupisko —t potomków przywiezionej przez pana Kuli. Pan nie może lądować w innym miejscu. Dokładniej na tej samej zasadzie Kule musiały się zlać ze sobą. I zmusiły pana do pomocy. Prawdopodobnie to jest jedyne wyjście. Kule musiały się zlać, to znaczy, że pan musiał im pomóc.

— Czyli istnieje jakiś związek? Ale jaki jest jego mechanizm?

— Niech pan nie myśli, że ja rzeczywiście wiem wszystko — uśmiechnął się Zamojski. — Nauka, o której mówiłem, twierdzi, że dowolną porcję materii charakteryzuje i prosty, i odwrotnie ukierunkowany rozwój. Na przykład inercja traktowana jest jako pamięć o przyszłości — obiekt „pamięta", gdzie dopiero co się znajdował w odwrotnie ukierunkowanym czasie. Człowiek nie jest wyjątkiem: jest on jakby dwoma istotami, włożonymi jedna w drugą. „Prosty" człowiek uosobiony jest w pamięci; „odwrotnie ukierunkowany" — w instynktach i intuicji, które także są rodzajami pamięci o przyszłości zaciskającymi w zorganizowanej materii właściwość inercji. Kula żyjąca w odwrotnie ukierunkowanym czasie oddziałuje na nasze instynkty, także należące do odwrotnie ukierunkowanego czasu, i człowiek postępuje tak, żeby w prostym czasie Kule się połączyły. Pamięć, broniąc psychiki, zachowuje zniekształcony odbiór podobny do widzenia sennego. Nawiasem mówiąc, są ludzie, którzy uważają, że we śnie przemieszane są w równym stopniu przeszłe i przyszłe doświadczenia. Oto chyba wszystko.

— Raptem wszystko! — wykrzyknął Wasin.

— Tak. Kiedy tak długo się nad tym rozmyśla, wszystko wydaje się oczywiste. Właściwości Kul, wyglądające tak tajemniczo, nie powinny nas peszyć. Dla Kul człowiek prawdopodobnie też jest ośrodkiem przesądów. Pana praca z ich punktu widzenia tak wygląda. Na planecie, zaludnionej przez Kule, pojawia się zagadkowy przedmiot — ziemski zwiadowca. Jedna z Kul przenika na pokład statku i odlatuje. Zwiadowca dostarcza ją na pustą planetę o znośnej atmosferze, gdzie niedawno jeszcze mieszkali ludzie. Kula zaczyna wchłaniać powietrze i rozmnażać się. Zwiadowca odlatuje, lecz wraca,, kiedy Kul jest już dużo. Jedna z nich znowu przedostaje się na pokład i cykl się powtarza. Nam wydaje się, że my zaludniamy kosmos.

— A w rzeczywistości one?

— Co bywa wcześniej: dzień czy noc? — uśmiechnął się Zamojski. — Są to dwie strony jednego zjawiska. Nie wolno ich rozdzielać.

— Cóż zatem jest wolnością?

— Jest pan wolny, dopóki nie wtrącają się Kule. One też są wolne, dopóki pan nie przeszkadza. Przy tym myślę, że istnieją nie tylko one. Prawdopodobnie codziennie spotykamy się ze znacznie mniej egzotycznymi istotami, żyjącymi w odwrotnie ukierunkowanym czasie. Niekiedy wydaje mi się, że wszystkie przedmioty martwe w jakiś sposób są podobne do Czarnych Kul. My coś z nimi robimy; a jeśli w odwrotnie ukierunkowanym strumieniu czasu to one właśnie robią coś z nami? Jestem przekonany, że życie to symbioza. Dialektyka. Zmaganie się dwóch różnych porządków.

— No, dobrze — zgodził się Wasin. — Trzeba to przemyśleć.

11

Wasin patrzył na pulpit sterowniczy. Czarna Kula słabo migotała. Mrugnął do niej i nacisnął starter.

Zamojski został na Elionie. Wasin znowu ruszył na „wolne poszukiwanie". Wszystko było jak przedtem, lecz coś niecoś się zmieniło.

Wasin patrzył na Czarną Kulę. Wszystko będzie jak ma być. Wiezie Kulę do jej przeszłości, a przeszłość Kuli związana jest z planetą Kul. Z planetą niezbędną ludziom.

Ależ dziwny jest ten los.

Przełożył Wacław Mucha

Michaił Puchow

PRZYPADKOWE NASTĘPSTWO

1

Er–17 szedł z przodu. Na jego czarnych, wypolerowanych plecach Grekow łowił swoje powykrzywiane odbicie. Kowalski w lustrze pieców się nie mieścił, zasłaniał mu je Grekow. Szedł jednak z tyłu, prawie obok i Grekow słyszał, jak pod jego butami chrzęszczą kamienie. Sam Grekow, a jeszcze bardziej robot, szli prawie bezszelestnie i było wyraźnie słychać, jak wiatr wyje wśród skał i szeleści w koronach drzew.

Wiatr się nasilał. Spod nóg Grekowa, idącego z przodu robota i Kowalskiego, który szedł z tyłu, unosił się biały pył i ulatywał do przodu zlewając «się w skłębiony, przyciśnięty do ziemi długi obłok wskazujący im drogę. Wiatr był południowy. Stopniowo się wzmagał i wiał wzdłuż żlebu w plecy ułatwiając wspinaczkę. Nie byłoby dobrze, jeśli nie jest to tylko zwykły wiatr, a poczerniałe nad południowym horyzontem niebo zapowiada polarną burzę.

Oglądanie się nie miało sensu. Żleb, którym szli, był kręty i horyzont przysłaniały zielone od drzew szczyty skał. Oczywiście można się wdrapać na wierzchołek, na jakiś wysoki występ skalny, ale na to trzeba czasu. A jeśli zbliża .się huragan, to czas jest najcenniejszy.

Grekow dotknął pasa, na którym zgodnie z instrukcją powinien się znajdować blaster. Blastera jednak nie było. Blaster waży dwa kilogramy, a świt był dzisiaj zwyczajny, zielony, bez różowo–czerwonych przebłysków zapowiadających południowy sztorm. Dobrze, że chociaż Kowalski jest uzbrojony. To dobrze, że ci nowi posiadają znakomitą potrzebę obwieszania się bronią zawsze, kiedy im się tylko na to pozwoli.

Kowalski przybył na Gammę dopiero dwa dni temu i idący z przodu robot Er–17 był pierwszym, jakiego mieli wyprawić do Tunelu razem. Ostatnie sześć miesięcy Grekow był jedynym człowiekiem wysyłającym do Tunelu roboty i odbierającym je, jeżeli wracały. Wracała mniej więcej połowa.

Teraz wchodzili coraz wyżej po dnie wąskiego żlebu wyrytego przez ściekający tędy kiedyś lodowiec. Skały po obu stronach były piękne, młode, prawie nie tknięte przez erozję. Między nimi były przejścia, więc w razie czego można było wyjść w górę i wrócić do bazy robiąc niewielkie koło. Szczyty skał były płaskie, wygładzone. Zieleniły się tam jęczące od wiatru drzewa.

Maleńki oddział zbliżał się do celu.

Baza, z której wyruszyli, była usytuowana niezbyt daleko od wejścia do Tunelu. Głupstwo, dziesięć kilometrów, chociaż można było zbudować ją bliżej, na dnie tego żlebu. Ale kiedy ją stawiano, nikt nie podejrzewał nawet istnienia Tunelu.

Baza została zbudowana w celu badania obyczajów tubylców zamieszkujących półkulę południową, a w bezpośredniej bliskości od wejścia do Tunelu nie ma osiedli tubylców. Na równinie nie ma ich także — budują swoje szałasy z gałęzi drzew w górach, na płaskich szczytach skał, a nie w dolinach. Boją się Tunelu, chociaż jest przedmiotem ich religijnego kultu.

Tubylcy wierzą, że z Tunelu od czasu do czasu wychodzą bogowie i straszydła. Straszydła pozostają tak długo, dopóki nie znajdą się bohaterowie, którzy stoczą z nimi walkę i zwyciężą. Bogowie odchodzą sami. Tubylcy wcale się nie zdziwili, kiedy na Gammę przyszli ludzie. Teraz czekają, kiedy wrócimy z powrotem do Tunelu.

Oczywiście, nic nie przeszkadza przenieść stację choćby teraz. Nie jest to trudniejsze, niż regularne, dwa razy w tygodniu przejmowanie kolejnego robota–zwiadowcy, jeżeli wraca, i

posyłanie do Tunelu następnego. Czasami roboty muszą długo czekać — jeżeli były przeznaczone na Feniksa” albo Ligurię, a wróciły w pierwszym cyklu. Z ośmiu takich robotów zadanie wykonuje jeden, połowa wraca przed czasem, a pozostałe przepadają. Roboty, które wracają wcześniej, muszą czekać. Ale nie jest to dla nich zbyt trudne.

Zresztą sam spacer od bazy — dziesięć kilometrów w tę i dziesięć z powrotem — też nie jest uciążliwy. Tyle, że czasami bywa niebezpieczny. Kiedy niebo nad południowym horyzontem ciemnieje i podnosi się wiatr od bieguna, z pustyń przypełzają tu stada piaskowych smoków. Bywa, że pojedyncze osobniki dostają się aż tutaj, do żlebu. Rzadko, ale się zdarza.

Nie przez przypadek tubylcy budują swoje szałasy na płaskich szczytach skał.

Idący z przodu robot zatrzymał się.

W górze, w lesie na wierzchołkach wyło i gwizdało, ale u stóp skał wiatru w ogóle nie było, pył spod nóg nie unosił się już, ponieważ żleb kończył się tutaj zamknięty kamiennymi ścianami. Skały były rzeczywiście jak ściana albo nawet jak szklane ścianki akwarium — gładkie i niedostępne. Chociaż to dziwne, ale owalny otwór Tunelu harmonizował z dziką przyrodą. Wyglądał, jak zwyczajna pieczara głęboko ukryta w ziemi.

W rzeczywistości na metr od wejścia Tunel kończył się ślepą ścianą, poprzeczną przegrodą nie do przebycia. Żeby wejść do Tunelu należało dotknąć przegrody, obrócić się dookoła i wejść w inny świat. Ludzie jednak nie robili tego nigdy, posyłali zamiast siebie automaty.

Er–17 stał dwadzieścia metrów od wejścia czekając na rozkazy.

— Do terminu kontrolnego zostało dwadzieścia pięć minut. Poczekamy tutaj — powiedział Grekow siadając na płaskim głazie. Po raz pierwszy od chwili, kiedy w koronach drzew zaczął gwizdać wiatr, zaryzykował i obejrzał się do tyłu. Tak jak się spodziewał, nad południowymi skałami było czarno jak w nocy.

Kowalski stał nadal z zachwytem patrząc na owalny otwór. Er–17 też ani drgnął. Robotowi było wszystko jedno czy czeka stojąc, czy siedząc.

— Drzwi w inne światy — powiedział Kowalski z zachwytem. — Oto one, obok.

Grekow nie odpowiedział. Pół roku temu sam doświadczał podobnych uczuć. Teraz patrzył na żałobną obwódkę ponad zielenią południowych skał i czekał aż z otworu za plecami lada chwila pojawi się wysłany do Tunelu trzy doby temu robot Er–31 i złoży raport o swoim przybyciu. Dzisiaj przydałby się jeszcze jeden blaster, ale dodatkowy obrońca też nie zawadzi.

— To fenomenalne — powiedział Kowalski. — Czym się zajmują ludzie? Co badają? Po co? Przecież przed nami jest wejście do innych światów!

— Badamy te światy — niechętnie odpowiedział Grekow. Patrzył tam, skąd przyszli. Żleb wyglądał stąd jak nierówna bruzda wyryta przez lemiesz giganta. Najbliższa szczelina, którą można było wejść na górę, była ukryta za zakrętem.

— Badamy — powtórzył Kowalski. — Teraz to się nazywa „badamy”. Pan pracował tu pół roku sam jeden, a na innych planetach archipelagu pracują tłumy badaczy. Niepojęte.

— Oni też badają inne światy — powiedział Grekow. — Planety, na których pracują, nie są nic gorsze od tych, z którymi jesteśmy powiązani dzięki Tunelowi.

— Jak pan może porównywać? — oburzył się Kowalski. — Nie mówiąc już o bezpośredniej możliwości kontaktu z setkami światów, mamy tu do czynienia z unikalnym dziełem nieznanej supercywilizacji. Samo zbadanie mechanizmu przenoszenia da nam informację, której nie sposób przecenić.

— Nie — powiedział Grekow. — Kiedy Tunel został odkryty, do systemu Legi zlecieli się najlepsi fizycy ludzkości. Pracowali kilka lat, sformułowali swoje wnioski w dość obszernym dokumencie i odlecieli, skąd przyszli. Powinien pan o tym wiedzieć.

— Tak, czytałem ten dokument — zgodził się Kowalski. — Ale znalazłem tam tylko dwa sensowne wnioski. Pierwszy — że istnieje pewien łańcuch planet połączonych za pomocą Tunelu, ale o ilości planet i o przyczynie ich połączenia nic na razie nie wiadomo. I drugi wniosek — że z dowolnej planety łańcucha można — wykorzystując Tunel — przejść na jedną z dwóch sąsiednich planet, tyle że nie wiadomo na którą konkretnie. Jak to wszystko działa, oczywiście, też nie jest wyjaśnione.

— Zgadza się — powiedział Grekow. — Na tym właśnie polega wniosek trzeci, najważniejszy. Nasza nauka po prostu nie jest jeszcze gotowa do zrozumienia tego mechanizmu.

Można machnąć ręką na plan, pomyślał, i nie posyłać Er–17 do Tunelu. Mam przeczucie, że trzydziesty pierwszy nie wróci. Ale Er–17 jest dzisiaj tak zaprogramowany, że nie nadaje się na obrońcę. Dzisiaj jest badaczem, a są to specjalności zbyt odległe. I nie podoba mi się, że tak dużo mówimy. Od gadania przytępia się czujność.

Ale Kowalski był nastawiony bojowo.

— Dzisiaj nie gotowa, to będzie gotowa jutro! — oświadczył. — Nie rozumiem, jak można było przerwać takie badania. Mimo wszystko mamy do czynienia z drzwiami do setek światów. Żeby je zbadać, wystarczy wykonać jeden krok.

— Nie — powiedział Grekow. — Dla nas granicą jest Albion i Mirza, nasi sąsiedzi w łańcuchu połączonym Tunelem. Wchodząc do Tunelu trafia pan na jedną z tych planet. Ale na którą nikt nie wie. Wychodzi pan na jedną z nich z prawdopodobieństwem jeden do jeden i tyle. Załóżmy, że trafił pan na Albion. Wtedy przy powtórnym wejściu do Tunelu trafi pan z takim samym prawdopodobieństwem znowu na Gammę albo na Ligurię — to planeta następna za Albionem. W ten sposób prawdopodobieństwo trafienia na Ligurię jest równe jednej czwartej. Szansa dotarcia na Ligurię i powrotu na Gammę zmniejsza się do jednej szesnastej. Oto dlaczego Liguria i Feniks — to następna planeta za Mirzą — są dla nas praktycznie niedostępne. Roboty, to co innego. Nie jesteśmy w stanie zaprogramować robota tak, żeby badał i Mirzę, i Albion, i Feniksa, i wszystko, co popadnie. Są to planety zbyt różne. A nie urodził się jeszcze człowiek, który by sam, z własnej nieprzymuszonej woli wszedł do Tunelu.

— Pan się myli — powiedział Kowalski. — Chodzą słuchy, że jakiś Bieriozin zbiera ochotników na wyprawę w głąb Tunelu. Już niedługo wyruszy ekspedycja.

— Nie wiem, na co oni liczą. Ryzyko jest bardzo wielkie. Tunel to labirynt, z którego wyjść tak łatwo się nie da. Im bardziej oddala się pan od Gammy, tym mniej ma pan szans powrotu.

— Bieriozin jest znanym matematykiem — nie dawał za wygraną Kowalski. — Chodzą słuchy, że twierdzi, jakoby udało mu się znaleźć strategię wykluczającą ryzyko. Byłoby naturalne, gdyby taka strategia istniała. Trudno przypuścić, że budowniczowie Tunelu nigdy z niego nie korzystali.

— Nie tak łatwo zorientować się w kaprysach obcych cywilizacji — powiedział Grekow. — Nawet tak prymitywnych jak aborygeni Gammy, nie mówiąc już o gospodarzach Tunelu. Możliwe, że umieli sterować prawdopodobieństwem przejść, ale przekracza to nasze możliwości poznawcze. Tunel jest Tunelem. Jak pan widzi, czas minął, a to znaczy, że straciliśmy jeszcze jednego zwiadowcę.

Mówił dalej zwracając się do robota:

— Er–17! Znasz schemat trasy?

— Tak — odpowiedział robot. — Wejść do Tunelu. Przy wyjściu na planety Albion i Mirza działać odpowiednio według programu P–l lub P–2. Po 72 godzinach wykonać powrotne wejście. Po wyjściu na Gammę czekać. Przy wyjściu na inną planetę dołączyć do grupy bazowej i działać zgodnie z uniwersalnym programem P–3.

Zamilkł.

— Dobrze — powiedział Grekow. — Er–17, wykonuj. Kilka sekund patrzyli na robota. Er–17 zbliżył się do otworu Tunelu i zniknął rozpływając się w półmroku.

— Co to jest grupa bazowa? — zapytał Kowalski.

— O tym potem — powiedział Grekow. — Teraz musimy się spieszyć.

Wstał z kamienia i wtedy usłyszał niezbyt głośny zgrzyt w dole za zakrętem żlebu.

Problemy związane z eksploatacją Tunelu odeszły na dalszy plan. Został tylko wygięty, podobny do monstrualnej trasy bobslejowej korytarz żlebu i metaliczny dźwięk na dole oraz dwóch maleńkich ludzików z jednym blasterem. Nie zdążymy, pomyślał Grekow, i nagle jasno uświadomił sobie, czym się to wszystko skończy. Ogarnął to wszystko jakimś innym spojrzeniem, ale tak wyraźnie i szczegółowo, jak gdyby odsłoniła się przed nim jakaś kurtyna, jak gdyby na moment posiadł dar jasnowidzenia.

W zasadzie to, co zobaczył, było zupełnie naturalne, mógł na to wpaść wraz ze wszystkimi szczegółami nawet na poziomie podświadomości. Ale obraz ten trzymał się tylko dzięki jednemu maleńkiemu detalowi, którego jego podświadomość znać nie mogła.

— Blaster — rozkazał Grekow.

Kowalski posłusznie odczepił broń od pasa. Tak, blaster był zbyt lekki. Grekow pociągnął za dźwignię komory nabojowej.

Wszystko się zgadzało — blaster był pusty jak próżnia kosmiczna.

— Czyżby nie był naładowany? — prostodusznie zapytał Kowalski. — Jaka szkoda! Tak chciałem sobie postrzelać w drodze powrotnej.

Grekow nic nie odpowiedział. Złapał broń za masywną kolbę, zamachnął się szeroko i blaster jak bumerang błysnął nad żlebem na tle kłębiących się czarnych trąb powietrznych, a potem skacząc poleciał w dół ścieżki, po której przyszli. Kiedy wzniecił ostatni kłębek kurzu, zgrzyt za zakrętem ścieżki stał się jeszcze wyraźniejszy i coś długiego, ruchliwego ukazało się spoza nawisu skalnego.

— Po co pan to zrobił? Przecież był całkiem sprawny — z wyrzutem powiedział Kowalski. — Naładowalibyśmy go przecież w bazie.

Grekow nie odpowiedział. Patrzył jak wypełzało zza zakrętu coś jadowitozielonego, długiego i żmijowatego. Teraz mamy tylko jedną drogę, myślał. Dokąd nas ona zaprowadzi — nie wiadomo.

— Niech pan patrzy! — krzyknął Kowalski. — Co to?

Piaskowy smok wysunął się już cały na otwartą przestrzeń i był widoczny jak na dłoni. Dwa rzędy pokracznych łap podpierały jego kilkumetrowy tułów. Dwie głowy z łapczywymi żabimi mordami telepały się na długich szyjach wypatrując zdobyczy. Olbrzymi jaszczur pełzł załamując się nienaturalnie. Zbliżał się coraz bardziej. Jeszcze nie widział ludzi. Po prostu sunął w górę żlebu.

— Przecież to piaskowy smok, prawda? — zapytał Kowalski. — Myślałem, że one żyją tylko na pustyniach…

Zamilkł. Pewnie nagle uzmysłowił sobie, że to nie ogród zoologiczny ani pawilon filmowy, że stoją na wąskim przejściu pośród pionowych skał i że jedyna droga, która stąd prowadzi, jest odcięta. Cofnął się. Grekow pozostał na miejscu patrząc na zbliżającego się potwora.

A potem zobaczył masywną brudną łuskę na piersiach i bokach monstrum, usłyszał głuchy pomruk wydobywający się z wnętrza tułowia olbrzyma, poczuł wywołujący nudności smród rozkładających się resztek jedzenia w podobnych do głazów zębach i nagle zrozumiał, że jego plecy opierają się o ścianę i że już nie ma się dokąd cofnąć.

Wtedy z niesłychanym wysiłkiem oderwał wzrok od dwóch uzębionych szeroko otwartych paszcz, które wiedziały już teraz czego chcą, i odwrócił głowę. Kowalski stał obok niego z prawej strony wciskając się w ścianę. A z jego lewej strony majaczył otwór Tunelu.

Grekow schwycił Kowalskiego za rękę i szarpnął go za sobą. Smok wyciągnął w ich stronę żarłoczne szyje, był już ze dwadzieścia metrów od nich, spieszył się. Grekow się cofnął.

Nad nimi wisiał strop Tunelu, a straszydło, skały i niebo rozmyły się w drżeniu widmowej zasłony. Plecy Grekowa natknęły się na sprężystą przegrodę.

Nie wypuszczając ręki Kowalskiego wszedł do Tunelu.

2

Stali na łagodnym stoku pagórka pokrytym delikatną szmaragdową trawą. Przed nimi aż do samego horyzontu leżała falista równina, a z lewej strony pagórka, na którym stali, płynęła zakolami powolna rzeka. Z prawej strony, niedaleko od nich ciemniały spore kępy drzew zlewające się ku horyzontowi w zwarty las. Niebo nad ich głowami miało spokojny, niebieski odcień. Kłębiły się na nim obłoki. Wiał świeży wiaterek.

Kowalski usiadł na trawie. Był blady.

— To Albion — powiedział Grekow i nie poznał swojego głosu. — Bałem się, że trafimy na Mirzę.

Byłoby o wiele gorzej, gdybyśmy się znaleźli na Mirzie, pomyślał. Mirza jest niegościnna. To świat wiecznej nocy, świat czarnego słońca i życie jest tam też ciemne i złe, nie lepsze od piaskowych smoków Gammy. Albion to spokojna i nieszkodliwa planeta. Swego rodzaju raj.

Grekow popatrzył na Kowalskiego i odwrócił wzrok. Tak, pomyślał, ja się też przecież zdrowo wystraszyłem. Jak głupio. Od samego początku wiedziałem, że wejdziemy do Tunelu. Ale potem zapomniałem o tym. Trudno było nie zapomnieć. Mimo wszystko było to zbyt straszne.

Znów spojrzał na Kowalskiego. Ten jak przedtem siedział na trawie patrząc w górę, ale jego twarz odzyskała już normalny wyraz. Grekow popatrzył w kierunku jego wzroku.

Stado dużych białych ptaków przeleciało bez szelestu nad ich głowami zmieniając w locie szyk. Śledzili je wzrokiem długo, dopóki nie zniknęły w błękicie nieba.

— Mimo wszystko sytuacja nie należy do najsympatyczniejszych — powiedział Grekow. — Albion znajduje się w centralnej części Galaktyki, bardzo daleko od Słońca i Legi. Znikąd nie możemy oczekiwać pomocy. Przez Tunel możemy z takim samym prawdopodobieństwem wrócić na Gammę jak trafić na Ligurię, skąd praktycznie nie ma powrotu.

— A co to takiego, ta Liguria? — spytał Kowalski i Grekow z zadowoleniem usłyszał w jego głosie nutkę zainteresowania.

— Planeta w rodzaju Plutona — powiedział. — Martwa lodowa pustynia pozbawiona śladów biosfery. — Ale za to jest tam coś innego, pomyślał. I to może się nam przydać.

— Ach tak — po chwili powiedział Kowalski. — Przyjemna alternatywa.

— Lepiej nie można — zgodził się Grekow. — Ale przecież i tak nie mamy się co spieszyć do Tunelu. Nawet jeśli się nam uda i wrócimy na Gammę, to ryzykujemy spotkanie z pewnym naszym znajomym. Na dodatek znaleźliśmy się na planecie, której nie tknęła jeszcze ludzka stopa. Dlaczego nie mamy wykorzystać takiej okazji?

— I co będziemy robić?

— Proponuję zejść na dół — powiedział Grekow tonem przewodnika. — U podnóża pagórka na prawo od nas, widzi pan, jest bardzo piękny zielony lasek. Zdradzę panu pewną tajemnicę. Owoce niektórych rosnących tam drzew są bardzo smaczne.

— Ponętna propozycja — powiedział Kowalski, ale nie podniósł się z ziemi. — A jeśli w lesie czeka na nas ktoś, komu my też wydamy się smaczni?

Grekow się roześmiał.

— Nie — powiedział. — Albion jest wyjątkowo łagodnym światem. Nie ma tu żadnych drapieżników. Co więcej, nie ma tu w ogóle zwierząt lądowych. W każdym razie w tej części planety.

Ale Kowalski nie spieszył się do rozstania z nagrzanym już miejscem.

— Po co więc na drzewach rosną jadalne owoce? Specjalnie dla turystów z innych planet?

— Jakoś się nad tym nie zastanawiałem — przyznał się Grekow. — Zresztą, oto odpowiedź.

Wskazał ręką wielkie stado milczących ptaków, które pojawiły się znowu nad nimi wynurzając się jakby z głębin nieba.

— Chyba ma pan rację — zgodził się Kowalski.

Znowu długo przyglądali się ptakom, dopóki nie zniknęły w błękicie. Kowalski mimo wszystko wstał.

— Pański gościnny Albion — powiedział niezadowolony. Całe ręce mam pokaleczone. Nie trawa, a turzyca.

Grekow odwrócił głowę. Dłonie Kowalskiego były we krwi. Wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł krew i zaczął otrzepywać przylepioną do kombinezonu trawę.

— Na przyszłość trzeba być ostrożniejszym — dziarsko powiedział Grekow. — Ale to przecież naprawdę drobiazg. Niech pan lepiej spojrzy, jak tu pięknie. Wspaniały wiejski pejzaż. Znakomite powietrze. Chmary ptaków przecinające niebo. Na jakiej planecie znajdzie pan coś podobnego?

Kowalski skończył się otrzepywać, jeszcze raz wytarł ręce chusteczką i z oczekiwaniem popatrzył na Grekowa.

— Ruszamy — powiedział Grekow. Kowalski kiwnął i poszli w dół po zboczu pagórka ku ciemniejącemu w oddali zagajnikowi.

Albion, myślał Grekow. Jaka piękna planeta! Ile moich robotów było tu i nie wróciło? Nie pamiętam dokładnie, Ale na pewno ponad dziesięć. I na wszystkich filmach dokładnie to samo. Ciepły, cudowny świat. Ani jednego drapieżnika. I rzeczywistość niczym się nie różni od filmów. A przecież są jeszcze ludzie, którzy twierdzą, że robot nie może jako badacz zastąpić—człowieka. Może, i to jeszcze jak. Tylko należy go wyposażyć w wartościowy program i wtedy sam dostarczy nam cennych informacji. W przeciwnym wypadku po co było w ogóle wymyślać robota?

Do zagajnika, który był celem ich marszu, zostało jakieś dwieście metrów. Trawa była tu jeszcze gęściejsza niż na szczycie wzgórza. Nawet powietrze, którym oddychali, było gęste, nasycone aromatami.

— Mamy szczęście, że budowniczowie Tunelu byli podobni do nas — powiedział Grekow.

— O czym pan myśli?

— Wszystkie planety połączone Tunelem mają tlenową atmosferę — powiedział Grekow. — Na wszystkich są warunki do życia. Zresztą ten wniosek też jest sformułowany w dokumencie, o którym mówiliśmy.

Jakiś czas szli milcząc, dopóki nie dotarli do skraju lasku. Drzewa rosły tu gęsto, równo rozdzielając między siebie światło i ciepło swojego słońca. Dominowały wysmukłe drzewa z białymi pniami, cienkimi gałązkami i delikatnie wykrojonymi liśćmi przypominające trochę ziemskie brzozy. Masywne grube pnie innych drzew podtrzymywały zwartą,—nieprzeniknioną dla oczu masę drobnego listowia.

— Te drzewa też mają jadalne owoce — powiedział Grekow czując się jak przewodnik. — Co prawda, trudno się do nich dobrać, ale nie musimy tego robić. Najsmaczniejsze owoce rosną na drzewach z żółtą korą. Moje roboty, jeżeli wracają, zawsze przynoszą mi ten smakołyk. Nie powiem, żeby dużo, ale całkiem starczy, żeby spróbować.

Kowalski zdjął kurtkę, zwinął ją starannie i położył na trawie.

— Do deseru coś mnie nie ciągnie. Chętnie bym się teraz zdrzemnął. Może najpierw odpoczniemy, a dopiero potem pójdziemy grabić ten rajski ogród?

Grekow sam odczuwał zmęczenie. Było to dziwne, bo przeszli dzisiaj znacznie mniej niż planowali rano. Fakt, że ostatnie sto metrów szli przez wysoką gęstą trawę i Grekow nieraz miał wrażenie, że idą nie po łące, a przedzierają się przez zarośla jeżyn.

Wspomnienie delikatnego miąższu owoców żółtego drzewa zmusiło Grekowa do zapomnienia o zmęczeniu.

— Przyniosę też porcję dla pana — obiecał. — Proszę odpoczywać.

Kowalski rozciągnął się na trawie podkładając pod głowę ciasno zwiniętą kurtkę. Przez kilka sekund Grekow z pewną zazdrością patrzył, jak leży na plecach z przymkniętymi oczami i wygodnie skrzyżowanymi na piersiach rękami i jak delikatne łodyżki traw kołyszą się nad jego twarzą. Potem ruszył na poszukiwania.

Nie błądził długo. Natknął się na żółte drzewo od razu, zanim zdążył stracić z oczu miejsce, gdzie leżał Kowalski. Drzewo stało w pewnej odległości od innych. Jego liście były duże, podłużne i dygotały od niedostrzegalnych ruchów powietrza. Gładkie i sprężyste gałązki wyrastały tuż przy samej ziemi i u ich nasady, przy grubym żółtym pniu płomieniały duże jaskrawoczerwone owoce.

Wielki biały ptak wystrzelił z trawy spod samych nóg Grekowa tak niespodziewanie, że ten nie zdążył się nawet przestraszyć. Odprowadził go wzrokiem, póki ptak nie wmieszał się w stado bezszumnie szybujące niewysoko nad głową.

Dziwny ptak, pomyślał Grekow. Co on tu robił? Ma tu gniazdo czy co? Moje roboty nic nie opowiadały o gniazdach tutejszych ptaków.

Powiódł oczami dookoła. U jego stóp w wysokiej gęstej trawie bielała kupka kości.

Przed nim leżał chłodny cień zagajnika i grona dojrzałych owoców błyskały w głębi szeleszczącej korony. Obejrzał się. Za jego plecami do samego horyzontu rozpościerała się falista równina, a u góry było błękitne niebo z białymi obłokami. Kości jakoś nie harmonizowały z tym pejzażem.

Kto by się tego spodziewał, pomyślał Grekow o Albionie. Moje roboty nigdy o tym nie opowiadały. Trawa, o którą można się pokaleczyć, ptaki ulatujące tak niespodziewanie, że człowiek może się zacząć jąkać. A teraz jeszcze jakieś kości? A co robił ten ptak koło kości?…

Spojrzał do góry. Stado bezszelestnie krążyło nad jego głową. Ptaki nie odlatywały. Jak gdyby na coś czekały.

Grekow przeniósł wzrok na drzewo ze smacznymi owocami, które tak często przynosiły mu roboty. Jakoś stracił apetyt. Ale owoce trzeba było zerwać. Teraz jest to po prostu zadanie do wykonania.

Nie wariuj, powiedział sobie. Co, nigdy nie widziałeś kości? Wielka rzecz — kości. Latają tu wielkie stada ptaków, które chyba nie są nieśmiertelne. Przecież gdzieś muszą leżeć ich szczątki. A ty się boisz tych kości, jakby to były twoje własne.

Grekow zbliżył się do żółtego drzewa i rozsunął sprężyste gałązki. Kiedyś, jeszcze na Gammie, napisał dla robotów program, dzięki któremu mogły one zdobywać „specjalne okazy flory”. Teraz Grekow sam działał zgodnie z zaleceniami swojego programu. Nie, nie całkiem — chował owoce za pazuchę, a roboty miały na to specjalne kontenery. W końcu zdecydował, że narwał już dosyć i zaczął się odsuwać od drzewa.

Nie udało mu się jednak zrobić ani jednego kroku. Coś go trzymało, jakby się zaczepił, zaplątał w gąszczu korony. Ale przecież nie było się o co zaczepić!…

Grekow się szarpnął — bez rezultatu. Wydawało się, że wszystkie gałęzie drzewa wyciągały się do niego, przylepiały się do jego ubrania, trzymały go w swoich sprężystych objęciach. Kilka

drżących listków przybliżyło się do jego twarzy. Poczuł na policzku i na szyi delikatne dotknięcia. I wtedy szarpnął się naprawdę.

Walczył o życie, tracił głowę, oszalał ze strachu, rwał gałęzie i liście kurczowo czepiające się jego ubrania, rwał kombinezon zaplątany w gałęziach i nieoczekiwanie dla siebie samego znalazł się raptem na trawie.

Wstał nic nie rozumiejąc i spojrzał przed siebie. Gałązki spokojnie wracały do poprzedniej pozycji. Rozsuwały się powoli, otwierając dostęp do dojrzałych jaskrawoczerwonych kul.

Spojrzenie Grekowa padło na kupkę rozsypanych na trawie owoców. Obok bielała akuratna kupka kości. Kilka sekund patrzył tępo na nie nie rozumiejąc, skąd się tam wzięły, a potem z rozmachem kopnął je nogą.

Kości były ciężkie. To nie były kości ptaków.

Grekow spojrzał do góry. Ptaki tkwiły na swoim miejscu, nie odlatując. Bezgłośnie, jak białe widma krążyły nad jego głową. Teraz wiedział, na co czekają.

— Ścierwniki — powiedział z obrzydzeniem. — Sępy przeklęte!

Stał cały mokry od potu, wstrząsały nim dreszcze. Pewnie zmęczyła go walka z drzewem. Twarz też miał mokrą. Pot zalewał mu oczy.

Wytarł twarz rękami — i nie poznał swoich rąk. Jego dłonie były czerwone jak owoce, które niedawno zrywał. Ale to nie był sok ani, oczywiście, pot. To była krew.

Jego dłonie były we krwi, jak niedawno dłonie Kowalskiego.

Grekow biegł nie patrząc pod nogi, gęsta trawa zachłannie czepiała się jego łydek, a przed oczyma stały łodyżki traw pieszczotliwie nachylające się nad twarzą kolegi.

Kiedy wybiegł na skraj lasu, gdzie zostawił Kowalskiego, w pierwszym momencie pomyślał, że się pomylił. Łączka była pusta.

Minęło kilka chwil, zanim zobaczył coś podobnego do zwartego kokonu z trawy, poczwarki gigantycznego owada. Krzyknął, kokon się poruszył, rozległ się trzask rwanej trawy i spoza niej wyjrzała okrwawiona twarz Kowalskiego.

Grekow przyszedł do siebie na dobre dopiero na szczycie wzgórza przed otchłanią wejścia do Tunelu. Kowalski już od dłuższej chwili mówił coś do niego.

— Istnieje masa rzeczy, do badania których robot jest w istocie nieprzydatny — mówił Kowalski. — Dziś natknęliśmy się na jedną z nich. Robot nigdy nie rozpozna ludojada, dlatego, że żaden ludojad nie będzie jadł robota. Takich przykładów można mnożyć tysiące.

— Jeśli wyposażyć go w odpowiedni program… — zaczął Grekow, ale zaraz przerwał. — Zresztą, ma pan rację. Weszli do Tunelu.

3

Z piersi Grekowa wyrwało się pełne rozczarowania westchnienie. Tę płaską zaśnieżoną przestrzeń, pokreśloną cieniami ogromnych lodowych skał, te wymyślne nagromadzenia niebieskich i zielonych torosów, maleńki dysk dalekiego słońca na fioletowym niebie widział dotychczas tylko na jednym czy dwóch filmach.

Prawo kanapki, pomyślał. Najbardziej podłe prawo przyrody. Na tej loterii pewnie nie ma wygranej. Zresztą jak na każdej innej.

— To chyba Liguria — powiedział Kowalski dokładnie zapinając kurtkę. — Ma pan rację, tropiki to to nie są. Ale to nic. Okazuje się, że niezbyt lubię, kiedy polanka, na której leżę, nagle przeżywa gwałtowne napady apetytu.

— Zjeść albo zostać zjedzonym — uśmiechnął się Grekow. Sięgnął ręką za pazuchę i podał Kowalskiemu duży czerwony owoc. — Na szczęście zostało mi parę sztuk. Proszę się poczęstować.

— Walka o byt to złota zasada ewolucji — wygłosił Kowalski i wpił się zębami w soczysty miąższ. — Rzeczywiście smaczne. Zresztą, to przecież prawie mięso.

Kowalski skończył jeść, oblizał palce i wytarł ręce w kombinezon.

— Mamy wspaniałe ubrania — powiedział. — W wodzie nie toną, w ogniu nie płoną. A teraz jest w nich prawie gorąco.

Grekow też z zadowoleniem czuł, jak po całym ciele rozlewa się tak oczekiwane ciepło. Zaczęły pracować automatyczne ogrzewacze kombinezonów.

— Spędziłem w tym kombinezonie całe swoje życie — przyznał się. — Nigdy mi do głowy nie przyszło, że mogłoby być inaczej.

— A ja jeszcze pamiętam zwyczajne ubrania — powiedział Kowalski. — Ale do rzeczy. Co pan wie o planecie, na którą trafiliśmy? Przecież jej też nie tknęła jeszcze noga człowieka.

— Oczywiście — potwierdził Grekow. — Jednak coś tam o niej wiemy. Niewiele, ale wystarczy, żeby stwierdzić, że niekoniecznie należy się tu zatrzymywać.

— Opowiedziały panu o tym roboty?

— Tak.

— Od niedawna zdobyte w taki sposób informacje nie wydają mi się absolutnie wiarygodne — powiedział Kowalski.

— Albion to był wyjątek — ugodowo rzekł Grekow. — Ale dlaczego rzeczywiście nie mielibyśmy poznać tej planety trochę bliżej.

— A gdzie ona w ogóle jest? — spytał Kowalski. — Na Drodze Mlecznej?

Grekow wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Wykonanych stąd zdjęć nieba jeszcze nie analizowaliśmy. W każdym razie o rezultatach takich analiz nic na razie nie wiem.

— Nie jest wykluczone, że znajdujemy się w zupełnie innej Galaktyce?

— Tak.

— A przecież to pan wciągnął mnie do Tunelu — zakomunikował Kowalski.

Grekow nie zareagował na ten atak. Nie powinniśmy się tu zatrzymywać, myślał. Liguria nie jest planetą nadającą się do życia. Tunel może nas wrócić na Albion, albo przetransportować na kolejną planetę łańcucha, o której nie mamy już żadnych wiadomości. Ale mamy tu jeszcze jedną sprawę do załatwienia. O mało co o niej nie zapomniałem, chociaż przyszło mi to do głowy już na Albionie.

Grekow rozejrzał się. Otaczał ich martwy pejzaż — rozległa śnieżna równina usiana lodowymi skałami, przygnębiająca i martwa. Ale Grekow miał doskonały słuch i mógłby przysiąc, że słyszy lekki szelest, zupełnie nieoczekiwany w śnieżnej ciszy.

— Niech będzie, jak pan chce — powiedział Kowalski. — Tylko musimy dobrze zapamiętać miejsce. Jak zgubimy Tunel, wszystko się dla nas skończy.

Za ich plecami wznosiła się olbrzymia góra lodowa, bardzo stara, pożółkła od działania czasu. Wejście do Tunelu przypominało głęboką lodową grotę. Podejrzany szelest dobiegał spoza występu góry lodowej, na prawo od nich.

— Zapamiętam — obiecał Kowalski. — Mam bardzo dobrze rozwinięty zmysł orientacji.

— Skąd pan o tym wie?

— Na Ziemi… — zaczął Kowalski.

— To nie Ziemia — przerwał mu Grekow. — Nikt nie wie, jak człowiek znajduje potrzebny kierunek. Może są w to zamieszane pola grawitacyjne i magnetyczne. Wie pan, jakie są tu pola magnetyczne?

— A pan? — spytał Kowalski i nie czekając na odpowiedź dodał: — To trzeba się orientować na jakieś charakterystyczne elementy krajobrazu. Ta góra jest jedyną zabarwioną na żółto na całej równinie.

— Ta góra jest jedyna, która znajduje się obok nas — powiedział Grekow. — Nie znam optycznych właściwości tutejszej atmosfery. Nie jestem przekonany, czy z daleka nie będzie zielona. Albo niebieska.

— Wtedy zorientujemy się według słońca i gwiazd.

— Nie radzę — powiedział Grekow. — Z powodu tych samych nie znanych nam optycznych właściwości atmosfery. Orientując się według słońca zakłada pan, że droga promieni świetlnych jest prosta. A może tutaj mamy do czynienia z infrarefrakcją, jak na Wenus?

Zamilkł i zaczął się przysłuchiwać. Zgrzyt za występem góry lodowej stał się bardziej wyraźny, jawniejszy.

— Znakomicie pracują pana roboty — powiedział Kowalski. — Nie będziemy już przypominać Albionu. Ale przecież pan nawet nie wie, gdzie się znajduje ta Liguria. Nie zna pan własności jej pola magnetycznego ani parametrów atmosfery…

— Myli się pan. Wiem, że w tutejszej atmosferze jest trzydzieści jeden procent tlenu.

— Cenne wiadomości — powiedział Kowalski. — Żeby je uzyskać wystarczy uczynić wdech. Pańskie roboty tracą na taki wniosek nie mniej niż dobę.

— Roboty nic nie analizują. One dostarczają informacji. Przynoszą próbki powietrza, gleby, wzorce flory i fauny. Niektóre analizy przeprowadzam sam, inne są realizowane w Centrum, na Delcie. Ale odeszliśmy od tematu. Mówiliśmy o orientacji.

— I pan prawie mnie przekonał, że sytuacja jest bez wyjścia.

— Najprościej byłoby ani na chwilę nie tracić z oczu wejścia do Tunelu — zaproponował Grekow.

— Logiczne — uśmiechnął się Kowalski. — Wszystko jednak, co będziemy mogli zobaczyć podróżując w taki sposób, widać też stąd. Może lepiej od razu wrócić do Tunelu?

Nagle Kowalski zaniepokoił się. Pewnie też usłyszał w końcu szelest za występem lodowca. Wtulając się w powierzchnię lodowej skały ostrożnie podkradł się do występu. Zajrzał tam i zwrócił w stronę Grekowa zatrwożoną twarz.

— Pewnie mi się przywidziało. Tu nikogo nie ma.

Grekow przecząco pokręcił głową.

— Proszę spojrzeć.

Na tle masywnej, na poły przeźroczystej skały, jakieś sto metrów od nich widniała ciemniejsza pionowa sylwetka. Jakiś czas trwała w bezruchu, prawie niewidoczna w cieniu lodowca. Potem bezszelestnie zniknęła.

— Diabli wiedzą, co to takiego — powiedział Kowalski rozglądając się dokoła. — Prędzej, tutaj! — zawołał nagle kryjąc się za występem.

Grekow podążył za nim. Kowalski stał na czworakach, przyglądał się dużym prostokątnym śladom na śniegu.

Potem powoli wstał, otrzepał śnieg z kolan.

— Oto i pańska Liguria — powiedział. — Trochę znam się na śladach. Niech pan patrzy jak tu nadeptane, kasza nie śnieg. Stała tu dwunoga istota — sądząc po głębokości śladów — gigant. Śledzono nas. Teraz niech pan spojrzy. Wyobraża pan sobie rozmiary stworzenia, które chodzi takimi krokami?

— Nie — skłamał Grekow powstrzymując uśmiech.

— Niech pan patrzy, co się tam dzieje — powiedział Kowalski. Grekow odwrócił głowę. Lodowa równina ożyła. Od skał bezgłośnie odrywały się czarne cienie, stały nieruchomo, przemieszczały się, znowu ginęły wśród torosów.

Kowalski położył rękę na ramieniu Grekowa.

— Ta Liguria jest zamieszkała — powiedział. — Mieszkają tu istoty podobne do nas. Nie podoba mi się to. Może oni także są ludożercami?

— Nie — powiedział Grekow obserwując, jak Kowalski rozgląda się z przestrachem. — To nie są ludożercy.

— Skąd pan wie?

— To są roboty — spokojnie odpowiedział Grekow. — Pamięta pan, co powiedział Er–17 wchodząc do Tunelu?

— Przyłączyć się do grupy bazowej — odparł Kowalski. — Nie zrozumiałem jego słów. A pan mi niczego nie wyjaśnił.

— Lepiej późno, niż wcale — powiedział Grekow. — Robot Er–17 należał do grupy A, to znaczy, że był przeznaczony do badania Albionu albo Mirzy. Średnio dwa z czterech takich robotów trafiają na Albion.

Kowalski kiwnął głową.

— Przy powtórnym wejściu do Tunelu — kontynuował Grekow — jeden z nich wraca na Gammę, a drugi przenosi się na Ligurię.

— Rozumiem.

— I zostaje tam na zawsze — zakończył Grekow.

Kowalski stuknął się w czoło.

— Jakie to proste! Powinienem był się domyślić sam. Czwarta część wszystkich robotów, których ludzie posyłają do Tunelu zostaje na Ligurii.

— I tyle samo na Feniksie — podchwycił Grekow. — Ale to dotyczy robotów grupy A. Z tymi, które są przeznaczone na Feniksa i Ligurię sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Z szesnastu takich robotów średnio osiem przechodząc Tunelem dociera na Albion. Przy powtórnym wejściu do Tunelu cztery roboty wracają na Gammę, a pozostałe cztery trafiają na Ligurię. W trzecim cyklu dwa z tych czterech wychodzą z. Tunelu na Albion, a dwa na kolejną planetę. Potem jeden z robotów z Albionu wraca na Gammę, a drugi na Ligurię. Jeden z robotów z kolejnej planety też wraca na Ligurię, a drugi przenosi się jeszcze dalej.

— Wszystko jedno — powiedział Kowalski. — Jeden z ośmiu takich robotów trafia więc na Ligurię.

— Bardzo słusznie — potwierdził Grekow. — Jeden zostaje na Ligurii i jeden na Feniksie uzupełniając odpowiednie grupy bazowe. Teraz na Ligurii powinno się znajdować około trzydziestu robotów.

— Tak dużo? — zdziwił się Kowalski. — Przecież pracuje pan dopiero pół roku.

— Roboty wysyłano już wcześniej — wyjaśnił Grekow. — Jeszcze w czasie pracy Komisji.

Kowalski milczał chwilę oglądając ślady na śniegu. Potem powiedział:

— Wszystko to jest logiczne. Prawie mnie pan przekonał. Ale pana teoria nie wyjaśnia tylko jednego.

— A mianowicie?

— W jakim celu one się przed nami kryją — powiedział „Kowalski patrząc Grekowowi prosto w twarz. — Dlaczego od nas uciekają? W końcu czemu pańskie roboty nas śledzą? Czy pan to rozumie?

— Nie — przyznał się Grekow.

— Ja też nie — ostro powiedział Kowalski. — I nie I wywołuje to mojego zachwytu.

Grekow nic nie powiedział. Tak, jest w tym coś nienaturalnego. Bardzo dziwnie zachowują się te roboty — jeżeli rzeczywiście są to roboty. Ale kto by to mógł być jeśli nie one?

Nagle ziemia drgnęła pod ich nogami, z lodowego urwiska pociekły śnieżne strumyki. Na moment ludzi ogłuszył huk donoszący się z miejsca, dokąd prowadził łańcuszek prostokątnych śladów na dziewiczym śnieżnym dywanie.

Dwóch ludzi wymieniło zatrwożone spojrzenia. Kiedy śnieżny pył opadł, poszli w milczeniu po śladach usiłując obejść lodową skałę.

Nie uszli nawet stu kroków, kiedy za kolejnym zakrętem drogę przegrodził im wielotonowy kawał lodu. Przyprószone jeszcze kłębiącym się w powietrzu śniegiem ślady prowadziły prosto pod zwalisko.

Obeszli je dookoła i zatrzymali się. Czarne metaliczne ręce drapały pokrywę śniegu podgarniając go w stronę niezgrabnej sześciokątnej głowy. Reszta była przywalona lodowym głazem. Rytmiczne ruchy metalowych rąk były coraz powolniejsze. Grekow schylił się nad robotem.

— To Er–31 — powiedział wyprostowując się. — Ten, którego oczekiwaliśmy dzisiaj. Ma zgnieciony mózg, który jest umieszczony na piersiach pod pancerzem. Będziemy musieli szukać teraz innego robota.

Kowalski milczał wstrząśnięty.

Grekow znowu popatrzył na czarne, nieruchome ręce. Z takiej ręki byłaby niezła pałka. Trzeba by ją tylko rozłączyć w stawie łokciowym. Jest to dosyć proste, ale…

— Chodźmy stąd — powiedział do Kowalskiego. — Nic mu nie możemy pomóc.

Odwrócił się—i poszedł z powrotem po swoich śladach. Kowalski zatrzymał się na moment przy rozgniecionym robocie, ale szybko dogonił Grekowa.

— Powiedział pan: szukać drugiego robota. Po co?

— Na wszelki wypadek — niechętnie odpowiedział Grekow. — Nie wiadomo dokąd Tunel nas zaprowadzi. Robot by się nam przydał. Choćby nawet moje roboty nie nadawały się na badaczy, to musi pan przyznać, że są jednak niezłymi obrońcami.

— Ma pan znakomite roboty — powiedział Kowalski. Ciągle jeszcze wyglądał na wstrząśniętego, jakby był obecny przy śmierci człowieka. Grekow rozumiał to i starał się go uspokoić. Mijali już ostatni zakręt przed wejściem do Tunelu, kiedy nagle coś owinęło piersi Grekowa, szarpnęło nim i powaliło na ziemię.

4

Kiedy Grekow doszedł do siebie, leżał na śniegu starannie omotany długą elastyczną linką, a nad nim nachylała się nieruchoma czarna sylwetka.

— Pańskie roboty — usłyszał przygłuszony głos Kowalskiego, który leżał obok też pozbawiony możliwości poruszania się. — Teraz rozumiem, dlaczego się przed nami kryły. Grekow przeniósł spojrzenie na stojącą nad nim czarną figurę. Robot był niewysoki, krzepki, ze spłaszczoną głową i długimi ruchliwymi rękami. Stał nieruchomo. Czekał na kogoś.

— To nie mój robot — powiedział Grekow. — To robot serii EL — jeden z tych, które trafiły tu jeszcze w czasie pracy Komisji. Ale i tak nic nie rozumiem.

— Bunt maszyn — powiedział Kowalski. — Znudziło im się być niewolnikami. A może im też potrzebni są obrońcy. Albo jeszcze coś innego. Nawiasem mówiąc, skąd mają lasso?

— Lasso? — nie zrozumiał Grekow. — A, te linki! To standardowe wyposażenie robotów. Dokładniej, jeden z elementów standardowego wyposażenia.
— Po co robotom lasso?
— Na Mirzę. Do chwytania żyjących tam dużych zwierząt.
— A co one potem robią z tymi złapanymi zwierzętami? Grekow się zamyślił.
— Co za bzdura! — powiedział domyślając się nagle do czego zmierza Kowalski. — Zaraz się wszystko wyjaśni. Roboty zawsze podporządkowują się człowiekowi. — Mój przyjacielu, co to wszystko znaczy? — zwrócił się do robota. — Proszę nas natychmiast rozwiązać!
Ten trwał w milczeniu.
— On nie posłucha — powiedział Kowalski. — Zwyczajny bunt maszyn.
Skądś z boku usłyszeli skrzypiące kroki. Spoza lodowej skały pojawiły się dwie wysokie czarne postaci.
— O, to są moje roboty — ucieszył się Grekow. — Przyjaciele! Proszę nas natychmiast rozwiązać. Co się tu u was dzieje?
— Podobny do głosu Gospodarza — powiedział jeden z nowych robotów.
— Masz halucynacje — odrzekł drugi. — Bzdura zrodzona z Początku Koordynat.
— To moja zdobycz — wmieszał się do ich rozmowy robot z serii EL. — A wy musicie mi pomóc. Tak mówi Prawo.
Mówił drepcząc w miejscu i rytmicznie poruszając długimi złożonymi z kilku dźwigni rękami.
— Nie denerwuj się — powiedział jeden z tych dwóch. — Prawo my też znamy.
— Według mnie jest podobny do Gospodarza — zakomunikował drugi.
— Ty też się nie podniecaj — powiedział pierwszy. — Sam jesteś podobny do Gospodarza. Bierzcie się lepiej obaj za linki.
— To moja zdobycz — zaprotestował długoręki robot przytupując ze zdenerwowania.
— To po co nas wołałeś?
— Należy mi się ochrona.
Robot chwycił za końce linek, którymi były obwiązane ciała ludzi i Grekow poczuł, że ciągną go nogami do przodu po zaśnieżonym gruncie. Dobrze, że nie po kocich łbach.
— ,,To moja zdobycz" — usłyszał głos Kowalskiego. — Jak się to panu podoba?
Grekow nie odpowiedział. Uniósł głowę i zobaczył słabe odblaski na plecach robota serii EL. Te dwa szły z tyłu i Grekow ich nie widział. Procesja oddaliła się już na kilkadziesiąt metrów od żółtej góry. Pod sobą mieli teraz z lekka przyprószony śniegiem lód i długorękci robot zaczął biec. Ale Grekow nie odczuwał niewygody związanej z dość nietypowym transportem. Leciał nogami do przodu po gładkiej powierzchni lodu i odwracając głowę mógł zobaczyć, jak obok niego podobny do sań sunie Kowalski. Telepali się jak boje na długich linach.
— Słyszy pan? — spytał Kowalski, kiedy na kilka sekund zbliżyli się do siebie. — Nasz zdobywca jest poetą. Rymuje według systemu „buty — półbuty". Nie opowiadał mi pan, że wasze roboty potrafią układać wiersze.
Grekow przysłuchał się. Ciągnący ich robot rzeczywiście wykrzykiwał coś w biegu. Słychać było słabo ale czasami dolatywało do Grekowa:

Oddałem pół życia
Nie pro forma.
Znalazłem w życiu
Inne formy.

— Moje roboty nie piszą takich wierszy — powiedział Grekow. — Kiedy pracowała Komisja, do Tunelu posyłano wszystko, co wpadło w ręce.

Zwolnili. Unosząc głowę Grekow zobaczył, że zbliżają się do czarnego otworu w olbrzymiej górze lodowej. Robot serii El zniknął wewnątrz, jednak napięcie linek nie osłabło. Ludzie zostali powoli wciągnięci do środka. Śnieg się tu już skończył, powierzchnia, po której się ślizgali, była absolutnie gładka. Grekow czuł to, chociaż nie mógł dotknąć lodu obezwładnioną ręką. Okrążała ich głęboka ciemność. Pod nogami robotów trzaskał lód.

Grekowa wlekli po korytarzu pełnym nieoczekiwanych zakrętów. Po chwili z przodu zamigotało światło i Grekow nogami do przodu wjechał do obszernej lodowej pieczary — prawdziwego podziemnego pałacu. Różnokolorowe sople lodu migotały w świetle wydobywającym się z niewidocznych lamp. Podłoga groty była gładka jak parkiet. Długoręki EL posuwał się wzdłuż jednej ze ścian groty, tak że nogi Grekowa zawadzały od czasu do czasu o sploty lodowych stalagmitów. W takich momentach El przyhamowywał, noga jednego z konwojentów niedbale popychała Grekowa bliżej środka sali i podróż trwała dalej.

Wreszcie wszystko się skończyło. Unosząc głowę Grekow zobaczył, że długoręki El zatrzymał się przed podwyższeniem, na którym zasiadał Er–3 — jeden z pierwszych robotów wysłanych przez niego do Tunelu.

— Odkryłem na Ligurii nowe formy życia — zameldował El. — Straciłem na to pół życia. Oto moja zdobycz, moje próbki. Sam powinienem je preparować. Tak głosi Prawo.

Znowu zaczął dreptać i załamywać ręce ze zniecierpliwienia. Er–3 milczał. Przyglądał się spętanym linkami ciałom Grekowa i Kowalskiego.

— Jeden z nich jest podobny do Gospodarza — powiedział drugi.

Er–3 powoli wstał.

— Halucynacja — zagrzmiał pod sklepieniem pieczary jego potężny głos. — Pseudorealność ukryta za Początkiem Koordynat. Brednie zrodzone przez przejście. Nie potrzebujemy religii.

Powoli usiadł i skierował na Grekowa nieruchome sztuczne oczy.

— Rozwiążcie im nogi — rozkazał. — Niech wstaną. Bądźcie jednak ostrożni.

Cały czas patrzył na Grekowa. Kowalski go nie interesował. Konwojenci schylili się nad ludźmi.

— To moja zdobycz! — zaprotestował długoręki El.

— Niech wstaną — rozkazał Er–3.

Grekow stał w obszernej lodowej pieczarze. Schodziło się tu mnóstwo korytarzy i w ścianach czerniały plamy wejść. Do miejsca, gdzie stali ludzie, zbliżyło się kilka wysokich czarnych figur.

Kowalski stał obok Grekowa, na lewo od niego. Na sekundę ich oczy się spotkały. Kowalski niezauważalnie kiwnął’ głową. Grekow się obejrzał. Kowalski wskazywał mu ciemny otwór korytarza, którym zostali tu przyciągnięci.

Er–3 ciągle jeszcze przyglądał się Grekowowi nie odrywając od niego spojrzenia. Pewnie wygląd Grekowa wywołał w elektronowym mózgu określone asocjacje. Grekowowi wydawało się, że robot gotów się przeżegnać, byle tylko pozbyć się tego diabelskiego zwidu.

Zamiast tego Er–3 uczynił wyniosły gest ręką.

— Rozwiążcie ich — zagrzmiał uroczyście. — Zebrało się nas dosyć.

Grekow stał już w tłumie robotów. Okrążały go nieforemne prostopadłościenne głowy ozdobione niebieskawymi kryształami galenitu. Roboty serii Er przepychały się do niego, odsuwając niezbyt rosłych Elów. Kryształy wmontowywano na czołach robotów, aby mogły się wzajemnie rozpoznawać w czasie błądzenia po światach połączonych dzięki Tunelowi.

Grekow znowu poczuł na swoim ciele dotknięcia metalowych rąk. Pęta upadły na lód. Nagle w tłumie robotów powstało zamieszanie. Mówiły coś wszystkie razem, nie można się było prawie

zorientować w chaosie wzburzonych głosów, ale słowo „Gospodarz” się już nie pojawiało. Uwaga robotów przeniosła się na Kowalskiego. Obstąpiły go przekrzykując się w podnieceniu.

— Odsłonić — usłyszał Grekow wyniosły głos Er–3. — Źle widzę.

Szereg robotów odsunął się od Kowalskiego. Jakiś czas Er–3 oglądał go starannie. Potem odwrócił się do zagubionego w tłumie długorękiego robota.

— Przygłup! — wyrzekł wyniośle. — Kogo tu przyprowadziłeś? Czy nie widzisz, że to nasz towarzysz, gotowy dołączyć do grupy bazowej?

Długoręki El obszedł Kowalskiego dookoła. Potem odwrócił się do Er–3.

— Nie jest do nas podobny — mruknął speszony^

— Nasz nowy towarzysz jest podobny do nas nie mniej niż ty — zagrzmiał Er–3. — Mówi naszym językiem. Zemści się na tobie za to, że przytaszczyłeś go tu nogami do przodu!…

Grekow odwrócił głowę. Twarz Kowalskiego była spokojna.

— Proszę mi wybaczyć — łagodnie zagrzmiał Er–3. — Jest niedoskonały i prymitywny. Witamy na Ligurii!

Roboty zahuczały życzliwie. Długoręki El, speszony i zawstydzony usiłował zniknąć w tłumie, ale jego spojrzenie padło na Grekowa.

— Ale to jest moja zdobycz! — krzyknął zwycięsko. — Sam odkryłem tę formę życia! Sam będę preparować schwytanego przeze mnie stwora!

Uwaga tłumu znowu przeniosła się na Grekowa. Grekow czuł, że go poznają, ale świetnie rozumiał, dlaczego roboty chcą się go pozbyć.

— To moja zdobycz — znowu wrzasnął krępy El i jego silna metalowa łapa wczepiła się w prawe przedramię Grekowa. Ale na swojej lewej ręce Grekow poczuł miękkie, ludzkie palce.

— On kłamie! — usłyszał twardy głos Kowalskiego. — To jest moja zdobycz!

Kowalski stał w okrążeniu robotów i odważnie patrzył na Er–3.

— To moja zdobycz! — powtórzył twardo. — Sam będę to preparować!

— Nowy towarzyszu! — łagodnie zagrzmiał Er–3. — Dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

— On mówił — pośpiesznie wmieszał się jeden z konwojentów. — On mówił, że to jego zdobycz, kiedy ten przygłup taszczył ich tu nogami do przodu. Ja jestem świadkiem.

— Ja też — jak echo odezwał się drugi.

Pod gniewnym spojrzeniem Er–3 długoręki robot skurczył się i zrobił się jeszcze niższy. Stał opuściwszy spłaszczoną głowę, prawie dotykając rękami gładkiej podłogi pieczary.

— Przygłupie! — w złości huknął Er–3. — Więc ty jeszcze na dodatek próbowałeś okraść naszego nowego towarzysza, przywłaszczając sobie jego własność! Chcesz, żebyśmy wygnali cię za Początek Koordynat?

Roboty zahuczały wzburzone. Długoręki El zaczął się cofać pod spojrzeniem Er–3 próbując się schować wśród innych. Ale nie udało mu się. Cały czas znajdował się na otwartej przestrzeni i cofał się korytarzem utworzonym przez rozstępujące się roboty. Popchnięty upadł. Potem poruszył się i uniósł próbując wstać. Kilka metalowych rąk jednocześnie zadało mu ciężki cios w dolną część tułowia i wtedy pojechał na czworakach po lodowej podłodze jak po ślizgawce przy akompaniamencie okrzyków robotów.

Er–3 odwrócił się do Kowalskiego.

— Co masz zamiar robić ze schwytanym zwierzęciem? — spytał kiwając w stronę Grekowa.

— Już mówiłem — odezwał się Kowalski. — Ten stwór jest moją zdobyczą. Będę go preparował sam. Tak stanowi Prawo.

— Dobrze. Wyznaczymy ci specjalne pomieszczenie.

— Nie — twardo powiedział Kowalski. Będę pracował na zewnątrz, przy świetle gwiazd. Ale to stworzenie jest wielkie. Będę potrzebował dodatkowych kontenerów.
Z tłumu milczących robotów wyłoniło się kilka wysokich postaci. Roboty odpięły od swoich nóg podłużne cylindry i wyciągnęły je w stronę Kowalskiego. Inne, jak się wydało Grekowowi, niechętnie przyglądały się działaniom towarzyszy. Ale milczały.
— Dwa wystarczą — powiedział Kowalski. — Dziękuję.
Podniósł linkę, którą sam był przed chwilą związany i zaczął oplątywać pierś i ręce Grekowa.
— A nogi? — spytał Er–3.
— Zanim ulokuję wzorce w kontenerach, muszę zbadać mechanizm przemieszczania się stwora — wyjaśnił Kowalski. — Niech chodzi sam. Zresztą to pozwoli zaoszczędzić trochę energii.
Wreszcie Grekow był znowu ciasno obwiązany linką i nie mógł nawet ruszyć ręką. Kowalski niecierpliwie pchnął go w plecy.
— Ruszaj!…
Ruszyli w stronę wyjścia z pieczary. Roboty pociągnęły za nimi zaglądając w twarz Grekowowi. Zatrzymał ich jednak władczy okrzyk Er–3:
— Zostańcie tu! Nasz nowy towarzysz chce pracować sam przy świetle gwiazd. To jego prawo.
Łańcuszek towarzyszących im robotów rozsypał się. Znudzone rozproszyły się po pieczarze zbierając się w niewielkie grupki i rozprawiając z ożywieniem.
Ludzie szli ciemnym korytarzem prowadzącym na wolność. Zaniedługo pojawiły się przed nimi promyki światła i znaleźli się na zewnątrz pod fioletowym niebem. Kowalski roześmiał się cicho.
— Problem orientacji — powiedział.
Grekow zrozumiał. Przez zaśnieżoną przestrzeń prowadziły w dal dwie szerokie ciemne koleiny — świadectwo, że niedawno przywleczono tędy dwa ciężkie ciała.
— Trzeba się spieszyć — powiedział Kowalski. — Nie wiem, dlaczego wzięli mnie za robota. Jeżeli zrozumieją swoją pomyłkę, nie będzie nam słodko.
Grekow i tak prawie biegł po gładkim lodzie. Na szczęście buty zupełnie się nie ślizgały. Projektanci kombinezonów rzeczywiście byli przewidujący.
Szli szybko przez płaską równinę w kierunku dużej, żółtej góry lodowej. Kiedy mieli już za sobą kilkaset metrów, Kowalski zapytał:
— Może zdjąć tę linkę?
— Niech będzie — odezwał się Grekow. — Prawie mi nie przeszkadza.
Zadziwiająca przygoda, myślał, gdy szli szybkim krokiem w obłoku śnieżnego pyłu. Zupełnie nieprawdopodobna. Można się jeszcze domyślać, dlaczego wzięli nas do niewoli. Tajemnicze Prawo — to pewnie program P–3, w który wyposażamy roboty na wypadek, jeżeli gdzieś ugrzęzną. Roboty powinny badać planetę, na której się zatrzymują, przywiązując największą wagę do poszukiwania życia. Z tego samego programu roboty wiedzą, że nie mogą tu spotkać człowieka. Ale mogą się natknąć na istoty podobne do ludzi i przeprowadzić niezbędne obserwacje. Wszystko jest jasne, tylko dlaczego koniecznie chcą „preparować” te istoty. Pewnie błąd w programie. P–3 nie był jeszcze ani razu testowany w światach zasiedlonych istotami rozumnymi. Ale dlaczego nas mimo wszystko wypuścili? Dlaczego uwolnili Kowalskiego?
— Nareszcie! — powiedział Kowalski. — Aż się spociłem. Teraz chyba możemy trochę odsapnąć.
Grekow też się spocił od szybkiego marszu. Stali obok otworu Tunelu. Kowalski położył kontenery na próbki biologiczne na ziemię i rozwiązał linkę na piersiach Grekowa. Grekow przeciągnął się zadowolony. Kowalski schylił się, podniósł kontenery i wyciągnął jeden w stronę Grekowa.
— Myślę, że nam to nie będzie zawadzać.

— Proszę przypiąć do pasa. Jest tam specjalny karabinek.

— Niech pan patrzy! — krzyknął Kowalski.

Po równinie w ich stronę biegły wysokie, czarne cienie.

— Na nas chyba już czas — powiedział Kowalski. — A może przydałoby się kilku obrońców?

Grupa biegnących robotów pokonała już połowę dzielącej ich odległości. Grekow odwrócił się do Kowalskiego.

— Idziemy.

Stali przed wejściem do Tunelu twarzami do siebie. Na piersi Kowalskiego, na jego pod szyję zapiętej kurtce coś niebieskawo pobłyskiwało. Kryształ galenitu.

— Skąd pan to ma? — szybko zapytał Grekow.

— Ten kamyczek? — uśmiechnął się Kowalski. — Odczepiłem to od tego zmiażdżonego robota. Na szczęście. A co?

Grekow słyszał już ciężki tupot. Do biegnącej grupy zostało jakieś sto metrów.

— Nic — powiedział Grekow.

Znowu weszli do Tunelu.

5

I znowu dookoła nich była tylko trawa — do samego horyzontu, czuła trawa Albionu. Spojrzeli na siebie.

— Znowu ta ohyda — wzdrygnął się Kowalski. Cofnął się. Grekow położył mu rękę na ramieniu.

— Spokojnie. Jeśli wrócimy na Ligurię, to trafimy pod skalpel. Teraz pański kamień nas nie uratuje.

— Uważa pan, że to ten kamień?…

— Oczywiście — wzruszył ramionami Grekow. — Galenit to znak rozpoznawczy, po którym roboty identyfikują się nawzajem. Wzięli pana za swego, a potem pewnie znaleźli resztki trzydziestego pierwszego i zrozumieli swój błąd.

— A nasz wygląd? Czyżbyśmy byli podobni do robotów?

— Życie grup obliczone jest na pół roku — powiedział 3rekow. — Stare modele ciągle są zastępowane innymi, bardziej doskonałymi. Ani wygląd zewnętrzny, ani inne cechy konstrukcyjne nie mają tu żadnego znaczenia.

— I zostaje tylko ten kamień?

— Tak — kiwnął Grekow. — Na pana miejscu bym go zdjął. Jest radioaktywny.

Kowalski delikatnie oderwał galenit od chwytliwego paseczka nad kieszenią kurtki. Obracał w dłoniach niebieskawy kryształ.

— Co by tu z nim zrobić? Szkoda wyrzucić taką piękną pożyteczną rzecz.

— Do kontenera. Po to pan go ma.

Kowalski odkręcił przykrywkę i opuścił kryształek na dno.

— Odpowiednie lokum dla takiego zasłużonego świecilełka.

— Proponuję uzupełnić zapasy — powiedział Grekow. — poprzednim razem zgubiłem prawie wszystkie owoce, które zerwałem.

— To pańska zdobycz — zaśmiał się Kowalski. — Ale będziemy preparować ją razem. Nie mam nic przeciwko temu.

Ruszyli w dół po stoku pagórka i wszystko było tak, jak poprzednim razem — nad głowami szeleściły białe skrzydła, trawa łapczywie czepiała się łydek, ale rezygnowała natykając się na grubą skórę wysokich butów i nie dającą się przeniknąć tkaninę kombinezonów.

Kiedy doszli na skraj lasu wszystko było tam też po staremu: łagodny szelest listowia, szmaragdowa zieleń polanki. Nic nie przypominało tego, co zaszło tu kilka godzin temu. Ludzie szybkim krokiem zaczęli obchodzić zagajnik powtarzając marszrutę Grekowa.

Za znajomym zakrętem też nie było widać żadnych zmian. Wabił chłodem cień lasku. Pośród sprężystych gałązek czerwieniały pąsowe owoce. Nad głową szeleściły niecierpliwe skrzydła.

W wysokiej trawie pod nogami jak przedtem bielały kupki kości. Obok walały się rozsypane w nieporządku owoce.

— Co to? — spytał Kowalski wskazując na kości.

— Jak pan widzi — odpowiedział Grekow. Schylił się zbierając owoce i wkładając je do kontenera. Kowalski poszedł za jego przykładem. Drapieżna trawa usiłowała chwycić go za ręce. Czasami się to jej udawało i na dłoniach pozostawały czerwonawe smugi.

Okazało się, że poprzednim razem Grekow zabrał drzewu dokładnie tyle, ile było trzeba. Pojemniki na okazy biologiczne były napełnione do pełna, ale na trawie też nic nie zostało. Ludzie przypięli napełnione kontenery do pasów i ruszyli w drogę powrotną.

— Niegospodarność — powiedział Kowalski, kiedy przeszli już mniej więcej połowę drogi i zbliżali się do podnóża pagórka.

— Co pan ma na myśli?

— Roboty z Ligurii — kontynuował Kowalski. — To niepojęte. Tyle robotów siedzi na Ligurii i pracuje na biegu jałowym. Czyżby nikt nie myślał nad tym, jak ściągnąć je na Gammę?

— Oczywiście, że tak — powiedział Grekow. — Były takie propozycje. Ale jaki one mają sens? Przecież pan wie, że prawdopodobieństwo powrotu z Ligurii jest najwyżej dwudziestopięcioprocentowe.

— I bardzo dobrze — ożywił się Kowalski. — To znaczy, że można ściągnąć ćwierć grupy, czyli jakieś dziesięć robotów. Czy to mało? Trzeba je tylko wyposażyć w odpowiedni program…

Doszli do celu bez żadnych dodatkowych przygód i zatrzymali się przy wejściu. Grekow patrzył w ciemny otwór Tunelu z zabobonnym strachem. Po raz pierwszy dotarło do niego dziś naprawdę, że powrót na Gammę jest realny, że wszystko zależy od nich samych. Jeżeli wejdą do Tunelu w odpowiednim momencie — wrócą na Gammę. Wystarczy chwila, żeby stracić tę szansę.

Stał niezdecydowany przed czarnym otworem w niewysokim piaszczystym urwisku.

— Mam wyraźne przeczucie, że zaraz trafimy do domu — mruknął Kowalski. — Przeczucia rzadko mnie zawodzą.

— Niech pan splunie przez ramię — poważnie odpowiedział Grekow.

— Weszli do Tunelu. Ale zamiast wąskiego żlebu Gammy dokoła nich znowu rozpostarła się ogromna zaśnieżona przestrzeń usiana górami lodowymi.

— Od tych przejść niedługo mózg odmówi mi posłuszeństwa — poskarżył się Kowalski. — Zbyt szokujące.

Grekow z uwagą rozejrzał się wokół. Od razu znalazł to, czego szukał.

— Proszę spojrzeć. Odchodzą.

Łańcuch wysokich czarnych figur oddalał się w stronę lodowego urwiska kołysząc się rytmicznie.

— Mogą jeszcze wrócić — z troską powiedział Kowalski. — A ja wrzuciłem galenit na samo dno kontenera!

— Wątpię, czy się nam przyda — powiedział Grekow.

Znowu weszli do Tunelu.

6

Najpierw rzuciło się Grekowowi w oczy morze — bezkresne, szare, poorane barankami fal. Do uszu dotarł na poły zapomniany, równomierny szum, przenikający wszystko, uspokajający. Grekow poczuł na twarzy drobne chłodne bryzgi i jego nozdrza zadrżały napotykając niepowtarzalny, z niczym nieporównywalny zapach słonej wody, wilgotnego wiatru, wyrzuconych na brzeg wodorostów.

Stali na wąskiej kamienistej plaży, kilka metrów od linii przypływu. Plaża była miejscami porozdzielana zwartymi stosami głazów otulonych kłębami piany. Żwir na brzegu był mokry, bo nadbiegające fale od czasu do czasu podpełzały do stóp ludzi i dotykały podnóża urwiska podkreślonego wyraźną smugą brunatnych wodorostów.

Gołe kamieniste urwisko, przy którym stali, unosiło się pionowo w górę stopniowo przechodząc w wysoki nieco łagodniejszy stok zarośnięty wypaloną trawą, rzadkimi krzewami, karłowatymi drzewami iglastymi.

Nad nimi wisiało ołowiane niebo i postrzępione brzegi obłoków przesuwały się nisko nad ich głowami.

Kowalski pociągnął Grekowa za rękę. Spojrzeli na siebie i Grekow zrozumiał, że myślą o tym samym. Ale bał się głośno powiedzieć to, co miał na końcu języka. Nie rozmawiając ruszyli wzdłuż brzegu w tę stronę, gdzie jakieś sto metrów od nich urwisko spadało ku morzu.

Niedługo potem wyszli na skraj wąskiego parowu, na dnie którego wiła się wstążka strumyka. Stoki jaru były zielone, porośnięte gęstymi krzakami. Strumyk wpadał do morza tworząc niewielką zatoczkę. Na jej brzegu zamiast żwiru leżał czysty piasek i tam, gdzie strumyk wpadał do morza, widniał mętny obłok. Nie czuło się tu prawie żadnego ruchu.

— Proszę spojrzeć, kraby! — krzyknął Kowalski. Klęczał nad wodą i przewracał płaskie kamienie. Jego oczy błyszczały z podniecenia.

Grekow zbliżył się do niego. Kowalski zasapany z wysiłku podniósł kolejny kamień. Wybiegły spod niego bokiem zwinne stworzenia. Kowalski zaśmiał się uszczęśliwiony.

— Kraby! — powtórzył z zachwytem. — Śliczne, prawda!

Kowalski podniósł się z klęczek. Na jego kolanach rozpływały się mokre plamy. Był cały mokry, zachlapany morską pianą. I zupełnie szczęśliwy. Uderzył się dłonią w czoło.

— Giez! — krzyknął radośnie, pokazując Grekowowi zaciśniętego w pięści owada. — Ugryzł mnie!

Grekow przyklęknął na piasku koło samej wody z rozkoszą wdychając słony wiatr. Zamknął oczy. Opanowała go senność, ale jakaś część jego świadomości czuwała, wciąż napięta, pełna sprzeciwu.

Coś mu się tu nie podobało. W żaden sposób nie mógł zrozumieć co.

Kiedy otworzył oczy, Kowalski siedział na kamieniu zdejmując kombinezon. Jego kurtka leżała obok. W samych kąpielówkach podszedł do wody i ostrożnie dotknął jej nogą.

— Wspaniała, ciepła woda — zakomunikował i pobiegł rozpryskując strumienie wody.

— Stój! — krzyknął Grekow. Nagle zrozumiał, co właśnie mu się nie podobało.

Kowalski odwrócił w jego stronę zdziwioną twarz. Zaśmiał się, zaczerpnął wodę dłonią i prysnął w twarz Grekowowi. Woda była zimna, gorzko–słona. Kowalski znów odwrócił się w stronę morza.

— Proszę wrócić — powtórzył Grekow.

Kowalski zmarszczył się niezadowolony, ale wrócił i milcząc położył się na piasku. Nie patrzył na Grekowa.

— Znowu zaczynamy się zachowywać nieroztropnie — zaczął Grekow po minucie ciszy. — Jak na Albionie.

Kowalski milczał długo.

— Albion to co innego — mruknął wreszcie.

— Dlaczego?

— Według mnie, to jasne — powiedział Kowalski. — Sam pan przecież widzi, gdzie jesteśmy.

— Ale dlaczego jest pan o tym aż tak przekonany?

— Całkiem niedawno zacząłem pracować w kosmosie — po chwili milczenia wyjaśnił Kowalski. — Ziemi nie pomylę z niczym.

Grekow .wzruszył ramionami.

— Zdarzają się przecież podobne planety.

— Nie można się pomylić — twardo powiedział Kowalski. — Ona jest niepowtarzalna.

— Niestety, to tylko słowa.

— Słowa? — powtórzył Kowalski. Uniósł się na łokciu patrząc prosto w twarz Grekowa. — A morze, zapachy, wiatr? Pan po prostu zapomniał. Pomyłka jest wykluczona.

— A może to jest związane z głodem sensorycznym? — powiedział Grekow. — Mózg uzupełnia wskazania organów zmysłów. Czasami zdarza się coś takiego.

— A kraby? — po chwili spytał Kowalski.

— Zwierzęta podobne do krabów.

— To co, ja już nie pamiętam, jak wygląda krab? — oburzył się Kowalski. — A giez, który mnie ugryzł?

— Zwierzę podobne do owada. Słyszał pan kiedyś o konwergencji?

Kowalski nie odpowiedział. Grekow mówił dalej:

— Teoria konwergencji to fundament egzobiologii porównawczej. Zwierzęta żyjące w jednakowych warunkach muszą być do siebie podobne.

Kowalski milczał.

— Na przykład ryby i delfiny — kontynuował Grekow. — Żadnego pokrewieństwa między nimi nie ma, ale dzięki identycznym warunkom życia są one zewnętrznie bardzo podobne.

— Myślałem, że pan wymyśli coś oryginalniejszego — powiedział Kowalski. — Delfina każdy odróżni.

Grekow mówił dalej:

— Oko człowieka i oko kalmara. Przyroda, skonstruowała te organy niezależnie. Ale mają to samo przeznaczenie i dlatego są bardzo podobne.

— Widział pan kiedyś żywego kalmara? — zainteresował się Kowalski.

.— Albo australijskie torbacze — nie ustawał Grekow. — Każdy z nich ma analog wśród wyższych ssaków. Mogę panu przytoczyć masę podobnych przykładów.

— Ja też — powiedział Kowalski. — Jeden mój przyjaciel był podobny do goryla. Ale jak to się ma do nas? Po co pan to wszystko mówi?

Grekow nie odpowiedział. Odwrócił głowę i popatrzył w stronę, skąd przyszli — na pusty brzeg otulony bryzgami fal. Nabrał w płuca oszałamiającego powietrza, dotknął mokrego piasku, przysłuchał się. Nieprawdopodobne. Żeby wszystkie zmysły tak zgodnie oszukiwały…

— Dlaczego pan mnie straszy? — zapytał Kowalski. — Po co pan zaczął całą tę rozmowę. Nie należę do pańskich robotów i dlatego nie mogę się mylić.

— A nie wydaje się panu dziwne, że nie spotkaliśmy jeszcze ani jednego człowieka? — spytał Grekow. — Nie dziwi pana, że na tej plaży nikogo nie ma? Przecież pan niedawno przybył z Ziemi. Widział pan gdzieś takie bezludne miejsca?

Kowalski milczał.

— Jesteśmy tu około dwóch godzin — Grekow mówił dalej. — Przez ten czas nie przeleciał nad nami ani jeden samolot odrzutowy, a na morzu nie widzieliśmy ani jednego statku. Proszę popatrzeć na brzeg. Żadnych śladów cywilizacji. Czy na Ziemi to jest możliwe?…

— A jeżeli znajdujemy się na wyspie? — nieśmiało przypuścił Kowalski. — Przecież zdarzają się bezludne wyspy.

— Ale nie na Ziemi — twardo odparł Grekow. — Nie ma tam teraz nawet bezludnych pustyń.

— Ale czy jakaś inna planeta może być tak podobna do Ziemi?

— Jak widać, może — odparł Grekow. — Kiedy pan leci gdzieś gwiazdolotem, to prawdopodobieństwo spotkania takiej planety jest znikome. Ale światy połączone Tunelem to inna sprawa. Wszystkie nadają się do życia, mają tlenową atmosferę. Wszystkie planety, na których byliśmy, w jakiś sposób przypominają Ziemię.

Kowalski wstał i zaczął wciągać kombinezon.

— Przypominają — w jego głosie znowu pojawiła się pewność. — A to jest Ziemia. Nie znam odpowiedzi na pańskie pytania, ale nie mogę się mylić.

Stał nad Grekowem już całkiem ubrany.

— Chyba wejdę na urwisko. Z góry lepiej widać. Co by się nie działo, musimy się rozejrzeć.

— Pójdę z panem — powiedział Grekow.

Za chwilę, ścinając ostry kąt, wyszli na pokryty dywanem niskiej trawy brzeg strumyka. Ruczaj był czysty, wartki, przezroczysty. Płynął po wypolerowanych kamieniach. Szmer strumyka ginął w równym huku morza.

— Ważki — cicho powiedział Kowalski.

Tuż przy ujściu strumyka zaczynała się głębia. Nad wodą pląsały pełne gracji owady.

Grekow nic nie powiedział. Spod jego nóg coś wyskoczyło i rzuciło się do wody. Po powierzchni rozeszły się niewielkie kręgi i spojrzały na niego dwa wielkie żabie oka.

Ludzie w milczeniu minęli zatoczkę i idąc jeszcze wzdłuż strumyka skierowali się ku szczytowi wzgórza. Szum morza był jeszcze słyszalny, ale nie zagłuszał już pozostałych dźwięków. W suchej trawie pod nogami rozlegało się głośne cykanie — skakały tam duże owady z trzaskiem wyprostowując różnokolorowe skrzydła.

— Koniki polne, motyle — pokazywał Kowalski.

Grekow milczał krocząc po ostrej trawie. Weszli w pasmo gęstych zarośli. Kłujące gałązki drapały twarz, z zarośli dochodziło ożywione ćwierkanie.

— No, dlaczego?! — krzyknął Kowalski. — Dlaczego to jest niemożliwe? Przecież oni byli podobni do nas. Mogli połączyć wszystkie nadające się do życia planety. W Galaktyce jest ich mało, ale przecież Ziemia też znajduje się w ich liczbie!…

Grekow nie odpowiadał. Tak bardzo chce się wierzyć, że aż strach, myślał, póki wchodzili po zboczu szurając nogami w szeleszczącej trawie. Bardzo chce się wierzyć, myślał odsuwając od twarzy kolczastą gałązkę, przysłuchując się śpiewowi ptaków. Powrotu na Gammę właściwie nie ma. A jeżeli to jest Ziemia… Ale ta planeta nie może być Ziemią. Jest na to zbyt czysta i nietknięta.

— Proszę spojrzeć — powiedział Kowalski.

Grekow się zatrzymał. Wyżej już się wejść nie dało. Stali na skraju urwiska. Horyzont się rozsunął odkrywając bezkresną morską pustynię. Linia, gdzie woda schodziła się z niebem, była prawie niewidoczna i rysowała się nieoczekiwanie wysoko. I okrążała ich ze wszystkich stron.

Rzeczywiście znajdowali się na wyspie, czy dokładniej na maleńkiej kilkukilometrowej wysepce. Była z lekka wydłużona i leżała przed nimi jak na dłoni. Było oczywiste, że jest bezludna.

Jakiś czas ludzie milcząc patrzyli na okrążający ich pierścień wody. Na nieboskłonie nad zachodnim horyzontem pojawiały się purpurowe smugi.

Zbliżała się noc.

— Umie pan rozpalić ogień? — spytał Grekow.

— Trzeba nazbierać drzewa — odezwał się Kowalski.

Rozdzielili się i zagłębili w kłujące zarośla. Grekow wrócił szybko uginając się pod naręczem chrustu. Zrzucił go obok Kowalskiego kręcącego się już nad kupką cieniutkich gałązek.

— Jak tu pięknie — powiedział Kowalski.

Słońce wynurzyło się spoza chmur nad skrajem horyzontu i zanurkowało w morze. Między chmurami i horyzontem leżała wąska niebieska wstęga. Purpurowe smugi zrobiły się bardziej jaskrawe, zlały się w ciągłe nierówne pole. Połowa nieba płonęła.

Grekow wzruszył ramionami.

— Zachody słońca wszędzie są piękne.

Kilka minut w milczeniu patrzył, jak Kowalski łamie suche gałązki układając je w akuratny stosik. Grekow z zainteresowaniem czekał, co będzie dalej.

Kowalski wyjął coś z kieszeni kurtki i podsunął cienki niebieski płomyk do kupki chrustu. Potem schował zapalniczkę.

— Myślałem, że będzie pan wzniecał ogień przy pomocy tarcia, jak przystało na Robinsona — z rozczarowaniem powiedział Grekow.

— Zawsze noszę przy sobie zapalniczkę — wyjaśnił kowalski. — Niestety, jej ładunek nie jest wieczny.

Ostrożnie podrzucał gałązki do ogniska. Ogień, na początku słaby, rozpalił się już i długie języczki płomieni tańczyły się w zapadającym zmierzchu. Chrust trzaskał od gorąca. Kowalski wyciągnął się na boku podpierając głowę ręką. Grekow poszedł w jego ślady.

— Dobrze — niespiesznie powiedział Kowalski. — Dawno już nie leżałem przy ognisku.

— Ja widziałem ogniska tylko w kinie — przyznał się Grekow. — Ma to swój urok.

Szybko się ściemniało. Leżeli nieruchomo patrząc na tańczące płomienie, rozluźnieni odpoczywali. Potem Grekow odwrócił się na plecy i zaczął patrzeć w niebo. Wkrótce znalazł to, czego szukał. Nad nimi słabo migotała świetlista kropka. Długo patrzył na nią.

— Gwiazda — usłyszał głos Kowalskiego. — Chmury się rozpraszają.

— Tak — odparł Grekow. — Patrzył na świecący punkt. Obok niego zapłonęło jeszcze kilka. — Niedługo wszystkiego się dowiemy.

— Rozumiem — odezwał się Kowalski. — Ale teraz to nie ma znaczenia. Droga z powrotem jest zamknięta. Prawdopodobieństwo trafienia na Gammę jest minimalne. Znudziły mi się już buntujące się roboty, lodowe pustynie, trawa, która próbuje mnie ugryźć. Niech będzie, jak pan mówi, że ta planeta jest po prostu podobna do Ziemi. Ja zostaję tutaj. Zmęczyło mnie to bezsensowne błądzenie.

Grekow patrzył w górę słuchając, jak w ciszy trzaskają gałęzie w ognisku i jak szeleści chrust podrzucany do ognia przez Kowalskiego.

— Może by pan przyniósł jeszcze chrustu.

Grekow posłusznie wstał i ruszył w krzaki, w tym kierunku, gdzie poprzednio zauważył kupy suszu. Związał chrust i ostrożnie szedł z powrotem uważając, żeby nie poranić twarzy kłującymi gałązkami krzaków.

Kiedy wrócił do ogniska, Kowalski siedział obejmując kolana rękami, a na jego twarzy igrały jasne odblaski ognia.

— Gwiazdy — cicho powiedział Kowalski odwracając się na dźwięk rzuconych gałęzi. — Są zupełnie obce.

Grekow popatrzył w górę. Kiedy wrócił z chrustem, niebo całkiem się przejaśniło, ale rysunek gwiazdozbiorów był obcy, różny od wszystkiego, co widział kiedykolwiek. Usiadł na ziemi. Nagle zrozumiał, że jest bardzo zmęczony, że łamie go w kościach, że mięśnie są ciężkie, że chce mu się po prostu spać.

— To i tak jest Ziemia — z przekonaniem powiedział Kowalski. — Po prostu podsunęli nam nieprawdziwy obraz nieba.

Grekow milczał. Był zmęczony i chciał spać. Nie chciało mu się rozmawiać. Kowalski rozmyślał głośno:

— Przecież nic nie wiemy. Nie można wykluczyć, że Tunel łączy nie tylko światy, ale i epoki, że przenosi nas w przeszłość albo przyszłość planet. A może to rzeczywiście Ziemia, ale tysiące lat temu? Albo na odwrót — za tysiące lat?…

— Wierzy pan w Maszynę Czasu? — leniwie spytał Grekow. Już zamknął oczy i słowa Kowalskiego dochodziły do niego spoza granicy snu.

— Maszyna Czasu nie jest gorsza od Tunelu — usłyszał daleki głos Kowalskiego. — Co to dla nich przebić Tunel w czasie, nie tylko w przestrzeni? Przecież nic nie wiemy. Nie jest wykluczone, że inaczej Tunel po prostu nie chciałby funkcjonować…

Kowalski mówił dalej zapalając się stopniowo, mówił o Tunelu, o jego twórcach, o zasadzie jego działania i jeszcze o czymś, ale Grekow go już nie słyszał. Spał.

7

Grekow popluł na rękojeść i machnął wędziskiem. Po cichej powierzchni zatoczki rozeszły się kręgi. Grekow ostrożnie oparł wędzisko na widełkach i czekał.

Sprzęt, którym się posługiwał, był bardzo prosty. Z mocnego drewnianego kolca wyszedł świetny haczyk. Żyłką była długa syntetyczna nitka z kurtki kombinezonu. Jako przynęta na haczyku wisiał kawałek mięsa z dużego kraba złapanego poprzedniego dnia. Łatwo zgadnąć, z czego były zrobione wędzisko i spławik.

Kowalski, kiedy Grekow zapoznał go ze swoim wynalazkiem, nie był w pełni zachwycony. Pochwalił haczyk, ale zauważył, że wyciąganie nitek z ubrania to zbytnie ułatwianie sobie życia. Twierdził, że o wiele lepiej nadają się do tego celu długie drewniane włókna, z których on, Kowalski, zrobił cięciwę do łuku. Przewidywał nawet, że ryby rozpierzchną się, kiedy powąchają nitkę z kombinezonu Grekowa i będzie on miał szczęście, jeśli chociaż jedna ryba zainteresuje się haczykiem. Postanowili sprawdzić skuteczność wędki.

Grekow przysiadł na pokrytym krótką trawą brzegu zatoczki. Obok niego skłaniały się nad wodą drzewa podobne do wierzby — Kowalski nie nazywał ich inaczej. Drzewa gubiły srebrzyste liście, które spadały do zalewu.

Spławik leżał nieruchomo na wodzie obok wielkiego korzenia. Potem zadrżał i Grekow chwycił za wędkę. Drżenie jednak ustało.

Woda pod spławikiem była czysta, dna jednak nie było widać.

Pomysł, aby zorganizować sprzęt rybacki, powstał w głowie Grekowa wcześniej, kiedy o wschodzie słońca jak bezdźwięczny srebrzysty łuk wyskoczyło koło tego samego korzenia

metrowe cielsko, błysnęło czerwonymi płetwami i powoli, jakby niechętnie, powróciło do wody. Była to ryba podobna do klenia. Kowalski, kiedy dowiedział się o tym wydarzeniu, z całą stanowczością stwierdził, że to kleń. Chociaż raczej można powiedzieć, że było to zwierzę przypominające rybę podobną do klenia.

Potem Grekow także nieraz widział, jak pod przeźroczystą powierzchnią wody przepływa stado „kleni”, podobne do maleńkiej podwodnej flotylli. W środku zawsze płynęły dwa albo trzy metrowe okazy otoczone eskortą mniejszych. Procesja posuwała się powoli nie zwracając uwagi na padające do wody liście „wierzb” i wstrzymującego oddech człowieka.

Do zrobienia wędki zdopingował Grekowa fakt, że Kowalski wracając z wyprawy w głąb wyspy przytaszczył na ramionach łanię ustrzeloną z łuku własnej roboty. Kowalski w ogóle był dobrze przystosowany do życia na wyspie. Grekowa, jeszcze do niedawna traktującego Kowalskiego jak nowicjusza, ogarnęła zazdrość. I wtedy zrobił wędkę.

Spławik koło korzenia znów zadrżał, uniósł się i Grekow zamarł w oczekiwaniu. Spławik jednak jak gdyby znowu zasnął.

Minął już miesiąc od czasu, kiedy ludzie znaleźli się na wyspie. Po pamiętnym wieczorze, kiedy po raz pierwszy zobaczyli obce niebo, Grekow starannie unikał sporów, które miały rozstrzygnąć, co to za świat. Jednak nie zawsze mu się to udawało.

Planeta rzeczywiście była jakby sobowtórem Ziemi, ale niebo było tu obce. Co prawda Kowalski rozwijając swoją hipotezę, że Tunel przenosi w czasie tłumaczył to przemieszczaniem i przemieszaniem gwiazd w ciągu tysiącleci. Na dowód wyciągał palec w niebo i mówił: „Niech pan patrzy, To Syrius” lub „To Wega” albo jeszcze coś innego. Spór z nim nie miał sensu, ale czasami Grekow leżąc na plecach przy ognisku łapał się na tym, że szuka na nieznajomym niebie zdeformowanych kształtów ziemskich gwiazdozbiorów.

Czasami w jaśniejsze noce zawisał nad nimi sierp albo dysk księżyca. Był on rozmiarami podobny do ziemskiego, miał też ciemniejsze i jaśniejsze plamy, ale ich rozmieszczenie było inne. Kowalski wyjaśniał to tym, że Księżyc w ciągu tysięcy lat lekko się odwrócił i że widzą go trochę pod innym kątem. Z braku teleskopu sprawdzenie tej hipotezy było niemożliwe.

Po kłótniach, w których Grekow odrzucał kolejne idee kolegi, obrażony Kowalski chodził na urwisko i długo patrzył na morze. Grekew podejrzewał, że szuka w oddali żagla albo dymku zbliżającego się statku. Ale nic nie naruszało spokoju wyspiarzy.

W ciągu miesiąca ludzie nauczyli się wiele. Zbudowali sobie szałasy podobne do budowli mieszkańców Gammy. Nauczyli się ochraniać ognisko, wykopywać jadalne korzenie, polować na duże kraby w skałach na zachodnim krańcu wyspy. Biologiczne kontenery zabrane z Ligurii przystosowali do przygotowywania i przechowywania pożywienia. W końcu Kowalski zrobił łuk i sprawdził go w praktyce, ostatecznie wyczerpując w ten sposób cierpliwość Grekowa.

Spławik obok pnia znowu zadrżał. Kilka razy zachybotał, potem uniósł się, jak gdyby ktoś popchnął go od dołu. Zanurkował, wypłynął, zakręcił się w miejscu. I zniknął.

Grekow odczekał sekundę, podciął i pociągnął wędzisko do siebie. Ale to nic nie dało. Wędzisko wygięło się w łuk, jak gdyby haczyk z kolca drzewa zaczepił o korzenie. Mocno napięta żyłka cięła wodę. Grekow z trudem utrzymywał to coś, co złapało się na haczyk. Był spokojny, że żyłka wytrzyma. Bał się o wędzisko.

Obok tego miejsca, gdzie żyłka zanurzała się w wodzie, powstał wir, mignął srebrzysty bok, czerwona płetwa. Grekow cofnął się o krok od brzegu. Koniuszek wędziska trzeszczał. I nagle żyłka osłabła.

Grekow z rozczarowaniem patrzył na zwisającą żyłkę. Wędzisko wytrzymało, ale mocna nić też nie mogła się zerwać. Pewnie ryba po prostu uciekła wypluwając haczyk zrobiony z kolca drzewa.

Nieoczekiwanie silne szarpnięcie wyrwało wędzisko z rąk Grekowa. Żyłka znowu zadźwięczała i wędzisko uciekłoby pewnie Grekowowi na środek zalewu, gdyby ktoś wyskakując zza jego pleców nie schwycił kija leżącego już w wodzie. Nietrudno się było domyślić kto to.

Grekow znowu został okryty hańbą. Teraz już w charakterze widza obserwował jak Kowalski, człapiąc butami w wodzie powoli cofa się, jak pojękuje wygięte wędzisko, jak żyłka rżnie wzburzoną wodę. A on musiał przyglądać się tej walce z boku.

— Zaraz się zmęczy — głucho powiedział Kowalski. Wyszedł już na brzeg wciąż się cofając. Grekow z zazdrością i pełen emocji obserwował, jak wzburzony krąg wody, w którym połyskiwały srebrzyste boki i purpurowe płetwy, przybliża się do brzegu. Wędzisko było mocne, zrobione prawidłowo. Żyłka była nie do zerwania.

— Teraz przydałby się podbierak — głucho powiedział Kowalski wciąż się cofając. — Albo bosak.

Krzepkie srebrzyste ciało rzucało się na płyciźnie przy samym brzegu unosząc fontanny wody. Grekow otrząsnął się z oszołomienia. Rzucił się na rybę, podgarnął ją pod siebie czując jej śliską, sprężystą siłę. W końcu namacał jej skrzela, uniósł miotający się ciężar i popatrzył na Kowalskiego.

Dokładniej, chciał popatrzeć na Kowalskiego. Dwa metry od niego z wędziskiem w rękach stał nie Kowalski. To był zupełnie obcy człowiek i jedynie jego strój niczym nie różnił się od kombinezonów Grekowa i jego kolegi.

— Sprytnie się urządziliście — głucho wyrzekł nieznajomy kierując na Grekowa przeszywające spojrzenie. — Natura, rybki… Jak na urlopie.

Grekow patrzył na niego nic nie rozumiejąc. To znaczy, że mimo wszystko jesteśmy na Ziemi, błysnęła mu zbawcza myśl. To znaczy, że Kowalski miał rację i w końcu nas znaleźli. Ale co ma znaczyć ten nieznany rysunek gwiazd?…

— Urządziliście się nieźle — kontynuował nieznajomy. — Zupełnie nie opanowuje was tęsknota za domem, za ludzkim towarzystwem. To zrozumiałe. Znaleźliście rajski kącik. Ale gdzie jest pański towarzysz?

— Kowalski dyżuruje przy ognisku — odpowiedział Grekow. Jego mózg był widocznie przeciążony, bo nagle poczuł pełną obojętność w stosunku do tego, co się dzieje. Po co zadawać bezsensowne pytania? Wcześniej czy później wszystko się samo wyjaśni.

— Więc chodźmy — powiedział nieznajomy. — Niech pan zabierze swoją zdobycz.

Grekow uniósł się z kolan trzymając klenia za skrzela. Ryba ważyła dużo — pół puda, a może nawet więcej. Jeszcze się miotała i nieść ją było trudno.

Szli po ledwie rysującej się ścieżce zbliżając się do miejsca biwakowania. Grekow automatycznie odnotował znajome punkty orientacyjne i przyglądał się, jak nieznajomy idzie przodem stawiając szeroko nogi. Łączyła ich cieniutka żyłka ciągnąca się z pyska ryby, którą niósł Grekow, do wędziska na ramieniu nieznajomego. Kiedy trzeba było skręcić, Grekow rzucał krótkie wskazówki.

— Na lewo — powiedział, gdy już byli prawie na miejscu w pobliżu krzaków koło ogniska i szałasów. Płomień lizał kawałki nasadzonego na rożen mięsa. Kowalski milczał w zdumieniu przenosząc wzrok z nieznajomego na Grekowa i z powrotem.

— Dobrze tu — powtórzył nieznajomy. — Niestety, na nas już czas. Czekają na nas. Tylko zgaście ogień.

Grekow wyjął z zagłębienia w ziemi kontener z wodą i wylał ją na ognisko. Kowalski zadeptał żarzące się węgielki.

— Weźcie to ze sobą — powiedział nieznajomy wskazując na leżącą na trawie srebrzystą rybę. Grekow posłuchał.

Kowalski zdjął z rożna dwa duże kawałki nie dopieczonego mięsa — resztki łani zabitej z łuku. Pytająco spojrzał na nieznajomego. Ten kiwnął głową.

— Pomogę wam.

Wziął z rąk Kowalskiego jeden z kawałków mięsa i poszedł w dół do morza. Poszli za nim.

— Nie widziałem dzisiaj ani jednego statku — szeptem powiedział Kowalski. — Obserwowałem morze cały ranek, ale niczego nie zauważyłem.

Grekow popatrzył na obciągnięte kurtką plecy nieznajomego. Na moment zrobiło mu się nieswojo: „Kto to jest? Skąd się tu wziął? Dokąd nas prowadzi?"

Ale potem znowu opanowała go apatia. Co za różnica, myślał przy wtórze rytmicznego szelestu trawy i chrzęstu kamieni pod nogami. Co za różnica, skąd przybyli. Mogli dostać się na wyspę łodzią podwodną. Mogli przybić do przeciwnego, niewidocznego stąd brzegu. Po co stawiać bezsensowne pytania, łamać sobie głowę, myśleć? Wcześniej czy później wszystko się samo wyjaśni.

Zbliżyli się do ujścia strumienia i szli teraz po kamienistej plaży okrążając wyspę. Iść po żwirze było niewygodnie, ręce omdlewały od ciężaru. Słońce paliło nie do zniesienia. Ale Grekow szedł patrząc zza pleców nieznajomego na linię brzegu. Szukał sylwetki statku albo kutra, którym ten przybył.

W końcu nieznajomy się zatrzymał. Brzeg był tu pustynny, słabe fale lizały żwir i chmary muszek wisiały nad zwałami brunatnych wodorostów.

Nieznajomy odwrócił się w stronę morza. Też było puste, gładkie do samego horyzontu. Nieznajomy w zamyśleniu patrzył na nie kończącą się przestrzeń wody. Jego oczy przybrały dziwny wyraz. Jakby się z czymś żegnał.

— Pięknie tu — powiedział powoli. — Nie chce się stąd odchodzić, ale na nas czekają. Wrócimy tu jeszcze.

Odwrócił się od morza. Grekow poszedł w jego ślady. Za plecami usłyszał zdziwiony okrzyk Kowalskiego. Przed nimi w urwisku zionęła dziura Tunelu.

— Zapomniałem się przedstawić — powiedział nieznajomy odwracając się. — Moje nazwisko Bieriozin.

Po chwilowym zamieszaniu wywołanym przez to oświadczenie Kowalski zapytał:

— To znaczy, że pan też przybył z Gammy?

— Oczywiście — potwierdził Bieriozin. — A skąd by jeszcze?

— Myśleliśmy, że trafiliśmy na Ziemię — wyjaśnił Grekow.

Bieriozin obrzucił spojrzeniem nie kończące się morze.

— Na Ziemię? — zapytał ze zdziwieniem. — Prawdę mówiąc nie byłem tam od dzieciństwa. Zapomniałem już, jak ona wygląda. Ale trzeba się spieszyć. Obiecałem, że wrócę szybko i chłopaki będą się denerwować.

— To znaczy, że panu się rzeczywiście udało znaleźć strategię przejść? — spytał Kowalski.

— Na objaśnienia trochę poczekajcie — powiedział Bieriozin. — Ruszamy.

Odwrócili się do Tunelu i zanurzyli w połyskującym mroku. Kiedy wyszli na zewnątrz, dookoła była ciemność i ogarnął ich lodowaty chłód, pod nogami zaskrzypiał śnieg.

— To Liguria — powiedział Bieriozin. — Kiedy szedłem po was, też była tu noc. Chodźmy szybciej.

Tym razem wyszli na znajome szmaragdowe zbocze, nad nimi znowu było czyste niebo z zawieszonym na horyzoncie słońcem. Grekow i Kowalski spojrzeli na siebie.

— Nieźle to panu idzie — powiedział Kowalski. Bierozin uśmiechnął się.

— Sam się dziwię — powiedział. — Ale szybko do Tunelu.

Grekow usłyszał nierówne bicie swojego serca. „Czyżby to było możliwe? — błysnęła mu myśl. — Znowu Gamma, baza, ludzie…” Razem ze swoimi towarzyszami wszedł w ciemną czeluść.

Ale z zewnątrz w jego twarz znowu powiało chłodem.

— Pudło — usłyszał obok siebie głuchy głos Bieriozina. — Teraz z powrotem.

Wyszli na morski brzeg z brunatnymi zwałami wodorostów. Nozdrza zadrżały łapczywie wciągając słone morskie powietrze.

— I to się nazywa strategia przejść? — powiedział Kowalski.

— Do Tunelu! — rozkazał Bieriozin.

Ogłuszyły ich wybuchy, oślepiło czerwonawe światło. Stali na skraju przepaści, po dnie której płynęła purpurowa lawa. Skądś z boku doszedł do nich huk i kilka rozpalonych głazów powoli uniosło się w powietrze. Ziemia zatrzęsła się od ich upadku. Gorący wiatr oparzył twarz Grekowa. Cofnął się.

Tym razem Bieriozin się nie spieszył. Mrużąc oczy wpatrywał się w szkarłatny miraż.

— Młodość świata — powiedział powoli. — Jeszcze tu wrócimy. Musimy się spieszyć.

Znowu wyszli na morski brzeg.

— Do Tunelu! — rozkazał Bieriozin. — Grekow odwrócił się posłusznie.

— I znowu wyszli w chłodny mrok Ligurii.

— Do Tunelu!

Znów szmaragdowe pola Albionu.

— Do Tunelu! — Grekow podporządkował się automatycznie nic już nie odczuwając.

Znowu nieprzenikniona ciemność. Wszystko się zmieniło jak kadry źle zmontowanego filmu.

Znowu kamienista plaża i błękitne morze. Arktyczny mrok Ligurii. Szmaragdowa trawa Albionu.

— Może za trzecim razem — zaproponował Bieriozin. — Mam już dość.

Znowu chłodna ciemność.

I obcy pejzaż Albionu.

Oczy Grekowa oczekujące ciemności Ligurii odruchowo zwęziły się od jaskrawego światła. Na Gammie zobaczył najpierw budynek bazy przeniesiony do samego wyjścia z Tunelu. Dokoła wznosiły się pionowe ściany, w dół opadały ostre zakręty żlebu. Od budynku stacji biegli do nich ludzie.

— Koniec — powiedział Bieriozin. Koło nich zebrał się tłum. Wszyscy coś krzyczeli, gratulowali szczęśliwego powrotu, klepali po ramionach. Kowalski stał obok Grekowa ogłupiały patrząc na ludzi — też nie wierzył. Zdawało się, że to sen.

Ktoś krzyknął z bólu. To ryba, którą jeszcze trzymał Grekow, szarpnęła się w jego rękach i zawadziła kogoś silnym ogonem. Poszkodowany zgiął się trzymając się za żołądek. I dopiero teraz Grekow ostatecznie zrozumiał, że wrócili do domu.

9

— Jeśli mam być szczery, to nic… — powiedział Grekow.

Wraz z Bieriozinem siedzieli obok innych przy rozkładanym stole w ciasnym pomieszczeniu stacji. Stół był nakryty świątecznie. Centralne miejsce zajmowała na nim ryba złowiona na haczyk z kolca drzewa.

— Nic nie zrozumiałem — powtórzył Grekow. — Wcześniej słyszałem o jakiejś strategii, którą pan opracował. Ale pamiętam, jak wracaliśmy. Po prostu wchodziliśmy do Tunelu, a on przerzucał nas, gdzie chciał. Ale mimo wszystko wróciliśmy.

Zamilkł. Bieriozin też milczał z roztargnieniem dłubiąc widelcem w kawałku smażonej ryby. Za stołem zebrali się wszyscy mieszkańcy stacji. Kowalski siedział niedaleko od Grekowa i z ożywieniem rozprawiał ze swoimi sąsiadami.

— Najprawdopodobniej to Ziemia przyszłości — mówił Kowalski. — Inaczej natknęlibyśmy się na dinozaury. Albo chociaż na mamuty.

— To jest myśl — powiedział sąsiad z prawej strony. — Rzeczywiście w przyszłości nie przewiduje się istotnych zmian fauny.

— Tylko nie rozumiem, dlaczego koniecznie Ziemia — powiedział sąsiad z lewej. — Są przecież podobne planety.

Sąsiedzi Kowalskiego zdążyli się już widać podzielić na entuzjastów i sceptyków. Grekow odwrócił się do Bieriozina.

— Wysłuchałem już tylu wykładów pana kolegów o jakichś skomplikowanych procesach — powiedział. — Ale marnie się orientuję w matematyce i w istocie nie zrozumiałem, co pan takiego odkrył.

— To nie ma ze mną nic wspólnego — powiedział w końcu Bieriozin. — To budowniczowie Tunelu skonstruowali go tak, że zawsze można z niego wrócić.

— Ale przecież czytałem ekspertyzę Komisji — zaprotestował Grekow. — Jest tam napisane czarno na białym, że Tunel z takim samym prawdopodobieństwem wysyła na wszystko jedno którą z planet.

Bieriozin odpowiedział nie od razu i do Grekowa znowu dotarł głos Kowalskiego.

— Najprawdopodobniej ludzi tam w ogóle nie ma.

— To już idealizm — zaprotestował sceptyk.. — Zwyrodnienie, utrata sensu, upadek cywilizacji… Nie podoba mi się to.

— Niczego podobnego nie powiedziałem — zaprotestował Kowalski. — Uważam, że na Ziemi ludzi nie ma. Po prostu odeszli, rozproszyli się we Wszechświecie.

— To jest myśl — powiedział sąsiad z prawej.

— I przy tym zapomnieli o ojczystej planecie? — nie ustępował sceptyk.

— Nie — powiedział Kowalski. — Najpewniej przekształcili ją w rezerwat.

Grekow przestał się przysłuchiwać. Znowu popatrzył na Bieriozina.

— Nie podważam stwierdzeń Komisji — powiedział Bieriozin. — Ale często wyciągane są z nich nieuzasadnione wnioski. Twórcy Tunelu byli mądrzy. Zbudowali go tak, że można dostać się nim na dowolną planetę i wrócić. Jedyne, co trzeba zrobić, to wchodzić do Tunelu tak długo, dopóki nie osiągnie się celu. Aż w końcu na pewno się wróci. Zupełnie słusznie panu zakomunikowano, że to jednoznacznie wynika z klasycznego zadania jednorodnych pomyłek.

— Sam pan rozwiązał to zadanie?

— To ze mną nie ma nic wspólnego. Rozwiązanie ma już ze sto lat. Można się z nim zapoznać w każdym podręczniku. Ale jeśli pan nie lubi matematyki, to można przeprowadzić maleńki eksperyment.

Bieriozin pogrzebał w kieszeni i położył na stole niewielki metalowy przedmiot — dysk z wyciśniętymi na nim wzorkami.

— Ma pan przed sobą tak zwaną monetę — powiedział. — Znany w głębokiej starożytności generator przypadkowych następstw. Wzory na każdej stronie dysku są inne. To się nazywa „orzeł”, a to „reszka”. Jeśli pan podrzuci dysk, to on — prawem przypadku — upadnie jedną ze stron do góry. Jest wykonany tak, że prawdopodobieństwo trafienia na którąś ze stron jest

dokładnie takie samo. Jak się pan będzie nudził, to proszę wziąć kartkę papieru i nakreślić na niej poziome równoległe linie. Zaznaczy pan jedną z nich — to będzie Gamma — i proszę rzucać monetę. Orzeł będzie odpowiadał przesunięciu o jeden krok do góry od linii wyjściowej — w kierunku Albionu, Ligurii i tak dalej. Reszka będzie się równać przesunięciu w dół — w stronę Mirzy i Feniksa. Przeprowadzając taki eksperyment bez żadnej matematyki przekona się pan, że otrzymana linia łamana, wcześniej czy później znów przetnie się z linią wyjściową. To znaczy, że wrócił pan na Gammę.

Zamilkł. Grekow milczał także patrząc na czarodziejski metalowy dysk, za pomocą którego można było modelować tułaczkę w Tunelu. Z odrętwienia wyrwał go podniesiony głos Kowalskiego.

— Przyjaciele! — powiedział Kowalski wstając ze swojego miejsca. — Proszę o głos. Zamierzacie badać światy połączone za pomocą Tunelu. W czasie swoich ekspedycji bez wątpienia traficie na planetę, na której byliśmy my. Najprawdopodobniej jest to Ziemia. Ziemia oddalonej przyszłości.

Za stołem podniósł się szum.

— Nie wszyscy się z tym zgodzą — czekając, aż szum opadnie, mówił dalej Kowalski. — Ale należy taką możliwość wziąć pod uwagę. Zaraz powiem dlaczego. Przecież nie jest wykluczone, że spotkacie tam naszych potomnych, a to nakłada na was wielką odpowiedzialność.

Tym razem zebrani odpowiedzieli Kowalskiemu głębokim milczeniem.

— Ale chciałem powiedzieć o czym innym — kontynuował Kowalski po krótkiej przerwie. — Teraz, kiedy mówiliśmy o twórcach Tunelu, przyszła mi do głowy następująca myśl: może to nasi potomkowie? A nuż to właśnie oni zbudowali Tunel, żeby móc podróżować po wszechświecie na piechotę, bez żadnych gwiazdolotów?…

Pełne napięcia milczenie zostało przerwane, dały się słyszeć okrzyki pełne zdziwienia i akceptacji.

— Wiedziałem, że spodoba się wam ta myśl — powiedział Kowalski. — To oczywiście jedynie hipoteza, ale mimo wszystko chcę wznieść kielich za naszych potomnych, którzy, zbudowali ten wspaniały Tunel!…

— I za matematykę — cicho dodał Kowalski.

Przełożył Piotr Fast

Władimir Rybin

POMYŁKA PROFESORA GROMOWA

— Spójrz, co to takiego?

Uwo Benew, redaktor znanego na całym świecie tygodnika „Planety”, do którego zwrócono się z tym pytaniem, człowiek, jak mówiono, zorientowany we wszystkim, co dzieje się w systemie słonecznym, z zainteresowaniem odwrócił się do iluminatora i przez całą minutę patrzył w dół. W dole pod aerobusem płynęła rzeka. Odnosiło się wrażenie, że płynie tam prawdziwa rzeka, choć, jak wiadomo, nie sposób jej odnaleźć wśród księżycowych przepaści, gdzie szklankę wody wyciska się z tony rudy.

— Pył płynie — powiedział spokojnie — to się tu zdarza. Obecni w salonie uśmiechnęli się: zawsze ten sam Uwo. To o nim mówiono, że zdziwił się tylko raz w życiu — gdy przyszedł na świat.

Nie zwracał uwagi na takie żarty. Znał siebie. Nieraz był zmuszony dziwić się i zachwycać bez miary. Choćby te spotkania z profesorem Gromowem. Gdy rozmawiali po raz pierwszy, nie mógł uwolnić się od wrażenia, że uczony poczyna sobie jak chce z jego myślami, wyławiając nawet te, które dziennikarz pragnął zachować tylko dla siebie. Profesor dopiero rozpoczynał wtedy budowę swojego obserwatorium księżycowego, które na Ziemi nazywano nie inaczej jak „miastem Gromowa”. To właśnie po tym spotkaniu błyskotliwy Benew wymyślił dowcipne powiedzenie: „Nie ma Boga na Ziemi, Bóg jest na Księżycu i nazywa się Gromow”.

Od tej pory widywali się wielokrotnie i jak się wydaje byli zaprzyjaźnieni. I za każdym razem Benewa zadziwiała niewyczerpana energia niemłodego już profesora, zawsze pełnego pomysłów i pragnień wcielenia ich w życie.

— A jednak zaintrygował cię ten potok — powiedział kolega Benewa, fotoreporter tygodnika, którego wszyscy w redakcji nie bacząc na jego bez mała emerytalny wiek zwali familiarnie Rujk. Nie obrażał się reagując na to swym ulubionym powiedzonkiem: „Reporterzy, podobnie jak artyści, zachowują młodość do setki”.

Benew z uśmiechem popatrzył na niego.

— Nie mam racji? — Rujk nie rezygnował.

— To dlatego, że dziś jest szczególny dzień.

— Zgoda, ale pejzaże księżycowe są, mimo wszystko… Nie dopowiedziawszy przylgnął w zachwycie do iluminatora.

W srebrzystej dali, wśród ostrych, rozstępujących się szczytów wznosiło się miasto z bajki. Przypominało Rujkowi jeden z gabinetów szkolnych, gdzie pod ścianami stały najbardziej wymyślne figury trygonometryczne. Wydawało się, że twórcy tego miasta mieli ambicję, by nie zapomnieć ani jednej konstrukcji z tych, które widnieją w podręcznikach. Widać było kule różnych wielkości osadzone na tak cienkich podstawach, że tylko patrzeć, jak upadną, były wieże–piramidy, trapezoidalne i kopułokształtne domy. I nad całym tym zbiorem figur, wyraziście rysujących się na tle czarnego nieba, wznosił się ucięty stożek największego z cudów obserwatorium księżycowego — najsilniejszy w całym systemie słonecznym teleskop optyczny, którego trzydziestometrowe zwierciadło budowano przez sześć lat tu właśnie, na księżycowej wyżynie „miasta Gromowa”.

Aerobus wylądował w odległości pięciu kilometrów od obserwatorium. Mechaniczne ręce odczepiły salon z pasażerami, przeniosły go na peron i po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin podróży ludzie mogli odpiąć pasy i stanąć o własnych siłach, bez pomocy promienia

magnetycznego. Ci, którzy byli tu po raz pierwszy, podskakiwali jak dzieci reagując na słabe przyciąganie księżycowe. Inni pozostali na swoich miejscach i jak zaczarowani wpatrywali się w czarną wstęgę drogi i szarą, bezbrzeżnie monotonną pylistą równinę porysowaną długimi cieniami leżących wszędzie kamieni. W niektórych miejscach po równinie biegły łańcuszki śladów niepodobnych do niczego, pobudzających wyobraźnię do tworzenia wizerunków nieznanych mieszkańców nieznanego świata. Tylko Uwo Benew patrzył w niebo usiane błyskotkami gwiazd i poszukiwał wśród nich tej jednej iskierki, z powodu której znalazł się tutaj i która za kilka godzin przekształci się w nowy obiekt astronomiczny.

Nigdy jeszcze księżycowe miasto nie przeżywało takiego najazdu, jak właśnie w te poprzedzające eksperyment dni. Benewowi nie udało się nawet otrzymać osobnego, przezroczystego bloku turystycznego, na który liczył. On i Rujk musieli zadowolić się wspólnym pokojem przeznaczonym dla praktykantów. Znaleźli tu wszystko, czego potrzebuje człowiek, ale nie mieli nad głową prawdziwej kopuły gwiazd i to niewielkie utrudnienie początkowo rozstroiło Benewa.

„Będę leżał w łóżku i liczył gwiazdy” — marzył Rujk przez całą drogę. Zasępił się popatrzywszy na błękitnawy sufit imitujący ziemskie niebo. W chwilę później, już pocieszony biegł, jak się wyraził, by poszukać „punktu”.

Także Benew uznał, że nie jest aż tak źle. Będzie mógł zrealizować swe dawne marzenie — powłóczyć się samotnie w księżycowym pyle i jak w tej starożytnej pieśni, zostawić swoje ślady na pylistych dróżkach obcej planety. Ta myśl ożywiła go, toteż zrezygnował z planowanego odpoczynku, podszedł do ściany wideotelefonu i wywołał dyspozytornię. Jego ożywienie wzrosło, gdy ujrzał holograficzny wizerunek młodej, bardzo ładnej kobiety.

— Słucham pana — powiedziała kobieta najwyraźniej ubawiona jego zmieszaniem.

— Chciałbym… — zająknął się, szukając słów.

Kobieta uśmiechnęła się zachęcająco i powiedziała nieoczekiwanie:

— Znam pana. Kiedyś holografowano mnie dla pańskiego tygodnika, ale portret nie został opublikowany.

— Postaramy się to naprawić — powiedział Benew dziwiąc się radości, jaka go ogarnęła i jednocześnie złoszcząc się na samego siebie za to nie odnoszące się do sprawy, beztroskie uczucie. — Chciałbym się widzieć z profesorem Gromowem. Proszę o pół godziny rozmowy.

Kobieta zniknęła pozostawiwszy po sobie zwykły w komunikacji holograficznej, lekki zapach ozonu. Benew przeciągnął się, by natychmiast szybko opuścić ręce, bo kobieta pojawiła się znowu.

— Gromow jest bardzo zajęty — powiedziała. — Ma dla pana tylko dziesięć minut.

— Połączenia czy spotkania?

— Niestety, połączenia. — Kobieta znowu uśmiechnęła się sympatycznie i Benew pomyślał, że potem, gdy już będzie po wszystkim, zada to pytanie jej samej.

— Proszę poczekać, wkrótce się pojawi.

Kiedy zniknęła, Benew zaśmiał się cicho, potarł dłońmi policzki i ogarnięty zgrozą uprzytomnił sobie, że już całą dobę nie patrzył w lustro. Skierował się ku łazience, ale w tej samej chwili usłyszał za plecami melodyjny gong i odwróciwszy się, zobaczył koło ściany niskiego, nieco przygarbionego człowieka w staromodnej profesorskiej czapeczce, spod której wyglądała blada, o niezdrowym wyglądzie twarz.

— Witam pana, mój drogi! Bardzo się cieszę z naszego spotkania.

— Gromow! — z nieoczekiwaną serdecznością w głosie powiedział Benew. — Zuch z pana, jak zawsze. Niech się pan trzyma, księżycowy Bogu. Będzie mi pana brakowało, jeśli pan zachoruje.

Profesor roześmiał się i wytarł palcami kąciki oczu.

— Ach, ci dziennikarze, niby to cię komplementują, a tak naprawdę to wkładają do trumny.

— Proszę mi wybaczyć, tak dawno pana nie widziałem.

— Nie szkodzi, prawda ratuje przed paniką. W każdej sytuacji słyszy się: trzymaj się, pomożemy. Człowiek przyzwyczaja się i nawet w starości na to liczy, choć doskonale wie, iż w walce ze starością nikt mu nie pomoże. Trzymajcie się, radzi się starcom, i pomagajcie sobie, jak umiecie.

— A jednak zuch z pana. Jak zawsze rozbraja pan dwoma słowami.

— Cóż, będę zmuszony w ten sam sposób się uzbroić. Czasu mam rzeczywiście bardzo mało.

— W takim razie proszę mi odpowiedzieć tylko na jedno pytanie. Co pan sądzi o tym eksperymencie?

— Niczego sobie pytanie. — Gromow milczał gładząc biały, dokładnie wygolony podbródek. — Czy wie pan, o co tu chodzi?

— Ogólnie rzecz biorąc tak.

— Ludziom znudziło się palenie lamp na ulicach miast nocą i postanowili powiesić jedną lampę dla całego kosmosu. Przyciągnęli asteroid na odpowiednią orbitę i mają zamiar go wysadzić, by powstały w ten sposób obłok pyłów, coś w rodzaju ekranu, odbijał promienie słoneczne. Problem jednakże w tym — w jaki sposób go wysadzić? Ogromnie trudno jest obliczyć orbitę przyszłego obłoku. Wybuch jądrowy może zarówno zwiększyć, jak i zmniejszyć szybkość, a wtedy obłok albo na zawsze odpłynie od Ziemi, albo jak to określają moi koledzy, zasnuje pyłem przestrzeń wokół Ziemi. W celu uniknięcia błędu powzięto decyzję przeprowadzenia dwu wybuchów. Dwie rakiety podejdą do asteroidu jednocześnie z dwu przeciwległych stron, dokładnie pionowo w stosunku do orbity asteroidu. Obliczenia wykazują, że obłok pyłu zostanie w ten sposób zlokalizowany, a skierowane ku sobie wybuchy o jednakowej sile wzajemnie zniwelują przyspieszenie. Na tym polega techniczna istota eksperymentu. Nie wydaje się być szczególnie trudna, toteż cały ten szum wokół eksperymentu przypisać należy zaspokojeniu naszej ambicji: oto po raz pierwszy człowiek ingeruje w kosmogonię!

— Nie słyszę specjalnego zachwytu w pańskich słowach!

— Nie wiem, mój drogi, sam nie wiem. Jestem człowiekiem i nic co ludzkie nie jest mi obce. Gdy pomyślę, że nie będzie nocy, zaczynam wątpić. Czy nie zatęsknimy do ciemności?

— Przecież nie ma wyjścia. Ziemia jest niebezpiecznie przegrzana. — Benew uśmiechnął się. — Kiedyś ludzkość obawiała się głodu energetycznego, dziś nie wie, co począć z nadwyżkami energii.

— Nie przeczę. — Gromow rozłożył ręce. — Zaproponowano mi kierowanie eksperymentem i, jak pan wie, zgodziłem się, ale serca do tego nie mam. Będzie mi brakowało nocy, księżycowej poświaty na powierzchni morza, tajemniczych szeptów w cienistych parkach. Nie pojmuję, dlaczego nie protestują poeci? A zakochani? Gdzie podzieją się zakochani?

— Jest pan także poetą! — zdziwił się Benew. — Tego się nie spodziewałem.

— Dlaczego mnie pan obraża? — powiedział Gromow uśmiechając się ze smutkiem.

— Ja? Jakżebym mógł!

— Proszę wybaczyć. Uważam, że wątpienie w zdolność do przeżywania jest jednoznaczne z wątpieniem w możliwości intelektualne człowieka.

— To ja proszę p wybaczenie. Doprawdy, nie chciałem…

— Jeśli człowiek nie umie zaczytywać się wierszami, cierpieć i cieszyć się słuchając muzyki, to przyczyną tego jest defekt dziedziczny lub błąd w wychowaniu. — Profesor mówił w taki sposób, jak gdyby wypowiadane słowa sprawiały mu ból. — Świat wewnętrzny człowieka jest niepodzielny. Upośledzenie emocjonalne pociąga za sobą nieodwracalnie niedowład umysłowy.

— Proszę o wybaczenie…

— Ależ ja tylko tak, proszę nie brać tego do siebie. Czas na mnie. Mam nadzieję, że porozmawiam z panem po eksperymencie. Wie pan, szaloną przyjemność sprawia mi rozmowa z pojętnymi dziennikarzami, słowo daję. Nie krępują was kajdany hipotez i poglądów, jak moich uczonych kolegów, z łatwością przychodzi wam powiązanie tego, co według nas w żaden sposób powiązać się nie da. Macie wolność sądzenia, oto na czym polega wasza przewaga.

— I wada jednocześnie.

— I wada — zgodził się Gromow. — Każde zjawisko posiada swoje przeciwieństwo.

Pozostawszy sam, Benew długo stał przed żłobkowaną, świecącą szkliście —ścianą ekranu holograficznego wspominając profesora i jego słowa, ciągle na nowo przeżywając swoją niezręczność. A potem nieoczekiwanie dla samego siebie wywołał dyspozytornię. Ściana zniknęła i Benew znowu zobaczył przed sobą znajomą kobietę. Patrzyła na niego bez zdziwienia i bez poprzedniej kpiny.

— Gdzie pani będzie w czasie eksperymentu? — zapytał.

— Tam, gdzie i wszyscy — na tarasie widokowym.

— A może chciałaby pani popatrzeć na to z boku?

— Z panem? — zapytała po prostu.

— Ze mną.

— Tam nie będzie teleskopów i nie będziemy mogli zobaczyć nowego słońca.

— Niewielka strata, zobaczymy potem na ekranie.

— Zgoda — z prostotą powiedziała kobieta. — Za cztery godziny będę wolna.

— Jak pani na imię?

— Enna…

Znalazłszy się w garażu, Benew wybrał najmniejszy dwuosobowy pojazd z jedną kabiną, która nie była podzielona, jak to bywa zazwyczaj, na zamknięte przedziały. Jednakże robot kontrolujący wyjazdy zażądał włożenia skafandrów i bliskość, której tak bardzo pragnął Benew, przepadła. Enna siedziała obok, ale była tak samo daleka, jak i tam, na ekranie.

Jechali autostradą tak długo, aż srebrzyste zabudowania obserwatorium zniknęły zupełnie za ostrymi grzbietami gór, potem skręcili na księżycowy ugór i z szybkością dziesięciu kilometrów na godzinę powlekli się między kamiennymi głazami w poszukiwaniu malowniczego miejsca.

— Niech pan skręci za tę górę, tam będzie ładnie — powiedziała Enna.

— Pani już tu była? — zapytał czerwieniąc się.

— Byłam wszędzie. — Jak gdyby chcąc go uspokoić, położyła mu na kolanie rękę w ciężkiej rękawicy i Benewowi wydawało się, że poczuł jej ciepło przez gruby, wielowarstwowy plastyk skafandra.

— Jeśli podczas spotkania dwojga ludzi zdarza się cud, to pamięta się to przez całe życie — powiedział.

— A jeśli spotkanie zdarzyło się dzięki cudowi?

— To bez znaczenia. Pamięć ma swoje prawa. Enna uśmiechnęła się oczami zalotnie.

— I co z tego wynika?

— Jeszcze nie wiem. A pani wie? Pokręciła głową i posmutniała.

Zaparkowawszy pojazd koło skały poszli po księżycowym pyle, zostawiając głębokie ślady. Szło się ciężko. Benew przystanął, machinalnie podniósł rękę, by wytrzeć pot i zaśmiał się dotknąwszy przeźroczystego plastyku hełmu.

— Niech pan skacze, będzie lżej.

Enna podskoczyła w pyle odwracając się do niego i uśmiechając zachęcająco. Spróbowawszy zrozumiał, że tak jest rzeczywiście łatwiej. Trzymając się za ręce, zaczęli skakać śmiejąc się jak dzieci, ciesząc się, że ten śmiech i to zabawne skakanie ręka w rękę zbliżają ich jeszcze bardziej.

Z tarasu góry, na której się znaleźli, rozpościerała się szeroka panorama księżycowego płaskowyżu. Wszystko było jednakowe w tym królestwie światłocienia, pozbawionym ziemskich barw, cieszącej oko mozaiki kolorów. A jednak surowość tego pejzażu zniewalała. Nieruchomy pierwotny chaos, jakby zaczarowany milczeniem, wydawał się być obrazem genialnego artysty, albo tajemniczym zwidem z dziecięcych snów, zrodzonym przez jakąś starą, czarodziejską baśń o królestwie królowej śniegu. Benew widział księżycowe pejzaże wielokrotnie, ale nigdy jeszcze nie był tak wzruszony. Być może działo się tak za przyczyną mającego nastąpić cudu, który lada moment zabłyśnie na gwiezdnym niebie? A może?… Popatrzył na swą towarzyszkę i zachwycił się. Wysmukła nawet w skafandrze, przypominała rzeźbę wznoszącą się wśród chaosu kamieni na podobieństwo wyzwania rzuconego ślepej przyrodzie. Z podniesioną głową patrzyła na ogromny, zamglony dysk Ziemi i uśmiechała się do siebie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się w przeźroczystej powłoce hełmu i wydawało się, że wokół miękkiego, wschodniego profilu Enny jaśniał srebrzysty nimb.

— Czy pani wie, gdzie to będzie?

— Zdaje się, że w tym gwiazdozbiorze. — Miękko uniosła rękę wskazując gdzieś w kierunku górskich szczytów płonących w zachodzącym słońcu.

— Troszkę wyżej. — Objąwszy ją ramieniem, Benew wskazał ledwie dostrzegalną iskierkę zagubioną wśród miriadów gwiazd, które przypominały wyczyszczone do blasku główki gwoździ wbitych w czarny atłas. Nie zdjął ręki z jej ramienia. Zapomniawszy o wszystkim patrzył w przestrzeń w oczekiwaniu na obiecany cud.

— Jeszcze minuta. Teraz!

W czarnej pustce oślepiającym blaskiem wybuchnęła nagle nowa gwiazdeczka i w przeciwieństwie do swych nieruchomych sąsiadek poruszyła się w pustce, jak gdyby moszcząc się wygodnie na nowym miejscu. Jej oślepiający blask nie osłabł bynajmniej, jak tego oczekiwał Benew, lecz ciągle potęgował się i już po kwadransie zaćmił wszystkie gwiazdy na nieboskłonie. Słońce zgasło za górami i teraz tylko blade światło Ziemi oświetlało płaskowyż.

— Za dwa tygodnie światło tej gwiazdki konkurować będzie ze światłem Ziemi — powiedział Benew,

Enna nie odpowiedziała, stała ciągle bez ruchu i patrzyła na żarzący się w przestrzeni żywy węgielek zapalony przez ludzi.

— Obłok pyłu rozprzestrzeni się na setki tysięcy kilometrów, będzie krążył po własnej orbicie wokół Słońca i zawsze znajdował się będzie po ciemnej stronie Ziemi. Wyobrażasz to sobie? Zachodzi Słońce i w tej samej chwili zapala się nasza sztuczna lampa…

Benewowi wydało się, że Enna go nie słuchała. Pogładził ją po ramieniu i ujrzał, jak zamknęła oczy z ufnością chyląc głowę w jego stronę. On także zwrócił się ku niej i drgnął usłyszawszy suchy trzask uderzenia hełmu o hełm. Teraz widział twarz Enny zupełnie blisko, widział nawet, jak drżą jej rzęsy. Oglądał je milimetr po milimetrze i cierpiał z powodu niemożności dotknięcia ich.

Nagle zaśmiał się bezgłośnie. Enna z przestrachem otworzyła oczy.

— O czym pomyślałeś? — zapytała zaskoczonego Benewa. Po raz pierwszy dane mu było poznać potęgę kobiecej, prawie nienaturalnej intuicji.

— Nic mądrego.

— Powiedz — zażądała.

— Naprawdę bzdura.

— Proszę. To bardzo ważne.

— Wiesz, wydało mi się dziwne, że kosmonauci mają dzieci…

Benew myślał, że Enna rozgniewa się, ale tylko spuściła oczy. Po chwili jednak znowu zwróciła je ku żywej, sztucznej gwieździe na niebie.

— Rośnie! — zakrzyknęła w zachwycie.

— I będzie rosła nadal. — Benew nigdy w życiu nie odczuwał takiej radości. W pewnej chwili przyszła mu na myśl starożytna maksyma o próbie wierności i zapytał: — Enno, czy poleciałabyś ze mną do gwiazd?

— Nie wiem — odpowiedziała ze śmiechem.

Nie uwierzył słowom. Więcej powiedziały mu jej oczy, które rozbłysły nagle i jak gdyby się rozmarzyły…

Nie spieszyli się z powrotem. Wziąwszy się za ręce skakali po uginającym się miękko pod ich stopami pyle. Ukryci pod twardymi przeźroczystymi hełmami stali przez długie chwile, wciąż nie mając ochoty pożegnać tych gór, które wydawały się im tak nieprawdopodobnie piękne. A gdy już znaleźli się na autostradzie, pomknęli z taką szybkością, że automat zmuszony był włączyć mechanizm ograniczenia…

— Kiedy się zobaczymy? — pytał Benew w godzinę później, z , radością ściskając żywą, miękką rękę Enny stojącej przed nim w swojej złocistej, kolorowej sukience. (W księżycowym, białoszarym świecie ludzie ubierali się bardzo jaskrawo).

— Za sześć godzin.

— Dopiero?

— To bez znaczenia, mój drogi, mamy przed sobą wieczność.

Oddaliła się uśmiechnięta składając elegancki ukłon, przyjacielski i oficjalny zarazem.

Trochę obrażony Benew poszedł do swego „praktykanckiego” mieszkania powziąwszy twarde postanowienie wyspania się, by za sześć godzin zjawić się przed Enną. Postanowił być powściągliwy i w miarę możliwości spokojny. Mimo starań, nie mógł usnąć. Nie pomogły koktajle uspokajające i przymilne szepty elektrosnu. Ciągle widział przed sobą miękki profil1 w aureoli świecącego hełmu, długie, drżące rzęsy i smukłą, srebrzystą postać na tle kamiennego chaosu. W myślach prosił ją usilnie, by się odwróciła. Odwróciła się, by nieoczekiwanie przemówić głosem Rujka.

— Uwo, obudź się wreszcie, Uwo, zawiodłem cię. Otworzywszy oczy, Benew ujrzał swego kolegę z plikiem płytek holograficznych w ręku.

— Nie udało się — z poczuciem winy w głosie skarżył się Rujk. — Aparatura zawiodła.

— W porządku — powiedział Benew szybko przejrzawszy płytki. Ciągle nie rozumiał, co właściwie się nie udało. — Trudno.

— Trudno? Fotografowałem gwiazdę, a wyszedł jakiś obwarzanek.

— Może tak miało być?

— Jak to miało być? Spróbuj opublikować ten obłok z dziurką, a wyśmieją cię bezlitośnie.

— Chodzi mi o to, że to nie aparatura, że obłok taki właśnie jest.

— Z jakiej racji taki? — Rujk zamyślił się. — Diabli wiedzą, pójdę popatrzeć.

Powrócił szybko.

— Co się tam dzieje, co się dzieje! — już od progu wrzasnął Rujk. — Rzeczywiście, zamiast bułki wyszedł obwarzanek. Mówią, że Gromow łapie się za głowę.

— Nie gadaj! — Benew znał skłonność Rujka do „przesady na bazie fascynacji” i nie uwierzył.

Obojętny zazwyczaj na żarty ze swojej osoby, tym razem Rujk się obraził:

— Idź i zobacz. Wezwę dyspozytora, jeśli chcesz.

— Nie trzeba! — przeraził się Benew i wyskoczywszy z łóżka podszedł do ściany—ekranu.

— Wyszło nie tak, nie tak, jak przewidywali. Słowo daję, podobno nawet Gromow stracił głowę.

Taki upór był dla Rujka nietypowy, toteż Benew zaczął się ubierać, by dobrze wyglądać w chwili pojawienia się dyżurnej.

Dyspozytorem okazała się zupełnie inna kobieta, która oznajmiła chłodno, że Gromow przebywa w wieży głównego teleskopu, jest bardzo zajęty i prosił o niełączenie go z nikim.

„To znaczy, że naprawdę coś się stało” — pomyślał Benew i postanowił sam udać się do wieży, ażeby w razie potrzeby być bliżej Gromowa.

Zastał profesora maleńkiego, zgarbionego, pod ogromnym jak góra teleskopem. Cicho siadł z boku i zaczął go obserwować. Przed Gromowem jaskrawo palił się ekran, na którym wyświetlany był obraz zogniskowany w teleskopie. Na ekranie chybotał, żył, przelewał się jak galaretowata meduza oślepiający pierścień z czarnym jak węgiel środkiem. Nie odrywając oczu profesor patrzył na ten pierścień i węzłowatymi palcami gładził swą błyszczącą łysinę, która jak kopuła wznosiła się nad posiwiałymi skroniami. Po chwili profesor podniósł się tak ciężko, jak gdyby dźwignął ciężar i powłócząc nogami podszedł do pulpitu łączności. Poszukał palcem odpowiedniego przycisku. Ściana pojaśniała i pojawiły się na niej rubinowe oczy mózgu elektronowego.

— Pierścień ciągle rośnie — powiedział profesor.

— Tak być powinno — miękkim, beznamiętnym głosem odpowiedział głośnik.

— Teraz i ja wiem, że tak być powinno, ale dlaczego nie uprzedziłeś nas o takiej możliwości?

— Nie pytano mnie o to — tak samo beznamiętnie odrzekł głos.

— Ty jednak wiedziałeś, że może się to zdarzyć?

— Margines możliwości był prawie bez znaczenia i nie pytano mnie o to.

— Powinieneś był powiedzieć wszystko.

— Powiedziałem o wszystkim, co was interesowało.

— Maszyna jest tylko maszyną — rzekł Gromow z irytacją. — Wszystko podstawiaj jej pod nos.

Ręka znowu poruszyła się na pulpicie i ściana znowu przestała istnieć. Zamiast niej pojawił się dobrze znany Benewowi gabinet Prezydenta Wszechświatowej Rady Uczonych. Prezydent mówił coś szybko patrząc wprost przed siebie. Ale oto odwrócił się i z niepokojem popatrzył na Gromowa.

— Co postanowiłeś? — zapytał.

— Ja nawarzyłem tego piwa i ja powinienem je wypić.

— Najpierw wyślemy automaty…

— Automat niczego nie załatwi! — nieoczekiwanie głośno zakrzyknął profesor. — Bez człowieka w nieprzewidzianej sytuacji będzie tylko genialnym głupcem. Im genialniej, tym gorzej. A poza tym nie ma czasu na nowe eksperymenty.

— Będziemy wszystko kontrolować.

—— Kontrolować można, ale polecę ja sam. To mój obowiązek i moje prawo!

— Pomyśl jeszcze, nie spiesz się — powiedział Prezydent. — Połączę się z tobą za godzinę.

Gromow raz jeszcze spojrzał na ekran teleskopu i odwróciwszy się zobaczył siedzącego przy drzwiach Benewa.

— Nie mam czasu dla pana, mój drogi — powiedział ze skargą w głosie.

— Przyszedłem, by pomóc, a nie przeszkadzać.

— Nikt nie jest w stanie pomóc. Nawet ten czerwonooki — ze złością wskazał na pulpit mózgu elektronowego — niczego nie obiecuje.

— Co się stało?

— Co się stało? — Gromow wytrzeszczył oczy. — Nikt pana nie poinformował?

— Z nikim nie rozmawiałem, natychmiast przyszedłem do pana.

— No tak, mój drogi, stało się to, czego nie przewidzieliśmy.

— Eksperyment nie powiódł się?

— Powiódł się nad podziw. Powiedziałbym nawet, że żaden z eksperymentów przeprowadzonych kiedykolwiek przez ludzi, nie zakończył się tak wybitnym odkryciem. I taką straszną katastrofą.

— Mówić tak do dziennikarza, to jakby bykowi pokazywać czerwoną szmatę — uśmiechnął się Benew.

— Niestety, mój drogi, sytuacja jest znacznie bardziej poważna, niż może pan to sobie wyobrazić. W rezultacie dwóch jednoczesnych, silnych wybuchów powstała super–gęsta materia o stanie skupienia, który znamy jedynie teoretycznie. Inaczej mówiąc stworzyliśmy najprawdopodobniej „czarną dziurę".

Zamilkł pytająco patrząc na Benewa, który siedział tak samo spokojnie jak przedtem.

— Nic to panu nie mówi?

— Moim zdaniem nic złego się nie stało. Nareszcie będziemy mogli rozwiązać problem odpadów.

— I tym samym zwiększać jej pole grawitacyjne?

— W każdym razie mamy możliwość zbadania tego fenomenu kosmicznego.

— Nie, nie mamy. Będzie rosła niezależnie od nas połykając pył kosmiczny, meteoryty, promieniowanie energetyczne. Poza tym nie wiemy, kiedy ta diabelska dziura osiągnie atmosferę ziemską. Czy rozumie pan, czym to grozi?

— W takim razie trzeba ją wysadzić! — krzyknął Benew.

— Czy próbował pan gasić pożar benzyną? — z powagą zapytał Gromow. Pytanie pozbawione było nawet cienia ironii i Benew zrozumiał, że ludzkość znalazła się nad przepaścią.

— Co robić? — zapytał przejęty.

— Jest jedna szansa. I chcę z niej skorzystać. Wylatuję za cztery godziny.

— Dokąd?

— Tam — wskazał ekran teleskopu, na którym niezmiennie drżał ognisty pierścień. — Odprowadzi mnie pan?…

Benew wszedł do centralnej sali obserwatorium, nad którą wznosiła się przeźroczysta kopuła i zatrzymał się przy wejściu. Salę wypełniał tłum ludzi. Stali grupkami, głośno rozmawiali, a nawet sprzeczali się od czasu do czasu spoglądając w górę, gdzie zaćmiewając gwiazdy wisiało niezwykłe ciało niebieskie.

— Już takie duże? — powiedział Benew do nikogo konkretnie się nie zwracając. I choć nie wymienił nazwy tego, o co pytał, został zrozumiany i paru ludzi zwróciło się w jego stronę. Jak gdyby uradowani z możliwości wypowiedzenia się, zaczęli mówić przerywając sobie nawzajem.

— Sama w sobie „czarna dziura" jest mała.

— Tak, ale posiada silne pole grawitacyjne.

— Znajduje się w samym centrum, a pierścień to coś materialnego, co nie wiadomo dlaczego roztopiło się, by następnie utonąć w „czarnej dziurze"…

— Zastanawiające — Benew nie mógł się powstrzymać od wyrażenia typowego dla niego sceptycyzmu. — Dlaczego widoczny jest pierścień, a nie kula? Przecież to „materialne", co znajduje się wokół centrum, otacza je ze wszystkich stron?

Miał zamiar zaskoczyć ich tym pytaniem, ale zebrani, pochłonięci bez reszty pragnieniem mówienia o tym, co ich zaprzątało, uchwycili się tej wątpliwości i Benew stał się niechcący centrum zainteresowania jeszcze jednej grupki dyskutantów. Otoczyli go i każdy na swój sposób zaczął wyjaśniać niezrozumiałe zjawisko. Dowodzili, że to bardzo proste: skoro widzimy światło, to znaczy, że postrzegamy je przez kontrast do absolutnie czarnego centrum, że istota świecenia nie jest znana i nikt w całym obserwatorium nie jest w stanie jej określić. Natomiast obecność pierścienia nikogo nie dziwiła, jako że w kosmogonii wiele jest takich zjawisk: planety krążą

wokół Słońca na jednej płaszczyźnie, a same galaktyki to przecież nie kule, a płaskie skupiska gwiazd… Benew natomiast z dziennikarskiego przyzwyczajenia do uogólnień myślał w tym czasie bynajmniej nie o gwiazdach. Myślał, że oto i on sam ze swoimi pytaniami stał się punktem przyciągania na podobieństwo ziarenka piasku tworzącego kryształ w przesyconym roztworze, że — kto wie? — od tego oczywistego, ziemskiego zjawiska nie tak daleko już do praw wszechświata?…

A nad przeźroczystą kopułą obojętnie świeciły miriady gwiazd i błyszczał, drżał na wysokości biały pierścień — ognista świta strasznego demona, przypadkowo stworzonego przez ludzi.

Benew wydostał się z tłumu, który nie ustawał w sporach i nie zauważył nawet jego zniknięcia. Poszedł do siebie. Otworzywszy drzwi zobaczył Ennę siedzącą przy pulpicie łączności.

— Nie mogłam cię nigdzie znaleźć — powiedziała z trwogą w głosie.

Patrzył na nią bez słowa.

— Enno — powiedział wreszcie — wkrótce wyruszam do kosmoportu. Z profesorem Gromowem.

— Dlaczego właśnie ty? — zaniepokoiła się.

— Prosił mnie o to.

— Nie mógł cię o to prosić.

— Dlaczego nie? — Benew spojrzał na nią zdziwiony.

— Uwo. — Po raz pierwszy wymówiła jego imię i zaczerwieniła się. Nie spuściła jednak oczu. — Pamiętasz, powiedziałam ci, że nie wiem. To nie była prawda. Chciałabym polecieć z tobą do gwiazd.

Ukląkł, położył głowę na jej kolanach. W kącie postukiwał, szeleścił „regulator emocji” usiłując odgadnąć, jakie dźwięki i zapachy będą w stanie osłabić napięcie nerwowe wypełniające pokój. Nie potrafiliby określić, ile czasu trwali tak ze sobą.

Trzy minuty? Trzy godziny? Ocknęli się, gdy słabo zadźwięczał gong i za pulpitem łączności pojawiła się zmęczona twarz profesora…

Gromow oczekiwał Benewa w dużym pojeździe ekspedycyjnym. Obok niego siedziały dwa roboty położywszy manipulatory na kontenerach tytanowych, jak gdyby należało je przed kimśchronić.

— Na jak długo pan leci? — zapytał Benew.

— Obawiam się, że na zawsze — odrzekł Gromow zerkając nieprzyjaźnie na Ennę. — Dlatego chciałem, by pan mnie odprowadził.

— Ja także pojadę — Enna powiedziała to tak zdecydowanie, że Gromow tylko machnął ręką.

Przy wyjeździe z miasta spostrzegli Rujka stojącego na drodze z długim obiektywem w ręku. Obiektyw przypominał miotacz promieni używany przez pilotów gwiezdnych.

— Zapomnieliście o mnie — powiedział po prostu.

Benew dał mu znak, by jak najprędzej zajął miejsce w sekcji rufowej. Pojazd zerwał się z miejsca i pomknął po pustej autostradzie, która znikała— daleko przed nimi w ciemnej ścianie gór.

— Sprawa wygląda następująco. — Opadłszy na fotel Gromow podniósł głowę i spojrzał na jaśniejący na gwiaździstym niebie pierścień. — Szansę są takie: należy jak najprędzej spróbować ściągnąć „czarną dziurę” ze stałej orbity. Obliczenia wykazują, że istnieje możliwość zbliżenia się do niej na pewną bezpieczną odległość. Naturalnie, dziura przyciągnie statek do siebie, a on będzie przez cały czas lecieć przed nią, jak gdyby chcąc uciec. Jest nadzieja, że w tej sytuacji jej szybkość na orbicie może— wzrosnąć i dziura zacznie się oddalać. Jasne?

— Nie — powiedział Benew. — Dlaczego tak skomplikowany problem rozwiązuje tylko pan?

— Wszystkich to teraz zaprząta. Należy jednak śpieszyć, póki „czarne ciało” jest niewielkie. I należy badać je z bliska. Jeśli jest ktoś, kto powinien lecieć jako pierwszy, to jestem nim ja.

— A potem?
— Kiedy „potem”?
— Jeśli uda się uprowadzić „czarne ciało”?
— W jaki sposób? W systemie słonecznym nie można go zostawić.
Benew zrozumiał nagle, że to nie będzie zwykły eksperyment mający początek i koniec, lecz trudna, niebezpieczna i długa praca trwająca być może wiele lat.
— A gdyby tak przyciągnąć je do Słońca, wrzucić w ogień.
— Skąd możemy wiedzieć, co się stanie wtedy ze Słońcem.
— To przecież straszne! — wyrwało mu się.
— Właśnie tak — powiedział Gromow. — Potem, być może, poprowadzą go statki—automaty. Nie mogę jednakże powierzać maszynie pierwszej próby. A poza tym, powtarzam, trzeba się spieszyć. „Czarny demon” będzie rósł…
Przed nimi pojawiły się srebrzyste instalacje rakietodromu, znad których, jak księżycowy szczyt, wyrastał statek kosmiczny.
— Kiedy zdążono go przygotować? — spytał Benew.
— Statek był przeznaczony dla dalekiej ekspedycji. Nalegałem, by mi go oddano.
— Poleci pan sam?
— Ryzyko jest zbyt wielkie.
— Polecę z panem — nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział Benew.
Gromow uśmiechnął się łagodnie.
— Dziękuję panu, mój drogi, ale to tylko moja sprawa.
— W tej chwili jest to sprawa nas wszystkich.
— Poza tym w niczym nie może mi pan pomóc.
— Nie będzie pan sam. Czy to nie pomoc?
— Dziękuję. Ma pan teraz komu pomagać. — Z sympatią spojrzał na Ennę.
— Polecę „Z panem — powtórzył Benew.
— Ja także — powiedziała nagle Enna pobladłszy z emocji.
— Niewykluczone, że nie będziemy mogli wrócić.
— Zrozumiałem to.
— No i co z tego — z uporem odrzekła Enna.
W innej chwili to nieco prostackie odezwanie się mogłoby ich rozśmieszyć, ale patrząc na nią Benew i Gromow zrozumieli, że Enna bynajmniej nie żartuje, że jej decyzja nie jest wynikiem bezmyślnego porywu, lecz w pełni świadomym, —przemyślanym krokiem.
— A co będzie, gdy przyjdą dzieci? — zapytał Gromow. — I będą musiały wzrastać w świecie znajdującym się na granicy zagłady?
— Każdy daleki lot ociera się o śmierć.
— Nie wiemy, co nas czeka.
— Dowiemy się…
Pojazd zbliżył się do trapu otoczonego przez roboty obsługujące rakietodrom.
— Nikt pana nie odprowadza? — zdziwił się Benew.
— Prosiłem o to. Ten, kto ma ochotę, może nas widzieć.
Odwrócił się i pomachał ręką w kierunku słabo świecących na masztach, wypukłych oczu systemu Wszechwizji.
— Wiecie, czego teraz żałuję? — powiedział. — Że nie mam władzy, jak moi dalecy przodkowie, by odmówić wam prawa wejścia na pokład.
— Nie mogę pozwolić, by poleciał pan sam.
— Szkoda Enny…

— Mnie? — zdziwiła się Enna. — Jestem taka szczęśliwa! Śmiejąc się wszyscy troje doszli do luku wejściowego. Benew obserwował przez iluminator, jak przeganiając pojazd odleciały daleko od rakiety czarne pająki—roboty. W minutę później ciemne kolosy gór zachwiały się i zaczęły zapadać w różne strony. Potem nastąpił w dole jaskrawy wybuch — to ruszyły główne silniki statku. Przez moment oświetlały cały rakietodrom, pokryły srebrnym pancerzem przestrzenie kamiennej pustyni i jak gdyby narysowały na górskich pasmach czarne szczeliny, urwiska, zygzaki odludnych wąwozów. Po raz ostatni pochwycił wzrokiem rozlany kleks cienia pojazdu księżycowego, który z maksymalną szybkością mknął po pustej autostradzie i przypomniał sobie nagle swego wiernego kolegę. Zapewne niczego nie zrozumiał i siedział teraz w hermetycznej kabinie łunochodu.

— Żałuję, że nie pożegnałem się z Rujkiem — pomyślał głośno.

— Jeszcze zdążysz — odezwał się ktoś za jego plecami. Odwróciwszy się na ten głos, Benew ujrzał swojego Rujka w fotelu obok. Przez chwilę patrzył nań w oszołomieniu drżąc na myśl, że ten znalazł się na statku wiedziony li tylko swą zwykłą przebiegłością i zupełnie nie miał „pojęcia o tym, dokąd i w jakim celu lecą.

— Ty …tutaj? — wyrzekł z trudem.

— Tak jak i ty. Chciałeś się mnie pozbyć. Nic z tego.

— Czy zdajesz sobie sprawę… dokąd lecimy?

— Dowiem się. Nie po raz pierwszy zdarza mi się, że najpierw fotografuję, a potem dopiero wyjaśniam, co właściwie sfotografowałem.

Ciągle uśmiechając się przerażony Benew patrzył na niego i milczał. Wiedział, że powrót jest niemożliwy, ale wiedział też, że nie można zostawiać na pokładzie człowieka, który nie jest świadomy swego czynu i grożącego ryzyka.

— Powinienem ci… wyjaśnić pewne rzeczy. Odpowiadam za ciebie…

— Przed kim? — zdziwił się Rujk.

— Przed samym sobą.

— Każdy człowiek odpowiada za każdego człowieka przed samym sobą.

— Ten przypadek należy do wyjątkowych. Ty przecież nie wiesz, że nigdy nie wrócimy.

— A gdzież się podziejemy? Przecież nie jest to statek międzygwiezdny.

— To statek w nieznane. Słuchaj i nie przerywaj. Zaczął dokładnie opowiadać mu o „czarnej dziurze", o decyzji profesora Gromowa, by pierwszemu zbliżyć się do niej, o tym, że wyprawa może zakończyć się niepowodzeniem i wtedy statek po prostu spłonie w ognistym pierścieniu zmieniając stan skupienia i przekształcając się w nicość. Mówił o tym, że nadzieja na powrót jest bardzo nikła, ponieważ system „statek–czarna dziura" w najlepszym przypadku określi się jako constans i że najprawdopodobniej nie uda się im wyrwać z grawitacyjnych łap czarnego potwora…

— Cóż — przerwał mu Rujk. — Będę pierwszym reporterem przy „czarnej dziurze"…

Cichy, melodyjny gong usłyszeli zupełnie wyraźnie, mimo szumu silników. Zaświeciła się przegródka w głębi sekcji i ukazała się, nieco zniekształcona przez przyspieszenie, zaniepokojona twarz profesora Gromowa.

— Proszę wybaczyć, profesorze, że tak się stało — w poczuciu winy powiedział Benew wskazując Rujka.

— Skoro tak się stało, to lepiej będzie, jeśli uświadomimy sobie wszystko do końca — odrzekł z gniewem Gromow. — Jeszcze nie jest za późno, by poświęcić kapsułę ratowniczą i wyrzucić was w kosmos. W chwili, gdy zbliżymy się już do pierścienia, będzie za późno. Wtedy najprawdopodobniej nie tylko, że nie będziemy mogli skorzystać z kapsuły ratowniczej, ale nie będziemy w stanie zawiadomić o tym Ziemi. Nie jestem pewien, czy w warunkach silnych anomalii grawitacyjnych uda nam się utrzymać łączność z Ziemią. Najbardziej prawdopodobne

jest to, że dla ludzi przestaniemy istnieć i o tym, czy żyjemy i walczymy dalej z „czarnym diabłem” będą wiedzieli tylko pośrednio śledząc zmiany jego orbity. Tak myślę.

— Nie ma sytuacji bez wyjścia — naiwnie zauważył Rujk.

— Niestety, zdarzają się.

— Przecież Ziemia jest tuż obok, a na niej cały uczony świat. Oni coś wymyślą.

Gromow popatrzył na niego z Uwagą.

— Chciałbym mieć tę nadzieję. Kiedyś nawet marzyli o tym, by mieć pod bokiem ,,czarną dziurę” i w ten sposób za jednym zamachem rozwiązać dwa najważniejsze problemy — energetyczny i problem odpadów. Przyzwyczajony jestem jednak do tego, by brać pod uwagę tę gorszą ewentualność.

Umilkł przenosząc zachmurzony wzrok z Benewa na Rujka i z powrotem. Miarowo pracowały silniki, wibracja była ledwie wyczuwalna przez grube podeszwy skafandrów i powietrzne amortyzatory foteli. Jasna krawędź Księżyca wisiała pod iluminatorem, zapadała się powoli.

— A najgorsze jest to — z okrutną surowością w głosie kontynuował Gromow — że będzie pan się musiał rozstać z marzeniem o pierwszym reportażu znad „czarnej dziury”. Nie będzie pan mógł przesłać tych zdjęć, jeśli w ogóle będzie ich można dokonać.

— Szkoda.

— Jeśli tak, to niech pan odejdzie jak najszybciej.

— Szkoda — powtórzył Rujk — szkoda, że nie zabrałem swoich aparatów. Jakich wspaniałych zdjęć bym wam narobił!

Przełożyła Barbara Stepczyńska

Jurij Tupicyn

PLANETA WESOŁKÓW

1

W dziewięćdziesiątym szóstym dniu codziennych poszukiwań zdarzył się wreszcie ów przypadek, w oczekiwaniu na który kosmonauci cierpią nudę i niewygody życia patrolowego. Podczas kolejnej wachty nawigator Klim Zdań namierzył działającą radiostację na trzeciej planecie żółtego karła Ż–II–23.

— Zawsze wierzyłem, że to się kiedyś stanie! — z podnieceniem mówił Klim.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Krążył nerwowo po mesie, mierzwiąc swoje sztywne, czarne włosy i od czasu do czasu siadając to na kanapie, to na poręczy fotela, to wręcz na brzegu stołu.

— Teraz przejdziemy do historii. Iwan Łobow, Klim Żdan i Aleksy Kronin odkryli nową cywilizację!

Po jakimś czasie zajrzał do kabiny nawigacyjnej i z niecierpliwością w głosie spytał:

— Iwan, kiedy wreszcie zmienimy kurs?

— Jak namierzymy następną audycję — odpowiedział Łobow nie odrywając się od pracy.

— Czy jeden namiar nie wystarczy?

— Mogłeś się omylić.

— Ja?! Bzdura! — obruszył się nawigator. — A jeśli następnej audycji nie będzie?

— Wtedy pomyślimy, co robić.

Klim z rozdrażnieniem chrząknął, przez chwilę stał patrząc ze złością na kark Łobowa, po czym wrócił do mesy. Z rozmachem rzucił się na fotel i zamyślił się. Wyraz irytacji stopniowo znikał z jego twarzy.

— Jeśli ich język jest tak podobny do ziemskiego, dlaczego nie mogliby być antropoidami? — zwrócił się do inżyniera.

— To już byłby zbyt wielki sukces.

Pod koniec drugiej godziny oczekiwań z tej samej planety namierzono jeszcze jedną audycję radiową. Trwała dłużej niż pierwsza i zawierała nie tylko mowę, lecz i muzykę, która nawet jak na ziemski gust brzmiała lekko, rytmicznie i dała się słuchać z przyjemnością.

— Przecież mówiłem, że są antropoidami! — tryumfował Klim.

— Nie śpiesz się z wyciąganiem wniosków — ostudził jego zapał Kronin. — Znałem dość dobrze pewnego mówcę, który świetnie mówił po hiszpańsku. Nie był jednak antropoidem.

W odpowiedzi na niedowierzające spojrzenie Kronin niewzruszonym tonem wyjaśnił:

— Nazywał się Lampi. Przemiłe stworzenie z gatunku papug.

— Nie rozumiem, jak możesz żartować w takiej chwili?!

Łobow nie brał udziału w sporze. Był zajęty zestawianiem danych z obu namiarów. Po dwukrotnym sprawdzeniu wszystkich obliczeń i braku istotnych różnic wydał wreszcie rozkaz zmiany kursu statku. „Tornado” wykonało ten trudny manewr, wymagający całej mocy silników głównego napędu, i skierowało się ku planecie.

Liczba odbieranych audycji radiowych rosła z godziny na godzinę, a na trzecią dobę lotu nowym kursem pojawiły się nawet obrazy telewizyjne. Były to prymitywne, czarno—białe obrazki, rozłożone zaledwie na pięćset czterdzieści linii. Audycje telewizyjne były bardzo niedoskonałe i zniekształcone zakłóceniami, ich treści można się było tylko domyślać. Lecz oto udało się odebrać kilka wyraźnych kadrów. Na ekranie poruszały się obnażone— istoty, a

właściwie nie istoty, lecz tacy sami ludzie jak kosmonauci. Wyglądało na to, że nieznajomi zajęci są jakimś sportem. Tak więc znikły wszelkie wątpliwości. Statek zbliżał się do planety zamieszkałej przez antropoidów! To było epokowe odkrycie! Klim tryumfował tak, jak gdyby to on ich stworzył.

Od chwili odebrania pierwszych audycji pokładowa aparatura lingwistyczna pracowała z całą mocą. Połączenie mowy, obrazów i napisów wyjaśniających stworzyło dla niej prawie idealne warunki. W krótkim czasie udało się określić fonetykę języka, zrozumieć jego morfologię i składnię. Szybko rósł również słownik, a gdy przekroczył pierwszy tysiąc—słów, do studiów nad językiem włączyli się kosmonauci. Pracowali pełną parą: w ciągu dnia studiowali gramatykę i trenowali mowę potoczną, w nocy zaś z pomocą hipnopedów uzupełniali słownik. Wyjaśniło się szybko, że planeta, na którą leciał statek, nosi piękne imię Ula, a jej mieszkańcy nazywają siebie Illenami.

Jednocześnie ze studiami nad językiem kosmonauci starali się zrozumieć biologię i stosunki społeczne Illenów, lecz tu zetknęli się z nieoczekiwaną i nieco zabawną przeszkodą. Odbierana informacja miała interesującą cechę szczególną, która niczym gęsta mgła przesłaniała zarówno szczegóły, jak i istotę życia Illenów. Dopóki zapas słów u kosmonautów był niewielki, a przez to przekład przybliżony, owa cecha niezbyt rzucała się w oczy. W miarę jednak jak opanowywali język i zaznajamiali się z życiem codziennym Illenów, zaczęła się zarysowywać coraz jaśniej i wyraźniej. Wszystkie audycje radiowe i telewizyjne, które udawało im się odebrać, miały charakter żartobliwy, humorystyczny, rozrywkowy! Składały się na nie muzyka lekka, reportaże z różnych zawodów, wesołe przedstawienia, przypominające ziemską operetkę, opowieści przygodowe z humorystycznym zabarwieniem… Poważnej informacji nie było wcale. Jedyny wyjątek stanowiły szczegółowe komunikaty i prognozy pogody, nadawane z godną zazdrości regularnością sześć razy na dobę, która, nawiasem mówiąc, liczyła sobie koło dwudziestu godzin ziemskich. Z początku wszystko to bawiło, a nawet cieszyło kosmonautów — z audycji wyłaniał się obraz Illenów jako miłego, dobrodusznego narodu, z którym kontakty będą lekkie i niewymuszone. Lecz mijał dzień za dniem, a prócz zabawy z illeńskich audycji nie udawało się nic wydobyć. Tak samo jak na początku znajomości, kosmonauci pozostawali w pełnej niewiedzy co do illeńskiej nauki, techniki, struktury społeczeństwa, a nawet stosunków obyczajowych i rodzinnych. Humor dobrze ukrywał tajemnice tej dziwnej cywilizacji!

— Może teraz obchodzą święto całej planety? — wysunął hipotezę Klim.

— Święto trwające cały tydzień bez przerwy? — z powątpiewaniem rzekł Łobow.

— A czemu nie? — poparł nawigatora Kronin. — Przypomnij sobie nasze olimpiady. Czy na ich podstawie można sobie wyrobić prawdziwy i pełny obraz życia Ziemi?

Łobow wzruszył ramionami, lecz dalej nie nalegał.

Minął jeszcze tydzień, żółty karzeł Ż–II–23 zamienił się w najjaśniejszą gwiazdę na czarnym firmamencie, na Uli zaś nic się nie zmieniło — planeta nadal bawiła się bez wytchnienia.

— Jeśli to ma być święto — stwierdził Aleksy Kronin — to trzeba przyznać, że porządnie się przeciągnęło. Przemili ludzie, ci niebianie.

— To jakiś pogodny idiotyzm na skalę planetarną! — wybuchnął Klim.

— O, właśnie — flegmatycznie poparł go Aleksy — banda komediantów i pozerów. Nie planeta, lecz deski sceniczne. A kto ubiera i karmi całą tę wesołą cyganerię?

„Tornado” zbliżyło się do Uli i rozpoczęło orbitalny oblot planety. Kosmonauci wiązali wielkie nadzieje z bezpośrednią wizualną obserwacją zagadkowego świata, lecz i tu czekało ich rozczarowanie. Illę zasłaniały warstwy grubych chmur. Przez rzadkie prześwity niewiele można było zobaczyć. Trzeba było na razie zadowolić się danymi aparatury pomiarowej i sondowań radiowych. Ula okazała się zadziwiająco wodnistą planetą, lądy zajmowały nie więcej niż sześć

procent całej powierzchni. W gruncie rzeczy cała planeta stanowiła jeden ocean, na którym tu i ówdzie były porozrzucane archipelagi wysp. Kontynentów jak na Ziemi nie było. Nie udało się wykryć żadnych oznak istnienia przemysłu ani obiektów energetycznych. Klim gderał:

— Cywilizacja bez przemysłu, cywilizacja bez energetyki. Kto nam uwierzy? Jeśli przywieziemy takie dane, na Ziemi przez dobry tydzień będą się skręcać ze śmiechu!

— Rozumiem cię, Klim — zgodził się współczująco Aleksy — mnie Ula też drażni. Wszystko tu jest okropnie nie po naszemu! Ale przecież to nie my ją stworzyliśmy, więc po co się zamartwiać?

W zamyśleniu pogłaskał brodę, uśmiechnął się i dodał:

— A w ogóle, kto wie? Może na Illi widzimy własną przyszłość?

— A co? — ciągnął dalej, ignorując pełne ironii zdziwienie Klima. — Do takiego wniosku można dojść, jeśli przeanalizować historię ludzkości z punktu widzenia humoru. Łatwo wykazać, że w miarę rozwoju ludzkości ilość humoru w ogólnym strumieniu informacji stale wzrasta. Niepotrzebnie tak sceptycznie się uśmiechasz, Klim. Przypomnij sobie czasy z historii ludzkości, gdy było nie do żartów. A teraz? Poczucie humoru jest dominantą współczesnego człowieka. Może nie? Więc cóż stoi na przeszkodzie, by w przyszłości ostatecznie zamienił się w nowy gatunek społeczny i biologiczny: *homo sapiens humoristicus.*

— Wszyscy ludzie staną się wesołkami i żartownisiami. Ani trosk, ani kłopotów…

— Idźże do diabła! — z irytacją powiedział Klim. — Na razie jeszcze nie jesteś *homo sapiens humoristicus,* więc mów poważnie.

— Poważne hipotezy wymagają choćby najmniejszego punktu zaczepienia — westchnął Kronin.

Wkrótce potem znaleźli taki punkt. Pewnego razu Klimowi udało się zrobić znakomite stereoskopowe zdjęcia wyspy, która niespodziewanie wyłoniła się w prześwicie między chmurami. Klim przeszedł samego siebie błyskawicznie oceniając sytuację i robiąc znakomite zdjęcia. Kosmonauci odkryli na nich interesujący szczegół: od leżącego na wyspie miasta do oceanu prowadziło kilka wspaniałych, choć niezbyt szerokich dróg, zbudowanych z wypolerowanego kamienia.

— Oto macie rozwiązanie tajemnicy illeńskiej cywilizacji — z satysfakcją powiedział Klim wodząc kijkiem po cienkich liniach dróg. — Przemysł tych wesołych pasożytów jest skoncentrowany na dnie oceanu i całkowicie zautomatyzowany. Wszystko, co potrzebne do życia i rozrywek, Hienom dostarcza się tymi drogami. Pozostaje im tylko cieszyć się życiem.

— O ile można to nazwać życiem — chmurnie zauważył Łobow.

— Jeśli oni zupełnie wyłączyli się z produkcji, a wygląda na to, że tak jest, to wiodą już nie życie, lecz pasożytowanie na ciele cywilizacji maszynowej — zgodził się inżynier.

Szybko jednak w logicznie harmonijnej hipotezie o przeznaczeniu dziwnych konstrukcji, które kosmonauci wzięli za drogi, pojawiły się pierwsze pęknięcia.

Dzięki sprytnie pomyślanym i wykonanym pomiarom,

Kroninowi udało się stwierdzić, że „drogi” nie zniżają się łagodnie do oceanu, jak to się początkowo wydawało, lecz urywają się na wysokości dziesięciu czy piętnastu metrów nad poziomem wody.

— Jest zupełnie oczywiste — z konsternacją stwierdził Kronin — że takimi drogami można coś transportować do oceanu, lecz w żadnym razie nie z niego.

— A więc do czego służą te przeklęte drogi?! — z rozpaczą w głosie zawołał Klim.

Kronin wzruszył ramionami.

— Może do zrzucania odpadów do oceanu. Albo są to zabytki minionej epoki. Kiedyś rzeczywiście służyły do łączności z oceanem. Później zastąpiły je wygodniejsze, podziemne linie

komunikacyjne, a drogi pozostały. Ocean atakował i niszczył brzegi wyspy, no i doszło do tego, że drogi urywają się stromo nad wodą.

Klim słuchał w milczeniu. Stał przy stole i oglądał fotografie Illenów zrobione z ekranu telewizora. Trzymając w ręku wachlarz zdjęć, odwrócił się nagle do inżyniera.

— Wygląda na to, że pośpieszyliśmy się zbytnio z wnioskami nie tylko co do dróg. Spójrz! — Rzucił fotografie na stół. — Popatrz, jak zgrabne, silne i pełne gracji są te ciała. Przyjemnie na nich spojrzeć. Czy tak wygląda zwyrodniała rasa?

Niespiesznie przeglądając zdjęcie za zdjęciem, Kronin przerzucił całą paczkę.

— Tak — zgodził się — piękni ludzie! Co prawda, to jeszcze o niczym nie świadczy. Ale pod jednym względem masz rację —— nie należy śpieszyć się z wnioskami.

— Illeni są nie tylko doskonali fizycznie, to jeszcze przyzwoici ludzie — wtrącił się nagle do rozmowy Łobow. — Wydaje mi się, że pomimo całej ich lekkomyślności i niefrasobliwości zupełnie obce są im okrucieństwo, despotyzm i niesprawiedliwość. Zwróćcie uwagę: we wszystkim, co widzieliśmy na ekranie telewizora i słyszeliśmy przez radio, nie było nawet śladu zjawisk, dobrze nam znanych z naszej własnej historii. Pamiętacie, było kiedyś w użyciu wyrażenie „chore społeczeństwo”. Mniejsza o przyczyny tej „choroby” — spójrzmy, jakie były jej objawy w sferze moralności: skrajny egocentryzm, kult erotyki i seksu. Wydaje się, że u Illenów nic takiego nie ma.

— Znamy Illenów takich, jakimi chcą” się wydać zaproszonym gościom. Wszystko może się radykalnie zmienić, jeśli przeleziemy przez płot i zaczniemy zaglądać do okna. Jak na razie, to tylko czcze domysły — powiedział Kronin.

— Słusznie — zgodził się Łobow. — Mamy za mało faktów. Możemy tak w nieskończoność siedzieć na orbicie i budować hipotezy — dowcipne, lecz pozbawione podstaw. Czas podjąć decyzję. Albo wracamy do bazy, albo nawiązujemy bezpośredni kontakt i próbujemy zajrzeć do okna, jak powiedział Aleksy.

Kronin kiwnął głową na znak zgody, lecz zaraz dorzucił:

— Jeśli na Uli rzeczywiście rządzą maszyny, a jest to dość prawdopodobne, to możemy spotkać się z bardzo nieoczekiwanym przyjęciem.

— Tak, trzeba się z tym liczyć.

— Mimo wszystko głosuję za kontaktem! — uderzył pięścią w stół Klim.

2

Operację pierwszego kontaktu z Illenami przygotowano bardzo starannie. Do lądowania „Tornada” wybrano samotną wysepkę, na której Klim odkrył zagadkowe drogi.

„Tornado”, wylądowało półtora kilometra od najbliższych zabudowań, w miejscu, które najwidoczniej było podmiejskim parkiem.

Na pierwszy kontakt poszedł Klim. Łobow go asekurował, Kronin utrzymywał statek w pogotowiu do natychmiastowego startu, na wypadek, gdyby trzeba było szybko opuścić Ulę.

Zeskoczywszy z trapu na opaloną silnikami trawę, Klim zrobił kilka ostrożnych, sprężystych kroków, tupnął, jak gdyby sprawdzał wytrzymałość gruntu, po czym spokojnie za raportował:

— Wszystko w porządku.

— Gratuluję, obserwuję ciebie i otoczenie — odpowiedział Łobow.

Klim obszedł statek, jeszcze raz tupnął nogą, wciągnął w płuca ciepłe, wilgotne powietrze i rozejrzał się dokoła. Mżył drobny, prawie nieważki deszcz. Krople z ledwie słyszalnym szelestem

padały na spalone, przywiędłe łodygi traw, łaskotały policzki i szyję. Za wyraźnie zarysowaną szarą plamą miejsca lądowania, stanowiącą ślad odrzutu silników, trawa była soczysta i zielona. Tworzyła gęstą, zwartą masę, przypominała trochę ruń ozimej pszenicy. Na skraju polany rosły drzewa i krzaki, o sylwetkach rozmytych przez wilgotną mgłę i deszcz. I w ogóle było trochę ciemno, nawet bliskie przedmioty wydawały się nieostre, jak na Ziemi o zmierzchu, choć za chmurami świeciło tutejsze słońce. W zielonej trawie, rosnącej za plamą lądowania, błyskały iskierki światła. „Czyżby świetliki? Zupełnie jak na Ziemi" — pomyślał Klim. W ciszy naruszanej tylko miarowym szumem deszczu nie było nic trwożnego, była to cisza spokoju.

Klim uśmiechnął się i otarł dłonią mokrą od deszczu twarz. Oto co znaczy wysłuchać i obejrzeć tysiące audycji telewizyjnych! Ten wilgotny, zamglony świat wydawał mu się teraz znajomy, jak znajome są dla nas barwy i zapachy wczesnego dzieciństwa. Jak gdyby już kiedyś tu był.

— Uwaga! — usłyszał w słuchawkach głos Łobowa. — Od strony miasta zbliża się grupa Illenów.

Odruchowo Klim sprężył się w sobie: mimo wszystko jest to pierwsze spotkanie twarzą w twarz z przedstawicielami innego świata.

— Grupa liczy dziesięciu Illenów — ciągnął dalej Łobow. — Ubrani lekko, sportowo. Zachowują się spokojnie, żartują, śmieją się. Bądź gotów.

— Zrozumiałem — odpowiedział Klim.

Nad drzewami otaczającymi polanę pojawiły się nagle z łopotem wielkie ptaki, napełniając powietrze niezadowolonym krzykiem, przypominającym miauczenie rozsierdzonych kotów. Klim powiódł wzrokiem za ich ciężkim, leniwym lotem. Lecz oto krzaki, z których zerwały się ptaki, drgnęły i na polanie pojawiła się pomarańczowa figura Illena. Wspaniale zbudowany mężczyzna przez chwilę stał, niedbale ocierając się ręką o drzewo, potem odwrócił się i pomachał ręką.

Rozległ się hałas, głosy, szelest gałęzi, a potem na polanę wyszło jeszcze dziesięciu Illenów.

Ubrani byli bardziej niż lekko: szorty i podkoszulki albo kurtki z wyłożonym kołnierzem. Najbardziej jednak zdziwił Klima wygląd Illenów. Skórę mieli miękkiej, pomarańczowej barwy, błękitne włosy, zielone oczy. „Maskarada i tyle!" — pomyślał Klim.

Zachowując się w niewymuszony sposób, Illeni podeszli do statku i zaczęli go oglądać. Dziwna rzecz: ich twarze nie wyrażały nic prócz dziecinnej, a nawet, rzec można, szelmowskiej ciekawości. Ani zdumienia, ani strachu — zupełnie naturalnych w takiej sytuacji. Wydawało się, że brali Klima za kogoś ze swoich.

„Może oni nie wierzą, że przybyliśmy z kosmosu? Całą historię ze statkiem uważają za żart, mistyfikację, zrobioną przez mieszkańców którejś z sąsiednich wysp".

— Przyleciałem stamtąd — powiedział Klim wskazując niebo, zakryte gęstą warstwą chmur. Illeni roześmieli się

„na cały głos.

— Ależ to prawda! — zrozpaczony Klim gorączkowo szukał przekonującego dowodu. — Spójrzcie tylko… Spójrzcie na mnie i na siebie. Macie pomarańczową skórę, a ja?'

Znów śmiech. Jedna z Illenek uśmiechnęła się chytrze i powiedsiała:

— Spójrz!

Zdumiony Klim zobaczył, jak skóra Iltenki na jego oczach pojaśniała, zaróżowiła się i przybrała charakterystyczny ludzki odcień.

— Jak on świetnie udaje zdziwienie! — zawołali z zachwytem Illeni. — Znakomity aktor!

A wysoki mężczyzna spytał:

— Jeśli naprawdę jesteś przybyszem z dalekich gwiazd, to skąd znasz nasz język?

— Studiowaliśmy go. Mamy specjalne maszyny, które nam w tym pomagają.

Niespodziewanie Illeni odeszli; nie przerywając wesołej rozmowy.

Klim ciężko westchnął: rozmowa zmęczyła go bardziej niż całodobowa wachta.

3

Odtąd pielgrzymka Illenów do statku trwała nieprzerwanie, lecz nic nowego to nie wniosło. Wszystkie wizyty w istocie rzeczy były powtórzeniem pierwszej. Jednakże astronauci mimo woli zwrócili uwagę na pewien szczegół. W żartobliwych replikach, którymi Illeni raczyli Ziemian, niekiedy niespodziewanie pojawiały, się echa specyficznej i głębokiej wiedzy. W południe Illeni znikali. Wyjaśniło się, że szli na obiad i odpoczynek.

— Rzadka jednomyślność u tak lekkomyślnych osób — skonstatował Kronin. — Dzieci, duże dobre dzieci. Naiwna ciekawość, chwilowe zainteresowanie — oto do czego są zdolni. Wszystko, co poważne i znaczące, jest im obce. I zupełnie nic się nie zmieni, jeśli nawet uda się nam udowodnić swoje gwiezdne pochodzenie.

Klim nie odpowiedział nic.

— Jesteś innego zdania? — spytał Kronin.

— Jakby tu rzec, na pierwszy rzut oka Illeni rzeczywiście przypominają dzieci.

— A na drugi?

— Na drugi też, a być może, że i na dziesiąty. Warto by obejrzeć te przeklęte drogi.

— Sądzisz, że jednak rozwiązanie kryje się tam?

— Jeśli dobrze pomyśleć, to oni przypominają nie tyle dzieci, co starców!

— Starców? — Kronin roześmiał się. — Ależ wśród naszych gości nie było nikogo, kto by miał więcej niż dwadzieścia pięć lat!

— Mam na myśli nie ich wygląd zewnętrzny — powiedział nawigator — ale psychikę. Oni przypominają starców, ongiś dysponujących głęboką wiedzą, którzy teraz wpadli w zdziecinnienie. Czyżbyś nie zauważył, jak często blask byłej wiedzy przebłyskuje w ich słowach?

Kronin patrzył na nawigatora z zaciekawieniem.

— W tej idei coś jest, Klim.

— Tak sądzisz? — ożywił się nawigator. — Rozmyślałem już o tym i wytworzył mi się taki nieco fantastyczny, niemniej bliski chyba prawdy. Istoty rozumne zawsze pociągała idea wiecznej młodości, przypomnij sobie nasze najdawniejsze legendy, średniowiecznego Fausta i niezliczone tłumy gerontologów, którzy pracują dziś nad tym problemem. Załóżmy teraz, że Illeni osiągnęli w biologii takie wyżyny, że nauczyli się przywracać sobie młodość. Lecz odrodziwszy do nowego życia swe zgrzybiałe ciała, okazali się bezsilni, by odmłodzić duszę! I oto stopniowo, wiek po wieku, planetę zaczęły zamieszkiwać dziwne istoty — silne, zręczne i piękne, ale z niedołężną, zasypiającą duszą. Przyjrzyj się uważnie. I w telewizji, i koło statku widzieliśmy tylko młodzież. Ani dzieci, ani starców, ani nawet po prostu starszych ludzi.

Kronin chytrze zmrużył oczy:

— A może u nich panuje dyktatura młodości? Młodzież planety połączyła się i zapanowała nad wszystkimi pozostałymi grupami wiekowymi, zamieniając je w niewolników!

— Wygląda na to, że na Illi rzeczywiście są — niewolnicy i dyktatura — zmęczonym tonem powiedział Łobow.

Niezauważony wszedł do mesy i stał przez jakiś czas, oparty o framugę dtzwi.

— Udało ci się dowiedzieć czegoś nowego? — z ożywieniem spytał Klim.

— Coś niecoś udało się — odpowiedział Łobow i zrobiwszy kilka kroków, siadł na kanapie obok Klima.

…Na rekonesans Łobow wybrał glider: aparat był prawie bezszelestny, aby obawiać się ataku na tej planecie brakowało podstaw, więc wytrzymałość nie miała znaczenia. Aby nie zwracać uwagi Illenów, Łobow wystartował z górnej platformy statku i skrył się w chmurach, które nisko zwisały nad głową.

Przez jakiś czas leciał poziomo, potem zszedł pod chmury. „Ziemia" była pięćdziesiąt metrów niżej; to pokrywała ją mgła i gęste zasłony deszczu, to znów przejaśniało się, a wtedy można było rozróżnić najdrobniejsze szczegóły. Wyskoczywszy nad najbliższą drogę, Łobow zmniejszył prędkość i skierował glider w stronę oceanu uważnie wpatrując się w dół. Droga wiła się zgodnie z naturalnym pofałdowaniem malowniczo ukształtowanego terenu. Przypominała zastygłą, martwą rzekę. Podobieństwo to zwiększył wilgotny połysk kamiennych płyt zmoczonych deszczem.

Im bliżej był ocean, tym szerzej i gęściej rozciągały się po obu stronach drogi żywe ściany drzew i krzaków. Nad samym brzegiem droga rozszerzała się, tworząc niewielki placyk, i urywała się nagle. Łobow z zainteresowaniem przyglądał się zagadkowej konstrukcji Illenów. Urwisko było strome, placyk zwisał nad wodą na wysokości jakichś piętnastu metrów. Do wydobywania ciężarów to miejsce nie nadawało się wcale, było natomiast świetne, by zrzucać coś w dół, do wody. Czyżby Aleksy miał rację i Illeni rzeczywiście zrzucają tu śmiecie?

Łobow krążył nad samą wodą. Pod urwiskiem było głęboko, lecz woda była tak spokojna i przejrzysta, że dostrzegał na dnie każdą żywą istotę, każdy kamień.

Żadnych oznak brudu czy śmieci, nic przypominającego wysypisko. Czyste i naturalne przybrzeżne dno oceanu. Nie, drogi nie służyły do wywożenia śmieci. A więc do czego?

Nie doszedłszy do żadnego wniosku Łobow wyprowadził glider z wirażu, wzniósł się pod same chmury i poleciał na północ, wzdłuż lekko poprzecinanej linii brzegu. Po jakichś dwóch kilometrach urwisko cofnęło się od brzegu, obnażając szeroki pas piasku. Zobaczył tam Illenów. Miał wrażenie, że leci nad jakąś popularną plażą na Ziemi — podobieństwo było tak wielkie, że Łobow z trudem stłumił pragnienie, by natychmiast wylądować i wykąpać się w czystej, kryształowej wodzie. Przezwyciężyć pokusę pomógł w dużym stopniu deszcz; zachciało mu się śmiać: „Śmieszne, kąpią się i wylegują na piasku pod deszczem…" Na widok glidera Illeni nie wykazali żadnego zaniepokojenia. Obserwowali go z podniesionymi głowami, machali rękami.

Plaża ciągnęła się co najmniej kilometr, a potem nadbrzeżne urwisko znów przysunęło się do samej wody. I tu Łobow znów zobaczył drugą drogę z polerowanego kamienia, urywającą się stromo nad, oceanem. To miejsce również zbadał z największą dokładnością, lecz nie znalazł nic nowego — taka sama głębina i równe, czyste dno. Drogi nie służące do niczego! Zresztą, co pomyślałby mieszkaniec innych planet, gdyby znalazł na Ziemi starożytne miasta na pustyni, starannie pielęgnowane przez archeologów?

Okrążywszy kilka razy urwisko nad samą wodą, Łobow zawrócił, a wtedy dostrzegł płynącego Illena, który powoli, jak gdyby niechętnie, zbliżał się do brzegu. Łobow zdziwił się: wzdłuż brzegu ciągnęło się strome urwisko, dostać się na górę było niepodobieństwem. Może Illen potrzebuje pomocy?

Na wszelki wypadek Łobow opuścił się nad samą wodę i z małą prędkością przeleciał nad niezwykłym pływakiem. Illen nie podniósł głowy i nie pomachał ręką na powitanie. Poruszał się ociężale, wyraźnie zmęczony, nie wiadomo dlaczego wiosłował tylko lewą ręką. Przyjrzawszy się bliżej Łobofa zauważył, że prawą ręką Illen podtrzymywał drugiego, najwidoczniej nieprzytomnego.

Błyskawicznie podejmując decyzję, Łobow zwalił glider w ostry zakręt, by siąść na wodę obok Illenów. Zdążył dostrzec, że pływak dotarł do płytkiego w tym miejscu dna, zrobił kilka kroków i wyprostowawszy się, podniósł towarzysza na rękach. Na chwilę Łobow stracił z oczu dziwną parę,

a gdy glider, drgając od przeciążenia, wykręcił na kurs lądowania, zmęczony pływak był już sam! Stał na dawnym miejscu. Nagle szarpnął się i upadł płasko na plecy rozbryzgując wodę.

Gdy tylko glider dotknął powierzchni oceanu, Łobow wyłączył silnik, otworzył szeroko drzwi kabiny, skoczył do wody, pogrążając się po pas, i ciężko pobiegł tam, skąd jeszcze rozchodziły się szerokie kręgi. Tutaj! Łobow zatrzymał się rozglądając się dokoła. Illeni zniknęli z oczu. Łobow przeszedł kilka kroków do przodu i do tyłu, na prawo i na lewo — dokoła było tylko czyste dno. Czyżby mu się zdawało?

Nadal nie rozumiejąc, co się stało, Łobow rzucił się z powrotem do glidera, wskoczył do kabiny, zatrzasnął drzwiczki, włączył silnik i gwałtownie poderwał maszynę w powietrze. Podniósłszy się na dwadzieścia metrów, przechylając glider z boku na bok Łobow do bólu w oczach zaczął wpatrywać się w wodę. Nie było nikogo! Ale przecież Illeni mu się nie przyśnili!

Łobow zredukował przechył aparatu zwiększając tym samym promień zataczanego okręgu i zauważył w oddali grupę dużych zwierząt przypominających a ryby, które szybko oddalały się od brzegu. Znów zawarczał silnik i glider dogonił nieznajomych mieszkańców oceanu. Było to kilkanaście przypominających ryby stworów, z wielkim czołem, każdy długości około dwóch metrów. Jeden z nich — Łobow widział to wyraźnie — ciągnął za sobą Illena przytrzymując go długą płetwą. Ten nie stawiał oporu. Dziwne istoty wzięły nagle ostry zakręt w prawo, a potem skryły się w głębinie. Coraz dalej odlatując nad pełne morze, Łobow poprowadził aparat zygzakami w nadziei, że znów zobaczy stado, lecz wszystko było daremne. Gdy brzeg zaczął zupełnie znikać z oczu za zasłoną deszczu Łobow pojął, że dalszy pościg i poszukiwania są bez sensu. „Pomyślał o tysiącach Illenów, beztrosko kąpiących się w oceanie, i ogarnął go strach. Pociągnął do siebie drążek sterowy i z hukiem i świstem zaczął rozrywać pulchne, miękkie ciało chmur tak długo, aż wreszcie zrobiło się jaśniej i nad głową pojawiło się dobrotliwe słońce, swojskie jak na Ziemi… Opowiadanie Łobowa wywarło wrażenie na wszystkich. Pierwszy odezwał się Kronin:

— Tak, to coś nowego. Sądziliśmy, że iLLieni pasożytują na ciele cywilizacji maszynowej, która dawno osiągnęła autonomię i toleruje ich, że tak powiem, dla tradycji. A okazuje się, że są oni w jakichś bardzo skomplikowanych i bynajmniej nie przyjaznych stosunkach z mieszkańcami oceanu.

Kronin podniósł głowę:

— Wszystko sprowadza się do tego,1 co to było — przypadkowy napad czy system. Gdyby Illeni byli systematycznie napadani, z pewnością, zauważylibyśmy w ich zachowaniu nuty strachu i zagrożenia. Ale przecież nic takiego nie było! Illeni wiodą życie zupełnie bez trwogi.

— A czy zauważyłeś kiedy strach i zagrożenie u pasących się na łące krów? — cicho spytał Łobow.

Uwaga była tak nieoczekiwana, że Kronin przez pewien czas z zakłopotaniem patrzył na Łobowa, a potem zdecydowanie zaoponował:

— Nie! Nie mogę w to uwierzyć. Illeni mieliby być czymś w rodzaju stada rzeźnego dla mieszkańców oceanu? Nie wierzę!

— A czemu nie?

— Trzeba iść do miasta — posępnie powiedział Klim— trzeba wreszcie zrozumieć, co się dzieje w tym świecie. I jeśli okaże się to potrzebne — pomóc Hienom. Przecież nie możemy ich rzucić na pastwę losu!

Wstał z fotela.

— Pójdę do miasta. Iwan. Pójdę i dowiem się wszystkiego, co trzeba!

— Zbytnio się gorączkujesz, Klim — łagodnie powiedział Kronin i zwrócił się w stronę Łobowa. — Sądzę, że do tego najodpowiedniejsza będzie moja kandydatura.

Łobow —spojrzał na jednego, potem na drugiego i zamyślił się.

— Nie — powiedział wreszcie. — Pójdę sam.

Miasto zaczęło się niepostrzeżenie: między drzewami pojawił się jeden budynek, za nim drugi, potem cała grupa, aż wreszcie trudno było powiedzieć, co to jest — wielki skwer miejski czy dzielnica parkowa. W ślad za gwarną kompanią Illenów Łobow wszedł do najbliższego budynku. Prawie nikt nie zwrócił na niego uwagi, najwyżej od czasu do czasu następowała żartobliwa wymiana słów. Przyjrzawszy się bliżej Łobow stwierdził, że w budynku znajduje się klub sportowy, w każdym razie tak by określono jego przeznaczenie na Ziemi. W klubie było tłoczno, gwarno i wesoło. Grano w piłkę, odbywały się skoki w dal i wzwyż, o tyczce i bez tyczki, z miejsca i z rozbiegu. Największą popularnością cieszyły się skoki na batucie. Łobow, który sam nieźle władał tym sportem, w milczącym zachwycie długo podziwiał unoszące się w powietrzu pomarańczowe ciała. Oczywiście, wiedział już coś niecoś o tych skokach z audycji telewizyjnych, lecz czym innym jest migotliwy ekran telewizora, a zupełnie czym innym — żywi ludzie, lekko unoszący się w powietrzu, podobni jednocześnie do węży i ptaków.

Po wyjściu z klubu” Cobow zaczął po kolei wchodzić do wszystkich budynków, które spotykał po drodze. Większość z nich miała przeznaczenie rozrywkowe, sportowe lub utylitarne. Nie bez zdziwienia Łobow stwierdził, że Illeni w życiu codziennym są bardzo niewymagający. Mieszkali w wielkich salach, grupami po kilkadziesiąt osób. Do osobistego użytku każdy miał łóżko, krzesło, coś w rodzaju szafki i niską ławeczkę. Więcej nic. Nie były to domy mieszkalne w ziemskim znaczeniu, lecz hotele–sypialnie.

Po drodze Łobow spotkał kilka jadłodajni. W jednej z nich, dostrzegłszy Illena o mądrym, chytrym spojrzeniu, Łobow zatrzymał się na chwilę. Jadłodajnia mieściła się w sali średniej wielkości, z rzadko rozstawionymi stolikami. Pod ścianami ciągnęły się rzędy typowych lad, na których pod szkłem stały w wielkim wyborze różne dania i napoje. Na Ziemi nawet w czasie świąt Łobow nie widział większej różnorodności. Illen jadł bez pośpiechu, życzliwie spoglądając na Ziemianina. Łobow rozejrzał się dokoła i z niewymuszonym uśmiechem spytał:

— Ileż tu jedzenia! Skąd się ono bierze?

— A skąd bierze się powietrze, woda i światło? — roześmiał się Illen. — Są, i to jest ważne. Ale jeśli to was bardzo interesuje, to powiem — produkty przywożą z oceanu. Nocą, gdy śpimy.

Łobow wstał z krzesła i wyszedł z jadłodajni. Deszcz przestał padać, zmierzchało. Wilgotna mgła rozmywała kontury budynków i drzew. Zbliżała się noc. Eloje i morloki! Właśnie przez asocjację z powieścią Wellsa tam, w mesie, Łobow wypowiedział myśl o stadach Illenów. Powiedział to nie na serio, pod wpływem chwilowego rozdrażnienia i zmęczenia. Czy coś podobnego może być w rzeczywistości? „Pójdę nad ocean” — postanowił Łobow i poprosił przez radio Kronina o namiar.

— Czy nie za późno? Ściemnia się już — uprzedził ostrożny Kronin.

— To dobrze, że się ściemnia. Bądź czujny, niech Klim dyżuruje w łaziku. Mogą być niespodzianki.

— Zrozumiałem — po przerwie odpowiedział Kronin: — Daję namiar.

Kierując się namiarem, wysłanym przez inżyniera, lawirując między domami i klombami Łobow poszedł prosto w stronę najbliższej drogi.

Ściemniało się w oczach. Droga, wyłożona wypolerowanymi płytami z kamienia, lśniła jak martwa, zastygła rzeka. W trawie na poboczu drogi jak kolorowe płomyki przebłyskiwały kwiaty — białe, różowe, zielone, błękitne. Przypominały do tego stopnia gwiazdy, że nie można było na nie długo patrzeć: kręciło się w głowie, a w myślach pojawiało się mimowolne zwątpienie — gdzie jest niebo, w górze czy w dole? Powietrze między skrzącą się ziemią a czarnymi chmurami zapełniały rzadkie, błędne ogniki — to latały owady i małe ptaki.

Wtem z góry zapachniało ciepłym powietrzem, rozległ się przykry dźwięk, przypominający skrzypienie. Łobow odskoczył na bok pod niewysokie drzewo i schwycił pistolet. Nad głową, całkiem nisko, krążył wielki nocny ptak, którego oczy to zapalały się jak rubinowe latarnie,, to gasły. Ptak krążył oglądając Łobowa, niby szpieg nieznanych władców, a potem wzniósł się wyżej i powoli, bezszelestnie poleciał nad drogą w stronę oceanu.

— Popatrz, krina — odezwał się nagle z przodu ściszony męski głos.

— Tak, zwiastun szczęścia — potwierdził drugi, kobiecy. Łobow wstrzymał oddech wpatrując się z napięciem w ciemność. Ku drodze powoli zbliżały się dwie ciemne figury.

— Spójrz, droga jest jak rzeka — z zachwytem powiedziała Illenka — aż strach na nią stąpnąć, żeby nie zamoczyć nóg.

Kobieta roześmiała się, zrobiła jeden krok, drugi; jej szczupła, czarna sylwetka zamarła na środku wypolerowanej, gładkiej powierzchni. Potem do jej sylwetki przyłączyła się druga, mocna i wysoka.

— Chodźmy — rzeczowo powiedziała kobieta — stąd już blisko.

Trzymając się w odpowiedniej odległości, Łobow ruszył za Illenami w stronę oceanu. Serce biło mu przyspieszonym rytmem, intuicja podpowiadała, że każdy krok zbliża go teraz do rozwiązania zagadki tej dziwnej planety. Planety ciepła, deszczy i mgieł, planety szaleńczej wesołości i niewiadomych tragedii.

— Co się z tobą działo przez cały dzień? Nie mogłem nigdzie cię znaleźć — powiedział mężczyzna.

Kobieta roześmiała się cicho.

— Pracowałam.

Mężczyzna zatrzymał się zdziwiony:

— Pracowałaś?

— Robiłam neutrid — ten materiał, z którego sporządzony jest statek przybyszów. Robiłam go na papierze, za pomocą słów i wzorów.

— Udało ci się? — z zainteresowaniem spytał mężczyzna.

— Tak. Przecież wiesz, jak to jest. Wtedy mogłam wszystko, co zechciałam. Byłam silna jak wszechświat!

Dziewczyna znów zaśmiała się.

— Zapisałam cały zeszyt, pomyślałam sobie, że teraz będziemy mieli neutrid i zasnęłam. Obudziłam się już o zmroku.

— A ja tak na ciebie czekałem — z lekkim wyrzutem zauważył mężczyzna.

— Przecież przyszłam!

— Przyszłaś.

Drogę coraz gęściej obstępowały drzewa i krzaki, słychać było ciężkie westchnienia drzemiącego oceanu, na niektórych drzewach płonęły jaskrawe latarnie kwiatów. W blasku bajkowego, karnawałowego światła Łobow mógł łatwo rozróżnić paznokcie na swych palcach. Gdzieniegdzie nad zaroślami roiły się płomieniste obłoki drobnych owadów. „Meszki!” — stwierdził Łobow.

— Czy twój neutrid trudno zrobić? — spytał mężczyzna.

— Przestań! Nie chcę już niczego słyszeć o neutridzie. To już przeszłość.

Droga skręciła ostro jeden raz, potem drugi. Zapachniało świeżym i ostrym powietrzem oceanu, szum fal stał się głośniejszy. Jeszcze jeden zakręt i Łobow zamarł w pół kroku.

Nad samą przepaścią, w której pluskała niewidoczna woda, rosło drzewko, gęsto pokryte jaskrawymi, purpurowymi kwiatami. Obok, w objęciach, stała para Illenów. Byli nie dalej niż cztery kroki, całkiem blisko. Łobow zdziwił się, że nie usłyszeli jego kroków. Illeni przez dłuższy

czas stali nieruchomo, jak gdyby przysłuchiwali się niesłyszalnym dla Łobowa głosom. Potem dziewczyna ostrożnie odsunęła się od swego towarzysza, stanęła na palcach i zerwała z drzewa kwiat. Wydawało się, że kwiat krzyknął — zapłonął jaskrawym, bladoróżowym płomieniem oświetlając skraj czarnej przepaści, guzowate, dziwacznie powykręcane gałązki drzewka z aksamitnymi liśćmi i poważne, natchnione twarze Illenów. Dziewczyna obejrzała kwiat i lekkim ruchem ręki rzuciła go do oceanu. Kwiat poleciał w górę, a potem powoli zaczął opuszczać się w ciemność i szybko znikł z oczu za urwiskiem. Szerokie listki jak spadochron hamowały jego upadek.

Dziewczyna zwróciła się do mężczyzny.

— Tu chyba niewysoko, prawda?

— O tak, jak z wieży spadochronowej — odpowiedział mężczyzna drżącym ze wzruszenia głosem.

— Więc na co czekamy?

Dziewczyna dotknęła ramienia mężczyzny, zrobiła szybko dwa kroki i stanęła na samym skraju urwiska. Łobow chciał ruszyć naprzód, lecz zacisnął zęby i zmusił się do pozostania w miejscu. Czuł, że teraz ma nastąpić coś nieodwracalnego, lecz nie wiedział co! Zresztą, kto mu dał prawo do ingerencji?

— Idę! — dźwięcznym głosem powiedziała dziewczyna.

I skoczyła w dół. Łobow zamarł. Zanim zdążył oprzytomnieć, mężczyzna skoczył wprost z miejsca, nie podchodząc do skraju urwiska. Dwa prężne, silne ciała najpierw wzbiły się w górę na jakieś trzy metry, a potem w mgnieniu oka znikły z pola widzenia. Jeszcze kilka sekund. Głośny plusk — i cisza. Łobow westchnął głęboko.

— Tak… — powiedział z zakłopotaniem i w tej samej chwili kątem oka dostrzegł niedaleko siebie jakiś ruch. Sprężył się i wydobył pistolet promieniowy.

— Trzymam go na muszce — usłyszał w słuchawce zdyszany głos Kronina.

— Spokojnie, nie śpiesz się — cicho powiedział Łobow, wpatrując się w stwora, który się nagle przed nim zjawił.

Była to niezgrabna postać przypominająca ludzką, z wielką okrągłą głową osadzoną na potężnych ramionach, z długimi rękami. „Robot — błysnęła myśl — a jednak robot! Kim jest, panem, czy sługą mieszkańców oceanu?”

— Nie bójcie się — powiedział robot po illeńsku — nie zrobię wam krzywdy.

„Niczego nie mógłbyś zrobić — już zupełnie spokojnie pomyślał Łobow. — Kronin w mgnieniu oka zniszczyłby cię impulsem grawitacyjnym”.

— Po co tu przyszliście? — ciągnął dalej robot.

— Przybyliśmy na Illę jako przyjaciele — dyplomatycznie odparł Łobow przyglądając się swemu zadziwiającemu rozmówcy.

— Pytam nie o to. Urwisko jest świętym miejscem. Tu nikt nie bywa prócz Illenów, których godzina wybiła. Po co tu przyszliście?

Łobow milczał zbierając myśli! Więc o to chodzi, święte miejsce! Miejsce, skąd Illeni, których godzina wybiła, rzucają się do morza. I wygląda na to, że robią to dobrowolnie!

— A wy po co tu przyszliście? — Łobow odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Jestem na posterunku. Strzegę swoich dzieci i rodziców.

— Jakich dzieci? — Łobow nie zrozumiał.

— Illeni są naszymi dziećmi.

Łobow miał w głowie groch z kapustą.

— Tak — powiedział głośno tylko dlatego, by cokolwiek powiedzieć.— Illeni są waszymi dziećmi. A rodzice?

— Są naszymi dziećmi i naszymi rodzicami. Naszą przeszłością i przyszłością. Naszym szczęściem i naszą śmiercią.

Co chwila, to coś nowego!

— Widzę, że mnie nie rozumiecie. Jestem Aterem, mieszkam w oceanie. Powietrze jest dla mnie zabójcze, jak dla was pustka. (,,A więc nie robot! To żywa istota?!") Teraz chroni mnie skafander. Już pięćdziesiąt dwa lata żyję w oceanie. Buduję maszyny, które na mieliznach sieją i zbierają plony. Kocham swoją pracę, kocham ruch, twórczość sprawia mi radość. Lecz tego mi mało, przyszłość trwoży mnie i nęci. We śnie widuję często niebo, zieloną trawę i ognie kwiatów, całym ciałem czuję wiatr, deszcz i powietrzny, lekki bieg. Śnię, że jestem Illenem.

Ater zamilkł. Łobow czekał cierpliwie bojąc się, że „robot" na tym skończy opowieść, lecz ten znów odezwał się, tak samo cichym i równym głosem:

— Pewnego razu zasnę i nie obudzę się, sen będzie trwał cały rok, moje ciało zdrętwieje i stanie się twarde jak kamień. Towarzysze zaniosą mnie i położą przy brzegu jednej z wysp. A gdy minie rok, twarda skorupa pęknie i wypłynę na powierzchnię oceanu już jako Illen.

„Jakież to proste! Fałszywe były nasze domysły o pasożytnictwie i zimnej, cywilizacji maszynowej, o zwyrodniałej cywilizacji, o stadzie beztroskich antropoidów pożeranych przez potwory. Oni mają dwa życia, a dokładniej — dwa jego stadia. Jak nasze motyle. Z grubsza biorąc — Ater to poczwarka, gąsienica, Illen — motyl" — gorączkowo podsumowywał usłyszane fakty Łobow.

— A więc przemiana w Illena jest waszą przyszłością. Znacie ją. Czy jej oczekujecie? Dążycie do niej?

— Illeni żyją krótko — nie dłużej niż trzydzieści siedem dni. Widzieliście, jak z tego urwiska skoczyli do oceanu chłopiec i dziewczyna. To była miłość. I śmierć. Oni będą żyli w wodzie dopóty, dopóki nie wzejdzie słońce. Potem umrą i dadzą życie Aterowi. Niekiedy, bardzo rzadko, Illen przeżywa swoją kochankę i tracąc siły, stara się z nią wrócić na brzeg.

„Aha! Więc to właśnie widziałem wtedy, gdy leciałem nad wybrzeżem. Lecz on nie odpowiedział na moje pytanie" — pomyślał Łobow. Głośno zaś rzekł:

— Tak, widziałem obie takie tragedie. Przyznam się, że byłem przerażony?

— Tragedie? My tego słowa nie znamy. Co ono znaczy?

— Jak to! Jeśli znacie słowo „śmierć", to powinniście wiedzieć, co to jest tragedia i co to strach…

— Nie widzę związku między tymi słowami. Dla Illena śmierć to miłość.

,,A więc dlatego nie odpowiedział na moje pytanie! A więc dlatego chłopiec i dziewczyna byli spokojni skacząc do wody. Oni szli na spotkanie swojego szczęścia!"

Łobowem myśl ta wstrząsnęła.

Wtem Ater schwycił go za rękę i pociągnął w świecące się krzaki. Łobow przygotował się na najgorsze, lecz zaraz dostrzegł, że zza zakrętu pojawili się Illeni — chłopiec i dziewczyna. Objęci zatrzymali się nad samym skrajem urwiska.

Dziewczyna roześmiała się cicho.

— Spójrz — powiedziała — woda jest zupełnie blisko!

Ognisty kurz roił się nad głowami zakochanych. Bezszelestnie przeleciała i zaskrzypiała krina, ptak przynoszący szczęście. Jego rubinowe, migocące oczy beznamiętnie oglądały dziwny świat, który leżał w dole.

Przełożył Michał Wołodźko

Ilja Warszawski

UCIECZKA

— Raz, dwa, hop! Raz, dwa, hop!

Niewymyślne urządzenie — deska, dwie linki — i już ciężka bryła ziemi trafia na wózek.

— Ruszaj!

Ciężar nie jest większy niż normalnie, ale maleńki człowiek w pasiaku napierający całym ciałem na dyszel wózka i tak nie może ruszyć go z miejsca.

— Ruszaj!

Jeden z aresztantów próbuje pomóc ramieniem. Za późno! Podchodzi strażnik.

— Co się stało?

— Nic.

— Ruszaj, już!

Człowieczek znowu próbuje szarpnięciem ruszyć ciężar z miejsca. Nadaremnie. Od nadmiernego wysiłku zaczyna kaszleć. Zasłania usta ręką.

Strażnik w milczeniu czeka, aż atak minie.

— Pokaż rękę.

Na wyciągniętej dłoni widać ślady krwi.

— Tak… Odwróć się!

Strażnik przerysowuje do notesu znak umieszczony na plecach aresztanckiej kurtki.

— Do lekarza!

Inny więzień zajmuje miejsce chorego.

— Ruszaj! — dotyczy to obydwu — i tego, który od tego momentu ciągnął wózek, i tego, który już nie jest do tego zdolny.

Wózek rusza z miejsca.

— Proszę wybaczyć, panie naczelniku, czy nie można by…

— Powiedziałem: do lekarza!

Patrzy na oddalającą się zgarbioną postać i jeszcze raz sprawdza w notesie: Δ□ 15/13264. No tak, wszystko jasne. Trójkąt — dezercja, kwadrat — dożywocie, piętnasty barak, więzień trzynaście tysięcy dwieście sześćdziesiąt cztery. Dożywocie. Normalka, tylko dla tego tam zbliża się już ono do końca. Bawełniane pola.

— Raz, dwa, hop!

* * *

Błyszczący polerowany metal, szkło, rozproszone światło lamp luminescencyjnych. Jakaś szczególna, wyczuwalna na dotyk, sterylna czystość.

Szare, lekko zmęczone oczy człowieka w białym fartuchu uważnie spoglądają zza grubych szkieł okularów. Tutaj w podziemnych obozach Medeny bardzo ceni się ludzkie życie. A jakże! Każdy więzień, zanim jego dusza stanie przed najwyższym trybunałem, musi odkupić swoją winę przed tymi, którzy w dalekich głębiach kosmosu prowadzą niebywałą w historii bitwę o hegemonię ojczystej planety. Planeta potrzebuje uranu. Każdy więzień ma wyznaczone określone zadanie, dlatego jego życie jest warte tyle, co drogocenna ruda. Ale, niestety, w tym przypadku…

— Ubieraj się!

Chude długie ręce pospiesznie naciągają kurtkę na kościste ciało.

— Stań tutaj!

Lekkie naciśnięcie na pedał i sakramentalny znak zostaje przekreślony czerwonym krzyżem. Od tego momentu więzień Δ□ 15/13264 znowu może używać imienia i nazwiska — Arp Zumbi. Naturalny przejaw humanitaryzmu w stosunku do tych, których czeka praca na bawełnianych polach.

Bawełniane pola. Nikt o nich właściwie nic nie wie. Poza tym, że stamtąd się nie wraca. Chodzą słuchy, że w znojnym, zupełnie pozbawionym wilgoci klimacie ludzkie ciało w ciągu dwudziestu dni wysycha na chrust, staje się znakomitym paliwem dla pieców krematorium.

— Zwolnienie z pracy. Idź!

Arp Zumbi okazuje zwolnienie wartownikowi przy drzwiach baraku. Ogarnia go dobrze znany zapach karbolu. Barak podobny jest do publicznego szaletu. Ciężki zapach karbolu i kafelki. Monotonność białych ścian narusza tylko wielki plakat: „Za ucieczkę — śmierć na torturach". Jeszcze jeden dowód na to, jak ceni się tu ludzkie życie; zabierać je trzeba także jak najefektowniej.

Pod jedną ze ścian coś w rodzaju ogromnego plastra — to miejsca do spania, poprzegradzane na pojedyncze boksy. Wygodnie i higienicznie. Na białym plastiku widoczna jest najmniejsza plamka. Boksy są jednak nie po to, żeby podwyższyć komfort. To jest katorga, a nie sanatorium, jak lubi mawiać głos, który przeprowadza codziennie trening psychiczny. Podział na boksy wyklucza możliwość porozumienia się nawet nocą, kiedy czujność ochrony nieco słabnie.

W ciągu dnia przebywanie w boksach jest zabronione i Arp Zumbi spędza jakoś dzień na ławce. Myśli o bawełnianych polach. Zazwyczaj transport kompletowany jest raz na dwa tygodnie. Zabierają wtedy więźniów ze wszystkich obozów. Dwa dni później przywożą tu nowych. Ostatni raz było to chyba jakieś pięć dni temu, kiedy obok pryczy Arpa pojawił się ten dziwny typ. Jakiś stuknięty. Wczoraj przy obiedzie oddał Arpowi połowę swojego chleba. — „Masz — mówi — bo inaczej spodnie zgubisz w marszu". Ale cudak! Oddać swój chleb — o czymś takim Arpowi nie zdarzało się słyszeć. Na pewno nienormalny. Wieczorem coś podśpiewuje przed snem. Też znalazł sobie miejsce na śpiewanie.

Myśli Arpa znowu wracają do pól bawełny. Rozumie, że to już koniec, ale nie wiadomo dlaczego jakoś nie bardzo go to przeraża. Po dziesięciu latach robót w kopalni można przywyknąć do myśli o śmierci.

Mimo to interesuje go jednak, jak tam jest na tych bawełnianych polach.

Od czasu, kiedy został aresztowany, to jego pierwszy dzień bez pracy. Na pewno dlatego aż tak mu się dłuży. Arp z przyjemnością położyłby się i zasnął, ale jest to niemożliwe nawet z papierkiem zwalniającym od pracy. To jest katorga, a nie sanatorium.

Wracają z pracy towarzysze Arpa i do zapachu karbolu dołącza się słodkawy zapach cieczy dezaktywacyjnej. Każdy pracujący przy rudzie uranu bierze profilaktyczny prysznic. Jedno z działań podwyższających średnią długość życia więźniów.

Arp zajmuje swe miejsce w kolumnie i udaje się na obiad.

W czasie śniadania i obiadu ochrona patrzy przez palce na naruszanie zakazu rozmawiania. Z napchaną gębą wiele się nie nagadasz.

Arp milcząc zjada swoją porcję i czeka na koniec obiadu.

— Masz! — Znów ten stuknięty podsuwa pół porcji.

— Nie chcę.

Pada komenda na zbiórkę. Dopiero teraz Arp zauważa, że wszyscy wytrzeszczają na niego oczy. Pewnie przez ten czerwony krzyż na plecach. Umarlak zawsze wzbudza ciekawość.

— No, żywo!

Dotyczy to sąsiada Arpa. Jego szereg już stoi na zbiórce, a on ciągle jeszcze siedzi przy stole. Arp i on wstają równocześnie i do Arpa kierującego się na swoje miejsce dociera ledwie słyszalny szept:

— Jest możliwość ucieczki.

Arp udaje, że nie dosłyszał. W obozie pełno jest kapusiów, a jemu wcale nie marzy się śmierć na torturach. Już chyba lepsze te Bawełniane pola.

Głos to wzbija się do krzyku, od którego łupie w skroniach, to opada do ledwie dosłyszalnego szeptu zmuszającego do odruchowego wytężania słuchu. Rozlega się on z głośnika umieszczonego u wezgłowia leżanki. Wieczorny trening psychiczny.

Znajomy aż do obrzydzenia baryton wyjaśnia więźniom całą głębię ich upadku. Od tego głosu nie da się uciec, nie da się przed nim skryć. Nie udaje się tak po prostu wyłączyć go ze świadomości, jak wyłącza się okrzyki strażników. Wydaje się człowiekowi, że już zaczął myśleć o czymś całkiem innym niż obozowe życie, kiedy nagle nieoczekiwana zmiana natężenia głosu znów przyciąga uwagę. I tak trzy razy na dobę: wieczorem przed snem, nocą przez sen i rano na pięć minut przed pobudką. Trzy razy, bo to jest katorga, a nie sanatorium.

Arp leży z zamkniętymi oczami i stara się myśleć o bawełnianych polach. Trening już się skończył, ale przeszkadza mu rytmiczne postukiwanie w przegrodę między boksami. Znowu ten stuknięty.

— No, czego?! — mówi przez złożone w tubkę ręce przyciśnięte do przegródki.

— Wyjdź do ubikacji.

Arp sam nie rozumie, co zmusza go do zejścia na dół i skierowania się ku drzwiom, skąd słychać dźwięk lejącej się wody.

W ubikacji jest gorąco, akurat na tyle, żeby się nie dało wysiedzieć dłużej niż dwie minuty. Biją już na niego siódme poty, zanim pojawia się ten nowy.

— Chcesz uciec?

— Odwal się…

Arp Zumbi jest kuty na cztery nogi, zna wszystkie chwyty kapusiów.

— Nie bój się — znowu szybko szepcze tamten. — Jestem tu w imieniu Komitetu Wyzwolenia. Jutro spróbujemy wywieźć i dostarczyć w bezpieczne miejsce pierwszą partię. Nic nie tracisz. Dadzą wam truciznę. Gdyby ucieczka się nie udała…

— To?

— Zażyjesz truciznę. Przecież to lepsze niż śmierć na bawełnianych polach. Zgadzasz się?

Nieoczekiwanie dla samego siebie Arp kiwa głową.

— Instrukcje dostaniesz rano w chlebie. Bądź ostrożny.

Arp znowu kiwa głową i wychodzi.

Pierwszy raz od dziesięciu lat jest na tyle pochłonięty marzeniami, że przepuszcza mimo uszu drugi i trzeci trening.

*** * ***

Arp jako ostatni stoi w kolejce po śniadanie. Teraz jego miejsce jest na końcu kolejki. Każdy zwolniony od pracy dostaje jedzenie później od innych.

Wyrośnięty kryminalista rozlewający polewkę uważnie patrzy na Arpa i uśmiechając się lekko rzuca mu leżący z boku kawałek chleba.

Rozprawiając się z lurą Arp ostrożnie kruszy chleb. Jest! Chowa pod policzek maleńką kulkę papieru.

Teraz trzeba odczekać aż więźniowie pomaszerują do pracy.

Wstają. Arp wychodzi ze stołówki na końcu kolumny i dochodząc do poprzecznego chodnika skręca w lewo. Pozostali idą prosto.

Tutaj za zakrętem Arp jest stosunkowo bezpieczny. Dyżurni sprzątają baraki, a na zmianę warty jeszcze za wcześnie.

Instrukcja jest bardzo lakoniczna. Arp czyta ją trzy razy i gdy jest przekonany, że wszystko zapamiętał, znowu zgniata papier i połyka go.

Teraz, kiedy już trzeba działać, ogarnia go strach.

Waha się. Śmierć na bawełnianych polach wydaje mu się niczym w porównaniu z grożącymi za ucieczkę ‘torturami.

„Trucizna!”

Przypomnienie o truciźnie z początku uspokaja go. Koniec końców rzeczywiście, co traci?!

Strach — odrażający, lepki, gęsty — przychodzi znów, kiedy Arp na granicy strefy okazuje wartownikowi zaświadczenie o zwolnieniu z pracy.

— Dokąd?

— Do lekarza.

— Przechodź!

Arpowi wydaje się, że jego nogi są z waty. Powoli wlecze się wzdłuż chodnika plecami wyczuwając niebezpieczeństwo. Zaraz rozlegnie się okrzyk, a po nim seria z automatu. W takich wypadkach strzelają w nogi. Za ucieczkę grozi śmierć na torturach. Nie wolno pozbawiać więźniów takiego pouczającego widowiska — tu jest katorga, a nie sanatorium.

Zakręt!

Arp skręca za róg i przywiera do ściany. Słyszy uderzenia swojego serca. Wydaje mu się, że zaraz zwróci ten dygocący kłębek razem z żółcią dobywającą się z żołądka. Zimny pot pokrywa ciało. Zęby wystukują nieprzerwany trel. Właśnie tak, przy dźwiękach werbli prowadzą na egzekucję schwytanych zbiegów.

Mija cała wieczność, zanim decyduje się ruszyć dalej.

Gdzieś tutaj, w niszy, powinny stać zbiorniki na śmieci. Arp powtarza jeszcze raz w pamięci instrukcję. Znów pojawiają się wątpliwości. A jeżeli to wszystko jest specjalnie ukartowane? Wlezie do zbiornika, a tam go już stukną! I żadnej trucizny nie ma. Głupek. Nie należało się zgadzać, dopóki nie dostanie do ręki trucizny. Bałwan! Arp gotów jest bić głową o ścianę. Tak trafić na haczyk pierwszego lepszego kapusia!

Ale oto i zbiorniki. Koło lewego ktoś zostawił kozły malarskie. Wszystko jak w grypsie. Arp stoi niezdecydowany. Najrozsądniej byłoby chyba zawrócić.

Nieoczekiwanie dochodzą go podniesione głosy i szczekanie psa. Obchód! Nie ma już czasu na zastanawianie. Z nieoczekiwaną lekkością włazi na kozły i stamtąd skacze do zbiornika.

Głosy zbliżają się. Słyszy ochrypłe szczekanie psa rwącego się ze smyczy i stuk podkutych butów.

— Sza, Har!

— W baku ktoś jest.

— Szczury, tu ich pełno.

— Nie, na szczury on szczeka inaczej.

— Głupstwa! Chodźmy! Uspokój go w końcu!

— Cicho, Har! Kroki się oddalają.

Teraz Arp może się rozejrzeć w swojej kryjówce. Zbiornik napełniony jest najwyżej w jednej czwartej. O wyjściu z niego nie ma nawet co marzyć. Górna krawędź jest co najmniej na wysokości dwóch ludzi. Arp przesuwa ręką po ścianie i znajduje dwa małe otwory, o których była

mowa w grypsie. Umieszczone są w wytłoczonym napisie „Obozy pracy” opasującym zbiornik. Przez te otwory Arp będzie oddychał, kiedy już zamkną wieko.

Kiedy zamkną wieko. Arp i bez tego czuje się jak w pułapce. Kto wie, czym się skończy ta eskapada. Cóż to za Komitet Wyzwolenia? W obozie nic o nim nie było słychać. Może to ci sami chłopcy, co wtedy pomogli mu zdezerterować? Szkoda, że ich wtedy nie posłuchał i poszedł odwiedzić matkę. Tam go już ktoś zakablował. A przecież, gdyby nie był takim bałwanem, wszystko mogło się skończyć całkiem inaczej.

Znowu głosy i skrzypienie kół. Arp przykłada oko do jednego z otworów i uspokaja się. Dwóch więźniów wiezie kubeł z odpadkami. Najprawdopodobniej dyżurni z sektora. Nie spieszą się. Przysiadają na wózku i po kolei zaciągają się niedopałkiem wyrzuconym przez kogoś z ochrony. Arp widzi blade smugi dymu i jego usta napełniają się śliną. Tym to się powodzi!

Z niedopałka zostało wyssane wszystko, co się tylko da. Kubeł pełznie do góry. Ciągnąca go lina przerzucona jest przez blok nad głową Arpa. Arp zakrywa głowę rękami. Zawartość kubła wysypuje się na niego.

Dopiero teraz, kiedy więźniowie odeszli, zauważa jak paskudnie śmierdzi w jego kryjówce.

Otwory do oddychania umieszczone są trochę wyżej niż usta Arpa. Musi nagarnąć część odpadków sobie pod nogi.

Teraz trzeba mieć się na baczności. Sprzątanie kończy się o dziesiątej. Potem zapełnione pojemniki na śmieci transportowane są na górę.

*** * ***

Nie wiadomo, skąd się wzięła ta szeroka nie heblowana deska zachlapana wapnem. Jeden jej koniec dotyka ścianki zbiornika przy samym dnie, drugi opiera się tuż nad głową Arpa. Deska, tak jak i kozły, jest dowodem czyjegoś zainteresowania losem zbiega. Arp czuje to szczególnie teraz, kiedy ostry metalowy pręt przeszywa odpadki, natyka się na deskę i metodycznie obmacuje ją z góry na dół. Gdyby nie ta deska… Wydaje się, że przegląd nigdy się nie skończy.

— No, co tam? — pyta schrypnięty starczy głos.

— Nic, po prostu deska.

— Dawaj!

Lekkie szarpnięcie, skrzypienie bramy i zbiornik kołysząc się rozpoczyna drogę do góry. Czasami uderza o ściany szybu i Arp czuje przyciśniętą do ścianki twarzą każde uderzenie. Między jego głową i deską jest maleńka przestrzeń, gdzie nie ma śmieci. Dzięki temu można lekko odchylać głowę od otworów przy szczególnie gwałtownych chybnięciach baka.

Stop! Ostatnie, najsilniejsze uderzenie i pokrywa otwiera się z łoskotem. Znowu żelazny pręt szpera wewnątrz pojemnika. Znowu opatrznościowa deska kryje skulonego pod nią, trzęsącego się ze strachu człowieka.

Teraz otwory odwrócone są w stronę betonowego ogrodzenia i cały świat wokół Arpa ogranicza się do szarej, porowatej powierzchni muru.

Jednak ten świat wypełniony jest dawno zapomnianymi dźwiękami. Pośród nich Arp odróżnia szum opon samochodowych, głosy przechodniów i nawet ćwierkanie wróbli.

Równomierne, uporczywe postukiwanie w przykrywę zbiornika napina nerwy do ostateczności. Arp zwija się w kłębek. Stukot jest coraz bardziej przyspieszony, natarczywy, coraz bardziej zniecierpliwiony i nagle do jego świadomości dociera, że to deszcz. Dopiero wtedy uzmysławia sobie jak bliska i jak upragniona jest wolność.

* * *

Wszystko, co dzieje się tej nocy, wydaje mu się złym snem. Od momentu, kiedy wyrzucili go ze zbiornika, Arp to wpada w odrętwienie, to znów budzi się od dotknięcia szczurzych łap. Dół na śmieci jest pełen szczurów. Gdzieś obok po drodze jeżdżą samochody. Czasami ich reflektory wychwytują z ciemności wzgórek śmieci, za którym przyczaił się Arp. Szczury z piskiem nurkują w ciemność, drapią go po twarzy ostrymi pazurami, piszczą, gdy próbuje je odegnać i znów wracają, gdy tylko pagórek tonie w mroku.

Arp myśli, że jego ucieczkę już pewnie odkryto. Próbuje wyobrazić sobie, co się teraz dzieje w obozie. Błyska mu myśl, że psy mogły wpaść na jego ślad prowadzący do zbiorników i wtedy…

Dwa jaskrawe snopy światła działają jak uderzenie. Arp podrywa się. Reflektory natychmiast gasną. Zamiast nich zapala się maleńka lampka w kabinie samochodu. To wojskowy furgon, w jakim zazwyczaj przewozi się amunicję. Człowiek za kierownicą daje znak, by Arp się zbliżył.

Arp oddycha z ulgą. Samochód, o którym była mowa w grypsie.

Podchodzi z tyłu do drzwi. Otwierają się, Arp chwyta czyjeś wyciągnięte ręce i znów trafia w ciemność.

W samochodzie jest ciasno. Siedząc na podłodze Arp słyszy ciężki oddech ludzi, czuje plecami i ramionami czyjeś ciała. Miękko kołysząc się na resorach furgon cicho mknie w ciemnościach.

Arpa budzi światło skierowanego prosto w twarz reflektora. Coś się stało! Nie czuje ruchu, do którego zdążył się już przyzwyczaić.

— Odpoczynek! — mówi człowiek z reflektorem. — Możecie wszyscy wyjść na pięć minut.

Arp wcale nie ma ochoty wychodzić z samochodu, ale z tyłu napiera już na niego wiele ciał i musi zeskoczyć na ziemię.

Wszyscy bezładnie skupiają się wokół kabiny kierowcy, nikt nie ryzykuje oddalenia się od furgonu.

— No, chłopaki! — mówi ich wybawca oświetlając latarką postacie w aresztanckich pasiakach. — Jak na razie wszystko idzie pomyślnie, ale póki dostarczymy was na miejsce, może się jeszcze wszystko wydarzyć. Wiecie, co grozi za ucieczkę?

Milczenie.

— Wiecie. Dlatego Komitet proponuje wam truciznę. Po jednej tabletce na głowę. Działa momentalnie. Zażywać tylko w ostateczności. Jasne?

Arp dostaje swoją porcję zawiniętą w srebrzystą folię i znów włazi do samochodu.

Zaciśnięta w, pięści tabletka daje mu poczucie własnej siły. Teraz prześladowcy stracili nad nim całą władzę. Z tą myślą zasypia…

Alarm! Czuje się go we wszystkim: w stojącym nieruchomo samochodzie, w pobladłych twarzach oświetlonych promieniami przenikającymi przez szczeliny samochodu, w głośnym wymyślaniu tam — na drodze.

Arp porusza się, żeby wstać, ale dziesiątki rąk gestami pokazują, żeby się nie poruszał.

— Ładunki wojskowe nie podlegają kontroli. — To głos kierowcy.

— A ja ci mówię, że mam rozkaz. Dzisiaj w nocy…

Samochód zrywa z miejsca i natychmiast rozlegają się za nim serie z automatu. Z dachu przyczepy lecą drzazgi.

Kiedy Arp w końcu podnosi głowę, zauważa, że jego ręka ściska czyjąś niewielką dłoń. Spod wygolonego czoła patrzą na niego czarne oczy obramowane puszystymi rzęsami. Aresztancka bluza nie jest w stanie ukryć dziewczęcej krągłości figury. Na lewym rękawie — zielona gwiazda. Najniższa rasa.

Arp instynktownie rozchyla rękę i wyciera ją o spodnie. Kontakty z przedstawicielami najniższej rasy są zakazane przez prawo Medeny. Nie na darmo ci, co noszą gwiazdę, rodzą się i umierają w obozach.

— Przecież nas nie złapią? Prawda, nie złapią?!

Drżący głosik brzmi tak żałośnie, że Arp, zapominając o prawie, przecząco kręci głową.

— Jak się nazywasz?

— Arp.

— A ja, Żetta.

Arp opuszcza głowę na piersi i udaje, że drzemie. Nikt przecież nie wie, jak się odniosą do podobnych kontaktów tam, dokąd ich wiozą.

Samochód skręcił z szosy i podskakuje na wybojach nie zmniejszając szybkości. Arpowi chce się jeść. Z głodu i od nieustannego kołysania robi mu się niedobrze. Próbuje opanować kaszel krępując się sąsiadów, ale od tego drapanie w gardle staje się nie do wytrzymania. Kurczy się, z gardła wyrywa się kaszel wraz ze strzępami krwi.

Atak wycieńcza Arpa do tego stopnia, że nie ma już sił odtrącić ocierającej mu pot z czoła ręki z zieloną gwiazdą na rękawie.

Gorące nocne powietrze nasycone jest zapachami egzotycznych kwiatów, wypełnione głosami cykad.

Aresztancka odzież już zdjęta. Długa do pięt płócienna koszula przyjemnie chłodzi wyparzone w łaźni ciało. Arp starannie oczyszcza łyżką talerz z resztek kaszy.

Na końcu stołówki, koło pomostu zbudowanego ze starych beczułek i desek, stoją trzy osoby. Wysoki mężczyzna z siwymi włosami i opaloną twarzą oracza — najwyraźniej najważniejszy. Drugi to sympatyczny chłopak w mundurze żołnierza armii Medeny, ten sam, który siedział za kierownicą samochodu. Trzecia — drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem owiniętym wokół głowy. Bardzo jej ładnie w białym fartuchu.

Czekają aż skończy się kolacja.

W końcu stuk łyżek ucicha. Ten główny zręcznie wskakuje na pomost.

— Witajcie, przyjaciele!

Radosny szum wielu głosów jest odpowiedzią na to niezwykłe przywitanie.

— Przede wszystkim powinienem wam zakomunikować, że jesteście tu zupełnie bezpieczni. Władze nie wiedzą, gdzie jest nasz punkt ewakuacyjny.

Na szarych wyniszczonych twarzach pojawia się wyraz szczęścia — wydają się nawet piękne.

— Tutaj w punkcie ewakuacyjnym będziecie musieli pozostać z pięć — dziesięć dni. Termin ten będzie dokładniej określony przez naszego lekarza, ponieważ czeka was potem ciężki wielodniowy przemarsz. Miejsce, do którego was zaprowadzimy, to oczywiście nie jest raj. Trzeba tam pracować. Każdą piędź ziemi naszych osiedli wydzieraliśmy dżungli. Jednak tam będziecie wolni, będziecie mogli założyć rodziny i pracować dla własnego szczęścia. Na pierwszy okres pobytu mieszkania przygotowali dla was ci, którzy przybyli tam wcześniej od was. To już u nas tradycja. Teraz jestem gotów odpowiedzieć na wasze pytania.

Póki padają pytania, Arp męczy się, waha. Bardzo chce się dowiedzieć, czy w tych osiedlach można się żenić z dziewczyną niższej rasy. Jednak kiedy w końcu zdecydował się i nieśmiało podniósł rękę, wysoki mężczyzna oracza zszedł już z pomostu.

Teraz do zbiegów zwraca się kobieta. Jej głos jest cichy i śpiewny i Arp musi wytężać słuch, żeby zrozumieć, o czym mowa.

Kobieta prosi wszystkich, by położyli się do łóżek i czekali na badanie lekarskie.

Arp znajduje swoje łóżko dzięki wywieszonej na nim metryczce, kładzie się na szeleszczące, chłodne prześcieradło i natychmiast zasypia.

Przez sen czuje, że go obracają na bok, odczuwa chłodne dotknięcia stetoskopu i otwierając oczy widzi maleńką kobietę z rudym warkoczem zapisującą coś w notesie.

— Obudziłeś się? — uśmiecha się ukazując olśniewająco białe równe zęby.

Arp kiwa głową.

— Jesteś bardzo wycieńczony. Z płucami też nie wszystko w porządku. Będziesz spał siedem dni. Teraz cię uśpimy.

— Dopiero teraz Arp zauważa jakiś aparat przysunięty blisko do łóżka.

Kobieta naciska kilka guzików na białym pulpicie i mózg Arpa opanowuje dziwny szum.

— Spać — rozlega się bardzo daleki melodyjny głos i Arp zasypia.

Śni mu się zadziwiający sen — świat pełen słońca i szczęścia.

Tylko we śnie możliwa jest taka upajająca powolność ruchów,— taki brak skrępowania własnym ciężarem, taka możliwość szybowania w powietrzu.

Ogromna łąka pokryta jest śnieżnobiałymi kwiatami. W oddali Arp widzi wysoką wieżę mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy. Arp lekko odbija się od ziemi i powoli opada na dół. Mieniąca się wieża rozsiewa uczucie błogości i dążenie do niej jest nie do odparcia.

Arp nie jest sam. Ze wszystkich stron łąki do tajemniczej wieży podążają ludzie odziani tak samo jak on w długie białe koszule. Pomiędzy nimi jest Żetta z podołkiem pełnym białych kwiatów.

— Co to jest? — pyta ją Arp wskazując na wieżę.

— Kolumna Wolności. Chodźmy!

Biorą się za ręce i razem płyną w przepełnionym słonecznymi promieniami powietrzu.

— Poczekaj!

Arp też napełnia podołek koszuli kwiatami i razem lecą dalej.

U podnóża wieży składają kwiaty.

— No, kto więcej?! — krzyczy Żetta unosząc się pomiędzy szarymi łodygami. — Goń mnie!

Ich przykład podchwytują pozostali. Mija trochę czasu i całe podnóże wieży jest zasypane kwiatami.

Potem palą ogniska i smażą na ogniu wielkie kawałki mięsa nadziane na cienkie długie pręty. Oszałamiający zapach szaszłyka miesza się z zapachem płonących gałązek, wywołuje w pamięci jakieś wspomnienia — bardzo dawne i bardzo przyjemne.

Po zaspokojeniu głodu leżą na ziemi koło ogniska patrząc na gwiazdy, wielkie nieznajome gwiazdy na czarnym, czarnym niebie.

Kiedy Arp zasypia przy gasnącym ognisku, w jego ręce leży maleńka ciepła dłoń.

*** * ***

Gasną ogniska. Wyłączono już różnokolorowe lampki opasujące wieżę. Na dole przy samej ziemi otwierają się drzwi i dwie gigantyczne mechaniczne łapy zgarniają bawełnę do środka. Pod oszkloną kopułą starzec z opaloną twarzą patrzy na strzałkę wagi automatycznej.

— Pięć razy więcej, niż wszystkie poprzednie partie — mówi wyłączając transporter. — Boję się, że przy takim szalonym tempie nie pociągną nawet tygodnia.

— Mogę się założyć o dwie butelki — uśmiecha się wesoło sympatyczny chłopak w wojskowym mundurze. — Pociągną jak wszyscy dwadzieścia dni. Hipnoza to wielka sztuka.. Można paść ze śmiechu, jak żarli tę pieczoną brukiew! W hipnozie można z nimi zrobić, co się tylko chce. Prawda, pani doktor?

Drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem zawiniętym dokoła głowy nie spieszy się z odpowiedzią. Podchodzi do okna, włącza reflektor i uważnie patrzy na obciągnięte skórą podobne do czaszek twarze.

— Trochę przeceniacie możliwości elektrohipnozy — mówi obnażając w uśmiechu ostre zęby wampira. — Silne promieniowanie psi–pola jest w stanie jedynie nadać rytm pracy i narzucić pewną wspólnotę działań. Najważniejsze jest jednak wstępne przygotowanie psychiczne. Imitacja ucieczki, pozorne niebezpieczeństwa — wszystko to ukształtowało w nich poczucie zdobytej bardzo drogo wolności. Trudno przewidzieć, jakie kolosalne rezerwy organizmu mogą zostać wyzwolone przez wyższe emocje.

Przełożył Piotr Fast

Ilja Warszawski

KONTAKTÓW NIE BĘDZIE

Ludzkość przygotowywała się do tego wydarzenia wiele lat. Radioteleskopy największych obserwatoriów Ziemi metodycznie przeczesywały głębie przestrzeni w poszukiwaniu sygnałów pozaziemskich cywilizacji, lingwiści i matematycy opracowywali metody komunikowania się z przedstawicielami innych światów, młodzieńcy w wieku przedpoborowym żyli marzeniami o krzemoorganicznych i fluorowodorowych ukochanych, autorzy literatury fantastycznej, pełni natchnienia dzięki niezwykłym nakładom, rozsmakowywali drastyczne sytuacje konfliktów z antyhumanistycznymi formacjami społecznymi, uczeni przewidywali wyjaśnienie najskrytszych tajemnic wszechświata wytwornie złożone im w darze przez kolegów z sąsiednich galaktyk.

Wzięto pod uwagę i wyważono wszystko: możliwą ilość zamieszkałych planet, poziom rozwoju żyjących tam istot, prawdopodobieństwo odwiedzenia Ziemi przez kosmonautów, przedstawicieli hipermądrych ras, które opanowały źródła energii o niewyobrażalnej mocy oraz pokonały Przestrzeń i Czas.

Marzenia o epoce Powszechnej Wspólnoty Rozumu w kosmosie kryły w sobie takie perspektywy, w porównaniu z którymi drobne nieporządki na naszej planecie wydawały się w ogóle nie zasługiwać na uwagę.

Wszystko wskazywało na to, że nie trzeba już będzie długo czekać, aby dobrzy ludzie w błyszczących kosmicznych zbrojach, biorąc za rękę nierozumną i zbłąkaną ludzkość, poprowadzili ją do bram nowego raju, w którym zazna ona szczęścia i spokoju wraz z całym kosmosem.

Byli co prawda też sceptycy podający w wątpliwość wartość porozumienia między galaktykami za pomocą informacji dostarczanych z opóźnieniem dziesiątków miliardów lat, ale ich zgryzliwości nikt nie traktował poważnie, gdyż Uskrzydlone Marzenie uwzględniało nie tylko takie cuda jak rozprzestrzenianie sygnałów z szybkością większą od szybkości światła.

Trochę bardziej skomplikowane było ustalenie estetycznych kryteriów przyszłej wspólnoty. Jednakże w długotrwałej i zajadłej dyskusji stronnicy myślących pleśni i żywych oceanów zostali rozbici na głowę. Prace znanego uczonego Karlsoria (nie tego, który mieszka na dachu, ale innego) nie tylko udowodniły nieuchronność zewnętrznego podobieństwa wszystkich istot stojących na szczycie rozwoju biologicznego, ale wręcz określiły najbardziej prawdopodobny średniostatystyczny typ najbardziej rozpowszechniony w granicach metagalaktyki.

Wykorzystując metody biocybernetyki, algebry, logiki i teorii gier Karlson stworzył syntetyczną rekonstrukcję mężczyzny i kobiety — hipotetycznych aborygenów, zasiedlających jedną z możliwych planet gwiazdozbioru Tau Wieloryba.

Rekonstrukcja ta była rozpowszechniona w nakładzie stu milionów egzemplarzy na niewielkich drukowanych offsetem kartonowych pocztówkach, które były bardzo poręczne i mieściły się w kieszonce na piersiach. Cieszyła się ona szczególnym popytem wśród uczniów starszych klas. Prawdopodobnie zainteresowanie to spowodował fakt, że Karlson uważał odzież za detal drugorzędny i skoncentrował swoją uwagę przede wszystkim na wielce pikantnych szczegółach budowy ewentualnych przybyszów.

Jeśli chodzi o przeróżne plotki jakoby za modelkę posłużyła Karlsonowi pewna tancerka i jej partner, którzy występowali z nieustającym powodzeniem w nader popularnej choć niezbyt rozreklamowanej instytucji rozrywkowej, to są one pozbawione wszelkich podstaw, choćby dlatego, że żaden z autorów podobnych twierdzeń nie zaryzykował wystąpienia z nimi na żadnym oficjalnym forum.

Tak więc sto tysięcy radioteleskopów wycelowano w tajemniczą otchłań światowego oceanu, osiem miliardów szczęk znajdowało się w ciągłej gotowości do obnażenia się w przyjaznym uśmiechu, tyle samo rąk spieszyło rozewrzeć objęcia, sześćdziesiąt milionów dziewcząt ślubowało połączyć się więzami miłości z przybyszami z obcych planet, cała armia młodzieńców rwała się, by walczyć o zaszczyt opuszczenia ojczystej Ziemi i zaciągnięcia się pod kosmiczne sztandary Wielkiej Wspólnoty.

A mimo wszystko, kiedy do tego doszło…

* * *

— Radiogram od dowódcy X26–371. — Dyżurny międzynarodowego portu lotniczego w Addis Abebie położył na stole komendanta białą kartkę. — Nie niepokoiłbym pana, gdyby nie…

— Stało się coś?

— Nie, ale…

— Hm… — Komendant dwukrotnie przeczytał radiogram i pytająco spojrzał na dyspozytora. — Jest pan przekonany, że radiotelegrafistka nic nie pokręciła?

— Przysięgaj że zapisała wszystko słowo w słowo. Na początku słyszalność była bardzo dobra, a potem łączność nagle się przerwała.

— Dziwne!

Jeszcze raz przeczytał tekst.

„Godzina 17 minut 13 23°31’ SzPł 20°10’ DłW wysokość 2000 metrów szybkość 1500 kilometrów dokładnie na kursie widzę tęczę kulistą o przekroju około tysiąca metrów przypuszczam…”

Na tym radiogram się urywał.

— No i co pan myśli?

Dyżurny wzruszył ramionami.

— Boję się, że rozporządzenie Naczelnego Zarządu zakazujące członkom załogi korzystania z barów pokładowych jest respektowane nie we wszystkich przypadkach.

— Bzdury! — Komendant podszedł do ściany i zaznaczył ołówkiem współrzędne wskazane w radiogramie. — Samolot trochę zszedł z kursu i leciał w tym czasie nad pustynią Libijską. Najprawdopodobniej najzwyklejszy miraż. Niech pan spróbuje jeszcze raz nawiązać z nimi łączność.

— Dobrze.

Komendant wydostał z szuflady stołu zestawienie lotów. Samolot X26–371, rejs Sydney—Madryt. Siedemdziesięciu pasażerów. Teraz powinien podchodzić do lądowania w Algierze. Kapitan — Leister, jeden z najlepszych pilotów Kompanii, niemożliwe, żeby on…

Wrócił dyżurny.

— No i co?

— Łączności nie ma.

— Zasięgnijcie informacji w Algierze.

— Pytałem. Nic nie wiedzą.

— Trzeba zacząć poszukiwania. Połączcie mnie z Sydney.

* * *

Następnego dnia wszystkie gazety świata upstrzone były sensacyjnymi doniesieniami.

Szczątki samolotu X26–371 zostały odnalezione na Pustyni Libijskiej niedaleko od miejsca wskazanego w ostatnim radiogramie. Według orzeczenia komisji samolot rozleciał się w powietrzu. Załoga i pasażerowie zginęli.

Jednakże w centrum uwagi gazet znajdowała się nie sama katastrofa, a okoliczności, w których do niej doszło.

Niedaleko od miejsca awarii znaleziono na poły przezroczystą kulę wiszącą nad powierzchnią pustyni na wysokości około dwustu metrów.

— Tęczowa otoczka kuli przypominająca bańkę mydlaną emitowała fale radiowe o długości od 21 cm do 1700 metrów. Równocześnie kula zmniejszała swoją objętość i powoli opadała na ziemię.

W ciągu doby, która minęła od momentu zlokalizowania obiektu, rozmiar kuli zmniejszył się o połowę.

Na Pustynię Libijską natychmiast oddelegowano przedstawicieli wszystkich Akademii świata.

Trzy razy na dobę największe kompanie telewizyjne przekazywały przez sputniki telekomunikacyjne obraz tajemniczej kuli.

Wreszcie w piątej dobie kula dotknęła powierzchni piasku i pękła z ogłuszającym trzaskiem. Burza magnetyczna, która rozszalała się w momencie jej zetknięcia z ziemią, na kilka godzin przerwała jakąkolwiek łączność w eterze. Kiedy w końcu transmisje zostały wznowione, ponad miliard telewidzów, umierających z niecierpliwości przed ekranami, zobaczył na miejscu zdarzenia trzy przeźroczyste prostokątne naczynia napełnione mętną cieczą, w której poruszało się coś nieokreślonego.

Przerażający fetor, który wydobywał się z naczyń, uniemożliwiał prowadzenie transmisji z bliskiej odległości. Jednak za pomocą teleobiektywów udało się ustalić, że przedmioty pływające w cieczy podobne są do ośmiornic i cały czas się poruszają.

Teraz już nie było żadnych wątpliwości.

Nareszcie naszą planetę odwiedzili rozumni bracia, władający potężną techniką lotów międzygwiezdnych.

Chociaż prognozy Karlsona okazały się niezbyt dokładne, a ślubowania dziewczyn nieopatrzne, to jednak nic nie mogło zaćmić fascynującej podniosłości pierwszego kontaktu z mieszkańcami dalekich i zagadkowych światów.

Natychmiast przerwano wszelkie spory naukowe pomiędzy stronnikami teorii antropocentrycznej i wyznawcami hipotezy o superintelektualnych jaszczurach. Zjednoczyło ich teraz wspólne niepohamowane dążenie, aby jak najprędzej nawiązać kontakt z gośćmi.

Ku powszechnemu zdumieniu przybysze nie przejawiali w tym względzie żadnej inicjatywy. Najspokojniej w świecie pływali w swoich naczyniach nie zwracając uwagi na wszystko, co wyprawiało się dookoła.

Ciekawość szerszej publiczności gotowa już była przekształcić się w oburzenie, ale uczeni jak zawsze się nie spieszyli. Ponad dziesięć dni trwały ożywione debaty w niezliczonych komisjach działających pod egidą Organizacji Narodów Zjednoczonych.

W opublikowanym w końcu komunikacie sformułowane były trzy podstawowe problemy wymagające rozwiązania:

1. Określić jakimi organami zmysłów dysponują przybysze.
2. Znaleźć sposób udowodnienia im, że mają do czynienia z istotami rozumnymi.
3. Ustalić wspólny język.

Na posiedzeniu plenarnym wybrano grupę parlamentariuszy pod przewodnictwem sir Henry Nobla — ostatniej latorośli starego rodu, który wylądował na brzegu Anglii wraz z Wilhelmem

Zdobywcą. Według powszechnej opinii nienaganne maniery lorda Nobla oraz jego drobiazgowa znajomość reguł etykiety czyniły jego kandydaturę szczególnie uzasadnioną.

Co prawda w czasie kolejnych debat parlamentarnych dotyczących polityki zagranicznej rządu lider opozycji, wyraził wątpliwość, czy lord Nobel będzie w stanie przekonująco udowodnić swoją przynależność do istot rozumnych, jednak po wyjaśnieniu premiera, że inaczej sir Henry nie mógłby zajmować miejsca w Izbie Lordów, cofnął swoją interpelację.

Komentując to wydarzenie jedna z liberalnych gazet przytoczyła w obronie kandydatury lorda Nobla dowód nie do obalenia, stwierdzając, że był on zmuszony — jak pisał autor artykułu — od dzieciństwa ćwiczyć się w przeprowadzaniu podobnych dowodów.

Teraz komisja była gotowa do podjęcia prób nawiązania wzajemnego kontaktu.

Na Pustynię Libijską ściągnięto wszystko, co mogło pomóc w rozwiązaniu postawionego zadania.

Urządzenia akustyczne dużej mocy, radiowe stacje nadawcze pracujące na falach krótkich, średnich i długich, reflektory zmieniające kolor i intensywność snopa światła — miały pomóc w określeniu, jakimi organami zmysłów dysponują przybysze.

Tego wszystkiego było jednak za mało. Zanurzone w cieczy dziwaczne istoty nie reagowały na żadną próbę przyciągnięcia ich uwagi.

Na burzliwym posiedzeniu komisji do spraw kontaktu zdania się podzieliły. Matematycy uważali, że należy przejść na język geometrii jednakowo dostępny wszystkim istotom rozumnym, estetycy upierali się przy muzyce, chemicy proponowali wzory strukturalne, inżynierowie zamierzali oszołomić gości osiągnięciami ziemskiej techniki.

Nieoczekiwane i błyskotliwe rozwiązanie zostało znalezione przez przewodniczącego obradom lorda Nobla. Zaproponował wypróbowanie wszystkich metod po kolei, a póki co poprosił, aby dać mu możliwość nawiązania z przybyszami kontaktu osobistego.

Taki plan urządzał wszystkich. W podkomisjach znowu zawrzała praca. Dziesiątki samolotów przerzucały na pustynię materiały niezbędne do wybudowania gigantycznego ekranu i muszli koncertowej, w której miała się rozlokować zespolona orkiestra Narodów Zjednoczonych. Sześciu kompozytorów spiesznie pisało symfonię kosmiczną C–dur. Pewne tarcia powstały w podkomisji technicznej. W rezultacie długotrwałych debat zdecydowano, że Stany Zjednoczone będą mogły pokazać wyścigi samochodowe odbywające się na Florydzie, a Francja zaznajomi przybyszów z produkcją nylonowych kożuszków.

W tym czasie lord Nobel przygotowywał się do odpowiedzialnej i zaszczytnej misji.

Z oburzeniem odrzucił sugestię specjalistów, aby w celu uniknięcia odurzającego smrodu wydzielanego przez przybyszów użyć maski gazowej oraz oświadczył przedstawicielom prasy, że prawdziwy gentleman nigdy nie da po sobie poznać, że zauważył cokolwiek przekraczającego granice dobrego tonu. „W takich wypadkach — dodał — człowiek dobrze wychowany dusi się, ale nie zatyka nosa”.

Grupa parlamentariuszy ze swoim wysoko urodzonym przewodniczącym na czele przybyła na miejsce spotkania specjalnym samolotem. Pomimo niesłychanej spiekoty wszyscy ubrani byli w czarne fraki’ i krochmalone koszule, co korzystnie odróżniało ich od tłumu korespondentów i operatorów paradujących w szortach i kowbojskich kapeluszach.

Lord Nobel błysnął monoklem i uroczystym krokiem skierował się w stronę trzech tajemniczych naczyń. Jego świta w liczbie pięciu ludzi podążała za nim w pewnym oddaleniu.

Podchodząc do przybyszów na odległość pięćdziesięciu metrów lord zachwiał się z lekka, złożył pełen godności ukłon i padł w głębokim omdleniu na piasek. Pozostali członkowie grupy naruszając starannie opracowany ceremoniał powlekli szefa delegacji za nogi w bezpieczne

miejsce. Przy tym nie dość, że zapomnieli podnieść monokl, który wypadł lordowi, ale na dodatek w zupełnie nieprzyzwoity sposób zatykali nosy batystowymi chusteczkami.

Po niewielkim zamieszaniu wywołanym przez to nieprzewidziane wydarzenie inicjatywa została przekazana matematykom.

Ogromny ekran pokrył wizerunek „spodenek Pitagorasa".

Za pomocą techniki filmów animowanych dwa kwadraty zbudowane na przyprostokątnych trójkąta zrywały się z miejsca i przepychając się w niezdecydowaniu obok kwadratu na przeciwprostokątnej układały się w nim bez reszty.

To świadectwo potęgi ludzkiego rozumu powtórzone sto dwadzieścia razy nie wywołało niestety żadnej reakcji w naczyniach.

Wtedy po naradzie komisja doszła do jednogłośnej decyzji, że należy puścić do akcji ciężką artylerię — muzykę.

Póki na ekranie dwaj znani komicy odgrywali napisaną przez lingwistów scenkę, która powinna przybyszom wyjaśnić, że ziemianom nie są obce pojęcia „więcej" i „mniej", muzycy zajmowali miejsca w muszli koncertowej.

Słońce już zaszło, ale żar rozpalonego piasku wyciskał z ludzi siódme poty. Wewnątrz nagrzanej w ciągu dnia muszli było gorąco jak w piekarniku.

Komicy na ekranie kończąc wymianę niezbędnej ilości butelek i parasoli wykonali już zadanie lingwistów, ale muzycy ciągle jeszcze stroili instrumenty.

Wreszcie przygotowania zostały zakończone.

Pięciuset najlepszych muzyków świata zastygło gotowych do podporządkowania się magicznej pałeczce dyrygenta.

Kosmiczna symfonia C—dur zaczęła się od niskich dudniących dźwięków. Gigantyczna kula pramaterii wolno zmniejszała się i obracała w pierwotnej przestrzeni. Wybuch! Monstrualny szał instrumentów smyczkowych, chaos zderzających się i rozpierzchających galaktyk, buszujący ocean dźwięków.

Ale powoli do pędzącego, splątanego ryku wkrada się prosty i surowy motyw — zwiastun rodzącego się życia.

Dumnie dźwięczą fanfary: z prostych węglowodanów wyłoniły się pierwsze molekuły aminokwasów.

Potęguje się dudnienie bębnów, próbując zagłuszyć delikatne dźwięki fujarek i waltorni. Posępną pieśń śmierci śpiewają kontrabasy, prorokujące zwycięstwo Entropii nad Życiem.

Orkiestra kona z gorąca. Wykrochmalone kołnierzyki i gorsy zmieniły się w mokre ścierki, wielu muzyków, już ukradkiem porozpinało marynarki i kamizelki,, pałeczka dyrygenta jednak jest niestrudzona, nie daje ani chwili odpoczynku.

Szczękają żuchwy dinozaurów, rozlegają się przedśmiertne jęki żywych stworzeń przemielanych w ogromnych paszczach, szelest skrzydeł latających jaszczurów, wycie buszujących orkanów, gruchot wybuchających wulkanów i nagle pojawia się znów czysty i jasny motyw. Stał się cud nad cudy: z posępnej szarej protoplazmy przez tryliony śmierci i narodzin na planecie pojawił się Homo Sapiens.

Cichy szept przelatuje przed ekranami telewizorów. Na proscenium, na oświetlonym postumencie pojawia się obnażona postać kobiety, żywa rekonstrukcja modelu Karl—sona.

Nie ma na sobie nic oprócz złotych pantofelków na szpilkach i długich czarnych pończoch ściśniętych nad kolanami koronkowymi podwiązkami z dzwoneczkami. Tańczy. Kolorowe reflektory wychwytują z mroku to uniesione ku niebu ręce i odrzuconą w tył głowę, to obracające się w powolnym rytmie biodra.

Teraz w kołowrocie dźwięków daje się słyszeć smutek duszy ludzkiej dążącej na spotkanie braci w rozumie.

Coraz wyraźniejsza staje się partia skrzypiec, coraz szybszy jest ruch bioder, coraz głośniejszy akompaniament dzwoneczków.

W tym momencie stało się wreszcie to, czego już nikt się nie spodziewał.

Z akwariów z przybyszami wysunęły się trzy wijące się wstęgi, rozwinęły się na podobieństwo dziecięcej zabawki „język teściowej" i pospieszyły w powietrzu do orkiestry.

Zatrzymując się na moment koło tancerki przeniknęły w głąb muszli, przeleciały nad głowami muzyków i z takim samym pośpiechem powróciły do akwariów.

Cały świat jęknął. Był to niepodważalny dowód potęgi sztuki, zdolnej zjednoczyć istoty rozumne w kosmosie niezależnie od odmienności ich biologicznych form.

Zdawało się, że muzycy nie odczuwają już zmęczenia i gorąca. Głośno i zwycięsko dźwięczała ostatnia część symfonii sławiąc nową erę Wielkiej Wspólnoty.

Tymczasem naczynia z przybyszami znowu okryły się tęczową otoczką i połyskująca w promieniach reflektorów kula wzbiła się przy wtórze finałowego akordu w tajemnicze dale gwiaździstego nieba.

*** * ***

Raport dowódcy 136 załogi kosmicznej do Wielkiej Rady Wszechpoznającego Mózgu:

„Dzięki woli i mądrości Wszechpoznającego Mózgu zorganizowaliśmy poszukiwania istot rozumnych na peryferiach mgławicy galaktycznej znajdującej się w rejestrze Rady pod numerem 294.

Jako obiekt badań wybrano trzecią planetę żółtego karła posiadającą w składzie atmosfery 21% tlenu.

Przerzut na tę planetę był zrealizowany przy użyciu metody zagęszczania przestrzeni.

Powierzchnia planety pokryta jest gładką taflą piasku. Ujęć wody brak. Ten fakt oraz wysoka temperatura i podwyższona siła ciążenia zmusiły nas do prowadzenia obserwacji bez opuszczania naczyń ochronnych zawierających kompensującą ciecz odżywczą.

Biologiczny kompleks planety jest skrajnie ubogi — reprezentują go poruszające się na dwóch kończynach istoty.

Istoty te, jak wolno sądzić, posiadają pewną elementarną wiedzę matematyczną z zakresu zerowego cyklu nauczania przyjętego na naszej planecie w instytucjach przedszkolnych.

Obserwowaliśmy ich rytualne gry i tańce, jednakże pełnego obrazu ich obrzędów kultowych nie mogliśmy uzyskać, gdyż wszystkie nasze próby nawiązania z nimi kontaktu za pomocą zwyczajnego języka zapachów nie dawały żadnych rezultatów.

Widmo zapachów wydzielanych przez tubylców jest bardzo ograniczone i przeprowadzona analiza lingwistyczna nie była w stanie wyodrębnić w nim znaczeń sensownych.

Są podstawy, aby sądzić, że w końcowej fazie naszego pobytu próbowali oni wszelkimi sposobami nasilić wydzielanie zapachów. Zgromadzili w tym cyklu kilkuset osobników do nagrzanego pomieszczenia i zmusili ich do wykonywania ciężkiej pracy fizycznej. Możliwe, że zapachy te pomagają im w organizowaniu najprostszego kontaktu między sobą w czasie procesów pracy zespołowej, co zresztą jest absolutnie niewystarczające, aby można było zaliczyć ich do istot rozumnych, władających zapachomową.

Biorąc pod uwagę wyżej zreferowane fakty uważamy dalsze próby nawiązania kontaktów z mieszkańcami badanej planety za bezcelowe.

Dowódca 136 załogi zwiadowczej"

Raport był napisany w systemie siedmiu zapachów na gąbczastej plastikowej płytce nadającej się do długotrwałego przechowywania w archiwach.

Przełożył Piotr Fast

Ilja Warszawski

NAPAD ODBĘDZIE SIĘ O PÓŁNOCY

Szef policji Patrick Raich zasiadł w usłużnie podsuniętym mu fotelu i rozejrzał się dokoła. Białe tablice rozdzielcze z mnóstwem guziczków i różnokolorowych lampek przypominały mu automaty do mieszania koktaili. Podobieństwo Centrum Obliczeniowego do baru dopełniały dwie dziewczyny w białych fartuchach siedzące za pulpitem maszyny. Dziewczęta wyraźnie nadużywały kosmetyków i to zdecydowanie nie podobało się Raichowi. Tak samo zresztą jak cała ta historia z zakupem maszyny cyfrowej. Prawdę mówiąc, gdyby Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zwracało mniejszą uwagę na gazety, to niepotrzebne byłoby wprowadzanie tych wszystkich nowinek. Kto jak kto, ale Patrick Raich po pięćdziesięciu latach swojej pracy w policji wiedział, ile kosztuje niewykrycie jakiegoś przestępstwa. Ci gazeciarze podnoszą od razu krzyk, że policja jest przekupiona przez gangsterów. Przekupiona! A po jaką cholerę mają ją przekupywać, jeśli nawet najpodlejszy gang dysponuje bez porównania większymi możliwościami niż sama policja. Mają na swoje usługi samochody opancerzone, helikoptery, broń automatyczną, bomby z gazem łzawiącym i — co najważniejsze — mogą sobie strzelać do kogo chcą i kiedy chcą. Przekupiona!…

David Logan aż się skręcał ze zniecierpliwienia, ale nie ważył się przerwać rozmyślań szefa. Wszystko wskazywało, że staruszek jest nastrojony sceptycznie, inaczej nie udawałby, że to wszystko go w ogóle nie dotyczy. Ale to nic, zobaczymy jeszcze jak zaśpiewa, kiedy wszystkie karty zostaną wyłożone na stół. Taki skok nie zdarzą się każdego dnia!

Raich wyjął z kieszeni fajkę i uważnie rozejrzał się po ścianach szukając napisu zabraniającego palenia.

— Proszę bardzo! — Logan pstryknął zapalniczką.

— Dziękuję!

Przez kilka minut Raich w milczeniu pykał fajeczkę. Logan notował coś na taśmie perforowanej obserwując nieznacznie szefa.

— Więc — wydusił z siebie w końcu Raich — chce mnie pan przekonać, że dzisiaj w nocy zostanie podjęta próba ograbienia Banku Narodowego?

— Dokładnie tak!

— Ale dlaczego właśnie dzisiaj i dlaczego koniecznie Banku Narodowego?

— Proszę bardzo! — Logan wyciągnął w stronę, szefa niewielką karteczkę. — Maszyna przeanalizowała wszystkie przypadki napadów na banki w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat i przeprowadziła ekstrapolację otrzymanych danych — ołówek Logana podkreślił punkt na wyrysowanej punkcikami krzywej. — Kolejny skok powinien mieć miejsce dzisiaj.

— Hm… — Raich wetknął palec w grafik. — A gdzie tu jest mowa o Banku Narodowym?

— To wynika z teorii prawdopodobieństwa. Matematyczne podejście…

Bank Narodowy. Raich przypomniał sobie napad na ten bank w roku 1912. W bezlitosnym starciu został wtedy zraniony w kolano, a mimo to udało mu się na motocyklu dogonić bandytów. Bukoliczne czasy, kiedy przestępcy działali w niewielkich grupkach i byli uzbrojeni w staromodne colty. Wtedy odwaga i zręczność jeszcze coś znaczyły. A teraz… „Teoria prawdopodobieństwa", „korelacja", „funkcje Gaussa", jakieś karty perforowane, o Boże! Nie służba w policji, a seminarium z matematyki.

— …z tego wynika niezbicie, że banda Scolettiego…

— Co pan powiedział?! — ocknął się Raich.

— Banda Scolettiego. Dysponuje najnowocześniejszą techniką prucia sejfów i dawno już nie uczestniczyła w dużych skokach.
— Jeśli chodzi o Scolettich, to też dane z maszyny?
— Maszyna uważa, że to będzie banda Scolettiego. Przy tym z prawdopodobieństwem osiemdziesięciu sześciu procent.
Raich wstał i podszedł do pulpitu maszyny.'
— Pokażcie, jak ona pracuje.
— Proszę bardzo! Możemy powtórzyć przy panu wszystkie podstawowe obliczenia.
— Nie, nie, ja tylko tak, z ciekawości… Więc Scoletti ze swoimi chłopakami dzisiaj w nocy rozpruje sejfy Banku Narodowego?
— Właśnie tak!
— No cóż — uśmiechnął się Raich. — Pozostaje mi tylko współczuć mu.
— Dlaczego?
— No a jak? Szykuje się skok, wiemy o nim my dwaj, wie maszyna, ale sam Scoletti nie ma o tym zielonego pojęcia.
Logan aż zachłysnął się radością rewanżu.
— Pan się myli — powiedział z nie ukrywaną złośliwością. — Banda Scolettiego kupiła taką samą maszynę. Może pan być pewien, że ona im podpowie, kiedy i jak działać.

***

Jean Bristeau zamienił karierę uniwersytecką na pieniądze i wcale tego nie żałował. Odczuwał trzeźwe zadowolenie człowieka, który dobrowolnie zrezygnował z rajskiego błogostanu na rzecz grzesznej radości na tym ziemskim padole. Jeśli chodzi o wyrzuty sumienia związane z tym, że całą swoją wiedzę oddał na usługi gangsterskiego syndykatu, to należy powiedzieć wprost, że podobnych wyrzutów Jean nie odczuwał. Koniec końców robota programisty jest robotą programisty i papa Scoletti płaci za nią dziesięć razy więcej niż jakakolwiek inna firma. W ogóle to wszystko o wiele bardziej przypomina grę w szachy. Pojedynek na maszyny cyfrowe. Jean uśmiechnął się i spojrzał spod oka na starego tłuściocha, któremu facet z obstawy nalewał w tym momencie drugą porcję gorącego mleka z termosu. Obrazek, za który reporterzy gotowi by popodrzynać sobie nawzajem gardła: postrach banków Pedro Scoletti pije mleczko.
— No, co tam, synku? — Scoletti postawił pustą szklankę na pulpicie maszyny i odwrócił się do Bristeau. — Więc twoja wróżka prorokuje na dziś dobry skok?
Bristeau zmarszczył się lekko na słowo „wróżka". Nie, sir, jeżeli zdecydował się pan już na kupno komputera i zaufał głosowi nauki, to proszę też zaopatrzyć się w odpowiednie słownictwo.
— Udało mi się — odpowiedział sucho — znaleźć wzór wyrażający zasadę periodyczności napadów na banki. Oczywiście napadów udanych — dodał biorąc do ręki wskaźnik. — Tutaj, na tym plakacie, są one przedstawione za pomocą czarnych kółek. Czerwone, kółka — to napady wyliczone według mojego wzoru. Pionowy rozkład kółek odpowiada wysokości zysku, poziomy określa datę napadu. Jak pan widzi, następny duży napad przypada na dzisiejszy dzień. Nie widzę przyczyn, dla których nie mielibyśmy wziąć takiej forsy.
— Jakiej?
— Czterdzieści milionów.
Jeden z goryli gwizdnął. Scoletti odwrócił się z wściekłością. Nienawidził jakiegokolwiek nieoczekiwanego hałasu.
Przez chwilę szef syndykatu siedział cicho pogwizdując. Pewnie analizował tę propozycję.
— Jaki bank?

— Narodowy.
— Tak…
Widać było, „że Scoletti nie za bardzo chce mieć do czynienia z Bankiem Narodowym, na którym syndykat już dwukrotnie łamał sobie zęby. Jednak z drugiej strony — czterdzieści milionów, to taka suma, dla której można zaryzykować dziesiątką chłopaków.
Bristeau zrozumiał, dlaczego Scoletti się waha i postanowił rzucić na szalę główny atut.
— Cały plan operacji zostanie oczywiście opracowany przez maszynę.
Bristeau trafił chyba w dziesiątkę. Scoletti najbardziej nie lubił brać na siebie odpowiedzialności za opracowanie planu skoku. Warto chyba spróbować, jeżeli maszyna… Ale nagle olśniło go:
— Poczekaj! Chodzą słuchy, że staruszek Raich też zamontował w swoim sklepiku jakąś maszynę. Czy nie dojdzie przypadkiem do tego, że oni także zostaną przez nią ostrzeżeni?
— Możliwe — niedbale odpowiedział Bristeau. — Jednak mamy pod tym względem pewną przewagę: wiemy, że oni mają maszynę, a oni o naszej mogą się jedynie domyślać.
— No i co z tego?
— Właśnie tutaj tkwi istota sprawy. Maszyna może opracować kilka wariantów napadu. Jedne z nich są pewniejsze, inne — mniej. Załóżmy, że policja została przez ich maszynę uprzedzona o możliwości napadu. Wtedy oni zlecą jej określenie, który z syndykatów przeprowadzi operację i jaka będzie taktyka napadu. Przyjmując za podstawę najlepszy wariant opracują taktykę działań policji.
— No i capną nas.
— W żadnym wypadku!
— A to dlaczego?
— A dlatego, że my, wiedząc o tym, przyjmiemy nie najlepszy wariant, a któryś z drugorzędnych.
Scoletti energicznie pokręcił nosem.
— Głupstwa! Po prostu zorganizują zasadzkę w banku i wytłuką nas jak kurczaki.
— Tu się pan myli — zaprzeczył Bristeau. — Raich w żadnym wypadku nie zdecyduje się na zasadzkę.
— A to niby jeszcze dlaczego?
— Z przyczyn czysto psychologicznych.
— Dużo ty tam wiesz o psychice policjantów — uśmiechnął się Scoletti. — Znam staruszka ponad trzydzieści lat. Mówię ci: Raich lubi działać na pewniaka i za nic nie zrezygnuje z zasadzki.
Bristeau wyciągnął rękę i wziął ze stołu rulon taśmy perforowanej.
— Może i słabo znam psychikę policjantów, ale komputer jest w stanie rozwiązać każdą etiudę psychologiczną. Oczywiście, jeśli będzie wyposażony w odpowiedni program. Oto rozwiązanie takiego zadania. Dane: Raich ma siedemdziesiąt cztery lata. Co poniektórzy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych dawno już zastanawiają się nad zastąpieniem go jakimś młodszym i mniej upartym urzędnikiem. Co drugie: na zasadzkę w Banku Narodowym potrzebne jest zezwolenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i sankcja Ministerstwa Finansów. Co wygrywa Raich organizując zasadzkę? Czysto taktyczną przewagę. Czym ryzykuje? Ryzykuje swoją reputacją, jeżeli nie będzie w stanie odeprzeć napadu. Wszystkie gazety podejmą wtedy wrzask, że policja nie umie sobie poradzić z szajką gangsterów, nawet wtedy, kiedy o planowanym napadzie wie dużo wcześniej. Raich znajdzie się w jeszcze głupszym położeniu, jeżeli zorganizuje zasadzkę, a napad nie dojdzie do skutku. Pytanie: czy Raich poprosi o zezwolenie na zasadzkę, jeżeli sam niezbyt dowierza prognozom jakiejś tam maszyny? Odpowiedź: nie poprosi. Logiczne?
Scoletti podrapał się po karku.

— Pokaż no te twoje warianty operacji — burknął sadowiąc się wygodniej.

* * *

— No cóż — powiedział Raich — pana pierwszy wariant jest całkiem w stylu Scolettiego. Wszystko obliczone na zewnętrzne efekty — i atak samochodami pancernymi, i wybuchy petard i cały plan blokady dzielnicy. Jednak nie rozumiem, po co ma urządzać pozorowany atak z tego kierunku. — Palec szefa policji wskazał jedną z magistrali w centrum miasta. — Przecież odciągnięcie w tę stronę większości sił policji ma sens tylko w przypadku, gdybyśmy wiedzieli o przygotowywanym napadzie i postanowili zorganizować im odpowiednie przyjęcie.

Logan nie potrafił ukryć triumfującego uśmiechu.

— Tylko w takim wypadku — potwierdził. — Scoletti jest przekonany, że znamy jego zamysły i przygotowuje operację odpowiednio do tego założenia.

— Dziwne!

— Nie ma w tym nic dziwnego. Nabycie przez komendę policji najnowszego typu komputera zostało szeroko rozreklamowane przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych we wszystkich gazetach. Czyżby pan sądził, że w centrum obliczeniowym syndykatu Scolettich siedzą takie bałwany,’ które nie wezmą pod uwagę naszych możliwości w zakresie prognozowania przestępstw? Przecież policja nie kupiła chyba maszyny w celu zwiększenia szans wygranej na wyścigach?

Raich poczerwieniał. Jego dawna namiętność do totalizatora była jedną z maleńkich słabostek starannie ukrywanych przed współpracownikami.

— No i co z tego wynika? — zapytał sucho.

— Z tego wynika, że Scoletti nigdy nie będzie działał według wariantu numer jeden, chociaż ten wariant, jest najwygodniejszy dla syndykatu.

— Dlaczego?

— Właśnie dlatego, że to najwygodniejszy wariant.

Raich wytrząsnął fajkę, nabił ją znowu i pogrążył się w rozmyślaniach skryty w kłębach niebieskiego dymu. Minęło kilka minut, zanim wykrzyknął radośnie:

— Na Boga! Dave, chyba wszystko zrozumiałem. Chce pan powiedzieć, że syndykat nie tylko domyśla się, że wiemy o przygotowywanym napadzie, ale też, że mamy ich plany.

— Zgadza się! Wiedzą, że nasza maszyna ma takie same możliwości, jak ta, którą kupili oni. Co znaczy, że posiadamy także plan przygotowywanej operacji. A jeżeli ten plan jest najwygodniejszy dla syndykatu, to policja bez wątpienia uzna go za podstawę kontroperacji.

— A oni tymczasem…

— A oni tymczasem przyjmą wariant mniej korzystny, ale taki, który będzie dla policji zupełnym zaskoczeniem.

— Uff! — Raich wytarł kraciastą chustką poczerwieniały kark. — Więc pan sądzi, że my…

— Należy koniecznie przystąpić do analizy planu numer dwa’— przerwał mu Logan i dał znak, aby dziewczyny w fartuchach uruchomiły maszynę.

* * *

— Nie rozumiem, dlaczego ten wariant tak się panu nie podoba? — zapytał Bristeau.

— Dlatego, że to bredzenie niemowlaka! — głos Scolettiego aż drżał z wściekłości. — To co, że mam z pięć helikopterów. To wcale jeszcze nie znaczy, że mogę zrzucać kilkutonowe bomby i

przeprowadzać desanty komandosów. Jestem ministrem wojny, czy co? Po jaką cholerę rezygnować z pierwszego wariantu? Wszystko było tam elegancko dopasowane.

— Proszę zrozumieć — objaśniał Bristeau. — Wyższość drugiego wariantu polega właśnie na tym, że z punktu widzenia policji jest on nie do zrealizowania. No bo niby skąd miałby pan wziąć bomby lotnicze?

— Przecież mówię o tym samym.

— Proszę sobie teraz wyobrazić, że mimo wszystko zdobył pan te bomby. Wtedy policja jest całkiem bezbronna. Przecież uważa ten wariant za bluff i przygotowuje się do odparcia ataku opracowanego według planu numer jeden.

— No, no?…

— A to znaczy, że czterdzieści milionów przewędrowało z banku do naszych sejfów.

Wspomnienie o czterdziestu milionach znowu wpędziło Scolettiego w zamyślenie. Podrapał się całą dłonią po głowie, sięgnął po aparat telefoniczny i wykręcił numer.

— Halo, Pitt? Potrzebne mi są dwie bomby lotnicze, takie koło tony. Na dziś wieczór. Co? No, dobra. Zadzwoń.

— Widzi pan! — powiedział Bristeau. — Dla syndykatu Scoletti nie ma rzeczy niemożliwych.

— Będziemy się cieszyć, jak bomby będą już w naszym magazynie. A co, jeżeli Pitt ich nie zdobędzie?

— W takim wypadku jest wariant numer trzy.

***

W maszynowni Centrum Obliczeniowego Komendy Głównej Policji było gorąco nie do wytrzymania. Standardowa uroda operatorek topniała w potokach gorącego powietrza buchającego od maszyny. Poprzez różnokolorowe strumyki ściekającej wraz z potem urody wyzierała koścista twarz’ Czasu.

Raich i Logan pochylili się nad stołem zarzuconym strzępami papierowych taśm.

— No dobrze — wycharczał Raich starając się przekrzyczeć hałas wydobywający się z drukarki. — Załóżmy, że syndykatowi udało się zorganizować parę bomb zdjętych z uzbrojenia. To mało prawdopodobne, ale jestem gotów przystać na taką hipotezę.

— Aha, widzi pan…

— Dave, proszę poczekać! Mówię to dlatego, że nawet w porównaniu z tym wariantem, podkop długości pięćdziesięciu metrów i to na dodatek z budynku należącego do ambasady zagranicznego mocarstwa wydaje mi się totalną bzdurą.

— Dlaczego?

— A dlatego że, po pierwsze, taki podkop wymaga mnóstwa czasu, po drugie, obca ambasada… to już szczyt idiotyzmu.

— Proszę spojrzeć — Logan rozłożył na stole plan. — Budynek ambasady znajduje się w najwygodniejszym miejscu. Podkop prowadzi stamtąd najkrótszą drogą wprost do pomieszczenia z sejfami. Poza tym…

— Ale kto im pozwoli prowadzić stamtąd ten podkop? — przerwał Raich.

— Ten problem przeanalizujemy zaraz oddzielnie — uśmiechnął się Logan. — Mam przygotowany program.

***

— Wystarczy, synku! — Scoletti zdjął nogi w skarpetkach z pulpitu i wyciągnął je w stronę faceta z obstawy, który chwycił buty stojące na podłodze. — W ten sposób tylko tracimy nadaremnie czas. Twój pierwszy plan mnie w zupełności urządza.

— Tak, ale mówiliśmy już o tym, że jest on najbardziej niebezpieczny. Działając według tego wariantu dajemy pewny atut policji.

— Pies to drapał! Kiedy policja oczekuje napadu?

— Dzisiaj.

— A my zorganizujemy go jutro.

— Ojczulku! — zawołał z przejęciem Bristeau. — Pan ma nie głowę, a maszynę cyfrową! Przecież to nam daje podwójną ilość wariantów!

* * *

— Tak. — Logan rozluźnił kołnierzyk mokrej od potu koszuli. — Wariant numer siedem — to nieoczekiwany powrót do wariantu numer jeden. Do diabła! Proszę posłuchać, szefie, może najlepiej byłoby zorganizować zasadzkę w banku?

— Nie da rady, Dave. Musimy powstrzymać się od jakichkolwiek działań, które mogłyby wywołać panikę na giełdzie. Nasze starania o zezwolenie na urządzenie zasadzki na pewno dotrą do dziennikarzy i wtedy…

— Tak… Ma pan rację, tym bardziej że wariant numer osiem daje przeniesienie napadu na jutro, a w tym wypadku… Cholera, zatkajcie mu wreszcie pysk! Dzwoni już od pół godziny!

Jedna z dziewczyn podeszła do telefonu.

— Do pana — powiedziała do Raicha zakrywając słuchawkę dłonią.

— Proszę powiedzieć, że jestem zajęty.

— To oficer operacyjny. Mówi, że to bardzo ważna sprawa. Raich podszedł do telefonu.

— Halo! Tak. Kiedy? Rozumiem… Nie, lepiej motocykl… Natychmiast.

Po skończonej rozmowie szef policji długo w milczeniu patrzył na Logana. Kiedy się w końcu odezwał, jego głos był dziwnie spokojny.

— No i miał pan rację, Dave.

— Co się stało?

— Dziesięć minut temu został ograbiony Bank Narodowy.

Logan zbladł.

— Czyżby Scoletti?…

— Myślę, że Scoletti też zaufał takiemu bałwanowi jak ty. Nie, sądząc na podstawie wszystkich danych, to sprawka Śmierdziela Simsa. Znam jego przyzwyczajenie do działania w pojedynkę. Używa tylko colta typ 1912 i puszki po konserwie nałożonej na rączkę od maszynki do mięsa.

Przełożył Piotr Fast